



Weronika Wierzchowska

*Szukaj mnie*

Prószyński i S-ka

Weronika Wierzchowska  
*Szukaj mnie*

Prószyński i S-ka

Copyright © Weronika A. Sawicka, 2014

Projekt okładki

[www.studio-kreacji.pl](http://www.studio-kreacji.pl)

Zdjęcie na okładce

© Nina Masic/Trevillion Images

Redaktor prowadzący

Michał Nalewski

Redakcja

Roman Honet

Korekta

Marta Olejnik

ISBN 978-83-7961-852-1

Warszawa 2014

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Wszystko zaczęło się w dniu, w którym umarła ciotka Aurelia.

Wiadomość o jej śmierci przyszła razem z codziennym spamem, zaśmiecającym skrzynkę e-mailową Julii i niewiele brakowało, a zostałaaby skasowana bez czytania. Wśród ofert firm ubezpieczeniowych, propozycji taniego powiększenia penisa, informacji o wygraniu konkursów, w których Julia nigdy nie brała udziału, czy innych pospolitych prób wyłudzenia pieniędzy lub choćby danych adresowych, niepozorny nagłówek głoszący „śmierć cioci” przeszedł niezauważony. List poleciałby w wirtualny niebyt, gdyby nie Gary, tusty rudy kocur, który niespodziewanie wskoczył na klawiaturę i wysłał całą pocztę do kosza.

Julia musiała otworzyć stosowną zakładkę i przejrzeć automatycznie wywalony spam, zmieszany przez kocura z prywatną pocztą. Tej ostatniej specjalnie się nie spodziewała. Właściwie od wieków nikt do niej nie pisał. Jedyne dwie przyjaciółki kontaktowały się wyłącznie telefonicznie, a e-maile biznesowe przychodziły na służbową skrzynkę. Ciągle jednak łudziła się, że kogoś może obchodzić, co się z nią dzieje, że o dawnej koleżance ze studiów może przypomni sobie jakiś przystojny kolega, który teraz jest obrzydliwie bogaty, za to nadal szczupły i wysportowany. Mógł też ją zaczepić któryś z dystygowanych specjalistów od informacji naukowej, poznanych na szkoleniu w ubiegłym roku, przecież wymienili się kontaktami. Albo tajemniczy wielbiciel, ponoć są tacy, lub w ostateczności ktoś z firmy, choćby ten brunet z HR. Nigdy nie wiadomo, kto mógł zapragnąć bliższego poznania dobiegającej czterdziestki, bladej blondynki, smutnej i poszarzałej od nudnej pracy oraz przytłaczającej codzienności.

Julia otworzyła wiadomość, czując dziwny niepokój. Przebiegła wzrokiem na koniec listu, gdzie znajdował się podpis wuja Leona, najmłodszego brata ojca, którego nie widziała co najmniej od trzech lat, od jakiegoś ostatniego rodzinnego pogrzebu. A jednak! Chodziło o ciocię Aure! Siostrę ojca, nieco kopniętą starą pannę i, jak przystało na emerytowaną nauczycielką polskiego, straszliwie gadatliwą i przemądrzałą.

Ile to lat się nie widziały? Gdy zaczęła niedomagać na zdrowiu, ojciec jeździł do niej, do Wrocławia. Raz zabrał ze sobą Julię. Wtedy po raz pierwszy i ostatni znalazła się w mieszkaniu ciotki. Do dziś pamiętała zakurzone regały z książkami i stare rodzinne fotografie poustawiane w ramkach całymi armiami na komodzie i biurku. I zapach kociego moczu, którym przesiąkł fotel, okupowany przez paskudne kocisko.

Wspominając kocura ciotki, Julia spojrzała przez ramię na Gary'ego. Rudzielec leżał w jej łóżku, na poduszce, i w najlepsze lizał sobie bliznę po kastracji. Właściwie niewiele się różnił od potwora należącego do ciotki, może trochę umaszczeniem, ale charakter miał równie paskudny i złośliwy jak tamten.

– Czyżbym zamieniała się w ciotkę Aurelię? – spytała go Julia. – Całe mieszkanie śmierdzi już twoimi szczynami? I ja też? I tak jak ciotka niczego już nie czuję, prawda?

Kot spojrział na nią obojętnie i wrócił do higienicznych zabiegów. Julia przeczytała po raz kolejny wiadomość od stryja. Wyglądało na to, że musi jechać na pogrzeb, nikt inny z jej strony nie mógł tego zrobić. Ojciec od dwóch lat nie żył, a mama zmarła osiemnaście lat temu. Julia była ostatnią, usychającą gałęzią rodu.

– W sobotę – mruknęła na głos, znów wczytując się w list. – Za dwa dni czeka mnie podróż do Wrocławia, Gary. Będziesz musiał zostać sam. Przypilnujesz domu?

Kot tym razem nawet nie przerwał zabiegów. Było oczywiste, że przypilnuje. Przecież mieszkanie należało do niego.

Ola odebrała już po chwili, jakby czekała na telefon. Było po dziewiątej wieczorem i obydwaj jej synowie z pewnością spali. Musieli wstać rano do przedszkola, więc najpóźniej o dwudziestej obaj byli wykąpani i zapakowani do łóżek. Samotna matka miała czas dla siebie, który spędzała, siedząc z kieliszkiem wina przy komputerze. Julia wiedziała, że przyjaciółka marnotrawi czas, surfując i mądrząc się na forach dla porzuconych kobiet oraz poszukując szczęścia na portalach randkowych. Z tym ostatnim był jednak problem, bo wielu chętnych na rozwódkę z dwójką dzieci jakoś nie było. A jeśli już się taki trafił, to przy pierwszym spotkaniu na żywo okazywał się dziwnym typem, przypadkiem dotkniętym umysłową aberracją lub innego

gatunku popaprańcem, czyhającym na zdesperowane kobiety.

– Ach, to ty – mruknęła Ola bez entuzjazmu.

– Myślałaś, że amant starający się o twoje względy? Mam zacząć dyszeć w słuchawkę, jak miał w zwyczaju ten ostatni?

– Dyszenie bym jeszcze ścierpiała, ale gdy mi opowiedział, co wtedy robił, uch, tego już było trochę za dużo – ponuro stwierdziła Ola. – Wiesz, że kiedy rozmawialiśmy, ponoć zawsze się wcześniej rozbierał i wbijał sobie w sutki...

– Nie chcę wiedzieć! – przerwała Julia. – Najlepiej opisz jego seksualne zwyczaje w formie romansu. Bestseller murowany.

– Nie najlepszy pomysł, kto by to kupił? Zresztą robię teraz jednocześnie kilka tłumaczeń i nie mam czasu na własne literackie próby. No dobra, czego właściwie chcesz, Julka?

– Ciotka mi umarła.

– Nie wiedziałam, że masz ciotkę.

– Sama zdążyłam zapomnieć.

– Przynajmniej nie wpadłaś w czarną rozpacz. I co z tą ciotką?

– Nie żyje – cierpliwie powtórzyła Julia. – Stryjek napisał, że zostawiła coś dla mnie.

– Dostałaś spadek? Ekstra!

– Kilka pudeł papierów, ponoć jakieś stare pamiętniki, listy pisane przez przodków, wiesz, rodzinne pamiątki gromadzone przez kopniętą starą pannę.

– Jak nic nadajesz się, by kontynuować jej dzieło – parsknęła Ola. – Ale jak mogę ci pomóc?

– Nie potrafię tego cholerstwa tak po prostu wywalić do śmietnika. Muszę przewieźć schedę po przodkach z Wrocławia. Potrzebuję samochodu z kierowcą.

Julia co prawda posiadała prawo jazdy, zrobiła je kilkanaście lat temu, zaraz po studiach, ale nigdy nie kupiła auta. W dużym mieście rzadko byłoby użyteczne. Z drugiej strony jego brak czasem okazywał się kłopotliwy.

– Nic z tego, złotko. W piątek jadę z dziećmi na weekend do staruszków. Dziadkowie muszą się nacieszyć wnukami. No chyba że wrócę w sobotę rano i jeszcze zdążę zawieźć cię do Wrocławia. O której pogrzeb? Może zdążymy, jeśli się zepnę.

– Ach, nie. Bez przesady! Musiałabyś niewyspana i sterana ścigać się po

polskich drogach. To zbyt ekstremalny sport – westchnęła Julia.

– Czekaj, ale przecież Ania może cię zawieźć! – przytomnie zauważyła Ola.

– W ten weekend on ma ją odwiedzić – mruknęła Julia. – Surmy zbrojne i fanfary obwieściły przybycie Andrzeja. Zaszczyci ją we własnej olśniewającej osobie, zatem ta głupia pipa będzie siedziała i czekała, wpatrując się z wytęsknieniem w drzwi. Wołami bym jej nie wyciągnęła. Pewnie już usycha, wpatrując się w jego fotografię.

Ostatnia z trzech przyjaciółek żyła w chorym związku z pewnym osobnikiem, prawdopodobnie uważającym się za drugie wcielenie Casanovy. Poznała go w pracy na początku swojej zawodowej kariery i niemal natychmiast uwikłała się w gorący romans. Zakochała się na zabój i już po kilku miesiącach zaczęła namawiać Andrzeja na uwicie wspólnego gniazdka. Wtedy on łaskawie napomknął, że właściwie ma żonę, której nie może zostawić, bo zbyt wiele jej zawdzięcza, ale już za kilka miesięcy, gdy sytuacja odpowiednio się ułoży, oświadczy małżonce, że kocha inną i od tej chwili Ania będzie miała go tylko dla siebie. Od tamtej pory minęło im szczęśliwie dziesięć lat w niezmiennym układzie. Andrzej nawiedzał kochanicę, kiedy miał na to ochotę, czyniąc jej tym aktem wielkopańską łaskę, by potem spokojnie wrócić do domu, uroczego mieszkanka na warszawskich przedmieściach, gdzie czekała stęskniona żona. Ania przeżyła w tym czasie kilka ataków depresji i kilkanaście razy też zerwała z draniem. Wystarczył jednak tydzień lub dwa rozłąki, by oczekiwała jego powrotu z nadzieją i tęsknotą. Układ niby typowy, ale zupełnie niezrozumiały dla dwóch przyjaciółek poszkodowanej. Ania była wszak inteligentną kobietą o ostrym języku, w dodatku, jak przystało na góralkę z pochodzenia, wybuchową i gwałtowną. Już dawno powinna sprać gnojka na kwaśne jabłko, lecz zamiast tego kupowała mu drogie krawaty i pichciła wyszukane przysmaki.

– Rozmawiałam z nią dzisiaj – powiedziała Ola. – Andrzej jednak odwołał wizytę. Niby ma wyjazd służbowy. Już to widzę, delegacja w weekend! Pewnie z inną kochanką. Mówiłam ci już, że on z pewnością ma nałożnice w każdym większym mieście?

– Wiele razy – przytaknęła Julia. – Skoro jednak Ania jest wolna, zaraz do niej zadzwonię.

– No to buziaki! Dobrej zabawy! – entuzjastycznie rzuciła Ola. – Ups! Zapomniałam, że jedziesz na pogrzeb, wybaczone. Może zobaczymy się w sobotę

wieczorem?

– U mnie. Do dziewiętnastej powinniśmy wrócić. – Julia z góry założyła, że Ania zgodzi się na przewiezienie jej służbowym samochodem przez pół Polski.

Już dawno bowiem przyjęły pakt głoszący, że skoro nie radzą sobie w związkach, muszą przynajmniej polegać na sobie nawzajem.

Ania lubiła mocno cisnąć gaz, szczególnie gdy prowadziła samochód nienależący do niej. Fura frunęła więc nad szosą, mijając litewskie tiry i lawety zmierzające do Niemiec po stare samochody ze szrotu. Krajobraz migał za oknem w ekspresowym tempie. Julia miała wrażenie, że pędzi odrzutowcem szykującym się do poderwania z pasa startowego. Góralka pruła brawurowo, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Jej mina, przez wysuniętą do przodu szczękę, przypadłość znaną w medycynie jako „warga habsburska”, na stałe nadawała jej wyraz zagniewania i niezadowolenia. Nadaśaną minę bardzo rzadko odmieniał uśmiech, zaskakująco miły i łagodny. Zwykle jednak Ania się nie uśmiechała, za to marszczyła groźnie brwi, co dodatkowo zmieniało ją w herod-babę. Może dzięki temu była tak dobrą sprzedawczynią specjalistycznego sprzętu. Ludzie się jej bali. Po paru minutach rozmowy biznesowej gotowi byli kupić wszystko, co oferuje, byle już sobie poszła.

Na pogrzeb założyła czarny golf i obcisłe spodnie, czyli jak na nią przystało, ubranie trochę sportowe i przede wszystkim wygodne, za to mało dystyngowane. Julia wbiła się w pogrzebową garsonkę, niemodną już od wieków, za to stale pasującą do jej szczupłej figury. Przynajmniej los oszczędził jej tendencji do tycia, z którą walczyły wszystkie kobiety w jej wieku. Obie przyjaciółki otwarcie zazdrościły jej tego daru, szczególnie gdy Julia doiła przy nich mordercze kalorycznie piwo, zagryzając tłustym serem i plastrami wędliny. Ola i Ania nie mogły pozwolić sobie na podobne wariactwa i gdy się spotykały, piły jedynie wytrawne wino.

Podróż do Wrocławia minęła szybko. Dotarły na miejsce sporo przed pogrzebem. Dzięki temu przed ceremonią zdążyły odwiedzić dom ciotki, w którym czekał na nie stryj Julii. Wuj okazał się siwiutkim, lekko pochylonym starszym panem, który na co dzień zajmował się prowadzeniem pizzerii. Z jego pomocą załadowały samochód pudłami ze schedą, którą zmarła przeznaczyła bratanicy. Potem odbyła się msza, podczas której Julia



dyskretnie uroniła łzę. A nawet kilka. Nie tylko ze smutku po odejściu Aurelii, do której i tak nie żywiła specjalnie ciepłych uczuć, ale głównie z żalu nad sobą. Widząc znacznie postarzałego stryja, który sapał, niosąc pudło z papierami, zrozumiała, że jemu także nie zostało już wiele czasu. Wychodziło zatem na to, że niedługo całkiem straci rodzinę. Już była sierotą, a jeszcze rok lub dwa i zostanie na tym świecie zupełnie sama.

Co dalej? Pewnie zamieni się w zdziwaczałą staruszkę z kotem. Przeistoczy w drugą Aurelię, a któregoś dnia umrze i nikt tego nie zauważy. Znajdą ją po kilku tygodniach, gdy smród rozkładającego się ciała nie pozwoli przechodzić obojętnie obok jej drzwi innym mieszkańcom bloku. A co będzie z kotem? Kto przygarnie złośliwego, tłustego sukinsyna? Bo nie podlegało dyskusji, że nawet za trzydzieści lat trafi się jej zwierzak o paskudnym charakterze. Przyciągała takie istoty tak, jak jej dwie przyjaciółki beznadziejnych facetów.

– Gdyby coś mi się stało, zaopiekujesz się Garym? – spytała Ani.

Odbębniły obowiązkową wizytę na nudnej i kłopotliwej stypie, po czym zapakowały się do wozu i właśnie znów pędziły szosą. Tym razem w przeciwnym kierunku.

– Oferowałam ostatnio sprzęt dla instytutu, w którym mają zwierzętarnię. Zawiozłabym im tego tłuszciocha, przydałby się do eksperymentów medycznych jako model zwierzaka z ciężką cukrzycą – odparła Ania, bez mrugnięcia okiem jadąc na czołowe zderzenie z traktorem, by przeskoczyć wlokącą się po jej pasie ciężarówkę.

– No wiesz – prychnęła Julia, łapiąc się oburącz fotela, bo gwałtowny manewr wymijania omal nie wyrzucił jej z siedzenia. – Poważnie pytam.

– A ja poważnie odpowiadam. Trzeba było nie zapaść tak zwierzaka – prychnęła gniewnie góralka. – Wydaje ci się, że to małe zwierzę może zjeść tyle, co ty? Widziałam, jakie kopy karmy walisz mu do miski. Już dawno bym doniosła na ciebie obrońcom praw zwierząt, gdybym tylko tak nie pogardzała tymi cymbałami. Kto to widział, marnotrawić czas na sierściuchy, gdy wokół tyle pilnej roboty!

– Naprawdę twoja rodzina prowadzi gospodarstwo? I wychowywałaś się w otoczeniu przyrody, od dziecka pomagając przy zwierzętach?

– Właśnie dlatego nie cierpię diamdziowatych, słodko pierdzących dziuń trzymających w bloku kotki i pieprzone, miniaturowe pieski – warknęła Ania.

– Co obrończynie zwierząt wiedzą o ich potrzebach? Zwierzak to nie

zabawka! Potrzebuje przestrzeni, ruchu, powietrza, wolności, na miłość boską! Torturowanie ich przez trzymanie w blokach i tuczenie na śmierć powinno być karalne.

– No wiesz – mruknęła urażona Julia – Gary to jedyna istota, jaką mam. Wydaje mi się, że mnie kocha. Może inne samotne kobiety także dlatego trzymają zwierzęta. Żeby kogoś mieć...

– Żałosne. – Ania wykrzywiła usta w jeszcze bardziej pogardliwym grymasie. Zaciśnęła dłonie na kierownicy, aż zbieleły jej knykcie. – Pewnie, że chodzi o zaspokojenie matczyńskich instynktów. Każdy normalny człowiek musi mieć kim się opiekować, dla kogoś żyć. Kotki i pieski to zaledwie substytut chłopa i dzieciaków. Gdybyś tylko jakiegoś złapała, twój kot od razu by schudł. Nie zagłaskiwałabyś go na śmierć i nie tuczyła z prawdziwą miłością, aż dostanie zawału serca. Nie miałybyś na to czasu, gdyby facet wziął cię w obroty. Tego ci właśnie trzeba! Chłopa z takim interesem! – Ania zaciśnęła pięść i pokazała ręką, z jak wielkim. – Już on wybiłby ci nim głupoty z głowy. Kotki i pieski, phi!

– Ale jesteś ordynarna, wstyd! – Julia nie kryła oburzenia. Nie udało się jej jednak powstrzymać uśmiechu. – Tak między nami, to właściwie nie miałabym nic przeciw podobnej kuracji.

Obie wybuchły śmiechem, szczerym i głębokim. W jednej chwili Julię opuściły smutki i rozterki. Odetchnęła z ulgą, wyrzucając z głowy obraz stryjostwa w czarnych strojach, trumny i wieńców niesionych przez grabarzy. Zaprosiła Anię na resztę dnia do siebie. Po drodze zatrzymały się w markecie, by kupić na wieczór prowiant i wino. Zadzwończyły również do wracającej od rodziców Oli, by spytać, na co ma ochotę. Potem podjechały pod blok Julii i zajęły się targaniem ciężkich pudeł z rodzinnymi skarbami. Ustawiły je jedno na drugim w ciemnym kącie i natychmiast zapomniały o rupieciach, zajmując się przygotowaniem kolacji.

W drodze do mieszkania Julii Ola zajrzała do osiedlowych delikatesów, by zaszaleć i dla uczczenia weekendu bez dzieci kupić sobie i dziewczynom coś ekstra. Chodziła chwilę wzdłuż półek wypełnionych kolorowymi specjami, wreszcie wzięła trochę słodyczy i owoców, a jako ukoronowanie trzy butelki wina, na które nieszczęśliwie mogła sobie pozwolić. Skłonność do szastania pieniędzmi była jedną z przypadłości tłumaczki freelancerki. Zanim urodziła dwóch synów, potrafiła roztrwonić pieniądze ze zleceń natychmiast po tym, gdy wpłynęły na konto. Kupowała nie tylko markowe ciuchy, ale także niepraktyczne lub niezbyt potrzebne prezenty dla Staszka.

Nie była dla niego słodkim aniołem, zdarzało się, że zamiast obsypywania całusami i prezentami ciosała mu kołki na głowie, ale zasadniczo troszczyła się o męża. Do tej pory nie wiedziała, dlaczego pewnego wieczoru, gdy była z dziećmi na spacerze, spakował się i bez słowa wyjaśnienia znikł z domu. Gdy do niego zadzwoniła, oświadczył zimno, że nie jest już nią zainteresowany, zakochał się i żyje teraz z inną kobietą. Po zawiłym śledztwie, w które zaangażowały się wszystkie przyjaciółki, wyszło na jaw, że nową wybranką stała się jego współpracownica, koleżanka z biura. Jej przewaga nad Olą sprowadzała się do tego, że była od niej blisko dziesięć lat młodsza, a do tego miała nieludzko długie nogi, które z dumą prezentowała, nosząc króciutkie spódniczki.

Staszek z własnej inicjatywy zaoferował, że jako człowiek honoru będzie jej co miesiąc przelewał coś w rodzaju alimentów i faktycznie dotrzymywał słowa. Poza tym jednak niespecjalnie interesował się synami i odwiedzał ich tylko od czasu do czasu. Zdarzało się, że zabierał chłopców na weekend, co Ola odbierała jednocześnie z zadowoleniem i gniewem. Cieszyła się, że malcy spędzają trochę czasu z ojcem, przecież potrzebowali męskiego wzorca, jednak z drugiej strony, gdy pomyślała, że jej dzieci dotyka ta wstrętna dziwka, ta podstępna żmija, która zabrała jej chłopca, zalewała ją

kwę.

Ola zamyśliła się, płacąc za wino stanowczo zbyt wysoki rachunek. Ciekawe, co dzisiejszego wieczora będzie robił Stach? Pewnie pójdzie z tą swoją wycackaną lalą na grupową terapię poświęcaną odkrywaniu siebie albo na spotkanie z hipisowskim guru, który po trzydziestu latach nirwany wrócił z Indii, a może na mityng z peruwiańskim szamanem, aplikującym zblazowanym Europejczykom oczyszczające dusze halucynogeny lub na buddyjską medytację połączoną ze śpiewaniem mantr. Dziewczynom udało się bowiem ustalić, że Krysia, choć wyglądała na plastikową lalkę, była nadzwyczaj uduchowiona i natchniona. Oprócz ciągłych badań nad tajemnicami wewnętrznego wszechświata zajmowała się również poezją i analizowaniem ludzkich charakterów.

Zbyt wiele rozmyślań o konkurentce i tym sukinsynu, który porzucił własne dzieci, sprawiło, że Olę rozboleła głowa. Poczuła rosnące z każdą chwilą rozdrażnienie. Zaciśnęła zęby, podejmując decyzję, że nie pozwoli sobie popsuć weekendu. Odetchnęła głęboko, powoli wypuszczając powietrze i powtarzając w myślach: „spokój, spokój, spokój”. Doszła w ten sposób do bramy ogrodzonego osiedla, na którym mieszkała przyjaciółka, i wstuknęła kod dostępu. Furtka zabzyczała i otworzyła się. Ola, ciągle sapiąc i recytując uspokajającą mantrę, dotarła pod wejście do bloku, gdzie natknęła się na zgiętego wpół staruszka.

Zatrzymała się przy nim, bo dziadek próbował podnieść książkę leżącą na ziemi, ale nie zdołał całkiem się zgiąć. Zastygł więc z wyciągniętą w stronę zguby ręką, podpierając się laską. Ola kucnęła i podniosła książkę o twardych okładkach obciążonych poprzecieraną na rogach skórą. Zdążyła dostrzec, że część kartek tkwi wetknięta luzem, a wszystkie są pożółkłe ze starości.

– Bóg zapłać, moje dziecko. – Staruszek uśmiechnął się do kobiety, odbierając swoją własność.

– Mogę jeszcze w czymś panu pomóc?

– Uczyniłaby mi pani niezwykłą grzeczność, gdyby wspomogła mnie ramieniem i podprowadziła do drzwi mieszkania. Nie zabiorę dużo czasu, mieszkam na parterze. – Mężczyzna ciągle się uśmiechał.

Ola z zaskoczeniem zauważyła, że nosi staroświeckie okulary typu pince-nez, czyli opierające się tylko na nosie, bez zauszników. Ostatnio widziała coś

takiego w kostiumowym filmie. Do tego wszystkiego dziadek nosił niezwykle, zupełnie staroświecki garnitur i kamizelkę z kieszonką na zegarek z łańcuszkiem.

„W jakiej epoce się zatrzymałeś, człowieku? – pomyślała, podając mu ramię. – Pewnie się okaże, że osobiście znałeś Konopnicką i Bolesława Prusa”.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość i to, że panią kłopotczę, ale wybrałem się na zbyt długi spacer i przeceniłem swoje możliwości. Reumatyzm, artretyzm i cała reszta dopadły mnie tuż przed mieszkaniem. Zabrakło mi dosłownie kilku kroków, by poradzić sobie samemu.

– Ależ to żaden kłopot. – Ola wzruszyła ramionami.

Zauważyła jeszcze, że starzec nie śmierdział moczem, co bardzo często zdarzało się ludziom w jego wieku. Mężczyzny nie było czuć również kulkami na mole ani naftaliną, za to pachniał jakąś niezwykle wodą kolońską. W każdym razie niezmiernie elegancką. Ola pomyślała, że gdyby miała faceta, z chęcią kupiłaby mu takie perfumy. Lubiła drogie kosmetyki.

– Proszę ze mną wejść – poprosił straszny pan, gdy stanęli przed drzwiami. – Byłbym zobowiązany, jeśli szanowna pani okazałaby miłosierdzie i zaczekała chwilę, aż serce mi się uspokoi. Na wypadek gdyby jednak nie chciało i konieczne stałoby się wezwanie pogotowia.

– Oczywiście, chwilę mogę z panem zostać – bąknęła niepewnie Ola.

Tylko tego jej brakowało! Będzie musiała siedzieć z dziadkiem, który może w każdej chwili paść trupem. Ale co miała zrobić, przecież nie zostawi staruszka samego, bo jeszcze naprawdę zasłabnie.

Znalazła się w kawalerce urządzonej w staromodnym stylu, by nie powiedzieć, że wręcz przypominającym muzeum lub skansen. Krótki korytarzyk wypełniały regały z książkami, a z sufitu zwisała secesyjna lampa. W salonie głównym meblem było masywne biurko w stylu empire<sup>1</sup>, z czarnego drewna, o nogach rzeźbionych na podobieństwo lwich łap. Ola nie dostrzegła nigdzie telewizora ani innego elektronicznego sprzętu, za to w kącie na stoliku stał patefon z głośnikiem w postaci wielkiej tuby.

– Pani pozwoli, że się przedstawię – rzekł z powagą staruszek, prężąc chudą pierś. – Jestem Aleksander Żegota, hrabia Bniński, dawniej poeta i zarobkowo oficer, obecnie kontemplator rzeczy dawnych i kolekcjoner przeszłości.

„Hrabia? O matko, wpadłam w sidła starego wariata” – pomyślała Ola.

– Aleksandra Lecka – wyciągnęła dłoń, którą pan Bniński wprawnie przechwycił i kłaniając się, ucałował.

Staroświecki gest tak bardzo zaskoczył i wyprowadził Olę z równowagi, że nawet nie zorientowała się, jak została posadzona na kanapie. Po chwili staruszek dziarsko przytaszczył z kuchni samowar. Archaiczne urządzenie zostało postawione na stoliku, a gospodarz, operując benzynową zapalniczką, zabrał się za rozpalanie węgielków.

– Ależ nie trzeba, proszę się nie kłopotać – zdołała wykrztusić Ola.

Hrabia Bniński nie chciał słyszeć o odmowie i zbyt szybkiej ucieczce gościa. Złapał się za pierś i oświadczył, że dopóki leki nie zaczną działać, dopóty może w każdej chwili odejść na tamten świat. Leki natomiast może zażyć dopiero po wypiciu herbaty, a tę pije jedynie z samowara. Potem wyjaśnił, jak wielka jest różnica pomiędzy naparem przygotowanym z użyciem wody zagotowanej w czajniku elektrycznym, na kuchni opalanej węglem, a na kuchni opalanej drewnem. Za każdym razem napój wychodzi zupełnie inny, a im nowocześniejszej użyto do niego techniki, tym bardziej traci smak i wartości zdrowotne. Olę znowu zaczęła boleć głowa.

Zanim herbata się zaparzyła, staruszek usiadł obok z wielkim albumem. Wewnątrz, ku rosnącej zgrozie Oli, miał kolekcję medali i monet. Najgorsze, że zaczął opowiadać o każdym egzemplarzu, i to ze szczegółami, nie żałując wstępu historycznego.

– To pruska „dytka”, czyli sześciogroszówka z czasów okupacji Warszawy przez Prusaków po upadku powstania kościuszkowskiego. „Dytka” była tak zwaną monetą zdawkową, czyli pośledniego gatunku. Niewiele warta, o czym świadczy fakt, że uciekając z miasta, Prusacy nie wycofali jej z obiegu. Była najpowszechniejszą monetą za czasów Księstwa Warszawskiego, choć rada stanu zarządziła jej denominację i od roku 1808 jej wartość wynosiła tylko cztery grosze – tłumaczył staruszek.

Z torebki Oli rozległo się brzęczenie telefonu. Kobieta przeprosiła gospodarza i odebrała.

– Zgubiłaś się, zostałaś napadnięta czy uprowadzona? – spytała Julia.

– To ostatnie. Jestem u twojego sąsiada, pana hrabiego Bnińskiego.

– Moje gratulacje – mruknęła Julia. – Złapał cię na chore serce? Stary numer. Naprawdę nic mu nie jest.

- Zdążyłam się domyślić. Co mam teraz zrobić?
- Nic się nie bój, to tylko samotny staruszek, rozpaczliwie potrzebujący towarzystwa. Powiedz, że musisz już iść, bo na ciebie czekają. To pilna sprawa, niecierpiąca zwłoki. Wstań i wyjdź.
- Ach tak?! – Ola teatralnym gestem złapała się za głowę i poderwała na równe nogi. Pan Aleksander spojrział na nią z niepokojem. – Naprawę już ta godzina? Wybacz mi, będę natychmiast! Pa!
- Rozłączyła się i gestykulując żywo, złapała za torebkę i siatkę z zakupami.
- Pan wybaczy, panie hrabio, ale muszę lecieć. Bardzo przyjemnie się z panem rozmawia, piękna kolekcja monet i z chęcią bym o niej posłuchała, ale czekają na mnie.
- Proszę obiecać, że jeszcze mnie pani odwiedzi – dziadek wstał i odprowadził cofającą się Olę do drzwi.
- Gdy tylko mi czas na to pozwoli, przyjdę sprawdzić, jak się pan czuje – palnęła bez zastanowienia i ponieważ ugryzła się w język.
- Staruszek uśmiechnął się chytrze.
- Koniecznie proszę zajrzeć za dwie godziny, czy jeszcze jestem żywy. Gdybym nie odpowiadał, będzie jeszcze czas, by wezwać pogotowie.
- Ola, zła na samą siebie, powtórzyła obietnicę i biegiem pognęła schodami w górę. Zrezygnowała z windy, bojąc się, że dziadek odprowadzi ją do niej i podejrzy, na które piętro jedzie. Załomotała obcasami na schodach, gnając, jakby gonili ją diabli. Wpadła do mieszkania Julii, sapiąc jak parowóz.
- Nie chwaliłaś się, że masz w bloku hrabiego – wydyszała, wręczając gospodyni siatkę.
- A jaki tam z niego hrabia. – Julia lekceważąco machnęła ręką. – Widziałaś w dzisiejszych czasach arystokratę? Uciekli przed komunistami zaraz po wojnie, albo jeszcze przed nią. Z tego, co wiem, staruszek jest emerytowanym żołnierzem. Na starość zdziwaczał, co i każdą z nas czeka. Bniński poszedł w staroświeckie bibeloty, nosi surdut i zakłada pince-nez, pewnie wydaje mu się, że jest początek dwudziestego wieku. Ciekawe, na punkcie czego my dostaniemy hyzia. Ja chyba stanę się tak zwaną *cat lady*. Będę miała sześćdziesiąt kocurów, które zeżrą mnie żywcem. Ania wreszcie zadusi swojego wspaniałego kochanka i wylądjuje w wariatkowie, a ty... Hm.
- A mnie ostatecznie opęta nerwica natręctw, roztrwonię pieniądze na niepotrzebne zakupy, aż dzieci mnie ubezwłasnowolnią. Wtedy będę

przynosiła do domu rzeczy wygrzebane ze śmietnika – podsumowała swoje upodobania Ola.

Przeszły do kuchni, gdzie Ania pichciła im coś dobrego na kolację. Przymaki okazały się kotletami mielonymi, do których góralka miała słabość, a których unikała w heroicznym i z góry skazanych na porażkę walkach z nadwagą. Weekendowo pozwalała sobie na wyzerkę, by potem cały tydzień dręczyć się dietetycznymi jogurcikami i jarskimi sałatkami, których nie cierpiała.

Julia podała spóźnionej przyjaciółce kieliszek wina, a sama zajęła się krojeniem warzyw. Kotlety miały wylądować w podgrzanych bułkach jako podstawowy składnik domowych hamburgerów. Ola pokręciła nosem, obserwując Anię wrzucającą właśnie owalne placki mięsa na rozgrzany tłuszcz. Kolacja będzie niezdrowa i ciężkostrawna. Zapowiadało się, że dzisiejszy wieczór wszystkie będą musiały odchorować.

– No, wreszcie przyszłaś. Myślałam już, że pomrzemy z głodu, zanim się zjawisz – rzuciła góralka przez ramię.

Przeniosły się do salonu, niosąc tace z piętzącym się, parującym jedzeniem, po czym rozsiadły się na dywanie przed telewizorem. Julia włączyła coś do oglądania jednym okiem, bo i tak wieczór miał upłynąć im na pogaduchach. Ola zaczęła się żalić jako pierwsza, bo po wypitym duszkiem kieliszku przeszedł jej ból głowy, za to naszła ochota na gadanie. Opowiedziała o kłopotach z młodszym synem, Michałkiem, który ciągle moczył się w czasie leżakowania w przedszkolu, oraz o niesfornym starszym Krzysiu, nieustannie wdającym się w bijatyki.

– Obawiam się, że to przez odejście Staszka – powiedziała ze smutkiem. – Dzieciaki czują się niepewnie, widzą, że jestem znerwicowana i z trudem sobie radzę. Przez to same popadają w nerwowość. W domu brakuje mężczyzny, który byłby dla chłopców autorytetem i jednocześnie zapewnił im spokój.

– Tobie też brakuje chłopca – wtrąciła brutalnie Ania. – Tak samo jak Julii, już jej to mówiłam. Nie to, co mnie! Mnie za to brakuje pieniędzy. O właśnie, Julka, będę cię musiała prosić o przysługę.

– Ile?

– Pięć stów, ale najdalej do piątku. W tygodniu powinni przelać mi premię. Ola pokręciła z naganą głową.



– Nie mam bladego pojęcia, dlaczego utrzymujesz tego darmozjada – powiedziała. – Nie widzisz, że on cię zwyczajnie wykorzystuje? Żeruje na tobie niczym pasożyt.

– Wiem – spokojnie odparła Ania. – Wiem, co robię, moja droga. Nie musisz się o mnie kłopotać. Mój Andrzej miewa, owszem, kłopoty finansowe i muszę mu czasem pomagać, za to daje mi coś w zamian, coś, czego wam dwóm tak brakuje. Sens życia! Kocham go i dzięki temu mam po co żyć. Szczególnie że nie jest to miłość nieodwzajemniona.

– Ale kobieto, za kilka lat stuknie ci czterdziestka, masz mieszkanie kupione na kredyt i pasożyta, wiecznie uczonego twojego portfela. – Ola nie dawała za wygraną. – Jesteś świetnym handlowcem, dobrze zarabiasz, gdyby nie on, już dawno spłaciłabyś mieszkanie! A ty co? Grzęzniesz w długach. Jaki interes znów mu nie wyszedł? Ile musiałaś mu dołożyć? Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy?

– Gównu cię to obchodzi – warknęła Ania.

– Przestańcie już. – Julia tradycyjnie zajęła pozycję mediatora.

Jej też nieco doskwierała słabość Ani do kochanka, bo to głównie od niej przyjaciółka pożyczała pieniądze. I nie zawsze oddawała, wykorzystując fakt, że Julia nie potrafiła upomnieć się o zwrot gotówki. Zwyczajnie krępowała się domagać oddania pieniędzy, uważając to za bardzo nieeleganckie. Przez tę słabość sama finansowo przędła tak sobie, nie mogąc odłożyć żadnej większej sumy.

Żeby nie dopuścić do zepsucia miło zapowiadającego się wieczoru przez kłótnię, zmieniła temat, opowiadając o wybrykach biurowych kolegów. Pozostałe dwie przyjaciółki nie miały szczęścia pracować w korporacji, Ola była freelancerką, a Ania większość czasu spędzała w terenie. Omijały je więc biurowe skandale, podgryzanie i zawiść w wykonaniu walczących w wyścigu szcurków kolegów. Sama Julia pełniła raczej rolę obserwatorki tych zawodów, miała bowiem dość mocną pozycję jako dobry fachowiec, a poza tym brakowało jej ambicji, by walczyć o wyższe stołki. Najważniejsze jednak, że była osobą zbyt przyzwoitą, by współuczestniczyć w szcurzych zmaganiach. Wystarczyło jej same przyglądanie się, kto komu podkłada świnię, kto donosi, kto zajmuje się intrygami i podjudzeniem kolegów. Przyjaciółki chętnie słuchały plotek, bo część współpracowników Julii znały osobiście, zresztą biurowe życie potrafiło być naprawdę emocjonujące.

Dawało okazję do obrabiania tyłka całej masie ludzi.

Kolejne dwie godziny zajęło im zatem natrząsanie się ze współpracowników Julii oraz zaduma nad wybrykami członków zarządu, szczególnie nad miłosnymi podbojami wiceprezesa, człowieka wielokrotnie notowanego przez policję za uprawianie seksu w miejscach publicznych.

Podobne plotki kończyły się zawsze refleksjami nad istotą funkcjonowania korporacji i zdumieniem, jakim cudem ona działa, i to w dodatku aż tak sprawnie.

– O Jezu, obiecałam, że odwiedzę tego nieszczęsnego staruszka! – przypomniała sobie Ola. – Miałam wpaść do niego za dwie godziny, a minęły chyba ze cztery. Co teraz? Pewnie leży tam i kona. Będę miała go na sumieniu!

– Uspokój się. Nic mu nie będzie. – Julia wzruszyła ramionami i sięgnęła po butelkę, by napełnić kieliszki. – Pewnie już cię nawet nie pamięta, zresztą o tej porze z pewnością śpi. Nic mu nie dolega, zdrowie ma takie, że tylko pozazdrościć. Nie raz widziałam przez okno, jak o samym świcie dziarsko maszeruje na spacer, wymachując laseczką. Tylko wtedy, gdy sobie kogoś upatrzy, nagle zapada na zdrowiu.

– Mówicie o starym wariacie, który paradyje przebrany za Bolesława Prusa? – spytała Ania. – Mnie też kiedyś próbował naciągnąć na rozmowę, ale nie ze mną te numery. Od razu wyczułam, że byłoby to równie pasjonujące, jak przeglądanie pamiątek po twojej zmarłej ciotce.

– To te pudła są pełne rodzinnych pamiątek, staroświeckich bibelotów? – zainteresowała się Ola.

Oczy tłumaczki zapłonęły niezdrowym podnieceniem. Przecież z pewnością znajdowały się tam liczne skarby. Co prawda nie ma szans na markowe ciuchy czy perfumy, ale mogła się trafić przedwojenna biżuteria lub jakiś staroświecki drobiazg. Takie rzeczy potrafiły być piekielnie drogie, a przede wszystkim modne. Być może przyjaciółka dałaby się namówić na odsprzedanie jakiegoś cacka?

– I nawet nie sprawdzałyście, co tam jest? – Podniosła się z miejsca i doskoczyła do pakunków.

– Nie, szkoda było czasu. – Julia przewróciła oczami. – Stryjek mówił, że ciotka sama to popakowała i z tego, co się zorientował, to głównie rodzinne dokumenty i zdjęcia. Nic praktycznego.

– E tam, lepiej sprawdźmy – rzekła Ola i złapała za pierwsze pudło.

Rozsupłała sznurek i zdjęła tekturową pokrywę. Wewnątrz rzeczywiście znajdowały się same zdjęcia, wszystkie w ramach do powieszenia na ścianie. Fotografie były wyłącznie czarno-białe lub w sepii, niektóre mocno wyblakłe od upływu czasu. Widocznie długimi latami wisiały na ścianie w mieszkaniu ciotki Aurelii. W kolejnym pudle leżały poukładane w stosy skoroszyty ze starymi papierami, rosyjskie książki, w których ktoś porobił piórem przypisy na marginesach, teczki z dokumentami i ręcznie zapisane zeszyty. Ola mocno się rozczarowała.

Jedynie interesująco wyglądające pudełeczko zamiast broszy lub kolczyków kryło wewnątrz stare odznaczenie, biały krzyżyk ze złotą obwódką i rycerzykiem na koniu w środku. Może to świecidełko było coś warte, ale chyba niewiele, i wyłącznie dla kolekcjonerów. Zostało im jeszcze do sprawdzenia kilka pudeł po butach. Ola zrezygnowała z przeglądania ich zawartości, gdy w pierwszym znalazła powiązane sznurkiem pliki listów. Najgorsze, że po poruszeniu wprost na nogi tłumaczki wysypały się z nich mysie bobki i strzępki pogryzionego papieru. Odchody nieciekawie prezentowały się na eleganckich pończochach. Przyjaciółki chichotały, gdy ciekawska przyjaciółka otrzępywała się z mysich kup.

– A to co? – Ania wyciągnęła z pierwszego pudła sporych rozmiarów zeszyt, obity skórą z tłoczeniami i dodatkowo ozdobiony płaskimi, miedzianymi ćwiekami. – Wygląda fajnie!

Gdy rozłożyła okładki, przyjaciółki ujrzały wetknięte w nie luzem kartki, zapisane drobnym, starannym pismem. Na tle pożółkłego papieru lśniła biała, nowa koperta.

– Jest zaadresowana do ciebie – zauważyła Ania.

Julia wzięła list i obejrzała go z ciekawością. Napisano na nim tylko jej nazwisko – Julia Jasińska – nic więcej. Litery J miały zawadiacko zakręcone ogonki, zwijające się spiralnie na kształt ślimaczych muszli. Ozdobniki zasugerowały Julii autora listu.

– To od ciotki Aurelii – westchnęła. – Coś takiego, przed śmiercią napisała do mnie list!

– Na co czekasz? Otwieraj! – Ola szturchnęła przyjaciółkę. – Ja skoczę po następną butelkę. Spróbujemy hiszpańskiego wina, które dziś kupiłam. Nie pytajcie, ile mnie kosztowało.

Julia rozerwała kopertę i wyciągnęła list. Przeczytała go głośno, tak, by

mocująca się z korkociągiem Ola także słyszała.

*Droga Julio! Pewnie zastanawiasz się, czego może chcieć zmarła ciotka. Dlaczego ta samotna wariatka nie daje ci spokoju nawet po śmierci? Przecież nie miałyśmy ze sobą wiele wspólnego, oprócz pokrewieństwa właściwie nic nas nie łączyło. Racja, to wszystko moja wina. Nie dbałam o swoją jedyną bratanicę jak należy, nie interesowałam się tobą, zajęta własnymi sprawami. Przemknęło mi twoje dzieciństwo, mignęłaś mi ledwie jako pannica. I tyle. Życie przeminęło nie wiadomo kiedy. Szkoda, że nie poznałyśmy się lepiej, że nie poświęciłam ci należytej uwagi. Jesteś jednak jedyną spadkobierczynią naszego rodu. Ani ja, ani twój stryjek nie zostawiliśmy dzieci. Przeminiemy bez śladu, więc to ty będziesz nieść dalej pamięć o nas i naszych przodkach.*

*Słuchaj zatem, ostatnia z Jasińskich, mam coś dla ciebie. Coś, co odkryłam w czasie badań nad naszą rodziną, a co może cię wzbogacić. Materialnie czy tylko duchowo? O tym w swoim czasie. Z pewnością za to cię zaskoczy, zabawi, a może czegoś nauczy. Nie dam ci wszystkiego na tacy, to byłoby zbyt nudne i proste. Zaproponuję ci grę. Zabawę w podążanie po nitce do kłębka. Jeśli nie masz na nią ochoty, trudno. Zauważ tylko, że nigdy nie dowiesz się, co straciłaś.*

*To jak, jesteś ciekawa, co przygotowała dla ciebie stara wariatka? Jeśli tak, zacznijmy. Zadanie nie jest skomplikowane. Musisz skompletować pamiętnik, którego fragment trzymasz w ręku. Napisała go twoja praprababka, Józefa Jasińska. Kolejne kartki zgubiły się tu i ówdzie, zostawiłam jednak tropy, które pozwolą ci je odnaleźć.*

*Milej zabawy!*

Przyjaciółki tkwiły chwilę w ciszy i bezruchu, zupełnie zaskoczone treścią listu. Julia odwróciła kartkę na drugą stronę, lecz ta była pusta.

– Ale jazda – westchnęła Ania.

– To niesamowite! – do pokoju wpadła Ola, trzymając otwartą butelkę wina.

– Na co czekasz? Czytaj ten pamiętnik, i to na głos! Czekaj, wyłączę telewizor, bo będzie przeszkadzał, przygaśmy też światło.

– Czyście upadły na głowę? Mam czytać pamiętnik swojej praprababki? – burknęła Julia. – Też mi zabawa, naśmiewanie się z zapisków dawno

nieżyjącej osoby.

– Nie będziemy się śmiały, chyba że napisała coś okrutnie głupiego – zapewniła Ania. – Chcemy, żebyś podjęła wyzwanie ciotki Aurelii. Nie masz innego wyjścia, pomożemy ci nieść to brzemię, czy tego chcesz, czy nie. No jazda, teraz siadaj tu i czytaj.

– Szybciej, bo nie mogę się doczekać! – pisnęła Ola, rozlewając wino do kieliszków.

Julia wzruszyła ramionami, ale ponieważ tak naprawdę sama była niezmiernie ciekawa, zaczęła czytać.

<sup>1</sup> Znany także jako styl cesarstwa: późna odmiana klasycyzmu, związana z rządami Napoleona I; nawiązuje głównie do sztuki starożytnego Egiptu, Grecji i Rzymu; wyróżnia się symetrią i przesadną dekoracyjnością.

Do Warszawy przyjechałam latem 1877 roku, co z kilku powodów nie było najlepszym pomysłem. Nie chodziło o sam fakt przyjazdu, ale o porę roku. Panował bowiem straszny upał i duchota, przez co życie w metropolii stało się nieznośne. Każdy starał się ją opuścić i wyjechać na wieś, by w godnych warunkach przeczekać lato. Ja, dwudziestodwuletnia pannica ze wsi, która uważała się za mądrą i niebywale odczytaną, nie wiedziałam o takich rzeczach. A zaskoczyły mnie zaraz po wyjściu z wagonu. Miazmaty z rynsztoków i Okopów Wolskich krążyły nad miastem niczym egipska plaga, zatruwając powietrze w sposób niemożliwy do opisania. Dość powiedzieć, że gdy wyszłam na plac przed Dworcem Wiedeńskim, oczy wypełniły mi łzy i to wcale nie ze wzruszenia.

Kiedy się otrząsnęłam i nieco przywykłam do wielkomiejskich zapachów, poraziła mnie gwarność i ruch panujące w Warszawie. Wcześniej z dużych miast widziałam jedynie Poznań, a i to przelotem, z okien dyliżansu pocztowego. Co innego oglądać tłumy ludzi przez okno, znajdując się od nich w bezpiecznej odległości, a co innego doświadczyć ich obfitości, rozwrzeszczenia i brutalności osobiście. Omal nie zostałam stratowana przez kilku bagażowych śpieszących z tobołami jakiejś damy, a chwilę później rozdeptałby mnie patrol rosyjskich żandarmów, wąsatych drabów, łypiących groźnie oczami na wszystkie strony.

Ściskając w garści paszport z wbitym i opłaconym pozwoleniem na pobyt w Warszawie, przebiłam się przez barwny tłum kłębiący się przed dworcem i pomknęłam wzdłuż Alei Jerozolimskich, w kierunku Powiśla. Sama droga bardzo mi się podobała. Chodniki były na niej niezwykle szerokie, przez co duży ruch nie stanowił problemu: można każdego minąć, nie ocierając się o nikogo. Do tego po obu stronach ulicy rosły dwa rzędy topoli, dających błogosławiony cień. Od strony rzeki docierały podmuchy chłodniejszego, i co najważniejsze świeżego, powietrza, więc od razu odzyskałam animusz.

Targając torbę z rzeczami, dotarłam rychło pod adres wujostwa, gdzie już na mnie czekano.

Z okazji mojego przybycia ciotunia nagotowała zupy ogórkowej na kościach, a wujek przygotował mi pokoik na pięterku, o nawet szczelnym oknie i ścianach pokrytych pasiastą tapetą. Za wyposażenie miałam w nim drewnianą pryczę, za to ze świeżym siennikiem, sekretarzyk z krzesłem, szafę na książki, które sobie kupię, i kufer. Musiał się, biedaczek, bardzo wysilić, by zdobyć dla mnie ten sekretarzyk. Wujostwo nie są zasobni, utrzymują się z ciężkiej pracy wuja w fabryce maszyn żelaznych Evansa. Miałam nadzieję, że nie będę dla nich ciężarem i szybko znajdę zajęcie.

Zaraz po obiedzie razem z ciocią poszłyśmy do „Kantoru stręczeń guwernerów i guwernantek, nauczycieli, metrów muzyki i tańców, korepetytorów, osób do towarzystwa dam, bon”, by dać w nim moją ofertę. Zastanawiałam się, czy nie pójść do „Kuriera Warszawskiego” i nie zamieścić ogłoszenia o nowej guwernantce znającej francuski i niemiecki, grającej na pianinie i mogącej nauczyć również podstaw matematyki. Stwierdziłam jednak, że trochę szkoda mi oszczędności na podobną reklamę. Nie wiadomo, jak długo przyjdzie mi oczekiwać na oferty, a przecież trzeba jakoś żyć.

Trochę napędził mi stracha kancelista z kantoru, który powiedział, że szanse na pracę mam teraz marne, bo latem wszyscy zasobni obywatele opuścili miasto, zabierając ze sobą najbliższych. Trzeba było się starać o zajęcie wiosną, wtedy jakaś bogata rodzina mogłaby nająć mnie na lato; wyjechałabym z nią i przez okres przerwy szkolnej poduczyła jej dzieci języków. Świetnie. Jak tak dalej pójdzie, zamiast uzbierać pieniądze na wysłanie Tadzia, mojego braciszka, na naukę do Berlina, narażę tylko wujostwo na koszty swoim pobytem.

Przez kolejne dni chodziłam każdego ranka do kantoru, by zapytać o oferty pracy. Za każdym razem spotykałam tam te same dziewczyny, karnie czekające na otwarcie w sieni urzędu. Po dwóch tygodniach z większością byłam po imieniu. Gdy czas oczekiwania nam się dłużył, umiłałyśmy go sobie rozmowami. Poznałam tam pannę Manię, przybyłą z Ziemi Zabranych i zaciągającą przezabawnie z lwowska. Chciała uczyć rosyjskiego i śpiewu, ale na te przedmioty chwilowo również brakowało zapotrzebowania. Panna Janka i Gertruda były warszawiankami i pragnęły opiekować się małymi dziećmi, uczyć je dobrych obyczajów i zachowania, czyli starały się o posadę

bony. Mania powiedziała, że nie mają szans na zatrudnienie, bo jednej i drugiej dramatycznie brakuje dobrych obyczajów, co widać na pierwszy rzut oka. Zrobiło mi się ich szkoda, ale Mania mogła mieć trochę racji. Obie mówiły stanowczo zbyt głośno i śmiały się na całe gardła. Pasowałyby bardziej na przekupki.

Zaznajomiłam się również z milczącą wyniośle, sztywną panną Anielą. Mania mówiła, że zadziera nosa, bo jako jedyna jest specjalistką od nauk przyrodniczych i fizyki. I uważa się za chodzące źródło mądrości. Od liczb i łacińskich zwrotów odbiła jej palma. Okazało się, że to nieprawda. Aniela była miłą i grzeczną osobą, a pociągnięta za język rozgadała się na całego. Usłyszałyśmy, że musi podjąć pracę po niespodziewanej śmierci ojca, który w spadku zostawił jej wyłącznie długi. Jej ojczulek, ponoć profesor fizyki, postanowił, że wymyśli system obstawiania zakładów w oko, czyli w hazardową grę karcianą. Wyliczał prawdopodobieństwa padnięcia kolejnych kart, biorąc pod uwagę różne czynniki. Po długich próbach i żmudnych obliczeniach spieniężył cały majątek i udał się do kasyna odbyć grę życia. Przy zielonym stoliku stracił wszystko co do grosza. Nic dziwnego, że serce mu nie wytrzymało i dwa dni po porażce odszedł na tamten świat w poczuciu klęski i okryty niesławą.

Trzeciego tygodnia naszych wizyt w kantorze przyszedł tam pewien jegomość, który beczelnie wszystkie nas obejrzał i stwierdził, że się nadajemy i znajdzie robotę dla każdej. Panna Gertruda kazała mu spieprzać (dosłownie!), bo zawoła stójkowego. Jegomość próbował ją spoliczkować, ale oberwał od Mani kopniaka w podbrzusze, aż usiadł na podłodze. Potem panna Gertruda wyprowadziła go za ucho na zewnątrz i oznajmiła, że ma znajomego prystawa<sup>2</sup> ze staromiejskiego cyrkułu<sup>3</sup> i jeśli jegomość chce, może mu załatwić pobyt w areszcie śledczym na Pawiej. Łobuz znikł w najbliższej bocznej uliczce, kuśtykając i złorzeczając. Aleśmy się uśmieły.

– Ta joj! Od razu się domyśliłam, że to sutener – stwierdziła Mania. – Dziewek sobie szuka do lupanaru.

– Ha! Znam gnojka z widzenia. Ma zamtuż na Trębackiej, obok domu mojej stryjenki – dodała uśmiechnięta Gertruda. – Stary szuja, który zatrudnia dziewczyny ze wsi i bije je niemiłosiernie. Niech no mi znowu wejdzie w drogę, to naprawdę oberwie.

Potem wszystkie razem poszłyśmy do cukierni Lessla na Królewskiej



na ciastko i kawę. Jedno i drugie było bardzo dobre, choć trochę drogie. No cóż, Warszawa. Siedziałyśmy w piątkę przy stoliku i nawet nikt nas nie zaczepiał. Panna Janka opowiadała, że jeśli dwie dziewczyny siedzą w kawiarni bez towarzystwa kawalerów, to wszyscy biorą je za jawnoгрzesznice. Tak samo jak kobiety same jadące otwartym powozem. To ponoć warszawska tradycja, że panny lekkich obyczajów rozbijały się kabriolkami po mieście, kusząc przechodniów.

– Ale my nie jesteśmy dwie – zauważyła Mania. – Może dlatego nikt nas nie zaczepia?

– A w kabriolkach dziwki jeździły po trzy – dodała Gertruda. – Jedna siedziała na koźle fiakra<sup>4</sup> i powoziła.

– Pięć sprzedajnych pań naraz to widocznie za dużo jak dla tutejszych amatorów – stwierdziłam. – Poza tym, moje drogie, nie okłamujmy się, nie wyglądamy na aksamitki. Nie mamy obfitych sukien z głębokimi dekolami, upudrowanych policzków i ust pomalowanych mocną czerwienią.

– Nawet parasolki obszytej koronką żadna z nas nie posiada – dodała Aniela – ani sznurowanych bucików z palonej na czerwono skórki i gorsetu podnoszącego biust pod samą brodę.

Wszystkie zachichotałyśmy, wyobrażając sobie naszą piątkę w takich strojach. My, szare pensjonarki, jako sprzedajne dziewczynki! Koń by się uśmieł.

– Czy można do pań się przysiąść? – odezwał się po rosyjsku umundurowany dżentelmen, który wziął się nie wiadomo skąd. – Widzę, że w towarzystwie pań jest bardzo wesoło, a ja razem z przyjaciółmi szukam miłego towarzystwa. Czyżbym znalazł kogoś, z kim moglibyśmy spędzić wieczór? Jesteśmy urlopowanymi oficerami w obcym dla siebie mieście, potrzeba nam przewodniczek po jego urokach.

Mania groźnie zmarszczyła brwi, Gertruda i Janka napięły się, jakby ktoś im nakręcił sprężyny. Aniela stężała i zacisnęła pięści.

– Pan wybaczy, ale wziął nas za inne osoby – powiedziałam, zanim dwie warszawianki wybuchły gniewem, a lwowianka zabrała się do bicia. – Nie trudnimy się procederem umilania czasu samotnym mężczyznom. Do widzenia.

Oficer trzasnął obcasami, zakręcając wąsa. Już chciał coś powiedzieć, ale widząc nasze naburmuszone i obrażone miny, zrozumiał, że to nie część podchodów, lecz autentyczna odmowa. Bąknął jakieś nieskładne przeprosiny i wrócił do swego stolika. Przyjrzałam się mu i jego towarzyszom. W sumie

było ich czterech, młodych i diabelnie przystojnych. Wszyscy byli oficerami w czarnych mundurach, z ciężkimi epoletami i srebrnymi lub złotymi sznurami. Dwóch nawet nosiło na piersi gwiazdy carskich orderów. To byli żołnierze z któregoś pułku lejbgwardii, jednego z doborowych oddziałów, teoretycznie stanowiących osobiste siły zbrojne cara, jego gwardię przyboczną.

Jeden z nich, jasnowłosa mężczyzna o błyszczących, błękitnych oczach, dostrzegł, że taksuje go spojrzeniem i uśmiechnął się, a potem uklonił grzecznie. Zrobiło mi się gorąco, serce w piersi zatrzepotało. Moskał miał coś takiego w uśmiechu, co po prostu musiało podgrzewać krew niewieścią. Nie tylko moją.

– Wpadłaś w oko temu wysokiemu – zauważyła Gertruda. – Uważaj na ruskich oficerków, wszyscy szukają sobie kochanek w mieście, by nie musieć chodzić do burdelu.

– Ta joj – przytaknęła Mania – we Lwowie jest tak samo. Utrapienie z Moskałami zaczepiającymi kobiety. Ci przynajmniej wyglądają na grzecznych, nie to, co kozacka swołocz.

– Azjatyckie dzikusy. Niech ich piekło pochłonie – wycodziła z nienawiścią Aniela. – Wybaczcie, drogie przyjaciółki. Mój kuzyn bił się w powstaniu czternaście lat temu. Kozacy dopadli jego oddział i w większości wybili, rannych zaszlachtowali, a część jeńców powiesili na miejscu. Jasiek ocalał, ale wywieźli go na Syberię. Nawet nie wiemy, czy jeszcze żyje. Ciocia całkiem posiwiiała ze zmartwień.

Pokiwałyśmy głowami, bo nie było czego komentować. Wiele polskich rodzin srogo zapłaciło za tamten nieszczęsny bunt. Kary wymierzone przez cara do tej pory były boleśnie odczuwalne w dawnym Królestwie Polskim<sup>5</sup>.

Opuściłyśmy kawiarnię, starając się wyjść z dumnie podniesionymi czołami i wyniosłymi minami, całkiem lekceważąc przyglądających się nam Rosjan. Kątem oka dostrzegłam jednak, że uśmiechnięty blondyn ciągle mi się przygląda. Jeśli następnym razem zostanę zaczepiona przez carskiego żołdaka, zacznę udawać, że nie znam rosyjskiego. Tak sobie obiecałam.

Kolejne dni mijały coraz szybciej, a pracy nadal nie udawało mi się dostać. Zaczęłam robić się nerwowa, szczególnie że próbowałam nie obciążać wujostwa i dawałam im pieniądze na utrzymanie. Oszczędności topniały w zastraszającym tempie, w dodatku nie byłam obywatelką Warszawy, więc

musiałam znów zapłacić pobytowe. Dziesięć złotych diabli wzięli, ale w cyrkule przybito mi pieczęć na kolejny miesiąc. I tak miałam szczęście, że nie jestem Żydówką; one musiały płacić trzy razy więcej.

Wreszcie nadszedł wrzesień i w kantorze zaczął się ruch. Znalazła się praca dla Anieli, która została zatrudniona jako guwernantka dla dwójki dzieci pewnego zamożnego kupca. Przyjaciółka szybko znikła nam z oczu, choć zapewniła, że będzie do mnie pisać. Panna Gertruda zrezygnowała z kariery bony i razem z bratem zajęła się handlem tandetą i artykułami blaszanymi na targu Za Żelazną Bramą. Rychło też dołączyła do niej Janka. I tak jak przewidziała Mania, obie zamieniły się w straganiarki. Donośne głosy i mocne charaktery wreszcie się do czegoś przydały. Dziewczyny świetnie sobie tam radziły, choć nie uniknęły płacenia haraczu miejscowym złodziejom. Odwiedzałam je często i muszę przyznać, że targując się zawzięcie, przymilając się klientom lub wrzeszcząc na zbyt niezdecydowanych, w ciągu paru chwil potrafiły tak diametralnie zmienić postawę, tembr głosu i ton, że zawstydziłyby niejedną aktorkę scen warszawskich.

Mania próbowała szczęścia jako śpiewaczka w teatrzyku ogródkowym, ale już drugiego dnia musiała zrezygnować po skandalu, który spowodowała. Ledwie zeszła ze sceny, a dopadł ją pewien jegomość, złapał za biodro i objął w pół, proponując spotkanie sam na sam. Srogo się pomylił, bo dzielna lwowianka wymierzyła mu fangę w nos. Okazało się, że amator śpiewaczek jest asesorem kolegiąlnym z urzędu miasta. Właściciel teatrzyku wygnał więc niesforną aktorkę i gnąc się w ukłonach, błagał jegomościa o wybaczenie.

– Oto, czym może być samotna dziewczyna w wielkim mieście – z żalem oznajmiła Mania. – Jedynie dziwką. Nic więcej nie osiągnie. Gdzie się ruszę, wszystkim się wydaje, że jestem kolejną ścierką. Nikogo nie interesuje, jak śpiewam, gapią się tylko na moje cycki i tyłek. To dlatego, że jestem niezamożna, gdybym była córeczką grubego bankiera lub urzędnika, nikt nie tknąłby mnie palcem. Wszystko przez niesprawiedliwość i nierówność społeczną! To się musi zmienić...

Siedziałyśmy na ławce w Ogrodzie Saskim. Trwało piękne wrześnieowe popołudnie, ostre promienie słońca złociły się w żółknących liściach, jaskrawiły się kwiaty w klombach, mieniły się w kropelkach wody wyrzucanej wysoko w górę przez fontannę. Za naszymi placami wznosił się

potężny Pałac Saski, w którym znajdowały się liczne urzędy, a przede wszystkim dowództwo warszawskiego garnizonu. Rosyjscy generałowie nie lubili gnieździć się w Cytadeli, gdzie trzymali wojsko, paradowali środkiem miasta, na każdym kroku podkreślając, kto tu rządzi. Nawet teraz kilku spacerowało po parku w towarzystwie żon lub kochanek, w końcu to miejsce od chwili powstania było towarzyskim centrum Warszawy. Nigdzie zatem bardziej nie mogli popsuć krwi Polakom swoim widokiem niż w parku. Jakby nie wystarczył im stojący na placu przed pałacem „pomnik hańby”, jak miejscowi nazywali obelisk ku czci siedmiu polskich generałów wiernych carowi i zabitych przez warszawiaków w powstaniu listopadowym.

– Ta joj, nie ma pracy dla zwykłej dziewczyny w tym mieście – kontynuowała Mania. – Powinnam wrócić do domu, pod Lwów. Zachciało mi się wielkiego świata i masz. Przyjdzie mi pozwolić, by swatka wyszukała dla mnie męża, jakiegoś ziemianina z kilkoma morgami i jedną wsią. Zostanę żoną człowieka, którego nie kocham, będę rodzić mu dzieci i tyrać razem z nim przy gospodarce, żerując na biednych, niewłaszczonej chłopach. Mam oczywiście drugą możliwość, mogę zostać warszawską dziwką, ta joj.

– Trochę optymizmu. Nie marudź, spójrz, jaki piękny dziś dzień, z pewnością przydarzy nam się coś miłego – powiedziała, wystawiając twarz do słońca.

– Parszywy świat. Nie ma w nim miejsca dla zwykłej, normalnej kobiety – mruzczała naburmuszona Mania. – Kobiety, która chce godnie żyć, sama pracując na własne utrzymanie. Kobiety mogącej samej podejmować decyzję o swoim życiu. Pomyśl tylko, co zrobisz, gdy nie znajdziesz pracy jako guwernantka? Jakie rozwiązanie ci zostaje? Powrót na wieś i wyjście za mąż za przypadkowego chłopca wydaje się najlepszym pomysłem. Prócz tego możesz zostać dziwką. Co jeszcze? Jeśli Bóg obdarzył cię ładnymi nogami lub umiejętnością śpiewu, masz szansę załapać się w teatryku jako aktorka, tyle że one wszystkie po występach świadczą dodatkowe usługi, znaczy: są dziwkami. Inne wyjście? Załóżmy, że masz sporo gotówki na start. Możesz kupić olśniewające krynoliny i wynająć przestronne mieszkanie w ruchliwej części miasta. Potem pozostaje ci wybrać się ze dwa, trzy razy do teatru lub na wyścigi i poznać tam kilku zasobnych panów. Możesz ich przyjmować w mieszkaniu kolejno, każdego w inny dzień tygodnia. Tak robią najpiękniejsze i najbogatsze dziwki. Jeśli jesteś paskudna i pozbawiona

wdzięku, nic straconego! Zatrudnią cię w Czarnym Dworze przy koszarach powązkowskich. Tam pracują najgorsze ścierki, desperatki obsługujące żołdatów. W ostateczności możesz pracować na ulicy i obsługiwać klientów w ciemnych zakamarkach i na śmietnikach.

– Maniu, na litość boską, nie przesadzaj – nie wytrzymałam. – Masz obsesję na tym punkcie, czy co? Przecież mnóstwo dziewcząt zarabia uczciwą pracą. Są służącymi, pokojówkami, pracują w szynkach i traktierniach, jako kucharki i pomocnice. Dużo pracy jest dla szwaczek.

– Właśnie! Są służącymi, popychadłami za psi grosz usługującymi wielkim panom. Nałożnice lub służące bogatych krwiopijców! Możesz też iść do pracy w fabryce lub manufakturze, a najłatwiej zostać szwaczką. Będiesz tam pracowała jak wół, po czternaście godzin dziennie, za dziesięć rubli miesięcznie. Jeśli się tego podejmiesz, to po odjęciu czynszu i opłaty pobytowej starczy ci na kawałek czarnego chleba i cebulę dziennie. Od roboty w zimnej i wilgotnej hali lub w ciemnej oficynie umrzesz z wycieńczenia lub zapadniesz na suchoty jeszcze przed trzydziestką. Wszystko przez zgniły carat, przez arystokratów, burżuazję i plutokrację żerującą na pracy zwykłych ludzi.

– Są inne fabryki, w których zatrudnia się kobiety i traktuje je tam z godnością i przyzwoitością – odparłam z przekonaniem. – Od jutra spróbuję poszukać w nich pracy. Myślę, że znajdzie się jakieś zajęcie dla dziewczyny umiejącej czytać i pisać w czterech językach, potrafiącej biegle liczyć i mającej głowę na karku.

– Akurat – prychnęła lwowianka. – Załóżmy się! Jeśli nie znajdziesz godziwego zatrudnienia przez tydzień, pójdziesz ze mną na zebranie pewnego stowarzyszenia.

– Jakiego stowarzyszenia?

– Tajnego – szepnęła konfidencjonalnie. – Walczącego o nasze prawa. O prawa wszystkich biednych ludzi do uczciwej pracy i godnego życia. O prawa dla kobiet, którym należy się zatrudnienie tak samo jak mężczyznom.

Zgodziłam się, mocno zaintrygowana. Jednak Mania nie chciała powiedzieć nic więcej. Tajna organizacja? Spotkania i dyskusje w ukryciu, nielegalnie? Po plecach przebiegł mi dreszczyk podniecenia.

Dla odprężenia wystawiłam twarz do słońca, zamykając oczy. Nie obchodziło mnie, że stracę od tego nieco na urodzie, smagła skóra uchodziła

wszak za plebejską i nieprzystojącą damie. Trudno, będę wyglądała jak chłopka, za to zażyję przyjemności dotyku ciepłych promieni. Lubiłam to od dziecka. Wyobrażałam sobie, że czerpię od słońca energię, a jego promienie napełniają mnie ciepłem i spokojem, wewnętrznym blaskiem.

Ciepło znikło niespodziewanie, a róż wypełniający zamknięte powieki zastąpiła czerń. Mania chrząknęła i szurnęła mnie w nogę. Otworzyłam oczy i ujrzałam sylwetkę zasłaniającą światło. Zamrugałam, żeby przyzwyczaić wzrok do jasności i by dojrzeć, kto właśnie przede mną stoi.

– Proszę wybaczyć mi śmiałość – przemówił intruz po rosyjsku. – Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, a miałbym do pani prośbę. Obawiam się, że nie ma nikogo, kto mógłby nas zapoznać, pozwoli więc pani, że się zaprezentuję. Jestem major Fiodor Siergiejewicz Czernyszew z Litewskiego Pułku Lejbgwardii.

Uklonił się w pas, a ja zorientowałam się, że to widziany w kawiarni przystojny blondyn. Z wrażenia zaparło mi dech i zupełnie zapomniałam, że miałam udawać osobę nierozumiejącą rosyjskiego. Zamiast tego wstałam i wyciągnęłam rękę.

– Józefa Jasińska – powiedziałam. – A to moja przyjaciółka, Maria Kałusowska.

Uścisnął nam dłonie i uśmiechnął się do robiącej groźną minę Mani. Miał tak czarujący uśmiech, że nawet sroga Litwinka zmiękła pod jego spojrzeniem i ku mojemu zaskoczeniu zatrzepotała rękami.

– Otóż wracając do mojej prośby, ośmieliłem się panie zaczepić, bo obie sprawiacie wrażenie dam wykształconych i dobrze wychowanych. A ja szukam Polki dobrze władającej rosyjskim i znającej miasto, która mogłaby podjąć pracę jako dama do towarzystwa...

– Jak pan śmie! – syknęła Mania, w jednej chwili czerwieniejąc ze złości.

– Maniu, spokojnie – złapałam ją za rękę, by przypadkiem nie strzeliła oficera w twarz. – Major Czernyszew z pewnością nie miał nic złego na myśli. Nie myślę się, panie oficerze?

– Tak, oczywiście – odrzekł blondyn zmieszany i równocześnie uroczym głosem. – Chodziło mi o opiekunkę dla mojej matki. Potrzebuję kogoś, kto by się zajął umilaniem jej towarzystwa, oprowadził po mieście, zabrał do kawiarni, poczytał głośno gazety i francuskie powieści, jednym słowem, zaopiekował się starszą panią. Oczywiście za stosowną opłatą i nie przez cały

dzień. Powiedzmy, że w określonych godzinach popołudniowych. Muszę jednak ostrzec, że mama jest wymagająca, potrzebuje kogoś cierpliwego, o łagodnym charakterze i nienaganych manierach. Pani Jasińska wydała mi się do tego idealna. Proszę wybaczyć, ale przez dłuższy czas się pani przyglądałem.

Czułam, jak na policzki wypływa mi rumieniec. Miałam ochotę pisnąć i podskoczyć z podniecenia, z trudem się powstrzymałam. On mnie obserwował! Mnie!

– Owszem, znalazłabym trochę czasu – bąknęłam.

– Cieszę się niezmiernie! – Błysnął równymi, białymi zębami, jednocześnie trzaskając obcasami. – Naprawdę nie wie pani, jak mi ulżyło. Moja mama potrafi być niezwykle... hm, absorbująca. Będę pani dłużnikiem! Tak się cieszę!

Ujął mnie oburącz za dłoń i przycisnął ją do swojej piersi. Ręce miał silne, ale jednocześnie delikatne. Omal nie zemdlałam. Zmiarkował się, co robi i puścił mnie, kłaniając się grzecznie i prosząc o wybaczenie. Manię całkiem zatkało. Odwróciłam się i mrugnęłam do niej z uśmiechem. Właśnie złapałam doraźne zajęcie. Wpadnie mi jakiś grosz, a w dodatku piękny, rosyjski Apollo już mnie uwielbia. Czy nie mówiłam, że spotka mnie dziś coś miłego?

– Od kiedy miałabym podjąć opiekę? – spytałam po dłuższej chwili, bo blondyn szczerzył się tylko i gapił na mnie jak ciele. Nie to, by nie podobało mi się jego zachowanie, ale było to trochę krępujące.

– Och, mama przyjeżdża z Petersburga w przyszłym tygodniu. Niby na dwutygodniową wizytę, ale jak ją znam, zostanie przynajmniej dwa miesiące, a jeśli mnie nie wyślą na wojnę na Bałkany, to pewnie do nowego roku – westchnął. – Chciałbym do jej wizyty wszystko przygotować. Kniahini<sup>6</sup> musi mieć zapewnione odpowiednie wygody i zajęcia...

– Kniahini? – zainteresowała się Mania.

– Tak. Nie wspomniałem? Panie wybaczą. Moja mama to kniahini Anna Pietrowna Czernyszewa. No właśnie... Przywykła do życia na dworze, odwiedzin w Carskim Siole, stąd zwykle ma wysokie wymagania.

– Kniahini? – jęknęłam, uświadamiając sobie, co to znaczy. Skoro bowiem rozmawiam właśnie z jej synem, to znaczy, że toczę pogawędkę z rosyjskim księciem. – Ech, nie wiem, czy jestem odpowiednią osobą, wasza ekscelencjo.

Dygnełam przy tym, spuszczać wzrok. Pierwszy raz w życiu rozmawiałam z arystokratą. Wciągnęłam powietrze ze zgrozy, bo zrozumiałam, że mogłam uchybić mu zbyt niskim tytułem. Jeśli był księciem krwi lub w jakiś sposób spokrewnionym z rodziną panującą, powinnam nazwać go „waszą wysokością”, a nie „ekscelencją”. Pokazałam właśnie, że jednak nie znam manier i chyba straciłam pracę, zanim ją właściwie dostałam.

– Panno Józefo! – Znow chwycił mnie za dłoń. – Wyświadczyłaby mi pani grzeczność i zwracała się do mnie po imieniu? Tytuły wydają mi się niestosowne i krępujące. W dzisiejszych czasach są archaizmem, nie przepadam za nimi. Niech będę dla pani po prostu Fiodorem, dobrze?

Chyba całe miasto słyszało, jak serce wali mi w piersi. Tłukło się jak oszalale.

– Musimy zobaczyć się przed przyjazdem mamy. Pokażę pani dom i omówię szczegóły. Proszę się nie obawiać, nie będzie musiała pani przestrzegać protokołu, jak na carskim dworze. Mama ma jednak pewne przyzwyczajenia, które mogą sprawiać kłopot, ale myślę, że inteligentna osoba powinna sobie poradzić – mówił, nie puszczać mojej ręki. Jego błękitne oczy świdrowały mnie, błyszcząc niczym szafiry. Rozpuszczałam się od tych błysków jak masło rzucone na nagrzaną patelnię. – Czy ma pani bilecik z adresem, gdzie mógłbym przysłać po panią powóz? Czy to może zbyt wielka śmiałość z mojej strony?

– Ależ skąd – wycisnęłam z siebie resztkami sił. – Tylko że nie posiadam bilecika. Mogę panu podyktować swój adres, będzie pan musiał zapamiętać. Na szczęście nie jest długi. Hoża 1202.

Skinął głową na znak, że zapamięta, potem spytał, czy odpowiada mi wieczór pojutrze i na koniec obiecał, że powóz przyjedzie po mnie o osiemnastej. Nie pamiętam, jak się rozstaliśmy, co jeszcze mówiłam i czy nie palnęłam jakiegoś głupstwa. Mania musiała doprowadzić mnie do wózka handlarza wodą źródlaną. Wypiłam duszkiem dwa kubki lodowatego napoju, zanim udało mi się zebrać myśli. Policzki ciągle płonęły mi gorącem i ogólnie nie czułam się zbyt dobrze.

– Źle z tobą, moja droga – powiedziała, trzymając mnie pod ramię. – Widzę, że mocno to przeżywasz i pewnie wyobrażasz sobie Bóg wie co. Nie ma wyjścia, jeszcze dziś zabieram cię na spotkanie towarzystwa. Musimy tobą potrząsnąć i otworzyć ci oczy. Jeśli zdołasz złożyć zaprzysiężenie, zyskasz



opiekę i ochronę.

– Jaką ochronę? Po co?

– Wiadomo, czy ten piękniś mówił prawdę? Może chce cię zwabić do koszar, zgwałcić i zamordować? Nie wiem.

– Maniu! – oburzyłam się, bo nie mieściło mi się w głowie, że księżę mógłby być oszustem.

– Jesteś zbyt dobroduszna i naiwna. Otwórz oczy, dziewczyno! Nie widzisz, że ci pazerni burżuje uważają się za inną, lepszą rasę niż biedni ludzie? Ten bogacz może cię potrzebować jedynie do zabawy, do zaspokojenia chuci. My, lud pracujący, jesteśmy dla nich tylko bezkształtną masą, którą można dowolnie ugniatać i wykorzystywać. Przedstawię cię dziś kilku ludziom, którzy powiedzą ci lepiej, jaka jest prawda, o co powinna dziś walczyć każda kobieta – mówiła wyraźnie pobudzona Mania. – Poznasz najdzielniejszą kobietą, jaka żyje w Rosji. Tak się składa, że dwa dni temu przyjechała do Warszawy.

– Kto to taki? – spytałam coraz bardziej oszołomiona.

– Zofia Lwowna Perowska – odparła z dumą Mania.

– Nie znam – wzruszyłam ramionami. – Nigdy o niej nie słyszałam.

– Nic dziwnego! Carat pragnie, by nikt o niej nigdy nie usłyszał. Powiem ci tylko, że to ona w ubiegłym roku zorganizowała i poprowadziła pierwszą demonstrację kobiet! Nasze siostry domagały się równości i praw dla robotnic! Musisz ją poznać, to niesamowita osoba! Ta joj!

Pokiwałam bez przekonania głową, bo walka o prawa kobiet wydała mi się czymś absurdalnym. Robotnice idące przeciw carskim żołdakom i kozactwu, domagające się pracy i uczciwego traktowania? Poruszające, ale to chyba nie dla mnie. Mimo wszystko zgodziłam się pójść z Manią, trochę dla świętego spokoju, by przestała mnie dręczyć, a trochę z ciekawości.

<sup>2</sup> Funkcjonariusz sądowy albo publiczny, tu: komisarz policji, kierujący pracą policji w całej dzielnicy (cyrkule), odpowiednik późniejszego dzielnicowego.

<sup>3</sup> Dawniej: odpowiednik dzielnicy miejskiej, potocznie także: siedziba władz miejskich, tu: potoczna nazwa posterunku policji.

<sup>4</sup> Rodzaj lekkiej dorożki, także określenie powożącego tym pojazdem.

5 Po upadku powstania styczniowego władze rosyjskie w ramach ograniczania polskiej autonomii podjęły dążenia do zmiany nazwy Królestwa Polskiego, początkowo na generał-gubernatorstwo warszawskie, potem na Kraj Nadwiślański, niemniej oficjalna nazwa nigdy nie została uchylona.

6 Z ukraińskiego: żona kniazia, odpowiednik zachodnioeuropejskiej księżnej.

Julia umilkła i sięgnęła po kieliszek. Przyjaciółki czekały cierpliwie, by przepłukała gardło i znów zaczęła czytać, ale ta odłożyła pamiętnik.

– Dalej – zażyczyła sobie Ola – czytaj dalej. Ciekawa jestem, jak nie wiem co.

– E tam. – Ania wzruszyła ramionami. – To brzmi jak cikliwa ramota, jakieś sanacyjne romansidło dla podlotków. „Dziewczęta z Nowolipek” czy tam amerykańska czarna komedia „Arszenik i stare koronki”. Tak mi się kojarzy, z głupiutką, starą bajeczką. Biedna dziewczyna spotyka księcia z bajki, straty-taty, dupa w kraty. Powinien mieć biały mundur zamiast czarnego, poza tym wszystko się zgadza.

– Tyle że to wydarzyło się naprawdę! – Oli błyszczały oczy. – Praprababka naszej Julci być może miała romans z księciem. Wszystko na to wskazuje. W dodatku z przystojnym, bogatym i szarmanckim, cholera jasna!

– Nie podniecaj się tak – burknęła nadąsana Ania. – Gdyby faktycznie tak się wydarzyło, Julia nazywałaby się Czernyszewa i nie mieszkała w Warszawie. W życiu piękni książęta okazują się być draniami lub oszustami. Sama powinnaś dobrze o tym wiedzieć, spójrz tylko na swojego Staszka. Był taki wspaniały i cudowny, szarmancki i grzeczny. Zawsze do rany przyłóż, nigdy nie podnosił głosu, i był nieustannie gotowy spełniać każdą twoją zachciankę. Nie reagował, jak mu tręłaś głowę o byle pierdoły, aż wreszcie, kiedy był najbardziej potrzebny, spakował się i zwiął bez słowa. Znaczą: wsiadł na swojego białego rumaka i odjechał w siną dal, szukać nowego kopciuszka. Bez dwójki wrzeszczących bachorów i bardziej uległego.

– Nie to, co twój Andrzej. O przepraszam, że śmiałam nazwać go po imieniu! Powinam tak jak Józefa mówić o nim „jego ekscelencja” – zaperzyła się Ola. – To dopiero prawdziwy książę, szkoda tylko, że z pustym trzosem i jakoś nigdy nie zabiera cię do swego pałacu. Och, ma w nim inną?

To nieważne, liczy się, że kocha i szanuje. Szczególnie gdy całymi dniami nie daje znaku życia, za to potrafi zrobić awanturę, kiedy zapytać go o to, gdzie właściwie był. No tak, to ostatni prawdziwy książę, pewnie musi uszczęśliwiać dziesiątki kopciuszków w całym kraju.

– Boli cię, że w przeciwieństwie do ciebie mam faceta? – syknęła Ania.

– Mam ci zazdrościć chama i kłamcy? Upadłaś na głowę? Rozumiem, że tobie to po prostu odpowiada. Lubisz być traktowana przez chłopca jak szmata. Byłabyś najszczęśliwsza, gdyby cię bił i nieustannie wrzeszczał. Wtedy już cały czas leżałabyś przed nim plackiem, obolała, ale zachwycona.

– Dziewczyno, proszę... – westchnęła Julia.

– Po prostu lubię silnych i władczych mężczyzn, a do tego tajemniczych – bąknęła niepewnym głosem Ania.

Julia ze zdumieniem spojrzała na przyjaciółkę. Przecież zwykle Ania gotowa była zabijać w obronie czci „swojego Andrzeja”. Ostra wymiana zdań powinna zakończyć się karczemną awanturą. Zamiast tego dumna góralka skuliła się i jakby zmaląła.

– Ale on nie jest władczym i szlachetnym księciem, a zwykłym sukinsynem, krętaczem i nedorobionym playboyem, który cię zwyczajnie wykorzystuje. Może to wreszcie dotrze do twojego kamiennego, góralskiego łba? – Ola nie miała litości. – Na razie trzymajmy kciuki za prababcię Józję. Niech dziewczyna chociaż dobrze zabawi się ze swoim księciem z bajki. Julka, czytaj, proszę.

– Tyle że nie mam czego. Brakuje dalszych kartek – powiedziała gospodyni. – Zamiast nich jest kolejny liścik od cioci Aurelii.

– O, zaczyna robić się ciekawie – ucieszyła się Ola. – Czytaj!

– Naprawdę macie ochotę na dalszą zabawę? – Julia spojrzała na ciągle zmieszaną Anię, którą wypite wino zamiast rozweselić, najwyraźniej pchnęło w depresję.

– Pewnie – mruknęła. – Lepsze to od wioskowych psychoanaliz w wykonaniu Olki.

Ola pokazała góralce język, ale po chwili szturchnęła ją w ramię z uśmiechem.

– Wybacz, stara – szepnęła. – Nie chciałam cię urazić. No, może troszkę, ale pierwsza mi dopiekłaś. Nie gniewaj się.

– Nie ma sprawy – zaburczała Ania.

Julia westchnęła z ulgą i głośno zaczęła czytać list:

*Mam nadzieję, że losy prababci cię wciągnęły lub chociaż zaintrygowały. Przypomnę, że obiecałam ci grę, a w grze zwykle zwycięzca otrzymuje nagrodę. Może będzie nią coś materialnego, to się jeszcze okaże. Najcenniejsza moim zdaniem będzie jednak wiedza. Dowiesz się, kochana, czegoś o sobie. Mam nadzieję, że po skończeniu zabawy będziesz zadowolona, że się na nią zdecydowałaś. Zniknie zabłąkana samotna panna, która nie wie, co zrobić ze swoim życiem. Klepiesz godziny w biurze, marnotrawiąc czas na rycie nosem w komputerze, a wieczory spędzasz z grubym jak beka kotem, upijając się winem i ogłupiając telewizją. To nie jest prawdziwe życie, obie to wiemy. Pora to zmienić.*

Julia przerwała czytanie i pociągnęła łyk wina. Spojrzała ze zgrozą na przyjaciółki.

– Matko Boska, chyba śnię. Skąd ona wiedziała o Garym? Skąd знаła moje zwyczaje, przecież nie rozmawiałam z nią od lat?! Właściwie to niemal zapomniałam o jej istnieniu.

– Wiedźma – stwierdziła krótko Ola. – Pewnie powiedziały jej karty tarota albo szklana kula.

– Akurat – burknęła Ania. – Pewnie naopowiadał jej stryj. Musiała się tobą interesować, skoro przygotowała ci taki prezent.

– Ale stryj chyba też nie wie o kocie – bąknęła Julia, spoglądając na Gary’ego, który spał na ładującym się na biurku laptopie. – A może wie? Ale z pewnością nie wspominałam, że jest gruby. No i samotne wieczory z lampką wina. Skąd jej przyszły do głowy?

– Trafiała w dziesiątkę, znaczy: była mądrą kobietą – zauważyła Ania. – Większość singielek tak się zachowuje. Ma zwierzątko, na które przelewa matczyne instynkty, a z braku zajęcia upija się wieczorami.

– Nieprawda, to stereotyp – oburzyła się Julia. – Z głupich seriali i debilnych książek. *Dziennik Bridget Jones* i podobne bzdury. Tak naprawdę młode, wykształcone kobiety, które dobrze zarabiają i nie są w związkach, zwykle wolne chwile poświęcają samodoskonaleniu i realizowaniu pasji. Uprawiają sporty, uczą się języków, podróżują, tworzą sztukę, zajmują się wolontariatem...

– Ha, trzymajcie mnie! – parsknęła Ania. – Może niektóre. Większość siedzi na dupie przed telewizorem i żre ciasteczka. A właśnie, Olka, ponoć kupiłaś jakieś słodczyce? Poczęstujesz nas wreszcie?

– Och, zapomniałam. Już lecę do kuchni!

– Czytam dalej – westchnęła Julia.

*Zastanawiasz się, skąd tyle o tobie wiem? Tajemnica. Obiecuję ci za to, że stara ciotka zaskoczy cię jeszcze wiele razy. Wracajmy jednak do praprababci Józi. Dalszy ciąg jest ukryty w jednej z teczek. Jest ich kilkaset sztuk, wszystkie znajdują się w czterech pudłach. Możesz przetrząsnąć wszystkie po kolei, ale to zajmie wieki. Dokładne namiary na kolejne kartki pamiętnika znajdziesz na pięćdziesiątej stronie jednej z książek, które po mnie odziedziczyłaś. W pudłach są ich niecałe dwie setki. Mam nadzieję, że nie zdążyłaś wywalić moich skromnych zbiorów do śmietnika na makulaturę? Jeśli nie, to będziesz miała ułatwione zadanie. Dwieście książek to już sporo mniej do przeszukania, choć nadal grzebanie w nich po omacku byłoby uciążliwe. Na szczęście nie zanotowałam namiarów w przypadkowej książce, ale bezpośrednio związanej z ostatnimi wydarzeniami opisanymi przez Józię. Wystarczy sięgnąć. Gotowa? Czas start!*

Ania wybuchnęła śmiechem. Julia spojrzała na nią, chwiejnie sięgając po kieliszek. Góralka miała huśtawkę nastrojów, od depresji do głupawki z radości, znaczy, że była już mocno wstawiona. Zresztą tak samo jak gospodyni.

– Co w tym śmiesznego? – Ola wróciła z kuchni, niosąc półmisek wypełniony słodczymi. – Moim zdaniem to fajna zabawa. Otwieramy pudła z książkami, nie ma na co czekać.

Wszystkie trzy zabrały się za przytасzczanie na środek pokoju najcięższych pakunków przywiezionych z Wrocławia. Część z nich ciągle pozostawała związana sznurkiem, więc trzeba było go poprzecinać. Po chwili większa część dywanu zawalona została starymi woluminami. Przyjaciółki zabrały się za czytanie tytułów na grzbietach okładek.

– *Przygody Alicji w Krainie Czarów* – triumfalnie oświadczyła Ania, unosząc książkę. – Czyli panna Józefa w Warszawie! Pasuje, to na pewno tu!

Na której stronie, pięćdziesiątej? Czekajcie... No nie. Pudło! Nic tu nie ma.

Książka poleciała w kąt. Za to Ola sięgnęła już po następną.

– *Rozważna i romantyczna*. To nie o dziewczynach z XIX wieku, które mają różne romanse? – spytała, kartkując książkę. – Nie to. Na pięćdziesiątej stronie nic nie ma. Ale tu jest więcej romansów, spójrzcie tylko: *Niepokorna*, *Miłość Gertrudy*, *Dzikuska*, *Całe życie Sabiny*.

– Żeby wiedzieć, czego szukać, musiałybyśmy jeszcze znać te wszystkie romansidła – mruknęła zniechęcona Ania. – Która z tych książek opowiada o biednej dziewczynie zakochanej w księciu?

– *Trędowata* i *Jak zostać księżną* – z uśmiechem oświadczyła Julia, wymachując obiema pozycjami. – Jedna się kończy tragicznie, śmiercią bohaterki, a druga *happy endem*. Zgadujemy, w której ciotka zapisała zamiary na pamiętnik Józia?

– W tej pierwszej. Książę ją wykorzystał i porzucił, finał będzie zatem do kitu – stwierdziła Ania.

– W drugiej. Choć się nie pobrali, przeżyli coś pięknego i wspaniałego – oznajmiła Ola.

Julia bez słowa wręczyła pierwszej przyjaciółce *Trędowatą*, a drugiej *Jak zostać księżną*. Obieabrały się za wertowanie otrzymanych romansów.

– W mojej nic – stwierdziła rozczerowana Ola.

– W mojej też – mruknęła Ania.

Julia zmarszczyła brwi i rozejrzała się po pokoju, całkiem zawałonym książkami.

– Zatem nie chodzi o romans – mruknęła. – Szukamy nie tam, gdzie trzeba. Może ciotce spotkanie z księciem wydało się nieistotne? Na końcu tego fragmentu pamiętnika praprababcia Józia zostaje zaciągnięta na spotkanie z jakimiś spiskowcami.

– Z rosyjską działaczką kobietą – przytaknęła Ola. – Jak ona się nazywała?

– Zofia Lwowna Perowska – odparła Julia, zerkając do ciągle otwartego zeszytu z pamiętnikiem.

– Czekajcie, wygoogluję ją – powiedziała tłumaczka i pognęła do przedpokoju po zostawioną w nim torebkę.

Wróciła ze smartfonem w rękę, klikając kciukiem w ekran. Ania ziewnęła przeciągle. Julia nie czuła się zmęczona czy znużona, małe śledztwo bardzo ją pobudziło. Rozglądała się po wysypanych z pudła zasobach i przewalała

książki z kupki na kupkę. Teraz szukała czegoś o feministkach, sufrażystkach, kobietach wojujących i tym podobnych.

– Wiele o niej nie ma – mruknęła Ola. – Pojawia się w zakładce o *Ziemi i Woli*, co po polsku znaczy tyle co Ziemia i Wolność. To jakaś organizacja przedkomunistyczna, znaczy nawiązująca do idei komunistycznych, ale z czasów, kiedy miały one inny kształt, niż ten powszechnie znany nam z historii. Mam naszą pannę w rosyjskiej Wikipedii, czekajcie! Hm. Panna Perowska była nie tylko wojowniczką o prawa kobiet, ale też anarchistką i buntowniczką. Została powieszona w 1881 roku...

– Oj, to w niecałe cztery lata po spotkaniu z prababką Józefą – zauważyła Ania. – A za co wylądowała na stryczku?

– Hm, wygląda na to, że za współudział w zabójstwie cara Aleksandra II – z zaskoczeniem odczytała Ola. – Czyżby prababcia wpakowała się w jakieś układy z komunistycznymi terrorystkami? Jestem w szoku!

– Ja też – mruknęła Julia, nie przerywając poszukiwań. – Mam!

Zaprezentowała przyjaciółkom cienką książkę w pomiętej i poszarpanej obwolucie. W dodatku była to pozycja anglojęzyczna, a na okładce znajdowała się czarno-biała reprodukcja, przedstawiająca wybuch rozrzucający ludzi. Za rozbłyskiem czernił się elegancki powóz, o który wspierał się mężczyzna w mundurze carskiej armii.

– Zamach na cara? Macie, oto zamach – ucieszyła się Julia, a potem przetłumaczyła tytuł – *Droga do rewolucji. Wiek rosyjskiego radykalizmu*.

Przerzuciła kartki na pięćdziesiątą stronę i ku własnemu zachwytowi ujrzała na niej dopisek ołówkiem, uczyniony znajomym, zamaszystym charakterem pisma.

– *Pamiętnik znajdziesz w czarnym pudle po butach, jest w żółtej teczce, piątej od dołu* – przeczytała.

Ola dopadła do wskazanego pudełka jako pierwsza i wyciągnęła z niego plik teczek, zeszytów i skoroszytów. Od razu sięgnęła po właściwą i otworzyła ją, nie pytając o zgodę gospodyni.

– Jest – szepnęła, wyciągając poźółkłe ze starości kartki, zapisane drobnym, starannym pismem.

Podąa je ostrożnie Julii, która natychmiast dołączyła papiery do wcześniejszych. Tym razem nie pytała przyjaciółek o zgodę. Sama zaczęła czytać ciąg dalszy, ponieważ opowieść praprababki ogromnie ją



zainteresowała.

Przygoda z rosyjskimi spiskowcami szybko przestała mi się wydawać zabawna. Jeszcze tego samego wieczora, zgodnie z obietnicą, Mania zaprowadziła mnie na Stare Miasto, w jego wąskie i mroczne uliczki, pełne sterczących w bramach podejrzanych typów i pałętających się wszelkiego autoramentu andrusów i oberwańców. Od przewodniczki dowiedziałam się, że działacze walczący o równość i sprawiedliwość zawsze starali się wmieszać w plebs, by zniknąć z oczu ewentualnym szpiclom i agentom tajnej policji. Ciarki przeszły mi po grzbiecie, gdy Mania z dumą oświadczyła, że panna Perowska już kilka razy cudem uniknęła aresztowania i wywózki na Syberię. Tropił ją ponoć III Oddział Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości<sup>7</sup>. Sama nazwa tego urzędu budziła grozę, więc nie uśmiechało mi się poznanie bliżej jegomościów, którzy służyli w tej formacji. Nie mogłam jednak uwolnić się z uścisku Mani. Przyjaciółka stanowczo zaciągnęła mnie w jakąś obskurną bramę, za którą znajdowało się przestronne podwórko otoczone zabudowaniami.

– Tak więc jesteśmy. To siedziba starego zakładu szewskiego – wyjaśniła lwowianka. – Kiedyś szył tu sukienne buciki dla warszawianek sam mistrz Kiliński z liczną gromadą czeladników i terminatorów. Teraz manufaktura mocno podupadła, pracuje w niej zaledwie kilku szewców. Wykończyli ich pazerni fabrykanci produkujący tanie buty w ogromnych ilościach, kosztem krwawicy niewolniczo wykorzystywanych pracowników, rzecz jasna.

– I tu jest tajna twierdza spiskowców? – szepnęłam.

– Przymierający głodem lud warszawski chętnie udziela im schronienia. Lud wie, że jedyna nadzieja na lepsze jutro jest w marzycielach takich jak oni. W dzielnych młodych ludziach niewahających się rzucić wyzwania caratowi i reprezentowanemu przez niego uciskowi.

Drzwi jednej z oficyn otworzył nam młodziutki szewczyk, łązący oczywiście boso. Zostałyśmy wprowadzone do warsztatu wypełnionego zapachem świeżo

wyprawionej skóry i wosku. Wewnątrz siedziało dwóch młodzieńców z zapalonymi majstrującymi przy kopytach z naciągniętymi, niekompletnymi jeszcze butami. Panna Perowska ukrywała się w następnym pomieszczeniu, pokoju mistrza szewskiego. Powitała nas, siedząc przy biurku zawałonym papierami i mierząc do nas z rewolweru. Niezbyt przyjemnie jest spojrzeć w czarny otwór lufy skierowany we własną głowę. Nic dziwnego, że nie zapalałam przesadnym uwielbieniem dla nawiedzanej Rosjanki.

Kiedy wreszcie przekonała się, że nie jesteśmy carską policją i opuściła broń, okazało się, że jest śliczną, młodą dziewczyną o ujmującym uśmiechu. Gdy dodatkowo zaczęła mówić, szybko zrozumiałam, dlaczego robotnicy i rzemieślnicy tak chętnie jej słuchali i ulegali ideom głoszonym przez tę dziewczynę. Głos miała miły i dźwięczny, a mówiła z taką pasją i mocą, jakby przemawiał przez nią Duch Święty. Energia i natchnienie musiały udzielać się słuchaczom, szczególnie ludziom prostym i niewykształconym. Ze mną nie poszło jej tak gładko, choć zaatakowała mnie z werwą i zdecydowaniem.

Widząc, że nie ulegam gładkim przemowom o niedoli, nierówności klasowej, wyzysku i potrzebie zmian, Perowska ujęła mnie pod drugie ramię, bo za pierwsze ciągle byłam trzymana przez Manię, jakby z obawy, żebym nie uciekła. Zostałam zaprowadzona na pokazowy spacer po norach, w których wegetowali szewscy czeladnicy i ich rodziny. Mieszkanka, upchnięta za składami manufaktury, pamiętały jeszcze czasy stanisławowskie Królestwa Polskiego, i rzecz jasna były zimnymi, wilgotnymi ruderami. Musiałam oglądać skrajną biedę, której ucieleśnieniem była konająca na gruźlicę kobieta i jej wychudzone dzieci, wpatrzone we mnie boleśnie smutnymi oczami – ofiary zgniłego systemu oraz bezlitosnego wyzysku klasy robotniczej.

– Nie możemy przez bezczynność dopuścić do dalszego trwania tego koszmaru – ogłosiła z uniesioną miną Perowska. – Trzeba wreszcie powiedzieć: dość! Trzasnąć w twarz burżujów i plutokratów, którzy są bardziej pazerni i bezwzględni niż najgorsze pasożyty. Trzeba uderzyć w system. Zniszczyć gniazdo wyzysku, zadać cios w jego serce. Siostró, błagam cię, stań po naszej stronie. Nasze szeregi rosną z każdą chwilą, ale potrzebujemy także ciebie. Szczególnie ciebie.

– Mnie? A kim ja jestem? Nikim, zupełnie nikim – bąknęłam, nie wiedząc jak wybrnąć z tej sytuacji. – Nie nadaję się na bojownika czy spiskowca. Nie umiem walczyć, jestem tylko guwernantką z prowincji, zupełnym zerem.

– Jesteś kimś bardzo ważnym – odparła z powagą Perowska. – Potrzebujemy działaczy specjalizujących się w najróżniejszych dziedzinach, nie szukamy wyłącznie bojówkarzy. Poszukujemy zaufanego człowieka inwigilującego strefy władzy. Mamy już swoich ludzi w niektórych urzędach, nawet w policji politycznej, ale brakuje nam kogoś wśród arystokracji. Wiemy, że dostałaś propozycję pracy u kniahini Czernyszewej. Przyjmij ją i zostań naszymi oczami i uszami. Syn starej księżnej jest oficerem lejbgwardii, może niedługo zostanie figel-adiutantem i znajdzie się w bezpośrednim otoczeniu cara. Wiesz, jak ogromnie przyczyniłabyś się dla naszej sprawy, gdybyś stała się naszym szpiegiem na carskim dworze?

Miałam ochotę wyrwać się z uścisków tych dwóch wariatek i pędem uciec, gdzie pieprz rośnie. Ani mi w głowie było kogoś szpiegować, szczególnie cara. Co za szalony pomysł! Wzniosłe ideały to jedno, ale pakować się w kompletnie absurdalne awantury ze spiskowcami? Nie ma mowy!

– Nie nadaję się do tego, przykro mi – odparłam oschle.

Spojrzały na siebie wymownie. Mania pokręciła głową, robiąc rozczarowaną minę. Za to Perowska uśmiechnęła się smutno i uściśnęła mi rękę.

– Nie odrzucaj tak kategorycznie oferty współpracy, przemyśl to jeszcze. Czuję, że jesteś dobrym człowiekiem i nie przejdiesz obojętnie obok krzywdy, którą nieustannie wyrządza się prostym ludziom. Obiecuj mi tylko, że się jeszcze zastanowisz. Że gdy znajdziesz się wśród arystokratów, nie zapomnisz o naszej sprawie. Jeśli zauważysz lub usłysz coś, co mogłoby być dla nas przydatne, po prostu nas o tym poinformujesz. Nie musisz składać żadnych przysięg ani niczego podpisywać. Po prostu o nas pamiętaj.

– Dobrze. – Skinęłam na odczepnego głową. – Nie zapomnę o cierpieniach ludu i gdy będę mogła, postaram się wam pomóc.

– Świetnie! – ucieszyła się Perowska. – To mi w zupełności wystarczy. Cieszę się, że mogłam z tobą porozmawiać. My też o tobie nie zapomnimy. Jeśli znajdziesz się w potrzebie, wiedz, że ruch czuwa i jest gotowy pomóc. Nie lekceważ moich słów i nigdy o nas nie zapominaj. Liczę na ciebie, siostrze.

Pokiwałam głową, zastanawiając się, czy ostatnie słowa miały być prośbą, obietnicą czy groźbą. Pewnie wszystkim po trochu. Spojrzałam w oczy ślicznej Rosjance i dostrzegłam w nich straszliwą determinację i skrzętnie

ukrywane okrucieństwo. Perowska była bardzo niebezpieczną kobietą, utwierdziłam się w przekonaniu, że z pewnością o niej nie zapomnę.

Wyszliśmy z Manią z kryjówki spiskowców i czym prędzej pomaszerowałyśmy w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Zapadł już zmierzch i rozbłysły gazowe latarnie, niemrawo rozjaśniając mrok mętnym, bladym blaskiem. Czułam się skołowana i trochę oburzona. Miałam wrażenie, że wbrew własnej woli zostałam wmanewrowana w sprawy, z którymi nie chciałam mieć nic wspólnego.

Nie zaprzętałam sobie długo głowy rewolucjonistami i ich walką o lepsze jutro. Ekscytacja związana z nadchodzącą wizytą zupełnie wyparła mi z myśli te sprawy. Cały następny dzień szykowałam się na odwiedzin u księcia. W tym celu robiłam sobie kurs po Nowym Świecie, wpadając kolejno do wszystkich składów towarów kolonialnych, domów mody i na koniec do modystki. Wydałam resztę oszczędności na pachnidło francuskie, lewantynową sukienkę z pelerynką, rękawiczki z cienkiej skórki i niewielki kapelusik, trochę przypominający ostatnio modne męskie meloniki. Z całkowicie opróżnionym pugilaresem, ale za to z pełnymi pudłami wróciłam do domu. Kolejny dzień niby pomagałam cioci w obejściu, pobiegłam nawet na targ po warzywa, ale natychmiast po obiedzie zajęłam się szykowaniem do wyjścia. Wbiłam się w sfatygowany już nieco gorset, który moja mama uparcie nazywała ze staroświecka kształciczką, a potem założyłam nową kieckę.

– Hm – mruknęłam, z zadowoleniem kręcąc się przed lustrem.

Nie ma się co okłamywać, byłam śliczną dziewczyną o figurze nawiązującej do wzorców antycznych, a do tego o zdrowej cerze. Co tu dużo kryć, wyglądałam niczym posąg greckiej bogini. Jasne włosy spięłam w koczek, pozwalając jednak, by kilka niesfornych kosmyków wymknęło się niby przypadkiem, i wetknęłam na głowę kapelusik. Pod szyją przypięłam jedyną biżuterię, jaką posiadałam – złotą broszę z nefrytem, prezent od babci. Ponoć dostała go od francuskiego huzara w czasie wojen napoleońskich. Wiązała się z tym romantyczna historia niespełnionej miłości. Klejnot był egipski, a kochanek babci zdobył go w bitwie pod piramidami<sup>8</sup>, odbierając świecidełko zabitemu przywódcy mameluków. Dzielny Francuz wylądował ze swoim regimentem w Polsce i rychło zakochał się w babci. Oświadczył się jej,

a potem w pamiętnym 1812 roku wyruszył u boku Napoleona na Moskwę. Obietnicy szybkiego ożenku jednak nie spełnił, bo zamarzył gdzieś na nieskończonych stepach Rosji. Brosza była zatem staroświecka i wykonana w trudnym do określenia stylu, ale stanowiła rodzinną pamiątkę.

Wystrojona usiadłam ostrożnie, by nie pognieść kiecki, na krześle przysuniętym do okna. Korzystając z dziennego światła, usiłowałam czytać książkę, gramatykę francuską, ale raz po raz niecierpliwie zerkałam przez zazdrostki. Z inklinacji i koniugacji nie rozumiałam ani słowa, litery przelatywały mi przed oczami, omijając mózg. Ten zajęty był czym innym, nie da się ukryć, że głupimi marzeniami z kniazem Czernyszewem w roli głównej. Widziałam się jako wielka dama u jego boku, w karecie wjeżdżającej przez bramę pałacu. Potem Fiodor, czy właściwie Teoś, wnosił mnie na rękach pod marmurowym portykiem, niósł przez korytarze rezydencji, stukając podkutymi butami, nie przestając mnie całować po szyi i w usta. Niósł tak aż do łoża dla nowożeńców... Zrobiło mi się gorąco.

W końcu musiałam się zbesztać za te durne fantazje, przystojące co najwyżej podlotkom, które się naczytały francuskich powieści, ale już nie pannie, jaką byłam. Powinnam twardo stąpać po ziemi i skupić się na pracy, do której mnie wynajęto, czyli na opiece nad księżną panią. Tę wyobraziłam sobie z twarzą carycy Katarzyny, którą wiele razy oglądałam w ilustrowanym albumie. Dumna i wyniosła, groźna i piękna władczyni, jednym gestem wysyłająca na śmierć tysiące ludzi, a obcasikiem miażdżąca całe państwa. Pewnie matka Fiodora też jest taka, okrutna i bezwzględna, do tego mądra i wymagająca. Powinnam bardziej skupić się na powtórce z francuskiego, by nie uchybić jej w rozmowie jakimś błędem gramatycznym. Było bowiem oczywiste, że będziemy rozmawiać po francusku, jak wszyscy arystokraci.

Gdy powóz wreszcie podjechał, byłam tak zamyślona, że w pierwszej chwili go nie zauważyłam. Spojrzałam przez okno akurat, kiedy wysiadał z niego wysoki jegomość. Książę we własnej osobie! Poderwałam się na równe nogi, ciskając precz książkę. Tym razem nie miał na sobie munduru, lecz bardzo modny, krótki surdut zwany marynarką. Do tego nosił angielski melonik i krawat. Wyglądał jak model wycięty z żurnala. Chciałam dobrze wypaść przy powitaniu, by nie pomyślał, że ma do czynienia z szarą myszką. Pognałam do drzwi, w locie żegnając się z cicią. Przez myśl przemknęła mi obawa, by broń Boże nie wszedł do obmierzłej, biednej kamienicy

z odrapanym korytarzem śmierzącym kocimi szczykami! Jak boleśnie obniżyłoby to moją ocenę! Pognałam zatem po schodach na łeb na szyję i wypadłam jak burza na zewnątrz. Wyjście było prawdziwie teatralne, choć nie w stylu, który zaplanowałam. Nie zdążyłam wyhamować. Potknęłam się na progu i z wrzaskiem poleciałam wprost w jego ramiona.

Książę złapał mnie, ale i tak z impetem uderzyłam w jego pierś. Kapelusik zsunął mi się na oczy i przez parę chwil w oszołomieniu nic nie widziałam. Wstyd zapłonął we mnie tak straszliwym ogniem, że zdawało mi się, jakby niemal ogarnęły mnie płomienie. Stałam bez ruchu, trzymana w silnych ramionach, licząc na to, że ziemia się pode mną zapadnie. Wreszcie Fiodor sam poprawił mój kapelusik. Ujrzałam jego błyszczące oczy i wesołą minę. Z trudem hamował śmiech, jednak zachował względną powagę i z troską spytał, czy nic mi się nie stało.

Bąknęłam coś bez ładu i składu, przepraszając, że musiał czekać i bez zastanowienia niedyskretnie spytałam, dlaczego zjawił się po mnie osobiście. Ukłonił się, wskazując mi drogę do powozu, ruszyłam więc przodem.

– Nastąpiła nieoczekiwana zmiana planów – wyjaśnił, podając mi rękę, bym wygodnie wsiadła. – Mama zaskoczyła mnie dziś telegramem nadanym ze stacji, na której pociąg z Petersburga miał dłuższy postój. Otóż postanowiła przybyć bez zwłoki, jeszcze dziś. Dobrze, że raczyła wysłać wiadomość, a nie wpadła do koszar z pretensjami, że nie czekałam na nią na dworcu. Odbierzemy ją więc razem, panno Józefo, jeśli oczywiście nie ma pani nic przeciwko temu.

– Dziś, teraz? – jęknęłam. – Przecież pan nic o mnie nie wie! Planowałam dopiero udowodnić swoje kompetencje, przydatność do tej pracy. Chciałam wykazać się francuskim, odczytaniem, umiejętnością prowadzenia zajmującej rozmowy, grą na fortepianie, innymi umiejętnościami...

– Och, taki egzamin jest zupełnie zbędny. – Książę niedbale machnął ręką, dając znak stangretowi, by jechał. – Zwykle przy ocenianiu ludzi kieruję się pierwszym wrażeniem i jeszcze nigdy się nie zawiodłem. Zresztą umiejętnością zajmującego zabawiania ludzi swoją osobą już pani się wykazała.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a ja nieświadomie zrobiłam nadąsaną minę. Nie zwrócił uwagi na moje nabzdyczenie, lecz zaczął opowiadać o swoich wrażeniach z pobytu w Warszawie. Podziwiał pałace, pamiętające jeszcze

światność Rzeczypospolitej, a także gwarność i barwność tłumu na ulicach. Choć po powstaniu w 1863 miasto zostało zniesione z czołowej, po Petersburgu, pozycji najważniejszych metropolii imperium i zamienione w prowincjonalną stolicę guberni, to i tak nie dało się ukryć, że kwitło i nadal stanowiło perłę w rosyjskiej koronie. Fiodor zachwycił się również obfitością parków i przyrody, gościnnością Polaków i urodą Polek, która zdawała się poruszać go w szczególny sposób. Po tym gładkim oświadczeniu uklonił mi się z uśmiechem, a ja zamiast jakoś zareagować i elegancko przyjąć komplement, siedziałam sztywno i gapiłam się na niego jak sroka w gnat.

Załomotały koła powozu. Wjeżdżaliśmy na most Aleksandryjski, który warszawiaczy na złość Moskalom nazywali mostem Kierbedzia, czyli zamiast imieniem cara tytułowali go nazwiskiem budowniczego. Po bokach i nad naszymi głowami pojawiła się żelazna kratownica, na dole zaś skrzyła się Wisła. Sunący po rzece parowiec z chlupotem miał woda kołami napędowymi, zostawiając za sobą smugę wzburzonej rzeki. Patrzyliśmy na niego, milcząc dłuższą chwilę.

– Jedziemy na Dworzec Kolei Warszawsko-Petersburskiej, jak się domyślam? – zagałam.

– Tak, oczywiście – przytaknął zamyślony Fiodor. – Pociąg przyjedzie za jakąś godzinę. W tym czasie pospacerujemy sobie i ustalimy warunki kontraktu.

– Czymś się pan martwi? – Zauważyłam, że gapiąc się na statek, nagle odpłynął razem z nim.

– Proszę wybaczyć, to przez wojnę. Widziała pani ten paropływ? To wojskowa jednostka, popłynęła w górę rzeki, na południe. Cała wyładowana ciężkim sprzętem, może amunicją, może bronią? W każdym razie wiezie zaopatrzenie dla naszej armii bijącej się na Bałkanach i na Kaukazie – powiedział.

– Chodzi o wojnę z imperium osmańskim, z Turcją? – odrzekłam. – Żałuje pan, że go tam nie ma? Że musi dusić się w mieście z dala od walczących przyjaciół?

– Myśli pani, że marzę, by oddać życie za cara? – uśmiechnął się smutno. – Że gotów jestem zabijać w imię imperialnych ambicji jego wysokości?

Spojrzałam na niego uważniej, wreszcie otrząsając się z onieśmielenia towarzystwem przystojnego księcia. Trzeźwe spojrzenie pozwoliło mi po raz



pierwszy przyjrzeć mu się jako człowiekowi, ignorując jego urodę i stan pochodzenia. W rozpiętej marynarce, nieco przygarbiony i ze zbolałą miną, nie wyglądał tak imponująco, jak w mundurze gwardzisty. Nie sprawiał już wrażenia herosa, a raczej skromnego, miłego młodzieńca. Nieco zagubionego i skorego do zadumy. Teraz bardziej pasował mi na poetę niż na dandysa czy dumnego arystokratę.

– Nie. Wydaje mi się, że wojaczka pana nie pociąga – odparłam ostrożnie. – Wolałby pan od niej uciec jak najdalej.

– Widzę, że oboje mamy zdolność do trafnego oceniania ludzi – powiedział, spoglądając mi głęboko w oczy. – Potrafimy dojrzeć coś więcej niż tylko urodę. Nie oślepią nas piękne stroje i dumna postawa. Czujemy duszę drugiego człowieka.

– Każdego? Nie sądzę... – bąknęłam.

– Nie każdego, tylko bliskiego nam w jakiś sposób. Może o pokrewnych emocjach, o bliźniaczej głębi umysłu?

Znów czułam, że moje policzki zaczynają płonąć. Niech mnie diabli! Muszę natychmiast wysiąść, inaczej się zakocham!

– Dlaczego nosi pan mundur, skoro brzydzi się zabijaniem i wojną? – spytałam zamiast tego.

– Po raz drugi proszę, mów mi po imieniu, panno Józefo – odparł i ujął mnie za dłonie. Nie cofnęłam ich, nie potrafiłam. Chciałam, by trzymał mnie tak już zawsze. – Wstąpiłem do korpusu kadetów, bo nie miałem innego wyjścia. To rodzinna tradycja, wśród moich przodków było aż dwóch feldmarszałków i kilku generałów. Wszyscy mężczyźni mojego rodu muszą służyć w wojsku, to honor i zaszczyt. Nikogo nie obchodziło, czego naprawdę pragnę. Kim chciałbym być. Matkę martwi jedynie to, że jestem jeszcze majorem. Dziadek w moim wieku nosił już generalskie epolety. Miałem dotychczas wymówkę, że to przez brak konfliktów zbrojnych, w których mógłbym się wykazać, ale wreszcie wybuchła ta przeklęta wojna. Teraz się nie wymigam. Będę musiał pojechać gdzieś na Kaukaz, by zabijać ludzi. Mama już o to zadba. Właśnie po to tak bardzo chce przyjechać do Warszawy: musi dopilnować, bym dostał odpowiedni przydział.

– Matka sama wysyła pana na wojnę? – zdumiałam się, nieco oburzona. – Zwykle matki zabiegają, by chronić swoje dzieci, a nie pchać je w środek piekła.

– Zwykle matki tak, ale mojej wydaje się, że wojenka to tylko szczebel w karierze, zwykła rzecz. Trochę niewygody, obijania się w sztabie, wałęsania konno po polach, a czynny udział to chwalebne wysyłanie żołnierzy do boju, kiedy samemu przebywa się w bezpiecznym miejscu. Wojna z Turcją to dar niebios, coś, co stanie się odskocznią dla dalszej kariery. Muszę však zostać figel-adiutantem, a bez generalskich szlifów i garści orderów nic z tego. A gdzie można zdobyć ordery? Oczywiście na polu bitwy.

– Co wolałby pan zamiast wojskowej kariery, Fiodorze, jeśli mogę zadać tak niedyskretne pytanie?

– Malować! – odparł bez wahania. – Jako dziecko miałem licznych guwernerów, uczących mnie różnych pożytecznych rzeczy. Trafił się wśród nich pewien niemiecki artysta, który zaszczepił we mnie miłość do sztuki. Połączyłem ją z pasją do botaniki, badań przyrody i jako dziecko z upodobaniem malowałem krajobrazy i zwierzęta. Szło mi to tak gładko, że aż wzbudziło niepokój matki. Co by to było, gdyby młody książę został landszaftciarzem? Zgroza, aż strach pomyśleć! Guwenera odprawiono, a ja wyładowałem w korpusie kadetów.

– I nie maluje już pan, Fiodorze?

– Po kryjomu, w tajemnicy. – Mrugnął porozumiewawczo. – Jeszcze jako student zostałem świetnym wojskowym kartografem. Często urywałem się, niby po to, żeby robić szkice umocnień i plany terenu, a w rzeczywistości rysowałem owady, rośliny i widoczki. Teraz po cichu ćwiczę ludzkie postaci w naturalnym otoczeniu, takie portrety niepozowane.

Uśmiechnęłam się, chyba po raz pierwszy całkowicie naturalnie: mój uśmiech nie był już nerwowym paroksyzmem spowodowanym przez buchające w trzewiach gorąco. Ten spontaniczny i niewymuszony objaw sympatii został dostrzeżony i zrobił wrażenie na księciu. Nadal trzymał mnie za rękę i choć zaczynało się to robić niestosowne, wcale mnie nie raziło.

– Proszę mi obiecać, Józiu, że zgodzisz się, bym kiedyś cię sportretował. Jeszcze nie teraz, ale gdy tylko nadarzy się okazja.

Skinęłam jedynie głową, bo, głupia sprawa, ale odebrało mi mowę.

Spacerowaliśmy przed dworcem, czekając na przyjazd pociągu. Na szczęście wrzesień był ciepły i słoneczny, także tego dnia. Chodzenie tam i z powrotem po placu, na który nieustannie zajeżdżały dorożki i powozy,

okazało się zaskakująco przyjemne. Nie przeszkadzały mi tumany kurzu wzbijane przez wozy ani walający się pod nogami koński nawóz. Ciągłe czułam na sobie spojrzenie księcia i starałam się skoncentrować na tym, by się nieustannie nie rumienić. Wreszcie rozmowa zeszła na literaturę i zaczęła nam się bardziej kleić. O książkach mogłam gadać godzinami, a Fiodor również miał dużo do powiedzenia. Czytał nie tylko wojenne traktaty, ale studiował także historię sztuki oraz botanikę. Gładko przeszliśmy z klasyki na współczesne powieści i okazało się, że mój arystokrata czytał po polsku Żmichowską!

– Nie potrafię mówić w pani języku, przynajmniej bym się na to nie odważył, ale owszem, czytam – oświadczył. – Nauka polskiego jest w naszym domu tradycją, choć z pokolenia na pokolenie przykładamy do niej mniejszą wagę. Mój dziadek mówił płynnie, jakby urodził się w Warszawie, a nie w Petersburgu. Ja opanowałem tylko alfabet i umiejętność czytania.

– Ciekawy zwyczaj – stwierdziłam.

– Po prostu ród Czernyszewów pochodzi z Polski. Mój przodek był polskim szlachcicem, który w XVII wieku brał udział w wojnach z Rosją. Oberwał w jednej z bitew i dostał się do niewoli. Tak się złożyło, że choć pozostawał jeńcem, w Rosji mu się spodobało, zakochał się i ożenił. Po jakimś czasie stał się jednym z ulubionych zauszników cara, jego wiernym i dzielnym poddanym. W nagrodę otrzymał tytuł kniaziowski, klejnot księcia Rosji<sup>9</sup>.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową. Ciekawa historia. Niebawem, jak plotą się ludzkie losy. Pradziadek Fiodora wyjechał z kraju jako nic nieznaczący rycerzyk, jego potomek wrócił tu jako zdobywca, wierny poddany obcego władcy. Szkoda, że w moich żyłach nie płynęła krew kogoś znaczniejszego. Nie mogłam się pochwalić równie ciekawą rodzinną historią.

Po kilku rundkach wokół placu pył jednak zaczął nam doskwierać, rozkasłałam się od niego i książkę troskliwie wprowadził mnie do budynku dworca. Kupił nam w bufecie po szklance orszady, mlecznego, słodkiego napoju z roztartymi migdałami i pokruszonym lodem. Posiedzieliśmy trochę przy stoliku, przepłukując gardła z kurzu. Poczułam się nieco pewniej i śmielej, uraczyłam więc Fiodora kilkoma historyjkami z życia Warszawy, usłyszczanymi od przyjaciółek w czasie oczekiwań w kantorze stręczenia nauczycielek. Rozochociłam się i pewnie zagadałabym go na śmierć, gdyby nie przyjechał oczekiwany pociąg. Wyszliśmy na drewniany peron, gdzie

zebrał się tłumek oczekujących i bagażowych z wózkami. Fiodor zgarnął jednego, wciskając mu w dłoń dziesiątaka.

Parowóz wtoczył się, sapiąc i buchając kłębami dymu. Wagony zatrzymały się ze zgrzytem i na peron wyskoczyli konduktorzy, by rozłożyć schodki. Podróżni wysypali się, witani przez oczekujących okrzykami radości. My pomaszerowaliśmy w stronę wagonów pierwszej klasy. Po paru minutach cierpliwego czekania w drzwiach pojawiła się sama kniahini Czernyszewa.

Nie wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażałem. Okazała się grubą, niewysoką kobietą w obszernej sukni obsypanej koronkami. Twarz miała okrągłą i uśmiechniętą od ucha do ucha. Na pierwszy rzut oka budziła sympatię i gdyby nie strój, wyglądałaby jak jedna z zażywnych straganiarek z rynku Starego Miasta. Aż trudno było uwierzyć, że to kobieta, która nie mogła doczekać się, by wysłać syna na wojnę.

Fiodor podał jej dłoń i gdy księżna zeszła na peron, ucałował ją grzecznie. Anna Pietrowna pogładziła go po policzku i ze śmiechem odpowiedziała na kilka grzecznościowych pytań dotyczących podróży. Okazało się, że księżna nie mówi po francusku, jak się spodziewałem, ale zwyczajnie, po rosyjsku. Wreszcie przyszała pora na mnie, zostałam przedstawiona, po czym zlustrowana przez arystokratkę od stóp do głów. Szeroki uśmiech nie schodził z ust księżnej, ale oczy patrzyły bystro. Nie było w nich ani śladu wesołości.

– Witajcie, panienko Żozefino – powiedziała, wyciągając dłoń.

Ujęłam ją i dygnęłam skromnie.

– Zapewnicie mi ochronę przed nudą? Obiecujecie? – Ku mojemu zdumieniu szturchnęła mnie pięścią w bok. – Trzymam was za słowo. I będę nazywać panienkę Żuzą, tak będzie wygodniej. A teraz prowadźcie do domu, rada będę odpocząć.

– Oczywiście, mamó. – Fiodor skinął głową.

Wylądowałyśmy w powozie, tylko ja i księżna. Stangret trzasnął lejcami i pojazd ruszył rażno, przecinając plac. Anna Pietrowna rozsiadła się, zajmując całe siedzenie, spłotła dłonie, opierając je na okazałym brzuchu, pod wielkimi piersiami. Wyglądała niczym ogromny tort. Patrzyła na mnie, siedzącą naprzeciw i niemającą śmiałości się odezwać. Księżę przed odjazdem oświadczył, że zajmie się bagażami oraz służbą przybyłą razem z księżną i przyjedzie z nimi wynajętą dorożką. Wyglądało to tak, jakby specjalnie nie stęsknił się za matką i nie spieszył się, by spędzić z nią czas.

– Syn znalazł dla mnie kilka pokoi w pałacu Pod Blachą – oświadczyła dama. – Nie podoba mi się nazwa tej rezydencji. Co to ma być? Pod jaką znowu blachą? Czy aby w sąsiedztwie nie ma jakiejś ohydnej fabryki żelaznej? Jeśli prasują tam blachy, oszaleję od hałasu. Nie cierpię maszyn parowych, a te ponoć napędzają teraz młoty w kuźniach.

– Proszę się nie martwić, wasza ekscelencja będzie zadowolona – powiedziała. – Ten pałac sąsiaduje z Zamkiem Królewskim i mieszkał w nim słynny w Polsce bratanek króla Stanisława Augusta. Trudno o bardziej godne miejsce w całej Warszawie. Bywał w nim na balach sam car Mikołaj I oraz wielki książę Konstanty.

– Och, skoro tak, to świetnie! – Księżna rozpromieniła się niczym wychodzące zza chmur rumiane słońce. – Przekłete zołzy z Carskiego Sioła popękają z zazdrości. Mówię o moich przyjaciółkach, damach dworu. Złośliwe tałatajstwo, liczy się dla nich wyłącznie bogactwo oraz prestiż. A ja muszę grać w te głupią grę i na każdym kroku udawać wielką damę. Taka jest cena bycia kimś w wielkiej Rosji, uczestniczenia w życiu wyższych sfer. Ciągłe umacnianie pozycji, przystępowanie do licznych koterii, układów i spisków, podlizywanie się, komu trzeba i wbijanie noża w plecy tym nielubianym lub tracącym łaskę carską.

– Noża? – jęknęłam, wyobrażając sobie tę pulchną starszą panią z dziką miną dźgającą jakąś damę w plecy.

– Och, nie dosłownie! – prychnęła. – To już nie te czasy.

Machnęła niedbale ręką, pewnie wspominając okres, gdy dworzanie toczyli ze sobą krwawe wojny z użyciem trucizn, skrytobójców i diabli wiedzą czego jeszcze. Teraz zostały im głównie intrygi, pomówienia, plotki i kłamstwa. Podejrzewałam, że są równie straszną bronią.

– Zadepeszuję jutro do Petersburga, opiszę, w jak ważnym pałacu mieszkam. Cesarz Mikołaj tam bywał, powiadasz? Królewska rezydencja, no, no, no... – Uśmiechała się z zadowoleniem. – A ty skąd pochodzisz, Żuza? Jesteś polską arystokratką?

– Obawiam się, że nie – westchnęłam. – Pochodzę z dość ubogiej, ziemiańskiej rodziny. Mamy niewielkie gospodarstwo pod Łowiczem. Głównie sady jabłkowe...

– Biedna, wiejska szlachcianka, co? No trudno, o tobie zatem zmilczę.

Kiwnęłam głową, bo nic nie pozostało do dodania. Znałam swoje miejsce,

zresztą nie zależało mi, by o moim istnieniu dowiedziały się damy na carskim dworze.

Tymczasem powóz przejechał po moście i już po paru chwilach zatrzymał się przed pałacem. Nie wiedziałam za bardzo, co mam ze sobą zrobić, jednak księżna kazała mi iść ze sobą. Chwyciła mnie nawet pod ramię, po czym oparła się całym ciężarem, aż ugięły się pode mną kolana. W wejściu czekało już dwóch lokajów w liberiach, którzy kłaniając się i otwierając drzwi, oprowadzili nas po pokojach przeznaczonych dla księżnej. Miałam okazję podziwiać przepych i elegancję rezydencji. Wysokie pokoje o sufitach wyłożonych kasetonami, ściany ozdobione półkolumnami i pilastrami z barwnego marmuru, zwierciadła w ciężkich ramach i kominki niczym przycupnięte dzieła sztuki. Prawdziwie królewska posiadłość.

Anna Pietrowna okazała zadowolenie, klaszcząc za każdym razem, gdy coś bardziej jej się spodobało lub poklepując kunsztowne gzymsy i pilastry, jakby oklepywała konia. Potem kazała zaparzyć herbaty w samowarze i do przyjazdu bagaży oddała się drzemce w wielkim, głębokim fotelu stojącym przed kominkiem. Nie sposób wszak było położyć się w usztywnionej krynolinie.

Czekałam przy niej wiernie, jak przystało na służkę. Nie przeszkadzało to mi w żaden sposób, szczególnie że za tak dobrze płatną pracę wiele szlachetnie urodzonych warszawianek dałoby się obedrzeć ze skóry. Tymczasem przyjechał Fiodor, który przed obudzeniem matki poprosił mnie na bok i z troską spytał, czy mama nie była zbyt męcząca i czy nadal jestem zainteresowana objęciem posady jej asystentki i przewodniczki. Oczywiście zgodziłam się, na co ksiązę prawie wziął mnie w ramiona z radości.

– Tak się cieszę, panno Józiu – powiedział z uśmiechem. – Dzięki temu będę miał szansę częściej panią widywać. Może nawet uda mi się kiedyś panią porwać na spacer lub jaką wycieczkę na plener malarski. O ile byłaby pani zainteresowana, rzecz jasna.

– Och tak, z przyjemnością. – Ucieszyłam się szczerze. – Skoro lubi pan malować przyrodę, z chęcią pokażę panu ciekawe plenery. Jesienią mazowieckie lasy są niezmiernie barwne.

– Gdyby jeszcze była pani skłonna zgodzić się mi pozować...

– Słyszę, jak gruchacie! – zadudniła księżna, patrząc na nas z głębi fotela i falujących koronek sukni. – Co to ma znaczyć, Fiodorze?!

Podskoczyłam ze zgrozy, jakby księżna przyłapała nas na Bóg wie czym. W rzeczywistości staliśmy kilka kroków od siebie, a mówiliśmy szeptem, by jej nie obudzić.

– Wybacz, mamó, ale staram się z panną Jasińską ustalić szereg atrakcji dla ciebie. Zaplanować twój pobyt, byś zanadto się nie nudziła.

– O moją nudę nie musisz się bać – mruknęła. – Już ja mam co robić.

W tym momencie do salonu weszły dwie pokojówki księżnej, taszcząc bagaże. Zostałam odprawiona razem z Fiodorem, bo kniahini chciała się przebrać. Major Czernyszew wręczył mi zaliczkę na poczet nadchodzących kosztów, związanych z opieką nad matką, a potem pożegnał się, życząc cierpliwości i opanowania. Kiedy wyszedł, okazało się, że wręczył mi sto rubli w kilku banknotach. Taką sumę jako guwernantka zarobiłabym może w cztery miesiące.

[7](#) W tamtym czasie najwyższy organ tajnej policji Cesarstwa Rosyjskiego.

[8](#) Bitwa stoczona 21 lipca 1798 roku w pobliżu Kairu pomiędzy armią francuską pod dowództwem generała Napoleona Bonaparte a mamelukami Murada Beja i Ibrahima Paszy oraz oddziałami arabskimi; zakończyła się zwycięstwem Francuzów.

[9](#) W Rosji były dwa książęce rody Czernyszewów, w dodatku oba wywodziły się z polskiej szlachty i pieczętowały tym samym herbem. Pierwszy za protoplastę miał Michała Czernickiego, który wyruszył do Moskwy w 1493 r., drugi pochodził od Zota, polskiego rycerza, który dostał się do niewoli rosyjskiej w 1655 r. Jego prawnuk, Andrzej, był ulubieńcem carycy Katarzyny II, która uczyniła go komendantem Sankt Petersburga.

Poranek przyszedł zaskakująco szybko i zastał Julię śpiącą na podłodze, z kocurem przygniatającym jej nogi. Chwilę trwało, zanim uprzytomniła sobie, dlaczego nie jest w łóżku i co właściwie wyrwało ją ze snu. Po pierwsze, w jej wyrze spała Ania z Olą, więc dywan został jedynym wygodnym miejscem, a obudził ją natarczywy dzwonek. Ktoś koniecznie domagał się otworzenia drzwi. Nacisnął przycisk po raz kolejny, aż Julia oburącz zasłoniła uszy. Barbarzyńsko brutalny dźwięk huczał jej w głowie niczym tysiące bijących dzwonów.

Wstała z westchnieniem i zatoczyła się na ścianę. Nawet nie pamiętała, kiedy kładły się spać, chyba niedługo po tym, gdy przerwała czytanie pamiętnika, bo Ania zasnęła w trakcie i zaczęła chrapać. Musiały z Olą odholować ją do łóżka, a potem jeszcze dopiły wino. Ten ostatni kieliszek to było już zbyt wiele. Mogła go sobie oszczędzić, może dzięki temu lepiej by się teraz czuła. Jednak pretensje wobec samej siebie nie miały większego sensu, musiała więc zacisnąć zęby i odchorować.

Dowlekkła się do przedpokoju i spojrzała w wiszące w nim lustro. Ujrzała zombie – kobietę w średnim wieku, niby jeszcze młodą i wcale niebrzydka, ale mocno sfatygowaną. Wyglądała, jakby właśnie wstała z grobu.

Poprawiła włosy i pięściami przetarła oczy.

– Oj, niedobrze – jęknęła głośno. – Przekrwione, jakby zaraz miały pęknąć.

Wyjrzała przez judasza i ku swemu zaskoczeniu ujrzała stojącego przed drzwiami staruszka, sąsiada z dołu, hrabiego Bnińskiego we własnej osobie. Wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, szanowna sąsiadko. – Starszy pan ukłonił się, jak zwykle wprawiając ją w zakłopotanie. – Mam nadzieję, że nie pojawiłem się zbyt wcześnie?

– Zbyt wcześnie? – jęknęła Julia. – A byliśmy umówieni?

– W pewnym sensie. – Staruszek uśmiechnął się. – Proszę wybaczyć, po



prostu nie mogę się doczekać, kiedy dostanę order.

Julia zamrugała i potrząsnęła głową. Przyszło jej do głowy, że być może śni. Chyba że zrobiły z Olą staruszkowi jakiś kawał, którego nie pamiętała. Końcówka wieczoru nieco jej się rozmywała, a sam finał znajdował się na urwanej części filmu.

– Order?

– Świętego Jerzego, trzeciej klasy – przytaknął hrabia.

– Ode mnie? – upewniła się Julia. – Chce pan, bym wręczyła mu order świętego Jerzego, tak?

– Oryginalny, w doskonałym stanie. Właśnie ten. Od lat na niego czekam.

Julia pokiwała głową, a potem podrapała się w czoło. Sapnęła z bezradności i rozłożyła ręce. Staruszek zasepił się nieco.

– Och, widzę, że przyszedłem nie w porę – westchnął. – Znów wyrwałem się jak filip z konopi. Na starość powinienem nauczyć się cierpliwości, prawda? Najwyższa pora!

– Tak, chyba się pan pośpieszył – przytaknęła półprzytomnie Julia. – Obiecuję jednak, że kiedy najdzie pora, wręczę panu należny order. Proszę się nie martwić. Proszę wrócić do domu i się położyć, odpocząć. Czy pan się dobrze czuje?

– Doskonale, wasza ekscelencjo. – Starszy pan ukłonił się w pas. – Czekam zatem w swojej kwaterze. Nie ruszam się z miejsca.

Julia zamknęła drzwi i powłócząc nogami, wróciła do pokoju. Obie przyjaciółki też się obudziły, choć nadal leżały w łóżku.

– Kto to był? – wychrypiała Ola.

– Hrabia Bniński przyszedł po order – odparła Julia i ziewnęła przeciągle. – W dodatku nazwał mnie „waszą ekscelencją”. Widocznie też wczoraj zabalował lub demencja starcza ostatecznie zrobiła mu sieczkę z mózgu.

Ania wymotała się spod skotłowanego koca i pokuśtykała do łazienki. Julia poczłapała do kuchni, by naprodukować morze gorącej kawy. Ola tymczasem zabrała się za sprzątanie naczyń i pakowanie porozrzucanych papierów oraz książek do pudeł. Otworzyła również okno, by wpuścić świeże powietrze. W ciągu kolejnej godziny kolejno doprowadziły do ładu mieszkanie i same siebie, nakarmiły nawet kota, opily się kawy i najadły tabletek przeciwbólowych, na koniec zabrały za robienie śniadania.

– Skończyłyście czytać beze mnie? – Ania niespodziewanie przypomniała

sobie o pamiętniku.

– Nie. Zostało jeszcze kilka kartek – odparła Ola. – Jeśli chcecie, róbcie jajecznicę, a ja je tu przyniosę i wam przeczytam, zgoda?

– Mhm – mruknęła bez entuzjazmu Julia.

Nie miała sił, by dziś emocjonować się mdłym romansem sprzed niemal stu pięćdziesięciu lat.

– Czytaj – przytaknęła Ania. – Miejmy to już za sobą.

Anna Pietrowna zażyczyła sobie, bym pojawiła się w pałacu z samego rana. Zanosiło się, że jednak nie będę zajmowała się czytaniem popołudniami francuskich powieści. Gdy dotarłam na miejsce, już na mnie czekała. Ku mojemu zaskoczeniu włożyła na siebie prostą, ciemną sukienkę i płaszcz, a na głowie miała mało imponujący kapelusz, ozdobiony jedynie czerwoną tasiemką. W pierwszej chwili jej nie poznałam. Nie była już koronkowym tortem, lśniącym i okraszonym złotem, a zwykłą, szarą myszką... No dobrze, może nie myszką, tylko naprawdę dorodną myszą, ale przemiana księżnej w zwykłą kobietę mocno mną wstrząsnęła.

– Nie gap się tak, Żuza – powiedziała. – Idziemy na miasto, chcę posmakować Warszawy. Jestem jeszcze przed śniadaniem, prowadź zatem na najbliższe targowisko.

Wzięła mnie pod ramię i wyprowadziła na dziedziniec przed pałacem. Stojący przed wejściem żołnierze w szarych szynelach wyprężyli się na baczność, ale księżna nie zaszczyciła ich nawet spojrzeniem. Zgodnie z życzeniem zaprowadziłam ją na najbliższy plac targowy, czyli na najstarsze targowisko odbywające się codziennie na rynku Starego Miasta. Nikt nie zwracał na nas uwagi, wyglądałyśmy przecież jak przeciętne warszawianki, dwie niepozorne mieszczki. Księżna natychmiast wypatrzyła ulicznego sprzedawcę kawy i kazała kupić od niego dwa kubki. Nalano nam chochlą do blaszanych naczyń wprost z gara, w którym nieustannie parzył się napar.

– Ale to najgorsze pomyje dla plebsu – ostrzegłam.

– Właśnie! Dlatego muszę skosztować. – Anna Pietrowna uśmiechnęła się szeroko.

Wypiłyśmy zatem gorący napój z brudnych kubków. Nawet nie był taki zły, właściwie okazał się przyjemnie słodki i treściwie gęsty, aż sama byłam zaskoczona. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy próbować czegoś takiego. To tylko tradycyjny napój straganiarek, wyrobników i czeladników, którym

posilali się przed robotą.

– W całym kubku znalazła się raptem odrobina kawy, reszta to uprażone i roztarte żyto, cykoria, słód i mleko – oznajmiła księżna po degustacji. – Bardzo zdrowe!

Potem obeszyliśmy targowe jatki, gdzie sprzedawcy na miejscu zarzynali i skubali kury lub rozdzielali na części zaszlachtowane świnię. Było tam obrzydliwie, od zapachu krwi zrobiło mi się niedobrze. Anna Pietrowna natomiast ze znanostwem oceniała oferowane produkty. Ku mojej rosnącej zgrozie zaciągnęła mnie do straganu, przed którym stała żeliwna koza. W wielkim rondlu skwierczała świeżonka, drobne kawałki mięsa odcięte przy rozkładaniu na części tuszy wieprzowej. Księżna zażyczyła sobie porcję, dostała zatem miche parującego, tłustego mięsa i solidny kawał ciemnego, plebejskiego chleba. Jadła, stojąc, i w dodatku palcami, bo sprzedawca nie miał w ofercie sztućców. Odmówiłam stanowczo propozycji skosztowania pysznego mięsiwa i oniemiała patrzyłam na jej arystokratkę zajadającą ze smakiem targowe przysmaki.

Potem przeszliśmy się Miodową, dalej Krakowskim Przedmieściem i kawałek Nowym Światem. Musiałam opowiadać o mijanych pałacach i kościołach, a księżna słuchała, kiwając głową. Nie mogłam sobie darować i gdy mijałyśmy pałac Zamoyskich, opowiedziałam o zamachu na namiestnika Berga w czasie powstania styczniowego.

– Strzały i granaty padły z okien na czwartym piętrze – mówiłam. – Feldmarszałek uszedł bez najmniejszej rany, ale tak się wściekł, że kazał zdemolować pałac. Wygnano wszystkich sześciuset mieszkańców, bo pałac był właściwie czynszową kamienicą, ich majątek zagrabiono lub zniszczono. Z okien poleciały meble i książki, ubrania i kufry. Żołnierze ułożyli je w stosy i spalili. Z tamtego okna Kozacy wyrzucili fortepian. Roztrzaskał się o bruk, sypiąc we wszystkie strony klawiszami. Wszystkich bardzo to poruszyło.

– Fortepian? – zdziwiła się księżna.

– Należał do Fryderyka Chopina, był narodową pamiątką – odparłam.

Miałam nadzieję, że opowiadając o barbarzyństwie rosyjskiego okupanta, choć trochę poruszę sumieniem tej dumnej i pewnej siebie kobiety. Nic z tego.

– Ciekawe – rzekła. – Mój mąż, papa Fiodora, tłumił to powstanie, ale na Litwie, nie w Królestwie. Nie był zachwycony. Zamiast toczyć chwalebne bitwy, jego żołnierze zajmowali się głównie wieszaniem biednych

buntowników. Dostał za to jakiś order, ale ani razu go nie przypiął. Uważał całą tamtą awanturę za wielkie nieporozumienie i rzecz zupełnie niepotrzebną. Nie to, co wojna z Turcją, na którą niedługo pojedzie nasz Fiodor! Tam toczy się prawdziwy bój. Starcie dwóch potęg! Imperium Romanowów zrobi wreszcie porządek z „chorym człowiekiem Europy”<sup>10</sup>. Na froncie zapanowała patowa sytuacja i szala zwycięstwa może przechylić się w każdej chwili. W którą stronę, to rzecz jasna, wiadomo. Musimy dopilnować, by Fiodor uczestniczył w tym wydarzeniu. To niezwykle ważne dla jego dalszej kariery!

– Wasza ekscelencja nie boi się o syna? W sumie wojna to wojna, każdemu może stać się coś złego.

– Pewnie, że się boję. Nie mogę jednak zapominać, że prócz bycia moim synem Fiodor jest spadkobiercą wielkiego rodu, rodu wojowników i generałów. Musi godnie reprezentować nazwisko, które nosi. Wojna będzie trampoliną dla jego dalszej kariery. Zostanie generałem i oficerem ordynansowym cara. To konieczne, by udało się znaleźć mu odpowiednią partię. – Nagle księżna rozejrzała się, czy aby nikt nas nie podsłuchuje i wyznała mi półgłosem: – Niech to zostanie między nami, ale marzy mi się, by Fiodor starał się o rękę którejś z cesarskich córek. Jeśli to dobrze rozegramy, jest szansa, że nie zostanie odrzucony. Wtedy moje wnuki staną się książętami najczystszej krwi, a ród znacznie awansuje. Moje wnuki będą mogły żenić się i wychodzić za koronowane głowy całej Europy!

Pokiwałam głową. Nie wiedzieć dlaczego to wyznanie mocno mnie zirykowało. Nie miałam się, że to mnie Fiodor mógłby prosić o rękę, choć z drugiej strony właśnie tak! Marzyłam, we śnie i na jawie, że porwie mnie do swojego pałacu i pojmie za żonę. To dlatego zagotowałam się ze złości. O, ja głupia!

– Rody królewskie? – prychnęłam. – W dzisiejszych czasach? Wszak monarchie powoli stają się przeżytkiem. Lud coraz śmieiej upomina się o swoje prawa, wkrótce wszystkie kraje Europy zmienią się w republiki.

– Ha! A to dobre – ucieszyła się księżna. – Chciałabym zobaczyć miny moich przyjaciółek z Carskiego Sioła po usłyszeniu takiej przepowiedni. Pewno same zaciągnęłyby cię na stryczek. Hasła takie jak republika, gilotyna, rządy ludu są surowo zakazane. I radzę ci się nie afiszować z takimi poglądami, bo może zainteresować się tobą tajna policja.

Ugryzłam się w język. Co mi do łba strzeliło, by mówić takie rzeczy? Całe

szczęście, że nie traktuje mnie poważnie. Szybko zmieniałam temat, opowiadając o kościele Świętej Anny. Potem starałam się uważać na to, co mówię, zastanawiałam się nad każdym słowem, choć księżna swoim swobodnym zachowaniem i skłonnością do żartowania ze wszystkiego zdawała się prowokować mnie do wypowiedzania głupstw.

Weszliśmy do składu towarów, potem do domu mody i sklepu z towarami rosyjskimi. Wreszcie Anna Pietrowna stwierdziła, że nogi wchodzą jej w tyłek i zażyczyła sobie zobaczyć, co oferuje mijana właśnie traktiernia. Zasiadliśmy przy nieco brudnym stoliku, a księżna zamówiła drugie śniadanie. Tym razem były to warszawskie tartinki, kanapki z siekanym jajkiem oraz z wędzonymi szprotkami. Do tego obowiązkowa kawa z tłustą śmietaną. W rezultacie księżnej szybko wróciły siły oraz ochota na dalszy spacer.

Doszliśmy aż do placu Trzech Krzyży i Alejami Jerozolimskimi dotarliśmy do Dworca Wiedeńskiego. Tam zjadliśmy paszteciki w kolejowym bufecie, by znów wzmocnione ruszyć Marszałkowską w drogę powrotną. Zahaczyliśmy o sklep z instrumentami muzycznymi przy fabryce fortepianów, a potem o targowisko na placu Zielonym. Kolejna przerwa miała miejsce w parku Saskim, w altanach cukierni Lessla. Księżna pochłonęła kawałek tortu i kilka ciastek. Napiłyśmy się lemoniady i ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Tak się smakuje miasto, złotko – oświadczyła Anna Pietrowna, kupując u ulicznego sprzedawcy smażoną kielbaskę „na widelcu”. – Trzeba spróbować tego, co jadają miejscowi, wtedy można się poczuć, jakby było się u siebie. Tak właśnie ujarzmiam obce krainy. Zaglądam w miejsca ludne i tłumne, jem to, co zwykli mieszczanie. To się nazywa życie! Tylko nikomu o tym ani słowa! Gdyby dowiedzieli się w Carskim Siole, zjedliby mnie żywcem. Byłabym towarzysko skończona.

Poszliśmy do pałacu na obiad. Całkiem zwyczajny, bez arystokratycznych szaleństw, które sobie wyobrażałam. Służący wnieśli wazę z zupą, a na drugie danie sztukę mięsa w sosie chrzanowym. Księżna pałaszowała wszystko niczym wygłodzona lwica. Przestała mnie zastanawiać jej tusza. Zrozumiałam też, że żyje tak, jak je. Czerpie pełnymi garściami, bez umiaru. W nowej pracy musiałam się zatem przygotować na ciekawsze doznania niż czytanie francuskich powieści i zabawianie damy grą na fortepianie.

Nie myliłam się. Następne dni okazały się barwne niczym obrazki

w kalejdoskopie. Księżna przywłaszczyła mnie sobie właściwie na od świtu do zmierzchu, a nie tylko popołudniami, jak było w umowie. Towarzyszyłam jej zarówno jako przewodniczka na spacerach, jak i sekretarz w czasie wizyt w urzędach pałacu Saskiego, na herbatkach u żon generałów stacjonujących w Warszawie, a nawet w czasie wizyty u gubernatora. Do południa księżna przechadzała się w plebejskim przebraniu po mieście, robiła zakupy na targowiskach, kłócąc się po rosyjsku ze straganiarkami i targując z nimi o każdą kopiejkę. Potrafiła wychylić kufel piwa w towarzystwie pilarzy i wyrobników, by kilka godzin później zabawiać rozmową nadętą i dumne generałowe.

Nie miałam wyjścia, musiałam ją polubić, choć jej nieposkromiona żywotność momentami mnie przytłaczała. Z drugiej strony w jej towarzystwie sporo się nauczyłam. Księżna okazała się sprytną dyplomatką i zdolną negocjatorką. W ciągu dwóch tygodni załatwiła nowy przydział dla syna, uzyskując poparcie samego generała-gubernatora oraz dowódcy garnizonu Warszawa. Fiodor miał lada dzień zostać nominowany do stopnia podpułkownika i wysłany na front jako adiutant szefa sztabu jednej z rosyjskich dywizji, walczących na Bałkanach.

Przez cały ten czas spotykałam go codziennie. Uparł się, że wieczorem będzie odwoził mnie do domu. Nie ma co ukrywać, że była to najmiłsza część dnia, na którą czekałam z niecierpliwością, licząc godziny. Pojawiał się codziennie, choć czasem musiał w tym celu urywać się ze służby. Przybywał mój księżę i porywał mnie powozem, by wieźć w dal. A konkretnie na Powiśle, do domu mojego wujostwa. Po drodze opowiadałam mu o wybrykach i towarzysko-dyplomatycznych rozgrywkach jego matki, a Teoś śmiał się z nich lub bagatelizował. Wyznał, że i tak mają go w korpusie za gogusia, którym opiekuje się mamunia, ale nic nie mógł na to poradzić. Kniahini miała zbyt dominujący charakter i nie sposób było jej utemperować.

– Boję się, żeby nie pojechała za mną na Bałkany. Urządziłaby sobie dwór w okopach i męczyła sztab swoimi odwiedzinami, by załatwiać mi jak najstosowniejsze służby – powiedział. – Pewnie generalicja musiałaby jej się zwierzać z każdego planu taktycznego.

– Z drugiej strony trudno mieć jej to za złe. – Stałam w obronie Anny Pietrowny ku własnemu zaskoczeniu. – Taki ma sposób troszczenia się o ciebie, Fiodorze.

Stopniowo zwracaliśmy się do siebie coraz bardziej familiarnie. Księżę nazywał mnie Józią, a mnie czasem wyrывał się Teoś.

– Jutro wyruszam na front – powiedział, podając mi dłoń, by pomóc wysiąść z powozu.

Zeskoczyłam wprost w jego ramiona, bo nie cofnął się ani o krok.

– Tak szybko? Dlaczego już teraz? – spytałam oburzona, tuląc się do niego.

– Rozkaz dostałem zaledwie przed godziną. Wyruszam koleją jutro o świcie. Nawet mama jeszcze o tym nie wie – powiedział ze smutnym uśmiechem. – Szykujemy ofensywę, będziemy próbowali pokonać Turków jeszcze przed zimą. Ale to tajemnica wojskowa, sza!

Poczułam dławienie w gardle. Ogarnęła mnie fala tkliwości, zmieszanej ze strachem i troską. Dziwne, niepokojące uczucie. Oparłam głowę o jego pierś. Miałam ochotę objąć Teosia jak najmocniej i nie puszczać. Zamiast tego pocałowałam go w usta.

Nawet jeśli go to zaskoczyło, szybko się opanował i przejął inicjatywę. Zastygliśmy tam, na ogarniętym półmrokiem podwórku domu moich wujostwa. Mało romantyczne miejsce, ale cóż. I tak na parę chwil świat przestał dla mnie istnieć. Nie przeszkadzał siąpiący deszczyk i błoto pod nogami. Czułam mocne ramiona mojego mężczyzny i jego usta wpijające się w moje.

– Zniosę wojenne niewygody bez mrugnięcia, wiedząc, że na mnie czekasz – powiedział z uśmiechem. – Kocham cię, moja Józiu.

– A ja ciebie, Teoś – powiedziałam jakimś dziwnym, zmienionym głosem. – Przysięgnij, że będziesz na siebie uważał.

Przysięgł, a potem znów mnie ucałował. Stwierdziłam, że muszę dać mu coś, co będzie mu mnie przypominało. Bez wahania odpięłam swoją broszkę, pamiątkę po nieszczęśliwej miłości babci i wręczyłam mu ten oprawiony w złoto klejnocik. Był zupełnie zaskoczony, sam nie zdążył kupić mi niczego na pożegnanie. Odpiął z piersi swoje jedyne odznaczenie, nagrodę od cara za nienaganne studia i ukończenie akademii wojskowej z wyróżnieniem. Dostałam więc na pamiątkę po Teosiu biały krzyżyk ze złotą obwódką i z dosiadającym konia rycerzykiem w środku. Lubiłam sobie wyobrazać, że to nie święty Jerzy, a mój księżę.

<sup>10</sup> Określenie przypisywane carowi Mikołajowi I; nawiązuje do sytuacji imperium osmańskiego w XIX wieku.





– Koniec – obwieściła Ola, odkładając kartki. – Nic więcej nie ma. Nawet liściku od ciotki czy jakiegoś dopisku.

Przyjaciółki siedziały chwilę w milczeniu, zadumane i poruszone. Ania otarła łzę wierzchem dłoni i mruknęła, że to przez kaca. Zawsze jest na nim tak wrażliwa i delikatna, że do łez wzruszają ją nawet polskie seriale.

– Święty Jerzy? – Julia podskoczyła, jakby ją prąd kopnął. – Order Świętego Jerzego? Czekaście!

Mimo pijackiego osłabienia poderwała się na równe nogi i kilkoma susami dopadła pudeł. Chwilę je przestawiała, by wreszcie znaleźć to, w którym spoczywało niepozorne pudełeczko. Wcześniej już wpadło przyjaciółkom w ręce, gdy miały nadzieję, że wewnątrz znajdą jakąś biżuterię. Zamiast tego na wypłowiałym aksamicie spoczywał biały krzyżyk z rycerzykiem w centralnym polu. Julia zniosła go do kuchni i z triumfalną miną pokazała przyjaciółkom.

– Nie, nie wierzę – sapnęła Ania. – To niby odznaczenie, które księżę podarował twojej praprababce?

– O Jezu – z nabożną czcią westchnęła Ola, biorąc krzyż w dłoń. – To niesamowite, a jakie romantyczne...

– Wygląda na ciężki, chyba faktycznie jest ze złota – zauważyła przytomnie Ania. – Prócz sterty makulatury i starych fotek ciotunia podarowała ci jednak coś cennego. Dla numizmatyka czy historyka taki carski order może być sporo wart.

– Ale gdzie jest dalsza część pamiątnika? – mruknęła Ola. – Bardziej od tego cacka ciekawi mnie to, co było dalej. Zresztą zabawa miała polegać na skompletowaniu wspomnień praprababki, a nie zbieraniu bibelotów!

Julia zagryzła wargę, bezwiednie obracając w dłoniach pudełko na order. Ola tymczasem obejrzała go ze wszystkich stron.

– Jest tam coś napisane cyrylicą na rewersie – mruknęła. – Ale to raczej nie

jest wiadomość od ciotki Aurelii.

– Hrabia Bniński przyszedł po należne mu odznaczenie – oprzytomniała Julia. – Mówił coś o orderze Świętego Jerzego, jak Boga kocham. Właśnie tak, domagał się konkretnie tego orderu!

– Niby wiedział, że jest w twoim posiadaniu? A skąd? – Ania poruszyła się niespokojnie. – Podgląda nas, podsłuchuje? Kim on w ogóle jest?

– Zdziwaczałym staruszkim – bąknęła Julia. – Wprowadził się do mieszkania na dole jakieś trzy miesiące temu. Zawsze jest bardzo uprzejmy, kłania mi się w pas. Wciąga przypadkowe ofiary w niekończące się rozmowy, ale zasadniczo jest nieszkodliwy. Zwyczajny dziadzio, nudzący się i potrzebujący kontaktu z drugim człowiekiem.

Ola wręczyła Julii krzyż i pomknęła do przedpokoju, wróciła ze swoją kurteczką i zabrała się za jej oglądanie. Wywlekła na wierzch kieszenie, potem wysypała na kuchenny stół zawartość torebki.

– Czego szukasz?

– Pluskwy, ukrytego nadajnika, mikrokamery, nie wiem sama – mruknęła, nie przerywając przeglądania swoich rzeczy. – Byłam u tego dziadka w mieszkaniu. Przysuwał się do mnie i ocierał, mógł mi coś podrzucić.

– Zwariowałaś? – Julia postukała się w czoło. – Masz go za szpiega?

– No to skąd wiedział o odznaczeniu?

– Nie wiem, ale nie z podsłuchu, przecież w ogóle nie rozmawialiśmy o orderze, a hrabia wspomniał nawet, że to odznaka trzeciej klasy. Albo to zupełny przypadek i dziadek majaczył, albo wiedział o medalu już wcześniej, wiedział, że przywiozłam spadek po ciotce i w środku znajduje się należny mu order – mówiła Julia, chodząc po kuchni. – Należny? Za co? To się kupy nie trzyma.

Julia wrzuciła krzyż do pudełka i zamknęła je z trzaskiem. Już chciała odłożyć je na stół, gdy zatrzymała się w pół ruchu. Otworzyła pudełko i wyjęła odznaczenie, a potem palcem podważyła aksamitną wyściółkę, która zresztą sama odstawała. Pod spodem tkwiła złożona w kostkę kartka, znacząco wypychająca ozdobne sukno.

– No proszę, że też wcześniej nie zauważyłam – mruknęła gospodyni.

– Niezłą agentką była ta twoja ciotka – skwitowała Ania.

– Na co czekasz, czytaj! – gorączkowała się Ola, zbierając rozrzucone drobiazgi z powrotem do torebki.

*Moja droga Julciu. Dotychczas kompletowanie pamiętnika było proste i nie wymagało wyjścia z domu. Kolejna część będzie jednak nieco trudniejsza do zdobycia. Następne fragmenty znajdują się w posiadaniu pewnego uczynnego starszego pana, który od niedawna jest twoim opiekunem. Powinnaś go już poznać, jesteście wszak sąsiadami. Człowiek przedstawiający się jako hrabia Aleksander jest zapalonym numizmatykiem, który od dawna męczył mnie o pewne odznaczenie. Ofiarował za nie góry złota. To unikat, car przyznał go Fiodorowi wcale nie za wybitne wyniki na studiach, jak skromnie skłamał praprababci, ale za ocalenie życia koledze z akademii, carewiczowi Aleksandrowi, następcy tronu. Młodziutki podporucznik Czernyszew przyszedł z pomocą koledze napadniętemu przez zwykłych bandytów, którzy nawet nie wiedzieli, na kogo podnieśli rękę. Jednak mniejsza z tym. Order jest rodzinną pamiątką, ale myślę, że możemy się z nią rozstać. Podaruj krzyż Świętego Jerzego swojemu sąsiadowi. W zamian otrzymasz kolejne kartki pamiętnika. Krzyż nie jest zapłatą za rękopis, którego część zdeponowałam u Bnińskiego. Przeprowadzał on dla mnie pewne dochodzenie, a odznaka jest ostatnią częścią należności za jego wykonanie.*

*Możesz do pewnego stopnia mu ufać, to porządny człowiek, choć w rzeczywistości nie jest hrabią, a emerytowanym oficerem komunistycznego urzędu bezpieczeństwa. Major Bniński tylko sprawia wrażenie zdziwaczałego staruszka, tak naprawdę to szczywany, choć pozostający w stanie spoczynku, lis.*

*Prosiłam go o odnalezienie naszej najcenniejszej rodzinnej pamiątki – złotej broszy, którą praprababcia Józia podarowała księciu. I wyobraź sobie, że udało mu się ją wytropić. Niestety próby jej odzyskania spaliły na panewce. Nie zdążyłam doprowadzić sprawy do końca, dopadła mnie choroba, jak się okazało nieuleczalna. Musisz dokończyć dzieła, a Bniński ma ci w tym pomóc. Moją ostatnią wolą jest, by brosza wróciła na łono rodziny. Odzyskaj ją.*

*Gdy tego dokonasz, Bniński przekaze ci dalsze instrukcje. To jeszcze bowiem nie koniec gry.*

*Powodzenia!*

Julia wzruszyła ramionami i wsunęła przeczytaną kartę między okładki

pamiętnika, razem z zapiskami praprababci Józi.

– I teraz sprawa staje się jasna – mruknęła Ania. – Bniński to stary esbek, nasłany przez twoją ciotkę, by cię obserwował. Dlatego jędra wiedziała, że masz kota i czym się zajmujesz popołudniami. Pewnie ten były funkcjonariusz przeszukiwał twoje śmieci i odnotował sporą liczbę butelek po winie. Pisał donosy i raporty, jak za dawnych czasów, ale nie do urzędu, lecz do twojej ciociusi. Słyszysz mnie, komunistyczna gnido?! – ryknęła, a szeptem rzuciła przez ramię: – Myślę, że faktycznie może nas podsłuchiwać. Później trzeba będzie poszukać pluskiew.

Julia pokręciła głową ze zdumienia.

– Ale skąd ciotka wzięła pieniądze, by go opłacić? Musiał przecież wynająć mieszkanie w bloku i się tu przeprowadzić. Jakie to koszty!

– Zabawa zaczyna robić się coraz ciekawsza – z entuzjazmem stwierdziła Ola. – To co, może się wybierzemy do starszego pana na herbatkę z samowara?

– Ale oprócz orderu weźmiemy mój kastet i gaz pieprzowy – oznajmiła Ania i ruszyła do przedpokoju, by wrócić z wyciągniętym z kieszeni kurtki czarnym żelastwem i puszką gazu.

Julia stała na środku kuchni i rozglądała się bezradnie. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Cała ta przygoda z pamiętnikiem wydawała się jej absurdalna, ale z drugiej strony niezwykle intrygująca.

Cóż miała do roboty w niedzielne popołudnie? Sprzątanie mieszkania po imprezie, a potem wegetowanie w towarzystwie kota oraz telewizora, czekając na poniedziałek i powrót do roboty. Prócz spotkań z przyjaciółkami właściwie nie miała życia prywatnego. Praca-dom, dom-praca. Wypełniała ją stopniowo rosnąca pustka i marazm. Brak sensu i celu w życiu. Podarunek od ciotki Aurelii był jedynym ciekawszym wydarzeniem, które ją spotkało od niepamiętnych czasów.

– Idziemy – zdecydowała.

Major-hrabia Bniński już czekał, i to chyba z uchem przy drzwiach, bo otworzył, zanim Julia zdążyła dotknąć dzwonka. Cofnęła się o krok wystraszona gwałtownym ruchem, za to Ania ruszyła do przodu uzbrojona w puszkę z gazem. Staruszek uśmiechnął się do nich i ukłonił w pas, jednocześnie z jęknięciem uginając kolana w groteskowej imitacji dworskiego ukłonu.

– Zapraszam serdecznie, moje drogie panie. Czym chata bogata. – Promieniejąc z zachwytu, wskazał im drogę do środka.

Julia dygnęła w odpowiedzi i bąknęła „dzień dobry”, zerkając niepewnie na gospodarza. Dziadek nosił zapiętą pod szyję koszulę z muszką i kamizelkę z błyszczącego materiału, prawdopodobnie imitację jedwabiu. Na nosie miał pince-nez upodabniające go do dziewiętnastowiecznego pisarza. Przyjaciółki przecisnęły się przez przedpokój wypełniony regałami z książkami i weszły do salonu, gdzie na stoliku stał pyrkoczący już samowar. Wokół niego lśniła białością ceramiczna zastawa w postaci czterech filiżanek.

– Spodziewał się nas pan? – spytała Julia.

– Jednak podsłuchiwał – syknęła Ania, mrużąc groźnie oczy.

– Czy się spodziewałem? Tkwię w gotowości od chwili, gdy panna Julia przywiozła spadek po świętej pamięci panie Aurelii – odparł staruszek. – Widziałem, jak wnosicie go do mieszkania. Nie mogłem się doczekać, kiedy wasza ekscelencja odczyta ostatnią wolę panny Jasińskiej.

– Może darowalibyśmy sobie tytuły, panie hrabio? – zaproponowała Julia. – Nie jestem żadną ekscelencją. Zdaje się, że tak należy zwracać się do biskupów...

– Do kardynałów, czyli książąt kościoła – sprostował Bniński. – Ale dobrze, jak sobie panna życzy. Proszę siadać, już nalewam pysznej herbatki. Odnoszę wrażenie, że wszystkie panie jesteście mocno odwodnione.

Mrugnął do nich porozumiewawczo i pochylił się nad samowarem. Ania

pierwsza zajęła miejsce na krześle, odsuwając się od stolika, by móc zachować swobodę ruchów. Jedną rękę wsadziła do kieszeni, gdzie w gotowości czekał kastet. Julia z Olą usadowiły się na kanapie. Gospodarz wręczył każdej filiżankę i sięgnął po leżącą na biurku teczkę. Znow kłaniając się w pas, przekazał ją Julii.

– Teraz proszę o swoją nagrodę – powiedział.

Julia otworzyła teczkę i ujrzała w środku znajome, pożółkłe kartki, zapisane starannym, miłym dla oka pismem. Skinęła głową i wyciągnęła z kieszeni pudełko z odznaczeniem. Dziadek otworzył je z nabożną czcią. Wyciągnął zdobycz, uniósł pod światło. Cmoknął kilka razy z podziwu.

– Wiedzą panie, że to nie jest zwykły wojskowy medal, a krzyż orderu przyznawanego wyłącznie oficerom, i to wybitnie zasłużonym w boju? Jedno z najwyższych odznaczeń Imperium Rosyjskiego, noszono go na piersi ponad pozostałymi odznaczeniami. Wyżej przypinano tylko gwiazdę orderu Świętego Andrzeja. Do dzisiejszych czasów ocalało niewiele egzemplarzy, ten będzie prawdziwą ozdobą mojej kolekcji. Sam car Aleksander II założył go, przypiętego do wstęgi, na szyję księcia Czernyszewa. Dotykając go, obcuje oto z prawdziwą historią, z czasami dawnych imperiów i wielkich monarchów!

– Cieszę się, że jest pan zadowolony. – Julia uśmiechnęła się niepewnie do staruszka, a potem upiła łyk herbaty. Rzeczywiście napar był świetny, intensywny i aromatyczny. – A teraz prosiłabym, by do końca wywiązał się pan z umowy z ciocią Aurelią. Gdzie jest brosza mojej praprababki?

– Ach, oczywiście – uśmiechnął się staruszek. – Najpierw powinna pani przeczytać kolejny fragment pamiętnika. Muszę tego dopilnować. Proszę, śmiało. Z chęcią wszyscy posłuchamy.

– Świetny pomysł – przytaknęła Ola. – Czytaj, a my wypijemy sobie herbatkę. Bardzo smaczna, panie hrabio.

Staruszek skinął głową z zadowoloną miną, a potem podszedł do biurka, by przełożyć krzyż do przygotowanej wcześniej gablotki, przeznaczonej do zawieszenia na ścianie. Julia rozejrzała się po mieszkaniu wypełnionym starociami. Ściany ozdabiały pożółkłe zdjęcia i oprawione w ramki medale oraz rozmaite inne odznaczenia. Stwierdziła, że tu będzie idealne miejsce dla orderu. Z pewnością lepsze niż u niej w mieszkaniu, w tekturowym pudełku, wepchniętym gdzieś w ciemny kąt.

Wypiła jeszcze łyk herbaty i zaczęła czytać.



Dwa tygodnie po wyjeździe Fiodora przydarzyła się nam paskudna przygoda. Odbyłam z kniahinią zwyczajowy spacer po mieście, odwiedzając sklepy, targowiska, cukiernie oraz karczmy, jak zwykle w przebraniu przeciętnych, niepozornych mieszczek. Zasiedziałyśmy się nad grzanym winem z korzeniami w całkiem sympatycznej traktierni na Marywilu i kiedy wyszłyśmy na zewnątrz, okazało się, że zapadł już zmrok. Nic dziwnego, że nie zauważyłyśmy. W połowie listopada dni są ponure i szare, a do tego przygnębiająco krótkie.

Pogoda była wyjątkowo nieprzyjemna, wiało i zacinał lodowaty deszczyk, aż księżna zdecydowała się, byśmy złapały dorożkę. Okazało się, że to nie takie proste. Uliczka biegnąca w stronę Starego Miasta okazała się zupełnie nieuczęszczana. Z powodu okropnej pogody nie było na niej żywego ducha, nie mówiąc o wyczekującym okazji dorożkarzu. Wszyscy dryndziarze pochowali się z pewnością po karczmach lub zjechali już do stajni, gdzie w spokoju pili wódkę. Musiałyśmy zatem maszerować w ciemności, mijając kałuże i wypełnione wodą dziury w bruku. Daleko w oddali jaśniały lampy gazowe, wskazując nam drogę w bardziej cywilizowane rejony miasta, ale by do nich dotrzeć, trzeba było przejść przez paskudną uliczkę.

Napastników było trzech. Nie czaili się w bramie czy zaułku, co na ogół należało do zwyczajów rzezimieszków. Wpadli na nas całkiem przypadkowo, wychodząc z odrapanego budynku, z którego dobiegały głośne śpiewy i piski. Trafiliśmy na urżniętych w pestkę obwiesi, którzy właśnie opuścili plugawy lupanar. Na widok dwóch samotnych kobiet najwyższy z nich zarechotał wesoło i wskazał księżną swoim kompanom. Na tle lamp u wylotu uliczki dostrzegłam wysokie, futrzane czapy na łbach bandziorów, a na ramionach ich przywódcy błysnęły paski na czerwonym pagonie.

– Kozacy – syknęłam do księżnej. – Mamy pecha, to spici kubańcy.

Nikt w Warszawie nie lubił kozaków kubańskich, znaczy pochodzących

z Kubania w Rosji, bo co do jednego były to same szumowiny. Od lat słynęli z pijackich galopad ulicami miasta, w trakcie których dla zabawy okładali nahajkami przechodniów, nie patrząc, czy leją mężczyzn, kobiety czy dzieci.

Przywódca kubańców, młodszej uriadnik, czyli kapral, sądząc po pagonach, chwiejąc się, zastąpił nam drogę. Wymierzył paluch w księżną i zażądał:

– Dawaj diengi!

– Poszedł won, chamska mordo! – ryknęła po rosyjsku Anna Pietrowna. – Chcesz trafić na odwach, chامية? Wiesz, kogo zaczepiasz?

– Stul pysk, stara, to nic wam się nie stanie – warknął drugi kubaniec, sprawiający wrażenie trzeźwiejszego. Wyciągnął zza pasa długi nóż i pogroził nim księżnej. – Dawaj ruble i złotówki. Szybko, bo nam się śpieszy. Żołd teraz mizerny w carskiej armii, a na nas czekają dziewczynki. Poratujcie żołnierzy, drogie panie, nie zmuszajcie, bym pociął wam gęby.

– Ty gruba beko! Dawaj pieniądze! – ryknął chwiejący się kapral.

Trzeci zbój się nie odzywał, za to chichotał w najlepsze, kiwając się w przód i w tył. Błyskawicznie doszłam do wniosku, że lepiej dać im, co mamy. Sięgnęłam do torebki. W tej samej chwili księżna trzasnęła otwartą dłonią w pysk kubańca kaprała. Kozak z impetem usiadł na ziemi.

Wesołek ryknął śmiechem, widząc obalonego dowódcę, jednocześnie wymierzył księżnej błyskawiczny policzek. Nożownik sprawnie złapał Annę Pietrowną za włosy, zrzucając jej kapelusz w błoto. Szarpnął nią, przyciągnął do siebie i przyłożył nóż do gardła. Mimo że pijani, byli zaprawionymi w burdach i bijatykach bandytami. Nie miałyśmy z nimi najmniejszych szans. Serce tłukło mi w piersi jak oszalałe.

– Ja ci, polska kurwo, pokażę, co znaczy podnieść rękę na rosyjskiego żołnierza – wymamrotał kapral, wstając z ziemi.

Powinnam rzucić się do ucieczki. Żaden z nich nie zwracał na mnie uwagi. We trzech wczepili się w księżną. Powinnam biec, ile sił do ratusza na Marywiu, zrobić tam raban, wezwać pomoc. Musiałbym jednak zostawić księżną z trzema pijanymi bydlętami, którzy w tym czasie skatują ją i zaszlachtują. Wiedziałam, że tak się to skończy.

– Puśćcie mnie, bydlaki! – wrzeszczała kniahini. – Jak możecie tak poniżać kobietę? To się nie godzi!

Nożownik, trzymając ją ciągle za włosy, wetknął nóż między poły płaszcza księżnej i jednym ruchem odciął wszystkie guziki.

– Stara i paskudna, ale może jeszcze się do czegoś nadać – zarechotał wesołek, kładąc łapy na piersiach księżnej. – Czy może od razu zajmujemy się córeczką?

Nie mogłam dłużej zwlekać. Miałam ostatnią szansę, by się ratować. Zamiast tego ścisnęłam mocno torebkę i z całych sił trzasnęłam nią nożownika w bok głowy. Torebkę podarowała mi Anna Pietrowna kilka dni wcześniej. Kupiła ją u kuśnierza na Nowym Świecie, który zamiast damskiej, filigranowej ozdoby uszył ciężki kłopot, okuty na rogach posrebrzaną blachą ozdobioną grawerunkiem. Według księżnej prezent miał być praktyczny i solidny. Denerwowało ją, że noszę pieniądze i chusteczki upchnięte po kieszeniach.

W torebce miałam jeszcze srebrną manierkę z leczniczą nalewką na zgagę, którą po obżarstwie zażywała Anna Pietrowna, oraz jej ciężki pugilares pełen złotych, dziesiątaków na napiwki i złotych imperiałów. Kozak oberwał więc cios niczym kowalskim młotem. Głowa mu odskoczyła, nóż wypadł z bezwładnej ręki i żołdat runął w błoto bez przytomności.

„Zabiłam go!” – pomyślałam z przerażeniem.

Księżna wyrwała się zaskoczonym kubańcom i wymierzyła kapralowi tego kopniaka w krocze. Uda miała mocne i wielkie niczym dębowe pnie, cios był zatem słuszny. Wesołek wrzasnął coś wściekle i sięgnął po szablę. Zrozumiałam, że mam dwa uderzenia serca, zanim nas pokroi na plasterki. Skoczyłam więc na niego, oburącz unosząc torebkę nad głowę. Trzasnęłam go prosto w czoło. Kolana załamały się pod nieszczęśnikiem i pacnął tyłkiem w kałużę. Anna Pietrowna wzięła rozpęd i jeszcze raz kopnęła zwijającego się z bólu kaprała. Tym razem w skroń. Kozak obrócił się i padł z rozłożonymi rękoma, twarzą na ziemię.

To był koniec potyczki. Księżna kazała mi wezwać patrol lub zawołać stójkowego, wszystko jedno co, byle szybko. Kubańcy zostali aresztowani i z tego, co wiem, omal nie stanęli przed plutonem egzekucyjnym. Księżna jednak się nad nimi zlitowała i wyprosiła u dowódcy garnizonu Warszawy, generała Andreja Nikołajowicza Korfa, złagodzenie kary. Zakuci w kajdany pojechali kibitką na daleką Syberię, by przez kilka lat poświęcić się pracy nad własnymi charakterami, a przy okazji – nie wiem konkretnie – budować drogi lub kopać węgiel.

Anna Pietrowna szybko doszła do siebie, choć niestety przez cały tydzień musiała mocno pudrować policzki, by ukryć siniaka pod okiem. Nie okazywała mi zbyt wylewnie wdzięczności za to, że zamiast zwiać, ruszyłam do boju, ale wyczułam pewną zmianę w jej nastawieniu. Już nie byłam tylko sympatyczną służką, z którą można plotkować, a zmieniałam się w zaufaną towarzyszkę, by nie powiedzieć przyjaciółkę. Awansowałam w pałacowej hierarchii? Nagle stałam się powiernicą wszystkich tajemnic księżnej, a banalne rozmowy zmieniły się w ciągi zwierzeń. Pracowałam też na całego jako jej asystentka i sekretarz. Księżna obdarzyła mnie takim zaufaniem, że dyktowała mi prywatne listy. Twierdziła, że mam piękny charakter pisma i moje bukwy są prześliczne, a do tego wysoce arystokratyczne.

– Nieraz już potwierdziłaś, że płynie w tobie szlachetna krew – powiedziała któregoś dnia. – Czekaj, moja droga. Wybierzemy się na bal do gubernatora, zadebiutujesz na nim jako moja protegowana. Zobaczymy, jacy kawalerowie ustawią się w kolejce do ciebie. Pozwolisz, że zajmę się ich selekcją, złotko. Wyszukam ci narzeczonego lepiej i staranniej niż rodzona matka. Jeśli dobrze pójdzie, do Petersburga pojedziesz razem ze mną już zaręczona z jakimś przystojnym lejbgwardzistą. Nie będziemy mierzyły niżej niż stopień pułkownika, należy ci się coś z życia.

Przytakiwałam, głupio uśmiechnięta. Mrugałam oczkami i rumieniłam się niczym płocze dziewczę. Obietnice księżnej połehtały moją próżność, jak nie wiem co. Która dziewczyna nie chciałaby debiutować na balu w Zamku Królewskim i wydać się za bogatego, pięknego oficera? A potem spędzić całe życie, balując w Petersburgu, Wiedniu, jeżdżąc do wód w słoneczne Alpy i robiąc zakupy w salonach mody w Paryżu? Ja miałam to w nosie.

Chodzi o to, że nie zapomniałam o moim księciu. I to właśnie był problem. Nie mogłam o nim zapomnieć i zasadniczo nie obchodziły mnie bale i wizyty na salonach. Marzyło mi się spokojne, sielskie życie z przystojnym Teosiem, choćby w warszawskiej kamienicy lub na polskiej wsi. Śniłam, że maluje mnie w różnych śmiałych pozach albo że całuje i nosi na rękach. Musiałam jednak grać przed księżną i udawać zachwyconą jej pomysłem.

Czułam się podle, przytakując Annie Pietrownie, szczególnie że za jej plecami prowadziłam namiętą korespondencję z Fiodorem. Kniahini dyktowała mi do niego listy, które dzięki wpływom i przyjaźniom z oficerami szły pocztą sztabową, zupełnie jak tajne rozkazy. Odpowiedzi Fiodora

wracały tą samą drogą. W międzyczasie nikt ich nie czytał! Nie były cenzurowane, nawet wywiad się nimi nie interesował. Nie zastanawiając się zatem długo, wkładałam do koperty również swoje listy. A ponieważ zajmowałam się korespondencją księżnej w całości, pierwsza też otwierałam odpowiedzi.

Nasza wymiana listów z Teosiem była niezwykle inspirująca i pobudzająca. Czytałam jego wyznania z wypiekami, w pokoju o zasłoniętych oknach i zamkniętym na klucz. Głupio byłoby, gdyby ktoś zobaczył mnie taką rozognioną i drżącą. To przez to, że po pierwszych listach, w których były głównie uprzejmości i troska, zeszło nam szybko na czułe wyznania, snucie zwierzeń, wspólne planowanie oraz marzenia. Z każdym kolejnym listy robiły się coraz pikantniejsze i gorętsze. Gdy pisałam wyznania, w które miejsca będę go całować i co mu pieścić, stalówka pióra zdawała się rozgrzewać do czerwoności, zupełnie niczym moje policzki. Jeszcze namiętniej było, gdy czytałam jego odpowiedzi! Miałam wrażenie, że czuję jego mocne, ale delikatne ręce na całym ciele. Że jego usta muskają mnie w najintymniejsze miejsca, a język zagłębia się w... Och, dość!

Strach pomyśleć, co byłoby, gdyby któryś z tych listów wpadł w ręce księżnej. Nie wątpiłam, że mogłoby się to dla mnie źle skończyć.

Mimo że Anna Pietrowna zapewniała mi codziennie mnóstwo atrakcji, bo sama nie lubiła się nudzić, dni i tak wlekły mi się niezmiernie ospale. Kilka razy zostałam przyłapana przez księżną na bujaniu w obłokach. No cóż, coraz bardziej tęskniłam do ukochanego. Nie mogłam się doczekać, aż zrobimy wszystko, o czym sobie pisaliśmy.

Aż przyszedł dzień, który gwałtownie sprowadził mnie na ziemię. Byłyśmy właśnie z wizytą u przybyłej niedawno do Warszawy przyjaciółki księżnej, generałowej Miezencowej. Piłyśmy herbatkę, a ja jednym uchem przysłuchiwałam się rozmowie starszych pań. Szybko domyśliłam się, że pani Leopoldyna jest jedną z dam dworu i księżna musi grać przed nią wielką panią. Siedziały więc sztywne i nadęte, prawiąc komunały i mądrości o życiu na cesarskim dworze. Salon gościnnie sąsiadował z gabinetem małżonka gospodyni, który nagle, z hukiem otworzywszy drzwi, zaszczyił nas swoją obecnością.

Zesztywniałam ze strachu, patrząc na postawnego jegomościa

z ogromniastymi, czarnymi wąsiskami, usztywnionymi fryzjerską pomadą w groźne szpice. Generał wyglądał na wzburzonego, wrzeszczał przez ramię na idącego za nim młodego adiutanta, który pokornie próbował coś mu wytłumaczyć. Generał wymachiwał pękiem papierów, rycząc dość wulgarnie o tępych chamach, nieudacznikach i łamagach. Trzepnął chłopaka papierami w głowę, aż te rozsypały się po całym pokoju.

Patrzyłam na gospodarza wytrzeszczonymi oczami, bojąc się poruszyć. To nie był byle sztabowiec, ale sam generał-adiutant Nikołaj Władimirowicz Mieziencow, szef słynnego III Oddziału Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości, czyli mówiąc wprost: dowódca tajnej policji. Niby nie miałam czego się bać, ale kto ich tam wie, szpionów i śledczych. Lepiej nie rzucać się takim w oczy.

– Nikołaju, co robisz? – oburzyła się generałowa.

Oficer w jednej chwili oprzytomniał, rozejrzał się i dopiero wtedy spostrzegł obecność księżnej oraz moją. Ukłonił się niezgrabnie w naszym kierunku. Jego adiutant wyprężył się i trzasnął obcasami.

– Wybacz, moja duszko, i pani, wasza ekscelencjo, proszę mi darować – mówiąc to, położył dłoń na piersi. – To przez kłopoty z moimi nieudolnymi agentami. Przysłałem całą ich kompanię do Warszawy, by rozpracowali lokalną siatkę Ziemi i Wolności, licząc na to, że gdy się tu zjawię, cele w Cytadeli będą pełne spiskowców. Wiecie, jak ci cholerni Polacy chętnie przystępują do wszelkich stowarzyszeń, które mogą zaszkodzić Rosji...

– Och, nie nudź nas opowieściami o biedakach knujących przeciw carowi, to takie żałosne stworzenia – westchnęła generałowa.

– Wcale nie żałosne. Zaczyna się od drukowania ulotek i pisemek o wywrotowych treściach, potem dochodzi do organizowania demonstracji, zamachów na przedstawicieli władzy, a kończy na rewolucji! – Generał znów zapłonął gniewem. – Pierwsze dwa punkty Ziemia i Wolność już wykonała, a ostatnio doszło do trzeciego etapu. Pobito oficerów żandarmerii w Moskwie i Kijowie, strzelano do gubernatora w okręgu krymskim. Tylko patrzeć, jak zaatakują cesarską rodzinę! Musimy dopaść rewolucjonistów, zanim stanie się coś złego. – Obrócił się do wyprężonego adiutanta i wskazał na podłogę. – Na co czekasz, chłopcze? Zbieraj te papiery!

– Czy rewolucyjna zaraza dotarła już do Warszawy? – spytała księżna.

– Owszem. Kilka miesięcy temu w mieście natrafiono na trop panny

Perowskiej, znanej wicherzycielki – odparł generał. – Liczyłem na to, że przysyłając tu agentów, szybko uda się rozbić nową komórkę Ziemi i Wolności. I co zastaję po dwóch miesiącach inwigilacji, prowokacji i zastraszania? Nic. Ledwie listę podejrzanych. I to jakich podejrzanych! Myślą panie, że znajdują się na niej groźni przestępcy, skaptowani przez rewolucjonistów wojskowi lub urzędnicy? Nic z tego. Podaj mi listę, chłopcze! Nie tę! Gdzie są te nazwiska?

Spojrzałam na kartki, które wylądowały u moich stóp, i bez zastanowienia je podniosłam. Na pierwszej rzuciła się w oczy kolumna ze spisanyimi nazwiskami i rubryką z adresami. Odruchowo przeleciałam je wzrokiem i z wrażenia wciągnęłam ze świstem powietrze. Adiutant wyjął z mojej ręki papiery i podał je generałowi.

– Proszę bardzo, oto spiskujący przeciw caratowi – sapał Mieziencow. – Śpiewaczka teatralna, guwernantka i nauczycielka matematyki oraz fizyki, a do tego na deser dwie przekupki z targowiska. Wszystko to trzon wojowniczek o prawa kobiet i robotników! Śmiechu warte.

Nazwiska tych wojowniczek dobrze znałam. To były kolejno: zadziorna Maria Kałussowska, poważna i spokojna Aniela, a na deser przedsiębiorcze handlarki Janka z Gertrudą. Znaczyło to, że w międzyczasie Mania wciągnęła do szajki wszystkie przyjaciółki poznane w kantorze stręczenia guwernantek. Pięknie!

– Zamierza pan aresztować te dziewczyny? – spytałam po krótkiej walce z zaciskającym gardło przerażeniem.

– Nie mam wyjścia – mruknął generał, rozkładając ręce. – Posiedzą sobie w areszcie śledczym, nastraszy się je i może uda wyciągnąć kontakt do osobistości postawionych wyżej w buntowniczej hierarchii. Nie łudzę się, że te dziewoje dadzą nam kontakt do kogoś znacznego; same pewnie nawet wielce nie zawiniły przeciw prawu, ale przystępując do spisku, zadarły z caratem, i muszą za to zapłacić.

Co się działo dalej, nie za bardzo pamiętam. Byłam zbyt wstrząśnięta i rozdygotana. Resztę wieczoru gryzłam się, co miałam teraz zrobić. Dawno już machnęłam ręką na prośby i groźby panny Perowskiej, która próbowała skłonić mnie do szpiegowania dla buntowników, więc gdyby to o nią chodziło, nie kiwnęłabym palcem. Ale na liście znajdowały się moje przyjaciółki! Przez naiwność i gorącą głowę Mani wpakowały się

w straszliwą kabałę. Nawet sobie nie zdają sprawy, co im grozi. Nie mogłam tego tak zostawić. Stwierdziłam, że jeśli nic nie zrobię, będę je miała na sumieniu.

Wieczorem odstawiłam księżną do domu i oświadczyłam jej, że idę odwiedzić ciotkę. Tak się składało, że od jakiegoś tygodnia mieszkałam w rezydencji kniahini, w pałacu Pod Blachą. Anna Pietrowna przeznaczyła mi niewielki pokój na drugim piętrze i choć była to tylko skromnych rozmiarów pakamera, czułam się w niej niczym królowa. Przeprowadziłam się tam kilka dni temu i od tamtego czasu nie odwiedzałam rodziny, kniahini przyjęła więc wytłumaczenie bez zastrzeżeń.

Oczywiście zamiast do ciotki pognałam w te pędy pod adres, który ostatni raz dała mi Mania. Nie zastałam jej na kwaterze, okazało się, że wieczorami śpiewa w teatrzyku. Nie byłam przekonana, czy wypada mi kręcić się po nocy przed jednym z prywatnych teatrów, które nie miały specjalnie dobrej opinii. Podejrzywałam, że mogę oberwać od lokalnych prostytutek, z pewnością warujących w okolicy, by polować na wychodzących z przedstawienia jegomościów. Po namyśle postanowiłam nie ryzykować pobicia i udałam się pod adres domu, w którym jako guwernantka pracowała panna Aniela.

Idąc ulicami, miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi, ale zrzuciłam to na karb zdenerwowania całą sytuacją. W pewnym momencie wskoczyłam nawet w bramę, by zmylić pościg i zamarłam w ciemnościach. Po chwili przeszedł jeden jegomość, a za nim kolejny. Tkwiłam tak w pachnącej moczem dziurze, aż mi się to znudziło. Wyszłam równie gwałtownie, jak się ukryłam i wpadłam wprost na trzeciego przechodnia.

– Skatina!<sup>11</sup> – zaklął po rusku.

– Izwinitie!<sup>12</sup> – rzuciłam i spojrzałam mu w twarz.

Pochylił głowę i oddalił się bez słowa. Znałam go, lecz nie wiedziałam skąd. Dopiero wiele miesięcy później uświadomiłam sobie, że był to zaufany lokaj księżej, niejaki Siergiej. Oślizły typ, zwykle nierzucający się w oczy.

Wzruszyłam ramionami i nie zastanawiając się dłużej, poszłam do domu przyjaciółki. Zastukałam w drzwi do bramy, ale nikt nie odpowiadał. Okna rozświetlał blask lamp naftowych, a więc gospodarze jeszcze nie spali. Załomotałam więc pięścią, aż wreszcie pojawił się stróż, wąsaty chłop w wiejskiej kapocie. Wręczyłam mu dziesiątaka za fatygę i zażądałam natychmiastowego wezwania guwernantki. Drab się nie kwapił, by niepokoić



nauczycielkę z domu jaśniepaństwa, bełkotał, że „ni mogę, dalibóg, ni mogę”. Musiałam wcisnąć mu jeszcze dwie monety, czyli w sumie pół złotego. Za to mógł już kupić flaszkę gorzałki, więc bijąc mi pokłony, kazał czekać i znikł w głębi domu.

Myślałam już, że zgarnął monety i mnie oszukał, ale w końcu, po nieskończeniu długim czasie, pojawiła się Aniela. W skromnej sukience z kołnierzykiem zapiętym pod samą szyją i włosami związanymi w zgrabny koczek wyglądała jak rasowa guwernantka, klasyczna szara myszka.

– Józia, to ty? Coś się stało? – spytała, wpuszczając mnie do sieni. – Pewnie zmokłaś na tym deszczu, wchodź...

– Pewnie, że zmokłam – mruknęłam. – Napiłabym się czegoś gorącego.

– Niestety nie wolno mi przyjmować gości, choć z drugiej strony, jeśli wprowadzę cię do kuchni, może mnie nie wywalą z roboty.

– I tak cię wywalą, chyba że jeszcze dziś sama zrezygnujesz – burknęłam. – Nie gap się jak cielę. Zachciało ci się walki o prawa kobiet? Spiskowania przeciw carowi? To najdalej jutro wylądujesz na Pawiaku albo od razu w Cytadeli. Pakuj kufer i jeszcze dziś przeprowadź się do hotelu. Rankiem wsiadaj do pierwszego pociągu. Więcej, byle dalej stąd.

Oczywiście zrobiła wielkie oczy i zaczęły się głupie pytania: Co mówisz? Jak to? Dlaczego? Skąd wiesz? Co to będzie? Co robić? Co robić?

– Zesrać się i tak chodzić! – wydarłam się na idiotkę.

Musiałam nią potrząsnąć, by zaczęła myśleć rozsądnie. Wreszcie zebrała się do kupy i przyznała, że rzeczywiście na jakiś czas powinna zniknąć z Warszawy. Były szanse, że tajna policja machnie ręką na konspiratorki od siedmiu boleści, przecież i tak były tylko nic nieznaczącymi płótkami.

Pozostało nam powiadomić kolejne dziewczyny. Operacja była dość skomplikowana i czasochłonna, zajęła nam pół nocy, w trakcie której wędrowaliśmy z walizami po mieście tam i z powrotem, ale w końcu cztery naiwniaczki zostały powiadomione o zagrożeniu. Wszystkie ukryły się w mieszkaniu brata Gertrudy, gdzie postanowiły przeczekać kilka dni i zastanowić się, co dalej. Pożegnałam je, nie czekając na podziękowania i powlekłam się do pałacu, gdzie dotarłam niedługo przed świtem.

Następne kilka dni czekałam z niepokojem na informacje od dziewczyn, ale panowała cisza. Potem dowiedziałam się, że Mania wyjechała do Rosji, gdzie mogła być w centrum wydarzeń i działać na całego w tajnej organizacji. Kilka

miesiący później w Petersburgu zamachowcy Narodnej Woli, jednego z dwóch ugrupowań, na które rozpadła się Ziemia i Wolność, zasztyletowali szefa III Oddziału, którego miałam okazję poznać, generała Mieziencowa. Nie wiem, czy Mania nie miała z tym czegoś wspólnego.

Aniela wróciła do domu i niedługo potem wyszła za mąż za całkiem sympatycznego sekretarza kolegiального, któremu zmarła żona, zostawiając go z czwórką dzieci. Guwernantka stała się więc macochą i gospodynią ludnego oraz gwarneho domu. Jasia i Gertruda ukrywały się jakiś czas w mieście, a potem wróciły do handlu na targowisku, tylko w innym miejscu. Środowisko warszawskich przekupek jest nie do rozpracowania przez carską policję, dziewczyny mogły się więc ukrywać na targowiskach całymi latami, tocząc w zasadzie normalne życie.

Wreszcie nadszedł dzień przyjazdu Fiodora na urlop. Obie z kniahinią oczekiwałyśmy go z równą niecierpliwością i tęsknotą. Właściwie byłam po stokroć bardziej podekscytowana przybyciem księcia niż jego matka, tyle że ja musiałam to ukrywać. Anna Pietrowna za to nie kryła radości, już kilka dni przed przyjazdem syna kazała przygotować dla niego pokój, wywietrzyć pościel i oblec ją w jedwabne poszewki, kucharzowi nakazała sprowadzić produkty niezbędne do przyrządzenia ulubionych przysmaków księcia, osobiście kupiła też potwornie drogie, hawańskie cygara, które jakoby lubił. Ja za bardzo nie wiedziałam, co mu podarować, zresztą cały dochód podzieliłam między wujostwo i na fundusz przeznaczony na uczelnię mojego brata.

Teoś przyjechał późnym popołudniem, a my dwie czekałyśmy na niego na placu przed Dworcem Wiedeńskim. Kiedy się wreszcie odprawił i stanął przed nami, nie wiedział przez chwilę, którą z nas pierwszą ma uściskać. Wreszcie ucałował serdecznie matkę, mrugając do mnie porozumiewawczo. Dopiero po przywitaniu się z rodzicielką kurtuazyjnie ucałował mnie w dłoń. Wiedziałam, że kniahini nas obserwuje, zachowywałam się więc powściągliwie, choć miałam ochotę rzucić mu się na szyję i objąć go z całych sił. Także nogami.

Byłam już na tyle wtopiona w rodzinę Czernyszewów, że oczywiste było, iż zjem kolację razem z nimi. Wieczera miała być domowym posiłkiem, ale trudno uzyskać rodzinną atmosferę w bogatych i wyniosłych wnętrzach

pałacu. Jakoś się jednak udało. Księżnej nie zamykały się usta, cała jej żywołość eksplodowała, pobudzona radością z przyjazdu syna. Opowiadała jak nakręcona o wszystkim, co ją spotkało, również o naszej przygodzie z Kozakami, choć wcześniej pisała mu o tym w listach. Tym razem pochwaliła moją odwagę i Teoś miał okazję otwarcie się na mnie pogapić i wygłosić kilka komplementów. Poza tym słuchał cierpliwie matki i próbował nawet opowiadać nam swoje przygody w czasie oblężenia Plewny, ale księżna go zagadała.

Książę zerkał na mnie coraz śmieiej, w dodatku w taki sposób, że z trudem hamowałam drżenie. Jego oczy błyszczały gorącym uczuciem i, niech mnie kule biją, pożądaniem! Czuję, że pod jego gorącym spojrzeniem roztapiam się niczym masło rzucone na rozgrzaną patelnię. Miałam wrażenie, że zaraz się całkiem rozpuszczę i zacznę skwierczeć.

– Nic ci nie jest, złotko? – zainteresowała się Anna Pietrowna. – Dostałaś straszliwych wypieków. Może masz gorączkę? Chcesz się położyć?

– Nie, ależ skąd. To przez ostro przyprawiony sos – bąknęłam.

– A mama nie jest zmęczona? – rzucił lekkim tonem Teoś. – Długo musiałyście na mnie czekać, a pogoda dziś paskudna. Może pora wypić gorące mleko i zakopać się w pierzynach?

Bezczelna próba pozbycia się rodzicielki jednak nie zadziałała. Księżna kipiała energią i po kolacji całą trójką przenieśliśmy się do bawialni, by zasiąść przed kominkiem i wypić po kieliszku słodkiej nalewki. Teoś dostał zgodę, by w naszym towarzystwie wypalić cygaro, choć kurzenie przy damach nadal uchodziło za niestosowne. Przynajmniej w arystokratycznym towarzystwie.

– Czy pani pali, Józefo? – zapytał mnie, zanim przypalił sobie cygaro.

– Cóż za pomysł! – oburzyła się księżna.

– Niech mama nie będzie niedzisiejsza, przecież kobiety coraz częściej sięgają po przyjemności dotychczas zarezerwowane dla mężczyzn. Weźmy choćby księżną Abchazową, nie rozstaje się z papierosami, a pali je zawsze w długich firkach. Kniahini Chiłkowa natomiast bierze udział we wszystkich możliwych polowaniach, nawet na syberyjskie tygrysy lub afrykańskie słonie, i lubi tęgo popić. Mało kto ma tak mocną głowę.

– Co ty opowiadasz, Fiodorze! Co sobie Żuza pomyśli o rosyjskiej arystokracji? – Kniahini groźnie zmarszczyła brwi. – Zresztą Aleksandra

Chiłkowa wychowywała się u boku dziadka, wielkiego generała i zabijaki. Nic dziwnego, że zaszczepił ukochanej wnuczce swoje własne upodobania. To się zdarza, ale nie przesadzajmy z tą powszechnością zmian obyczajów!

– Kochanka Chopina, pani George Sand, ponoć uwielbiała palić cygara – dodałam z głupia frant.

– Francuska ladaczniczka! Choć trzeba przyznać, że napisała kilka nie najgorszych powieści – odparowała księżna.

– Zatem zapali pani ze mną, Józefo? – spytał Teofil.

– Lubię zapach tytoniowego dymu, zdarzyło mi się wypalić kilka cygaretek i z chęcią spróbowałabym słynnego kubańskiego tytoniu, ale nie wiem, czy księżna pani nie będzie miała mi tego za złe – powiedziałam nieśmiało.

– Och, młodzi! – prychnęła Anna Pietrowna, podnosząc się z fotela. – Kurzcie sobie na zdrowie. Skoro takie nadeszły czasy, że kobiety palą cygarety, trudno. Nie chcę jednak na to patrzeć i siedzieć w kłębach dymu. Idę spać. Bylebyście nie marudzili zbyt długo, jutro rano wybierzemy się na przejażdżkę na Bielany. Lubimy z Żuzą niedzielne festyny, które tam się odbywają.

– To prawda, wasza ekscelencjo – przytaknęłam grzecznie.

Księżna faktycznie dobrze się bawiła w tłumie szalejących warszawiaków. Słuchałyśmy zwykle koncertu, a potem szłyśmy do miejscowej karczmy na pyszną, świąteczną wyzerkę. Kilka razy przejechałyśmy się także karuzelą, a raz Anna Pietrowna pozwoliła jakiemuś zawianemu jegomościowi porwać się w tany do muzyki rżniętej przez podwórkową kapelę.

– To ostatnia okazja, bo festyny przestaną się odbywać wraz z nadejściem zimy – powiedziałam niepewnie, gdy wreszcie zostaliśmy sami.

– O, tak! Zatem nie mogę przepuścić podobnej atrakcji!

Książę mrugnął porozumiewawczo i na palcach podszedł do drzwi. Przyłożył do nich ucho, a potem uchylił cicho i rozejrzał się po korytarzu. Odwrócił się do mnie z rozpromienioną miną.

– Niebawem, zostawiła nas samych – powiedział.

Nie umknęło mojej uwadze, że zamykając drzwi, dyskretnie przekręcił klucz w zamku. Poniosło mnie. Rzuciłam się w jego stronę i dopadłam w dwóch susach. Przechwycił mnie w locie i przycisnął do piersi. Utonęłam w jego ramionach, wtuliłam się z całych sił. Po chwili całował mnie szybko i gwałtownie. Nie pamiętam, ale chyba coś mówiliśmy, jakieś wyznania, ale

więcej w nich było westchnień niż składnej wymiany myśli.

Później okazało się, jak trudno wyłuskać kobietę z sukni i gorsetu oraz jak ciężko jest rozpiąć rząd złotych guzików carskiego munduru. Rozbieraliśmy się nawzajem, niecierpliwie i w pośpiechu. Kilka błyszczących guzików po prostu urwałam, nie mogąc zapanować nad pożądaniem. Trzasnęła też rozpruta na boku moja najlepsza kiecka, ale miałam to gdzieś.

Wylądowaliśmy na skórze rozścielonej przed kominkiem, już bez ubrań, w dodatku spleceni ze sobą w sposób, który dziś wydaje mi się niemożliwy. Pozwoliłam zerwać sobie wianek bez zastanowienia, właściwie czekałam od dawna na ten moment. Było niezmiernie gorąco i gwałtownie. Świat znikł i zostaliśmy tylko my dwoje, rozpaleni do czerwoności. Oświetlał nas ogień pełgający w kominku i jedna naftowa lampa z alabastrowym kloszem, dającym mętne, żółte światło. Gdy wycisnęliśmy z siebie wszystkie siły, czułam się jak we śnie, dziwnie zmęczona, ale również odprężona.

Leżałam w jego ramionach. Patrząc w ogień, wypaliliśmy wspólnie cygaro. Błękitny dym wirował ospale, omiatał nasze ciała. Zapach dymu z cygar chyba już zawsze będzie kojarzył mi się z intymnymi pieszczotami i bliskością mojego księcia. Cygaro bowiem nie zdążyło się spalić, gdy znów zajęliśmy się sobą. Tym razem spokojniej i dokładniej. Do dziś pamiętam wszystkie znamiona i niedoskonałości na jego ciele. Bliznę na ramieniu po cięciu ćwiczebną szablą, piegi na plecach, pieprzyk na podbrzuszu i śmieszne znamię na prawym pośladku, myszkę w kształcie serduszka, wielkości trzyrubłówki.

– Przerobiłem twoją broszę na wisiołek – powiedział później. – Noszę go na piersi na złotym łańcuszku. Jak dotychczas przynosił mi szczęście i strzegł przed tureckimi kulami.

– Cieszę się, że ma tak potężną moc. Niech zatem chroni cię jak najdłużej – odparłam.

Wtedy jeszcze nie spodziewałam się, że rychło do mnie wróci, i to w wyjątkowo przykrych okolicznościach. Dostałam go z powrotem z rąk księżnej, jakieś dwa miesiące po powrocie Fiodora na front. Wisior przyjechał w paczce razem z rzeczami księcia. Zawinięty w okrwawiony halsztuk, nosił wyraźną rysę, ślad po szrapnelu. Pocisk artyleryjski rozprysnął się przed kompanią mojego księcia, gdy ten prowadził lejbgwardzistów do boju. Setki odłamków pokiereszowały rotę, łącznie z dowódcą. Brosza znów go uratowała, bo fragment szrapnela wyhamował na złocie i tylko lekko

go skaleczył. Niestety kilka innych wbiło się znacznie głębiej w ciało mojego ukochanego.

Dostaliśmy wiadomość, że leży w lazarecie, w zdobytej przez Rosjan Plewnie. Rany jednak nie kwalifikują go do transportu. Księżna wzięła się energicznie za ratowanie syna, zabrała się za pakowanie i przygotowania do wyjazdu, w związku z tym udzieliła mi szeregu instrukcji i uprawnień. Awansowałam z asystentki na pełnomocnika rodziny Czernyszewów. Powierzono mi sporą sumę. W ogóle Anna Pietrowna okazała mi tak duże zaufanie, że czułam się dziwnie i niepewnie. Dostałam zadanie przygotowania lokum w spokojnej i sprzyjającej zdrowiu okolicy, gdzie mój ukochany będzie mógł w godnych warunkach się wykurować. Tymczasem kniahini wyruszyła na Bałkany odszukać syna.

Przy księżnej trzymałam się mocno, nawet sama próbowałam ją pocieszać, że z pewnością Fiodor szybko dojdzie do siebie, najważniejsze, że żyje i jest pod opieką lekarzy. W środku jednak kipiałam z przerażenia, dygotałam niczym osika, a kilka nocy chyba w całości przepłakałam. Zaczęłam cierpieć również na ciele, robiłam się dziwnie osłabiona, pojawiły się niestrawności, wymiotowałam. Podejrzewałam, że to zwykłe objawy hysterii, szczególnie że zaatakowały mnie migrenowe bóle, a któregoś ranka, zaraz po wstaniu z łóżka, zemdlałam. Myliłam się, rzecz jasna, to nie była histeria. To moje ciało się zmieniało, szykując na coś wielkiego.

Zostałam w Warszawie sama, roztrzęsiona i bolejąca. Mimo wszystko wzięłam się energicznie za powierzone zadanie znalezienia lokum w przyjaznej okolicy, gdzieś niezbyt daleko od Warszawy, ale tak, by zapewnić Teosiovi potrzebny spokój oraz wygody. Nie mogłam jednak znaleźć niczego, co zadowoliłoby księżną. W dodatku moje wewnętrzne roztrzęsienie pogłębiało się, aż w końcu wybrałam się do kościoła. Kiedy trwoga, to do Boga!

Wyspowiadałam się, przyjęłam komunię świętą i w jednej chwili zebrałam się do kupy. Poczułam się znacznie lepiej, a przede wszystkim zrobiło mi się lżej na duszy. Promienie słońca, wpadające przez oblodzone witraże, opalizowały ciepło na kamiennych posadzkach kościoła Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny. Siedziałam i delektowałam się zaznaną błogością, gdy akurat przechodził przygarbiony diakon. Duchowny uśmiechnął się do mnie po ojcowsku. Coś mnie tknęło i bez zastanowienia podeszłam

do niego. Wręczyłam mu wisior z zarysowanym medalionem jako wotum w podziękę za ocalenie życia Fiodorowi i jednocześnie w intencji jego uzdrowienia.

Wyszłam z kościoła, niemal nie dotykając stopami ziemi, niczym niesiona na anielskich skrzydłach. Wzmocniona, oczyszczona i pewna siebie. Teraz mogłam odnaleźć uzdrowisko, w którym wyleczy się mój książę.

[11](#) (z ros.) Bydlę.

[12](#) (z ros.) Przepraszam.

– Niech to lichy, księciu zmałstrował twojej praprababusi dzieciaka – oznajmiła Ania.

– Chodzi ci o dręczące ją wymioty i migrenę? – spytała Ola. – Mam identyczne podejrzenie. I jeszcze ta uwaga, że to nie histeria, a ciało przygotowuje się na coś wielkiego. Wiadomo, o co chodzi. Józia zaszła w ciążę, jak nic!

Julia zastygła, wpatrzona w ostatnią kartkę. Miała mieszane uczucia. To, że Józia zaszła w ciążę, o niczym jeszcze nie świadczyło. Mogła poronić lub dziecko mogło umrzeć w niemowlęctwie. O ile się orientowała, w tamtych czasach śmiertelność wśród dzieci była zatrważająca, właściwie mało które dożywało dorosłości. Mimo to Julia czuła się dziwnie, gorąco rozlewało się jej w piersi. Czy to ciągle przez kaca, skąd to dziwne pobudzenie?

Pieczołowicie dołączyła zdobyte kartki do pozostałych. Pamiętnik zaczynał robić się gruby i choć jego treść kojarzyła się ze sztamowym romansidłem, coraz bardziej ją wciągał. Może dlatego, że coraz mocniej dotyczył jej osoby.

– Pozwoli pan skorzystać z toalety? – spytała majora-hrabiego Bnińskiego.

Dziadek ukłonił się jej, wskazując drzwi w przedpokoju i patrząc na Julię z zagadkowym uśmiechem. Przyjaciółki zajęły się rozważaniami, co miała zrobić zapłodniona przez arystokratę praprababcia. Ania twierdziła, że powinna zażądać od księżnej ogromnego zadośćuczynienia i alimentów. Ola popukała się w głowę i oznajmiła, że w tamtych czasach nie znano alimentów. Józia powinna dogadać się księciem, tak jak Ola dogadała się ze Staszkiem, ojcem swoich dzieci. Przelewa jej co miesiąc pewną kwotę, za to obyło się bez ciągnięcia po sądach, wzajemnych oskarżeniach i nienawiści. Żadna z dziewcząt nie rozważała możliwości pobrania się pary, podsunętej przez Bnińskiego. Ania stwierdziła, że coś takiego wchodzi w grę jedynie w bajkach.



– A księżę Karol? – przypomniała sobie Ola. – Wziął sobie za żonę Dianę, zwykłą dziewczynę.

– Diana była hrabianką, brytyjską arystokratką – z wyższością odparła Ania, zaskakując wszystkich znajomością niuansów życia brytyjskiej rodziny królewskiej. – Gdybyś podała jako przykład romans króla Edwarda VIII z amerykańką Wallis Simpson, byłabyś bliżej. Wprawdzie tamten związek zakończył się abdykacją króla, choć faktycznie, pobrali się. Tak czy inaczej, był to jeden z nielicznych mezaliansów i miał miejsce w XX wieku. W czasach, gdy żyła Józia, coś takiego byłoby absolutnie nie do pomyślenia.

– A skąd wiesz takie rzeczy? – zainteresowała się Ola.

– Z gazet dla kobiet – prychnęła Ania. – Czekaając na lekarzy, którym próbuję wcisnąć sprzęt medyczny, muszę czasem cierpliwie siedzieć w poczekalni. W prywatnych gabinetach leży zwykle cała fura kolorowych pisemek. Są wręcz konieczne w poczekalniach stomatologicznych. Sama przecież nie kupiłabym tego badziewia!

Julia przysłuchiwała się rozmowie przyjaciółek jednym uchem, myślami błądząc w odległych czasach. Wreszcie skupiła wzrok na swoim lustrzanym odbiciu. Stała dłuższą chwilę i patrzyła sobie w oczy. Pokazała język, a potem rozpięła spodnie i spuściła je do kolan. Następnie odwróciła się i opuściła majtki, wystawiając prawy pośladek do lustra.

*...pamiętam wszystkie znamiona i niedoskonałości na jego ciele. Bliznę na ramieniu po cięciu ćwiczebną szablą, piegi na plecach, pieprzyk na podbrzuszu i śmieszne znamię na prawym pośladku, myszkę w kształcie serduszka, wielkości trzyrubłówki.*

– Trzyrubłówka była właśnie tej wielkości? – mruknęła, oglądając znamię na pośladku – ciemne serduszko, którego wstydziła się kolejno przed wszystkimi swoimi chłopakami, a którego widok ich wszystkich (czyli w sumie trzech) bawił i rozczulał.

Podciągnęła spodnie i jeszcze raz spojrzała w lustro, tym razem robiąc wyniosłą, iście księżęcą minę. Wreszcie wyszła z łazienki i od razu spotkała się ze świdrującym spojrzeniem staruszka. Dziewczyny ciągle gadały o mezaliansach i królewskich dzieciach, bazując przede wszystkim na wiedzy wyniesionej z plotkarskich magazynów i telewizji. Dopiero po chwili zwróciły uwagę na minę Juli.

– Coś ci utkwilo w gardle? – spytała Ola. – Czemu się tak wytrzeszczasz?

– Mam na tyłku książęce serce, piętno rodziny Czernyszewów – powiedziała krótko. – Już się domyślam, dlaczego zwrócił się pan do mnie per wasza ekscelencjo, panie Bniński. Jestem książęcym bękartem, co prawda w trzecim pokoleniu i bez praw do tytułu, ale jednak.

– Mniej więcej ma pani rację – przyznał hrabia. – Myślałem, że domyśliła się pani tego wcześniej, dlatego pośpieszyłem się nieco z tytułowaniem. Jedyny syn Józefy Jasińskiej, pani pradziadek, Teodor Jasiński, był nieślubnym dzieckiem księcia Czernyszewa. Główna linia Czernyszewów wyginęła w czasie rewolucji, rozstrzelana w całości przez czerwonarmistów, pozostała jedynie linia bękarcza, pani pradziadka. A tak się składa, że jest pani w prostej linii, po mieczu, jak to się mówi, jedyną dziedziczką. Ostatnią z rodu.

– Nie mogę – parsknęła Ola. – Nasza Julcia jest księżną panią?

– Księżniczką – doprecyzował Bniński. – Dopiero po śmierci stryja odziedziczy pełny tytuł.

– Ale jaki tytuł, do licha? O czym pan mówi? – prychnęła Julia. – Przecież bękarty nie dziedziczą tytułów.

– Niekoniecznie. Wszystko zależy od postawy ich ojca.

Hrabia wstał i podszedł do jednego z regałów. Wyciągnął z niego masywny album i zaczął go wertować. Wreszcie pokazał Julii barwną rycinę przedstawiającą herb. Tarczę, otoczoną sztandarami i udekorowaną rycerskim hełmem w książęcej koronie, podpierają dwa czarne ptaszyska. Właściwy herb podzielony był na cztery pola z naprzemiennie umieszczonymi czarnymi orłami i czerwonymi szlaczkami, a w środku znajdowało się jeszcze jedno, z niebieską tarczą z podkową.

– Ten element to średniowieczny, polski herb, na pamiątkę pochodzenia rodu, który zanim stał się kniaziowskim, pochodził od polskiego szlachcica... – tłumaczył Bniński.

– Wiemy! Wziętego do niewoli przez Rosjan – wtrąciła się Ania. – Było już o tym w pamiętniku.

– Dobrze, zatem sprawa jest jasna. – Bniński skinął głową, po czym odwrócił kartkę. – A oto herb, który został nadany pradziadkowi Teodorowi Jasińskiemu.

Na kolejnej stronie znajdowało się identyczne godło, lecz przekreślone w poprzek grubą krechą.

– Bękarci herb, przecięty belką – wyjaśnił Bniński. – Księżę Czernyszew oficjalnie uznał Teodora swoim synem i zadbał o jego uhonorowanie. Dziedziczy zatem panienska spuściznę rodu Czernyszewów i jak najbardziej jest księżniczką!

Staruszek z trzaskiem zamknął księgę i odstawił ją na regał. Julia pokręciła głową. Chciało się jej śmiać. Przecież herby i tytuły nie miały w dzisiejszych czasach żadnego znaczenia i zastosowania, były reliktem dawnych epok. Zdaje się nawet, że polska konstytucja zakazywała ich używania, a jeśli nie otwarcie zakazywała, to i tak stanowiła, że wszyscy Polacy są sobie równi. Stan szlachecki już dawno został zniesiony.

– Może usiądziesz, królewno? – zaproponowała Ola. – Jeszcze kubeczek jaśniepańskiej herbatki?

– Azaliż coś jeszcze zostało, dobra kobieto? Polej zatem z łaski swojej. – Julia skinęła głową, siadając na kanapie obok przyjaciółki.

– Nie uchybi ci użyta już raz filiżanka?

– Razi mnie, że muszę zniżyć się do używania tak prostych naczyń, ale tak to jest, gdy przystaje się z plebejuszami – odparła z godnością Julia, odbierając napełnioną filiżankę. – Wypada mi niestety pospolitować się z wami i robić dobrą minę, zachować klasę. Wszak *noblesse oblige*.

– Co ona mówi? – mruknęła Ania. – Obraża nas, czy co?

– Jejmość panna raczy sobie żartować – odpowiedziała Ola. – A ja naprawdę cieszę się, że mam przyjaciółkę księżniczkę.

Julia skinęła jej łaskawie, a potem założyła nogę na nogę i ujęła filiżankę za uszko, prostując najmniejszy palec. Napiła się, siorbiąc głośno. Zaczynała się coraz lepiej bawić, chyba w żyłach dudnił jej jeszcze alkohol. Cała sytuacja zrobiła się absurdalna.

– To zatem jest ta niespodzianka ciotki Aurelii? – spytała Ania, wskazując na pamiętnik. – Szlachecki tytuł dla naszej sierotki? Szkoda, że nic więcej się z nim nie wiąże.

– Pragnę zauważyć, że pamiętnik nie jest jeszcze skompletowany – wtrącił major-hrabia Bniński. – Pannę Julię czeka jeszcze zadanie do wykonania. Gdy uda się jej odzyskać broszę, czy właściwie wisior, otrzyma następną część rękopisu.

– To nie koniec niespodzianek? – ożywiła się Ola. – Pewnie wyjdzie na to, że Julka jest spokrewniona z angielską królową i należy do niej połowa Indii

Zachodnich. Dobra, dziewczyny, osobiście jestem ciekawa dalszej części romansu. Wyruszamy na poszukiwania?

– A kto właściwie ma następną część? – zainteresowała się Julia. – Pan, hrabio?

– Nie. Kolejne strony rękopisu zostały zdeponowane u notariusza, a właściwie w kancelarii prawnej na Nowym Świecie. Zostaną przekazane panie Jasińskiej, jeśli okaże złotą broszkę z zielonym kamieniem szlachetnym, uszkodzoną w charakterystyczny sposób, prawdopodobnie kawałkiem żelaza. Zaraz dam pani adres tej kancelarii, o tu mam wizytówkę. Proszę.

Julia wzięła ją i obejrzała. Trzymała w ręku karteczkę z czerpanego papieru z ozdobnym napisem głoszącym: P&P – Plewniak & Partners.

– Acha, muszę tylko jeszcze odzyskać medalion. A gdzie on właściwie jest? – bąknęła Julia.

– Józia przekazała go jako wotum do kościoła – przypomniała Ola. – Trzeba tam iść i o niego popytać. Jeśli dobrze pójdzie, wota mogą nadal wisieć przy ołtarzu, sama widziałam takie w starych kościołach. Wiecie, medale, naszyjniki, kule i laski uzdrowionych, krzyże i różne świecełka.

– Który to był kościół? Jeśli niedaleko, możemy zaraz tam skoczyć – powiedziała Ania z ożywieniem.

Julia sprawdziła w pamiętniku.

– Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny – odczytała. – Pewnie jest niedaleko pałacu Pod Blachą, a z pewnością w starszej części miasta.

– Księżniczka ma rację – wtrącił staruszek. – To jeden z najstarszych warszawskich kościołów, stoi na Nowym Mieście. Niestety do naszych czasów nie zachował się w oryginalnym kształcie, w czasie wojny został ograbiony przez Niemców, a w powstaniu spalony.

– Już pan to sprawdził? – zacięła się Ola.

– Do tego właśnie zostałem wynajęty przez pannę Aurelię – przyznał Bniński. – I muszę przyznać, że zadanie okazało się bardzo trudne. Musiałem stanąć na szczycie swoich umiejętności oraz uruchomić znajomości z dawnymi towarzyszami. To było trudne i długotrwałe śledztwo. Na trop wpadliśmy w czasie, gdy panna Aurelia zapadła na śmiertelną chorobę. Choć zlokalizowałem obiekt, nie udało się go odzyskać. Dlatego to brzemie spadło na jaśnie oświeconą dziedziczkę.

– Proszę mnie nie tytułować, bo nie wiem, o kim pan mówi – bąknęła Julia.

– Dobrze, panno Julio – zgodził się uprzejmie staruszek. – Udało mi się ustalić, że część majątku kościoła została ewakuowana jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego, w czasie bombardowań. Wota mogące być dziełami sztuki wylądowały w skrzyni, którą ukryto w piwnicach kościoła w Górze Kalwarii. Przeleżały tam całą wojnę, stalinizm, aż do lat siedemdziesiątych. Wtedy miejscowy proboszcz dobrał się do skarbów i upłynniał je na jubilerskim rynku, zwykle jako srebrny lub złoty złom. Potrzebował pieniędzy bynajmniej nie na utrzymanie parafii, po prostu lubił zbytek i luksusy. Ot, toczył go taki drobny grzeszek. Dzięki temu, że obracał się w półświatku udało mi się go namierzyć, znalazł się bowiem w kartotekach milicyjnych i co za tym idzie, służby bezpieczeństwa miały go na oku. Przez uczestniczenie w nielegalnym handlu, bo w dodatku klecha brał za świecidełka dewizy, mieliśmy na niego haka. Idziesz do paki na długie lata lub podpisujesz lojalkę. W taki, dość niewyszukany, sposób został zmuszony do współpracy z aparatem bezpieczeństwa.

– Podstępne komuchy – wysyczała z nienawiścią Ania.

– Jego oficer prowadzący to jeden z moich starych przyjaciół, który w dodatku doskonale pamięta chytrego klechę – kontynuował niezrażony Bniński. – Po tym, jak zrobiło się gorąco, ksiądz zaprzestał sprzedaży skarbu, dzięki temu brosza ocalała. Nie przepadła gdzieś w jubilerskim zakładzie, nie została przetopiona, nadal znajduje się w Górze Kalwarii. Wystarczyło wyciągnąć stare haki, by zmusić klechę do jej oddania. Postraszyć, że o jego przeszłości jako agenta bezpieki dowiedzą się parafianie i kuria.

– Świnie – wysapała Ania, mrużąc gniewnie oczy.

– Jednak to okazało się niemożliwe. Ksiądz zmarł pod koniec lat osiemdziesiątych. – Bniński rozłożył ręce. – Nowy proboszcz nie wiedział o świecidełkach w piwnicy, dopóki do niego nie przyszedłem z prośbą o oddanie rodzinnej pamiątki. Występowałem w tym właśnie przebraniu operacyjnym, jako przemiły, lekko zdziwaczały na punkcie przeszłości, staruszek.

– To nie jest pan zdziwaczałym staruszkiem? – Anna tym razem zazgrzytała zębami. – Cały czas pan udaje? To mieszkanie to tylko rekwizyt, taki sam jak śmieszne okulary i surdut? Może nadeszła pora zrzucić maskę? Nie mam ochoty spędzić choćby chwili dłużej w towarzystwie podstępnej gnidy, która w życiu nie powiedziała słowa prawdy!

Jak każdy góral, Ania miała poglądy radykalno-prawicowe i z całego serca nie cierpiała komunistów. Dawny agent służby bezpieczeństwa był dla niej uosobieniem wszystkiego, co złe w tamtym systemie, niemal personifikacją samego szatana. Poderwała się więc na równe nogi, wsuwając rękę do kieszeni. Julia wiedziała, że przyjaciółka właśnie założyła kastet na dłoń. Zastanawiała się gorączkowo, czy ma się na nią rzucić i zwalić z nóg, czy próbować ją obezwładnić w jakiś inny sposób. Jeśli góralka trzaśnie dziadka w głowę, zabije go na miejscu.

– Niech się panienka tak nie unosi. – Ukłonił się staruszek, ciągle uśmiechnięty. – Nazywam swoje życie przebraniem operacyjnym z przyzwyczajenia. Faktycznie kiedyś musiałem udawać dziwaka zakochanego w dawnych epokach, by rozpracować środowisko kolekcjonerów i bibliofilów. Zakochałem się w jednej antykwariuszce, mojej świętej pamięci żonie Ewie, i pod jej wpływem naprawdę stałem się pasjonatem dawnej epoki i tak zwanej historii kultury materialnej. Dziś już niczego nie udaję. Nie muszę. Odszedłem na emeryturę jeszcze przed upadkiem systemu, przed likwidacją SB.

– Aniu, uspokój się, proszę – wycedziła trochę wystraszona Julia. – Pozwól skończyć panu Bnińskiemu.

– Wiele już nie mam do opowiedzenia. Nowy proboszcz okazał się równie pazerny, co jego dawny poprzednik, a przy tym sprytniejszy. Zgodził się odsprzedać broszkę, dał jednak cenę zaporową, sto tysięcy złotych! To absurd, uszkodzone świecidełko nie jest warte nawet piątej części tej kwoty. Niestety pertraktacje nie odniosły sukcesu, klecha umocnił się jedynie w przekonaniu, że komuś niezmiernie na tym cacku zależy i da za niego tyle, ile się zażąda. – Staruszek pokręcił głową i bezradnie rozłożył ręce. – Nigdy nie przepadałem za jegomościami w sutannach. Same paskudne typy.

– Nie mogę – parsknęła Ania. – I kto to mówi? Były kapuś, komunistyczny pacholek!

– Funkcjonariusz, który tylko wykonywał swoją pracę. I proszę mi wierzyć, panienko, ciężką pracę – odparł spokojnie staruszek. – Wracając jednak do mojego zadania, uruchomiłem swoich dawnych przyjaciół. Nie, proszę się nie obawiać, nie chcieliśmy pobić czy nawet zastraszyć klechy, już nie te czasy. Zastosowaliśmy metodę, którą bardziej lubiłem, bez użycia przemocy. Znaleźć haka i zaszantażować delikwenta. Moi przyjaciele zatem zajęli się

inwigilacją ofiary. Proszę się nie martwić, nikt na tym nie ucierpiał. Wszystko zostało również opłacone z funduszu przeznaczonego na ten cel przez pannę Aurelię.

– Skąd ciotka miała na to pieniądze? – Julia nie wytrzymała. – Była tylko nauczycielką polskiego! Chyba nie odłożyła z emerytury.

– Nie mam pojęcia – Bniński wzruszył ramionami. – Wiem jedynie, że była silną osobowością, damą dociekliwą i zdecydowaną. Wracając jednak do szukania haków, niestety nic z tego nie wyszło. Proboszcz nie ma na sumieniu żadnych grzeszków, których można by się czepić. Nie interesuje się ani młodymi chłopcami, ani dziewczętami, nie korzysta z usług prostytutek, nie uwiódł gospodyni, nie jest hazardzistą, pijakiem, brutalem. Po prostu aniołek. Byłby idealny, gdyby nie zaangażował parafii w kosztowne remonty i przebudowy kościoła. O ile wiem, narobił trochę długów, ale nie na tyle poważnych, by dało się go szantażować z tego powodu.

Staruszek wbił się głębiej w fotel i popadł w zadumę. Zapadła cisza, w której słychać było zgrzytanie zębów Ani. Nie mogła się powstrzymać przed okazywaniem niechęci byłemu funkcjonariuszowi SB.

– Co zatem zrobimy? – spytała Julia.

– Nie mam pojęcia, droga księżniczko – odparł dziadek. – Ja już więcej nie mogę ci pomóc. W poniedziałek, to jest jutro, jadę do szpitala na zabieg, a właściwie operację. Będę leżał na kardiochirurgii, byłoby miło, gdyby ktoś przyszedł mnie odwiedzić. A od przyszłego miesiąca wyprowadzam się z Bemowa i wracam do siebie, do Wrocławia. Pozostaje mi jeszcze przekazać teczkę księdza Sierawskiego i zakończyć misję. Przykro mi, że bardziej pani pomóc nie mogę.

– Może to i lepiej – mruknęła Ania niby do Julii, ale tak, by wszyscy słyszeli. – Jakoś damy sobie z tym radę. A teraz, dziewczyny, idziemy.

Julia również wstała i mimo próśb gospodarza skierowała się do wyjścia, dziękując mu wylewnie. Staruszek wręczył jej czarną teczkę, na co Ania patrzyła z pogardą, jak na coś wyjątkowo obrzydliwego i odpychającego. Metody służb komunistycznych stosowane w dzisiejszych czasach wydały się jej czymś wyjątkowo odrażającym.

Ola dygnęła i uściśnęła rękę staruszka. Potem przyjaciółki czym prędzej wbiegły schodami na górę. Bniński bowiem szedł za nimi, kłaniając się, dziękując i polecając na przyszłość, szczególnie zapraszał do odwiedzin

w szpitalu, ale też w domu. Zapewniał, że ma do opowiedzenia jeszcze wiele ciekawych historii.

– Nie wątpię – mruknęła Ania, przekręcając zamek w drzwiach. – Pewnie wiele ciekawych i pouczających historii o metodach wydobywania zeznań i nakłaniania do współpracy. Studium prawdomówności w oparciu o wyrywanie paznokci i łamanie kciuków na przestrzeni epok. Albo porady, jak przez zastraszenie skłonić delikwenta do podpisania wszystkiego, co mu się podsunie.

– Może takie wykłady przydałyby ci się w kontaktach z opornymi klientami? – rzuciła Ola. – Czy wręczanie prezencików i wycieczek do Tunezji tak znacząco różni się od zwykłego przekupstwa? Metody może trochę łagodniejsze niż te stosowane przez SB, ale czy tak bardzo odstają? Reprezentanci handlowi są trochę jak agenci tajnych służb. Wiedzą, jak dotrzeć do ofiary, jak ją omotać, namieszać jej w głowie i nakłonić do współpracy, czyli do kupienia towaru.

– Nie mędrkuj, twoje teorie są szyte grubymi nićmi – odparła Ania. – Ale w porządku, zajmę się tym. Może nawet już od jutra. Dawaj tę teczkę. Sprawdzę księdza i spróbuję do niego dotrzeć. Jeśli potrafię namówić właściciela lecznicy do kupienia sprzętu za pół miliona, może namówię prowincjonalnego proboszcza do odsprzedania starego świecidełka. To nie może być takie trudne.

Julia z uśmiechem przekazała jej teczkę. Nie chciała rezygnować z dalszego ciągu gry z ciotką Aurelią. Sama również miała pomysł na następny krok. Zamierzała wykonać go już jutro, zaraz po pracy.

– Ja też mogę pomóc – zaoferowała się Ola. – Dzieciaki odbieram od dziadków dopiero w następną niedzielę. Mam sporo tłumaczeń, ale popołudniami mogę zwolnić i być do dyspozycji.

– Dobra, będziesz moją asystentką – zgodziła się Ania. – Przyjadę po ciebie jutro o siedemnastej.

– Wspaniale, dziewczyny. Teraz zastanówmy się, co zjemy na obiad – zaproponowała Julia. – Sprawdźmy lodówkę, ale obawiam się, że i tak będziemy musiały wyskoczyć do sklepu po coś do picia. Na trzeźwo trudno mi to wszystko ogarnąć.



Dzień w pracy włókł się bezlitośnie. Julia spędziła go, niemal nie ruszając się sprzed komputera. Pustym wzrokiem wpatrywała się w ekran, próbując poprawić wypociny przygotowane przez cymbałów z działu projektów i innych korporacyjnych pseudonaukowców. Ich wymęczone wynalazki, niby innowacyjne rozwiązania, odkrywcze projekty oraz usprawnienia były tradycyjnie żałosne i nie trzymały się kupy. Do obowiązków Julii należało ich ocenienie i ewentualne przygotowanie do wdrożenia oraz patentowania. Zwykle bez mrugnięcia okiem wywalala większość z nich do kosza, jednocześnie prawiąc komplementy i szczerze rozdając pochwały dla światłości i przenikliwości korporacyjnych naukowców. Chodziło o to, by wykonać jakoś swoją robotę i nie narazić przy tym firmy na straty, ale jednocześnie nikogo nie obrazić zbytnią szczerością.

Dzięki zachowawczej postawie i wspinaniu się na wyżyny dyplomacji ciągle utrzymywała się na stanowisku, choć obok niej często toczyły się odcięte głowy menedżerów najróżniejszych stopni i ambitnych specjalistów, którym podczas wspinania się po szczeblach kariery powinięła się noga. Zmieniali się dyrektorzy, cięto etaty i przebudowywano struktury korporacyjne, łącząc lub przesuważąc piony. Ją to ciągle omijało, nikomu nie wadziła i większość szurów biurowych jej nie zauważała, tak samo jak tłum szarych sprzątaczek. Choć wichura ciągle zmywała kogoś z pokładu, Julia tkwiła przy swoim wiośle korporacyjnej galery, niezłomna i niestrudzona, gotowa do poświęceń niczym siłaczka z pozytywistycznej powieści. I jakimś cudem ciągle żywa i o zdrowych zmysłach.

Ten dzień nie zapowiadał udanego tygodnia. Po całym weekendzie balowania z przyjaciółkami Julia była rozdygotana i oklapła niczym wyrzucona na brzeg meduza. W dodatku cała historia życia praprababci Józi tak nią wstrząsnęła, że nie mogła się pozbierać. Nigdy nie przepadała za starymi romansami, wiktoriańskimi romansidłami i tym podobnym

badziewiem, a tu coś takiego! Bajeczka z pamiętnika poruszyła ją do żywego, poraziła tajemniczy ośrodek tkliwości w mózgu, czy coś w tym rodzaju. W każdym razie dała popalić.

Może to przez mieszanie historyjki z alkoholem? Może przez jesień, spadające liście i wrześnie słońce o długich promieniach? Może dlatego, że bajka o przygodach Józki zapełniła pustkę, dając nadzieję na podobną przygodę? Skoro jej się udało, to dlaczego nie mnie? Historia z pamiętnika była przecież przykładem, że w życiu naprawdę mogą zdarzyć się rzeczy niesamowite. Że można spotkać księcia z bajki i przeżyć coś niebywałego.

Tak czy inaczej, Julia męczyła się w biurze jak nigdy dotąd. Nie miała ochoty na pogaduchy na papierosku, na plotki w kuchni przy kawusi i podobne bzdury. Czekwała na koniec szychty, by się wreszcie stąd wyrwać i zacząć prawdziwe życie.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zapomniała o Garym. Zawsze pod koniec roboty martwiła się, czy kocur nie umiera już głodu, czy się za nią stęsknił lub czy chociaż nie naszczał na poduszkę. To ostatecznie, rzecz jasna, robił wcale nie ze złości, a z frustracji spowodowanej zbyt długą nieobecnością ukochanej pańci. Dziś jednak kocisko nawet nie otarło się o jej myśli.

Trochę niepewnym krokiem Julia zamiast do autobusu jadącego na Bemowo skierowała się do metra. Zmiana codziennego rytuału zadziałała na nią niczym afrodyzjak. Codzienna marszruta wyglądała przecież zgoła inaczej, odbywała się na kursie dom – praca i z powrotem. Przełamanie tego impasu okazało się niezwykle przyjemne i odświeżające niczym morska bryza. Mknęła metrem niesiona wena i żądzą przygód, aż z tego wszystkiego dopadła ją myśl, co o jeździe takim podziemnym pojazdem pomyślałaby Józka. Z pewnością by się jej spodobało, cieszyłaby się, że Warszawa aż tak się zmieniła. W ciągu półtora wieku, mimo kilku wojen i powstań, przeistoczyła się w piękne, kwitnące miasto!

Ostatecznie kac minął Julii na Nowym Świecie, przez który szła, wyobrażając sobie, że nosi turniurę, a na głowie zamiast niesfornej czupryny krótko przyciętych włosów ma zgrabny koczek okryty gustownym, łydkowym kapeluszem. Zamiast taksówek i autobusów starym traktem podążały dorożki i omnibusy, a trąbienie na niesfornych przechodniów zastąpiły gromkie złożeżenia podpitych fiaków.

Oprzytomniała przed wejściem do niepozornej bramy, przy której wisiała jeszcze bardziej niepozorna tabliczka ze skromnym napisem P&P. Zupełnie jakby komuś nie zależało na tym, by ktokolwiek ją zauważył, a tym bardziej domyślił się, co oznacza. Niemniej Julia bez wahania weszła na przestronne podwórko, które otaczały dwu- i trzypiętrowe kamienice. Znajdował się na nim nawet PRL-owski trzepak sąsiadujący z murowanym śmietnikiem.

Julia stała przez chwilę na środku dziedzińca zachwycona ciszą i spokojem, które ją nagle ogarnęły. Panował tu półmrok i bezruch zaskakująco kontrastujący z hałasem ulicy. Chłonęła go przez chwilę, a potem stanęła przed drzwiami na klatkę schodową, nad którymi wisiał znajomy szyld P&P. Nacisnęła przycisk domofonu i cierpliwie czekała. Spotkała się jednak z bezruchem i ciszą, które już poznała na podwórku, więc zadzwoniła jeszcze dwa razy, by wreszcie szarpnąć za kłamkę.

Okazało się, że jest otwarte. Wbiegła po schodach na ostatnie piętro i stanęła przed drzwiami ze znajomą tabliczką z dwiema literkami P. Już chciała zapukać, gdy z wewnątrz dobiegł przeszywający dźwięk. Ktoś grał na trąbce!

Zamarła z uniesioną ręką, dostrzegając, że drzwi są lekko uchylone. Zapukała i mimo że nie usłyszała zaproszenia, pchnęła je, po czym niesiona nieposkromioną ciekawością wśliznęła się do mieszkania. Znalazła się w przedpokoju przerobionym na biurowy korytarz. Na ścianie wisiały jakieś certyfikaty, pewnie za udział w nieistotnych, za to kosztownych szkoleniach.

– Dzień dobry! – powiedziała głośno.

Odpowiedziało jej trąbienie, przeciągłe i smutne niczym ryk konającego słońca. Przeszła zatem do jedyne go dużego pokoju, mijając po drodze zamknięte drzwi kuchni lub łazienki. Za biurkiem, zwrócony tyłem i do mebla, i do Julii, siedział mężczyzna o długich, gęstych włosach spiętych w kucyk. Miał na sobie marynarkę i spodnie od garnituru, lecz z nogawek wystawały bosa stopy, oparte o parapet. Właśnie w kierunku okna muzyk wygrywał swoją smutną etiudę. Julia stała bez ruchu w drzwiach i słuchała dźwięku trąbki niepewna, co ma zrobić. Przerzywać jakoś nie wypadało, podobnie jak sterczeć za plecami nieświadomego jej obecności człowieka.

Muzyk wybawił ją z opresji, przerywając melodię w połowie nuty, niczym hejnalista na wieży mariackiej. Wykonał energiczny zwrot na obrotowym krześle i walnął stopami o blat biurka. Dostrzegł Julię i w jego oczach

zapłonęło zmieszanie, połączone z zaskoczeniem. Próbował jednocześnie wykonać kilka czynności: ukryć trąbkę pod marynarką, zabrać nogi ze stołu oraz uklonić się przybyłej. Skutkiem było nieskoordynowane wierzgnięcie i gruchnięcie razem z obrotowym krzesłem na podłogę. Poderwał się jednak na równe nogi, niczym wystrzelony ze sprężyny, poprawił włosy i obciągnął marynarkę. Julia zauważyła, że osobnik, choć gębę ma zarośniętą niczym hipis, jest zaskakująco przystojny. Jasne oczy błyszczały mu wesołymi ognikami, a na ustach błędził zawadiacki uśmiech, który chyba często się tam pojawiał.

– Przepraszam, że wtargnęłam do pana biura bez zaproszenia – pierwsza odezwała się Julia. – Dobijałam się i nikt nie odpowiadał, a zdawało mi się, że słyszę muzykę. To był jazz?

– *I waited for you* – oświadczył trębacz.

– Naprawdę?

– To tytuł ballady Milesa Davisa – doprecyzował.

– Ach, no tak – skinęła głową nieco rozczarowana Julia. – Pan pozwoli, jestem Julia Jasińska. Szukam kancelarii prawnej P&P.

– Proszę wybaczyć, nieco mnie pani zaskoczyła. – Gospodarz wyciągnął dłoń. – Paweł Plewniak, notariusz. Dobrze pani trafiła, to tutaj. Proszę usiąść.

Wskazał stojące w kącie zawalone papierami krzesło dla interesanta. Na oparciu wisały dzinsy. Plewniak zrzucił je na podłogę i kopnął pod biurko. Papiery cisnął z pogardą do kosza. Wreszcie podsunął interesantce krzesło, ustawiając je naprzeciw biurka.

„Chyba nie miewa klientów zbyt często – pomyślała Julia. – Ciekawe, skąd ciotka wytrzasnęła tę kancelarię? Gorzej chyba nie mogła wybrać. To ma być notariusz? Jest większym bałaganiarzem niż Ola, a niechlujności mógłby się od niego uczyć mój kocur”.

Kiedy zasiedli wreszcie naprzeciw siebie, ona sztywno na krześle, on pochylony za biurkiem z wyrazem skupienia i życzliwego zainteresowania na zarośniętej gębie, Julia wreszcie przedstawiła mu powód przybycia. Opowiedziała o zdeponowanym w kancelarii rękopisie, który był własnością jej ciotki, a teraz należy do niej. Chciałaby odzyskać te papiery, które są rodzinną pamiątką.

– Oczywiście, w każdej chwili. – Notariusz uśmiechnął się, a Julii nagle zrobiło się dziwnie przyjemnie. Mężczyzna uśmiech miał zaraźliwy

i naprawdę sympatyczny. Niemal można mu było darować niezgułowatość i niechlujny wygląd.

– Zatem poproszę o te papiery – zażyczyła sobie Julia.

– Proszę okazać przedmiot. Zgodnie z umową – powiedział.

– Będziemy musieli obyć się bez niego. Nie mam tej broszy. Mimo to proszę, by okazał pan dobrą wolę i oddał mi rodzinną pamiątkę. Zapewniam pana, że te pozółkłe kartki są zupełnie bezwartościowe i nikt oprócz mnie się o nie nie upomni.

– Najpierw chcę zobaczyć broszę. Taki jest wymóg. Pani Aurelia kilkakrotnie napominała mnie o dopilnowanie, by warunek został wypełniony. Obiecałem jej, że tak się stanie. Nie musiałem przysięgać na honor, wystarczyło, że w akcie notarialnym znalazł się odpowiedni wpis. Zrobiłem jednak, jak sobie życzyła. Zostałem przez nią zaprzysiężony.

Plewniak uśmiechnął się po raz kolejny i Julii znów zrobiło się ciepło, ale tym razem ze złości.

„Kpi sobie, brudas – warknęła w myślach. – Wielki mi notariusz przestrzegający zawodowej etyki! Honorowy rycerz, klnący się przy podpisywaniu aktów notarialnych na pamięć przodków. Plewniak to nazwisko prawnika? Raczej pańszczyźnianego chłopca”.

– Chce więc pan koniecznie zobaczyć broszkę z zielonym kamykiem, mocno zarysowaną, tak? – burknęła coraz bardziej rozżłoszczona. – A gdybym kupiła takie świecidełko na bazarze i włożyła na chwilę pod obcasik, by uszkodzić, byłby pan zadowolony? Przecież mogę zamówić coś podobnego, wykonanego z miki lub innego gówna. I tak nie wie pan, jak dokładnie wyglądał tamten okaz. Niech mnie pan nie naraża na dodatkowe koszty i daruje sobie tę szopkę. Proszę o oddanie pamiętnika!

– Nie – rzekł krótko hipis i uśmiechnął się w sposób, który sprawił, że w Julii przebudził się ogień. Tym razem gniewu. – Chcę zobaczyć oryginał i zaskoczę panią, ale doskonale wiem, jak wygląda. W najdrobniejszych szczegółach

– A niby skąd?

Plewniak podrapał się po szczecinie na brodzie i spojrzał w sufit, krzywiąc się komicznie. Julia trochę ochłoneła. Przynajmniej kloszard w garniturze potrafił być zabawny.

– Wydaje się, że mogę to pani zdradzić.

Otworzył szufladę i zaczął wyjmować z niej różne przedmioty: nadgryzioną gruszkę, scyzoryk, paczkę papierosów Lucky Strike bez filtra, darmową gazetkę „Metro”, porośłą pleśnią kanapkę oraz parę skarpet. Używanych i mocno wymiętych. Na koniec wyciągnął kopertę, a z niej, już z pietyzmem i delikatnością, starą fotografię. Obrócił zdjęcie i położył przed Julią. Dziewczyna odetchnęła ze świstem. Zrozumiała, że patrzy na praprababcie Józie.

Wyobrażała sobie ją jako młodą Scarlett Johansson, nieco pulchną blondynkę z uroczym uśmiechem. I właściwie niewiele się pomyliła. Józia faktycznie miała uroczy uśmiech i dołeczki w policzkach, a do tego całkiem spory biust, ale nie była pulchna. Stała sztywno wyprostowana pod plafonem z kwiatem, w jakimś fotograficznym atelier, i śmiało patrzyła w obiektyw. Miała na sobie zapewne najlepszą sukienkę, schludną i zapiętą pod szyją, jak przystało na młodą kobietę starającą się o posadę guwernantki. Fotografię musiano wykonać w Warszawie niedługo po przyjeździe dziewczyny. Pod szyją przypiętą miała wyraźnie widoczną broszkę. Faktycznie biżuteria była nietypowa, dość topornie wykonana, jakby kanciasta. Nie dało się jej łatwo podrobić, czy zastąpić podobnym przedmiotem.

Julia wzięła zdjęcie do ręki i w skupieniu długo wpatrywała się w wizerunek Józki. Dzięki lekturze pamiętnika miała wrażenie, że dobrze ją zna, że jest jej naprawdę bliską osobą. Ciekawe, czy by się zaprzyjaźniły? Pewnie tak, miały przecież zbliżone poczucie humoru. Szkoda, że dzieliła je przepaść półtora wieku. Julia poczuła wzruszenie, zaciskające gardło. Przełknęła ślinę, by powstrzymać napływające łzy i odłożyła fotografię.

– Może szklankę wody? – Plewniak poderwał się od biurka, wyraźnie zmieszany stanem Julii.

Dostrzegł wzruszenie, które musiało odmalować się na twarzy klientki. Julia przyjęła podaną szklankę. Zauważyła, że choć notariusz znikł w kuchni jedynie na kilka sekund, zdążył wrzucić do naczynia kilka kostek lodu i wkroić plasterki cytryny. Skinęła mu głową w ramach podziękowania. Mimo że flejtuch i niezguła, potrafił się jednak zachować. Może był czuły na kobiece humory i dałoby się to wykorzystać?

– Widzi pan, jak wiele znaczą dla mnie pamiątki po praprababci – powiedziała. – Rozumie pan zatem, że nie chcę nikogo oszukać ani wyłudzać niczego, co mi się nie należy. W tej chwili nie mam możliwości, by odzyskać

broszę, ale myślę, że kiedyś mi to się uda. Może umówimy się, że teraz przekaże mi pan pamiętnik, a ja zobowiązę się do okazania broszki natychmiast, kiedy ją zdobędę. Zgoda?

Hipis bez wahania pokręcił przecząco głową.

– Przykro mi, ale nic z tego. Jestem zawodowcem – powiedział. – Nie mogę wchodzić w podobne układy. Nie chcę jednak wyjść na zupełnego sztywniaka przywiązanego do paragrafów jak pies do łańcucha. Mogę zatem zaproponować pani kompromis. Przekażę dokumenty dopiero po wypełnieniu zobowiązania, ale z własnej strony postaram się pomóc w jego zrealizowaniu. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, pomogę w zdobyciu broszki. Proszę nie odmawiać! Bardzo mi na tym zależy...

Spojrzał na Julię, robiąc wyjątkowo żalostną minę. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Eeee – wymamrotała mało inteligentnie.

– Nie mam tu warunków, by porozmawiać w sposób nieurągający godności. Spotkajmy się może jutro wieczorem na neutralnym gruncie. Zapraszam panią na kolację, mamy tu niedaleko przyjemną knajpkę. Wszystko mi pani opowie, a ja zaprzęgnę wszelkie środki i siły, by pomóc. Zupełnie bezinteresownie, rzecz jasna.

Julię zatkało. Zapraszał ją na kolację! Nie dostała takiej oferty od stu lat! Chryste, co robić?! Niby hipis, ale z drugiej strony prawnik z własną kancelarią, poważny jegomość. Bałaganiarz, ale przystojny. Wkurzający, ale szarmancki.

– Może znajdę czas. Sprawdzę jeszcze i dam panu znać – powiedziała niepewnie.

– Proszę, to moja wizytówka. – Podał jej karteczkę, identyczną jak ta, którą otrzymała od hrabiego Bnińskiego. – Proszę również o kontakt do pani. Przypomnę się jutro w ciągu dnia.

Z drżeniem serca zapisała mu numer. Po prostu zbyt dawno nie dawała żadnemu facetowi swojego telefonu. Poczuła się jak nastolatka.

Wysła od niego ledwie przytomna, nie wiedząc, gdzie właściwie idzie. Po opuszczeniu bramy ruszyła w przeciwnym kierunku niż jej przystanek, co zauważyła dopiero po przejściu pięćdziesięciu metrów. Potrząsnęła głową i wystawiła twarz na chłodny wiaterek. A to jej ciotka zapewniła atrakcje! Kto by się spodziewał tylu wrażeń związanych z kompletowaniem starego

pamiętnika!



Korek na wylotówce za Wilanowem ciągnął się w nieskończoność. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego. Poniedziałkowego popołudnia na wszystkich trasach prowadzących z miasta tłoczyły się sznury samochodów. Ścisk nie był tak straszny, jak w piątkowe popołudnie lub przed którymś długim weekendem. Dziś tylko lud pracujący zamieszkały na przedmieściach wracał do domu, nie było wśród niego wyjeżdżających turystów lub rozjeżdżających się po Polsce „słoików”. Mimo to Ania aż zgrzytała zębami ze złości, nie przewidziała bowiem podobnego utrudnienia i miała to sobie za złe. Ostatecznie jej praca polegała na podróżach i co jak co, ale korków powinna być świadoma. Ola zamiast ją uspokoić, jedynie zaogniała sytuację nieprzemyślanymi komentarzami.

– Patrz na cymbała, chyba przysypia. – Wskazała samochód przed nimi, nieruszający równo z resztą przesuwanego się skokowo sznurka. – Co za barany, jeżdżą jak ostatnie lebiegi. No, jak tak dalej pójdzie, zajedziemy do Góry Kalwarii w środku nocy. Zamiast pogadać z księdzem, pocałujemy klamkę zamkniętej na głucho plebanii. Nie ściskaj tak kierownicy, tylko zrób coś.

Ania zmarszczyła groźnie brwi i spojrzała na przyjaciółkę bez słowa. Ola zrozumiała, że jeśli się nie zamknie, zaraz wyleci z samochodu i resztę drogi odbędzie pieszo. Wbiła się więc głębiej w fotel i skupiła na oglądaniu niemrawo przesuwanego się widoku za bocznym oknem. Kiedy wreszcie nieco się rozluźniło, Ania wcisnęła pedał gazu do deski i brawurowo wyprzedziła kilka samochodów. Otarły się przy tym o śmierć, o włos omijając trąbiącą ciężarówkę. To wreszcie uspokoiło i zrelaksowało góralkę, za to Olę przyprawiło o kilka siwych włosów. Tablicę z napisem „Góra Kalwaria” minęły, prując niczym wystrzelony pocisk. Z piskiem zahamowały przed fotoradarem i wreszcie zajechały majestatycznie pod stary kościół.

Drzwi plebanii otworzyła im gospodyni. Dowiedziały się w chwilę później,

że proboszcz przyjmował interesantów po mszy, a teraz odpoczywa. Może się zgodzić na udzielenie sakramentu ostatniego namaszczenia, ale poza tym niczym się już dziś nie zajmuje. Sprawy pogrzebów, chrzcin i ślubów trzeba ustalać w godzinach urzędowania.

– Przybywamy z czym innym, dobra kobieto – zagrzmiała Ania, wysuwając szczękę do przodu. – Powiedz proboszczowi, że chce z nim rozmawiać wróżka Nefretete w sprawie snu, który ją nawiedził.

– Co? – Gospodyni, starsza kobiecina w chuście na głowie, ze zdumienia aż puściła uchylone drzwi i cofnęła się o krok, wykonując zamasyście znak krzyża. – Jak to wróżka?

– Tak to! Jestem jej asystentką, medium Luna – przedstawiła się Ania. – Przybywamy, bowiem wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że plebanii grozi coś strasznego. W kościele ukryło się wielkie zło, które właśnie zostało przebudzone! Pędź biegiem do proboszcza i mu to opowiedz. Z pewnością zrozumie. No już, dobra kobieto, nie ma na co czekać.

Gospodyni nie odważyła się zamknąć drzwi przed nosem dwóch czarownic, tylko zgodnie z radą pognała w głąb budynku.

– Obawiam się, że przeginamy – szepnęła Ola. – Ksiądz wezwie policję i wylądujemy w ciupie. Co to za pomysł, by udawać wróżki przed duchownym?

– Pomysł mojego Andrzeja – powtórzyła Ania, bo rozmowę przerabiała jeszcze przed wyruszeniem w drogę. – Na moją prośbę dowiedział się kompromitujących informacji o miejscowym proboszczu. Andrzej ma znajomości w wielu miejscach, a w Górze Kalwarii mieszka jego kuzynka z mężem. Ma więc ploty z pierwszej ręki. Tutejszy ksiądz jest przesądny, został raz podejrzany na wizycie u wróżki, a innym razem któryś parafianin przyłapał go z kartami tarota podczas ustawiania układu. Mamy jedyny punkt zaczepienia i trzeba śmiało go wykorzystać. Mój Andrzej powtarza, że w tak trudnych sytuacjach zawsze trzeba walić śmiało i na bezczelnego. Kiedy ksiądz wpuści nas do środka, miej oczy szeroko otwarte. Nawet jeśli nas wywali, może wypatrzymy coś ciekawego, co może być kompromitujące lub przydatne do wymuszenia współpracy.

– Nie wyglądamy jak wróżki, trzeba było kupić jakieś chusty w indyjskim sklepiku – bąknęła Ola.

– Nie będziemy przebierały się za Cyganki. Jesteśmy poważnymi,

nowoczesnymi wrózkami, z dyplomami z parapsychologii – syknęła Ania, bo gosposia właśnie wróciła.

Kobiecina wprowadziła przybyszki na pokoje, a właściwie do gabinetu proboszcza. Sam ksiądz Sierawski zjawił się po paru chwilach. Okazało się, że jest przystojny, nosi cywilne ubranie, a w dodatku nie mógł mieć wiele ponad trzydzieści lat. Musiał być zatem ambitny i inteligentny lub miał wuja biskupa, skoro w tak młodym wieku objął urząd proboszcza. Zmierzył obce kobiety uważnym spojrzeniem i uniósł pytająco brwi. Nie powiedział ani słowa, nie wskazał również krzesełek dla interesantów, stojących przed biurkiem.

– Niech moc będzie z tobą, kapłanie – wypaliła Ola jedyne brzmiące ezoterycznie powitanie, które przyszło jej do głowy. Dopiero wtedy, gdy je powiedziała, zorientowała się, że to z *Gwiezdných Wojen*. Było już jednak za późno, musiała brnąć dalej. Uniosła więc dłoń w pozdrowieniu i rozsunęła palce na boki, tworząc kształt litery V. Poczowała falę gorąca, bo uświadomiła sobie, że to powitanie spiczastouchych Wolkanów z serialu *Star Trek*. Ksiądz patrzył na nią, nie przejawiając entuzjazmu.

– Ehem! – chrząknęła Ania i zrobiła krok do przodu. – Jestem medium Luna, doktor nauk tajemnych, a ta dama to Śniąca i Widząca, wielka Nefretete, znana jako Wróżka Domu Snów. Przybywamy do ciebie z misją, którą powierzyły nam siły z tamtej strony lustra, to jest, chciałam powiedzieć, po prostu z tamtej strony – plątała się coraz bardziej Ania. – Znaczą, nadnaturalne byty z płaszczyzny astralnej, odpowiedzialne za tajemnicze oddziaływania, które przędą nasze...

– Czego panie chcą? – nie wytrzymał duchowny. – Co ma znaczyć to przedstawienie?

– Miałam sen! – tubalnym głosem oświadczyła Ola. – Duchy powiedziały mi o drzemającej tu grozie. W kościelnym skarbcu przechowywany jest pogański przedmiot związany z kultem bogini Izydy. To staroegipska relikwia, która wygląda jak niewinny wisior z zielonym kamieniem, jaspisem czy jademitem...

– Nefrytem! – podpowiedziała Ania, po czym chwyciła się oburącz za skronie i zacisnęła powieki. – Tak! Czuję moc przeklętego nefrytu! Gromadzą się wokół niego złe moce! Otchłań nadciąga!

– Relikwia przez stulecia pozostawała w uśpieniu, ale po nowej pełni właśnie się przebudziła. Gwiazda Ozyrysa weszła bowiem w nadir

w stosunku do ołtarza świątyni Izydy, znajdującej się w dolinie Nilu! – kontynuowała Ola, która właśnie zaczęła się rozkręcać. – Wielki bóg-szakal z otchłani przybywa, by zniszczyć stygmaty bogini-kotki. Anubis ściga Izydę, korzystając z osłabienia gwiazdy Ozyrysa. Prademony gromadzą się wokół relikwii, pragną krwi, sprowadzą wszystkie plagi egipskie, śmierć i zniszczenie na to miejsce! Musisz pozbyć się tego przedmiotu, kapłanie! Im szybciej, tym lepiej!

Uniosła obie ręce nad głowę i wbiła wzrok w sufit, przewracając oczami. Ania trzymała się za skronie, kiwając głową na boki. Ksiądz zamiast okazywać objawy zachwytu, przerażenia lub choćby ożywienia wspianiałym pokazem, zacisnął usta w wąską szparkę. Jednak przyjaciółki nie zwracały na to uwagi. Ania łypała na wszystkie strony, szczególnie na zawalone papierami biurko. Ola układała w myślach ciąg dalszy bzdur o tym, że przeklęty przedmiot musi zostać przekazany kompetentnym organom ezoteryczno-egzorcystycznym z doświadczeniem temporalno-psychosomatycznym, by doprowadzić do spowolnienia czasowego klątwy na okres przejścia gwiazdy Ozyrysa z nadiru w zenit. Nie zdążyła jednak wygłosić tej sugestii, bo ksiądz Sierawski gwałtownie uniósł rękę na znak, że chce coś powiedzieć. Jego mina nie wróżyła niczego dobrego, czego Ola domyśliła się bez umiejętności prekognicji.

– Przyszłyście do księdza Sakowskiego, prawda? – spytał lodowatym tonem. – Otóż popełniłyście pomyłkę, drogie panie, mój poprzednik przed czterema tygodniami odszedł na emeryturę. Proboszcz miał słabość do bzdur związanych z New Age, tych ohydnych kart tarota, numerologii i podobnych idiotyzmów. Między innymi dlatego musiał przejść na wcześniejszą emeryturę. Odkąd opuścił parafię, już trzeci raz nachodzą nas szalbierze waszego pokroju. Różdżkarze, bioenergoterapeuci i wróżki. To skandal! Jak możecie robić coś takiego? Obrażacie nie tylko moją inteligencję, ale Boga, głosząc herezje w jego domu!

Ola cofnęła się o krok przed napierającym księdzem. Ania pchnęła ją w plecy. Góralka była silna jak diabli, więc drobnej budowy tłumaczka poleciała z sapnięciem w przód, wprost w ramiona młodego proboszcza. Wybuchło zamieszanie i nastąpiła chwila szamotaniny i szarpania się za ubranie. Ola przeprosiła za swoje zachowanie i oznajmiła z powagą, że chwilowy bezwład percepcji, który ją nawiedził, był związany z mrocznym

oddziaływaniem pogańskiego wisiora.

Oburzony ksiądz bez słowa wskazał im drzwi, odprowadził nawet do wejścia i na progu stwierdził, że ich dusze są raczej stracone. Ostatnia szansa to opamiętanie się i błaganie Boga o przebaczenie. Ola znów wyjąkała przeprosiny, a potem obie przyjaciółki truchtem oddaliły się do samochodu.

– Co za numer! – z zachwytem stwierdziła Ania. – Dawno się tak nie ubawiłam.

Ola parsknęła śmiechem.

– Ostatnio robiłyśmy takie wygłupy jeszcze na studiach, prawda? – spytała, gdy udało się jej opanować chichot. – Pamiętasz akcję w dziekanacie, gdy próbowałyśmy podrzucić twój indeks po terminie rejestracji? A właśnie, przyznaj się, co zakosiłaś z biurka? Bo rzuciłaś mnie w ramiona klechy chyba nie dla zgrywy, co? Specjalnie szamotałam się z nim jak najdłużej, by dać ci czas.

Ania wyciągnęła z kieszeni nieco pomiętą kartkę, jakieś urzędowe pismo.

– Mówiłam, że nawet jeśli pierwotny plan nie wypali, trzeba szukać innego haka. I coś znalazłam – oznajmiła i przekręciła kluczyk w stacyjce. – Robota wykonana, jedziemy do domu!

Julia niemal rozplakała się, stojąc przed szafą. Autentycznie nie miała co na siebie włożyć. Na randki nie chodziła od całych eonów, jej stroje składały się więc przede wszystkim z codziennych ciuchów, w których maszerowała do pracy. Na oficjalne spotkania, ważne zebrania w pracy i konferencje miała garsonki odpowiadające korporacyjnemu *dress code*'owi, ale żadna z nich nie nadawała się na kolację w uroczej restauracyjce z ekscentrycznym prawnikiem.

Pewnie Plewniak zaprowadzi ją do klubu jazzowego, skoro tak bardzo lubił Milesa Davisa, a sam przyjdzie w poszarpanych dżinsach i bluzie z kapturem oraz kamizelce w kratę. Nie było wyjścia, musiała się dostosować. Wbiła się w wąskie dżinsy, założyła żółty sweter z szerokim, zwiniętym w artystycznym nieładzie kołnierzem. Spryskała czuprynę usztywniającym lakierem, uprzednio ją roztrzepawszy, wpięła niewielkie, srebrne kolczyki, zarzuciła na ramiona jesienny, zielony płaszczyk i ruszyła do drzwi.

– Pilnuj domu, Gary – rzuciła kotu przez ramię i pognała w dół po schodach.

W oknach mieszkania hrabiego Bnińskiego się nie świeciło, pewnie staruszek trafił już do szpitala. Julii przemknęło przez myśl, że może wypadałoby go odwiedzić. Ruszyła biegiem pod budkę autobusową, bo zaczęło kropić. Szkoda byłoby zmienić się w mokrą kurę jeszcze przed spotkaniem.

Plewniak zadzwonił do niej w południe i podał adres restauracji, pod którą mieli się spotkać. Zbliżając się do niej, Julia kipiała od emocji, czuła się, jakby znów była nastolatką na pierwszej randce. Miała nadzieję, że amant się nie spóźni i nie będzie musiała czekać na niego pod drzwiami, co byłoby poniżające.

Na szczęście nie musiała. Prawnik okazał się dżentelmenem. Stał grzecznie przed wejściem, a na jej widok wybiegł naprzeciw, zawadiacko się uśmiechając. Julia zauważyła, jak bardzo jest wysoki i w zasadzie cholernie

przystojny. Nie przebrał się za dziwaka, ale wyglądał trochę artystycznie. Miał czerwone, wąskie spodnie i skórzaną kurtkę, która w zestawieniu z długimi włosami nadawała mu mocno rockandrollowy wygląd. Ucisnął jej rękę i zaprosił do środka.

Julia spodziewała się cichej restauracyjki z przytłumionym światłem i brzęcącym z głośników jazzem. Wyobrażała sobie, że będzie to lokal podobny do Plewniaka i jego upodobań, czyli lekko nieokrzesany i bałaganiarski, ale z artystycznym szlifem i w zasadzie miły oraz przytulny. Zamiast tego znaleźli się w gwarnym klubie nocnym, zaopatrzone w ostre, imprezowe światła, lampy UV i stroboskopy. Było jeszcze wcześniej, więc większa część tego ustrojstwa pozostawała wyłączona, w uśpieniu czekając na nocną imprezę.

Usiedli przy stoliku znajdującym się na antresoli, skąd widzieli parkiet i niewielką scenę, na której, ku zaskoczeniu Julii, znajdował się fortepian. Po parkiecie snuli się młodzi mężczyźni, rozmawiając i popijając drinki. Dwa stoliki dalej siedziało dwóch chłopaków w studenckim wieku, kłócących się podniesionymi głosami i przyjmujących teatralne miny oraz pozy. Julia przyglądała się im parę chwil, aż wreszcie złapała, co jest nie tak z tą restauracją.

– To jest gejowski klub! – stwierdziła na głos.

– Masz coś przeciw? – spytał niewinnie Plewniak.

Julia zauważyła, że automatycznie przeszli na ty. Nie miała nic przeciw.

– Nie, ależ skąd. Geje mi w żaden sposób nie wadzą – powiedziała. – A może to znaczy, że chcesz mi coś zasugerować? No wiesz, że ty też...

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, a po chwili parsknął śmiechem.

– Wybacz, ale nie o to chodzi. Nie jestem gejem, przychodzę tu z powodu świetnej kuchni. Szef jest prawdziwym artystą, zobaczysz, jak piękne dania robi, a do tego cholernie pyszne! Poza tym zanim zacznie się nocne szaleństwo, jest tu sympatyczna atmosfera, można poznać ciekawych ludzi. Ot, choćby ten koleś, który zaraz zacznie występ. Jest menedżerem wyższego stopnia w lokalnej filii pewnej amerykańskiej korporacji farmaceutycznej. Oto, czym się zajmuje po robocie.

Na scenę wyszła dwumetrowa dama w pięknej, ciągnącej się po ziemi sukni. Miała blond perukę o lokach sięgających za pupę, a do tego sztuczne, przeraźliwie długie rzęsy. Za fortepianem usiadł młody chłopak, by

akompaniować *drag queen* w czasie występu. Dama zaczęła śpiewać *Oczy cziornyje*.

– Niech zgadnę – powiedziała Julia w zadumie – jej pseudonim sceniczny to Violetta?

– Strzał w dziesiątkę! – Plevniak uśmiechnął się. – A teraz zamówię moje ulubione danie. Musisz spróbować.

Danie faktycznie wyglądało imponująco i wykwintnie. Na talerzach pyszniła się jagnięcina otoczona wianuszkami rozmaitych warzyw, w tym szparagów. Do tego podano im niezłe hiszpańskie wino i Julia nagle znalazła się w kulinarnym niebie. Dawno nie była w porządnej restauracji, jadając na co dzień byle co, przyrządzone byle jak, w biegu, po powrocie z pracy. Czasem też dojadła tygodniowe sałatki odnalezione w lodówce lub stwardniały makaron z poprzedniego dnia. Odgrzewane w mikrofalach dania, na których opierała się jej dieta, miały się nijak do duszonej jagnięciny.

Z tego wszystkiego zapomniała, po co to tu przysłała, słuchając opowieści Pawła (już nawet zaczęła o nim myśleć po imieniu!) o potrawach oraz ich przyrządzaniu. Okazało się, że prawnik oprócz gry na trąbce zajmował się również gotowaniem. W dodatku na stopie towarzyskiej, gdy nie rozmawiali o interesach, okazał się zajmującym rozmówcą i uroczym facetem. Ani razu jej nie zirytował.

– Przepraszam, że zajmuję ci czas opowieściami o pierdołach. – Klepnął się otwartą dłonią w czoło. – Spotkaliśmy się tu przecież, by omówić sprawę odzyskania broszy twojej praprababki. Tak na marginesie, świetnie pasowałaby ci do tego sweterka. Tak, wyglądałabyś z nią jeszcze atrakcyjniej, wręcz cudownie.

– Ekhm – chrząknęła zaskoczona komplementem Julia. – Ja? Wyglądałabym cudownie?

– Nie ma wyjścia, teraz już musimy ją odzyskać. Chcę cię zobaczyć z tą broszą. Opowiadaj zatem, w czym jest problem?

Julia opowiedziała o perypetiach z księdzem Sierawskim. Zakończyła skrótowym opisem wczorajszej akcji swoich przyjaciółek na plebanii w Górze Kalwarii. Paweł pokiwał głową z podziwem.

– Okradły księdza, jak dobrze rozumiem? – upewnił się jeszcze.

– Mam nadzieję, że mogę liczyć na twoją dyskrecję...

– Milczę jak grób – stwierdził krótko. – Co takiego zdobyły?



– To. – Julia wyciągnęła z kieszeni spodni złożoną kartkę i wręczyła ją prawnikowi.

Paweł odsunął kieliszek i rozłożył kartkę na stoliku, a potem dokładnie ją przestudiował.

– To wezwanie do uiszczenia zaległej opłaty za prąd. Z groźbą odłączenia, o ile nie zostanie uiszczona w terminie. Kwota jest niczego sobie, prawie dwadzieścia tysięcy – stwierdził.

– Na biurku proboszcza leżało więcej podobnych pism, Ania zwinęła pierwszy z brzegu, by się zorientować, co to właściwie takiego – powiedziała Julia. – Prawdopodobnie były to wezwania do zapłaty. Wiemy zatem, skąd tak paskudny humor młodego księdza i tak stanowcze żądania, jeśli chodzi o kwotę, za którą zgodzi się oddać broszę. Dostał swoją parafię raptem miesiąc temu i próbuje się wykazać, a tu los przyszykował mu przykrą niespodziankę. Poprzednik zostawił masę długów i niespłaconych rachunków. Elektryczne ogrzewanie podłogowe w kościele musiało sporo kosztować, ciekawe, czy jego instalacja została opłacona? W każdym razie na zapłatę za zużytą energię już nie starczyło.

– Informacja, że parafia tonie w długach na wiele nam się nie zda. Podejrzewam, że większa część prowincjonalnych kościółków boryka się z finansowymi kłopotami – westchnął Paweł. – Wiemy tylko, że ksiądz ma nóż na gardle i pewnie udałoby się stargować cenę, przynajmniej częściowo.

Prawnik zamyślił się, wpatrując w rachunek. Bezwiednie obracał kieliszek, a Julia przyglądała się jego dłoniom. Były nienawykłe do prac fizycznych, ale niespecjalnie zadbane. Na jednym z palców Paweł nosił opatrunek, a na wierzchu dłoni czerwieniły się świeże otarcia.

Ciekawe, czym on jeszcze się zajmuje poza graniem na trąbce i odwiedzaniem gejowskich klubów, pomyślała.

– Mam znajomą, która jest konserwatorem sztuki – powiedział po dłuższej chwili namysłu. – Może zgodziłaby się pomóc, choć będzie mnie to kosztowało nieco zachodu. Ona jest... Ma trudny charakter.

– Do czego by nam się nadała?

– Oprócz broszy wojnę i komunizm przetrwało jeszcze trochę innych świecidełek, prawda? Możemy zaproponować księdzu, że odda nam broszę, a w zamian my za darmo przeprowadzimy mu darmową inwentaryzację i wycenę precjozów przez fachowca. Krysia mogłaby nawet zabrać te

świecidełka, o ile okazałyby się coś warte, i wystawić je na rynku dzieł sztuki lub w galeriach i znajomych antykwariatach.

– Mam pomóc przekonać tę Krysię, by nam pomogła? – zaoferowała się Julia.

– Och nie, to mogłoby przynieść odwrotny skutek. Muszę się z nią sam spotkać. Ona jest nieobliczalna. To artystka.

Julia pokiwała głową ze zrozumieniem. Wyczuła jakąś dziwną nutę w głosie Pawła, coś niepokojącego. Spojrzała mu w oczy i wszystko zrozumiała. Poczwała bolesne ukłucie w sercu. Domyśliła się bowiem, co jest nie tak z Krysią. Prawnik i artystka byli kiedyś parą. I on nadal ją kochał. Problem Julii spadł mu więc jak dar niebios, był wspaniałym pretekstem, by znów nawiązać z Krysią kontakt.

Niby nie powinna rościć sobie praw do dopiero co poznanego faceta, ale nie podobał jej się sposób, w jaki bąkał i jąkał się o Krysi. Resztę wieczoru miała popsuta, mimo że Paweł o swojej dawnej przyjaciółce, jak ją nazwał, wspomniał zaledwie dwa razy, omawiając szczegóły dalszej akcji.

Julia ochłoneła dopiero w drodze powrotnej do domu, gdy krocząc przez kałuże i wystawiając się na lejący deszcz, wyjaśniła sobie, że nie ma prawa się na niego złościć. Przecież tak przystojny facet nie mógł uchować się całkiem sam, nawet siedząc w małej kancelarii, o której nie wiedział pies z kulawą nogą. Zanim dotarła do łóżka, była już całkowicie pogodzona z losem i przekonana, że tacy faceci jak Paweł są całkowicie poza jej zasięgiem.

Zadzwoił już w czwartek. Mówił szybko i niewyraźnie, chyba w wielkim podnieceniu, co znów zirytowało Julię. Szczególnie że powodem radości Pawła była wizyta Krysi. Spotkał się z nią dzień wcześniej i wszystko jej wyjaśnił. Akurat udało się dopaść panią konserwator świeżo po jej powrocie z Mediolanu, gdzie uczestniczyła w naukowej konferencji, na której nawet wygłosiła wykład. Ponoć mieli szczęście, bo zmęczona podróżą artystka nie miała siły, by od razu rzucić się w wir swoich pasji, czyli malowania, komponowania muzyki, podróży tropem starych kapliczek i drewnianych cerkwi, imprez ze studentami ASP, urządzania loftów w starych fabrykach, poszukiwania zaniedbanych pałaców oraz wielu innych zajęć. Dzięki temu w spokoju wysłuchała, co Paweł ma do powiedzenia, pozwoliła się nawet zaciągnąć na kolację, podczas której łaskawie okazała zaniepokojenie całą sprawą. Nie zgodziła się co prawda pomóc, ale nie odrzuciła kategorycznie prośby. Powiedziała, że być może się zastanowi.

Julia zagotowała się ze złości. Łaskawie się zastanowi, wstrętne małpa! Znienawidziła szczerze Krysię, nadętą jaśnie panią, której wydawało się, że jest pępkiem świata. Udzielała łaskawych audiencji i pozwalała się zapraszać na kolację. Niech ją diabli! Sam fakt, że Paweł zabrał ją do restauracji był dla Julii niczym cios wymierzony ostrym soptem prosto w serce. Początkowo poczuła ból, a potem przejmujący chłód. Plewniak kipiał z emocji, nie słysząc zmrożonego głosu rozmówczyni. Tymczasem Julii serce najpierw pękło na pół, a potem zamarzło.

– Zaintrygowałem ją, to wspaniale! – wołał rozpromieniony prawnik. – Jesteśmy blisko sukcesu, bo gdy Krysię się zaangażuje, zrobi to całym sercem. Taka już jest. Niczym niepowstrzymany, oszalały i ogarnięty chaosem żywioł. Nie da się nią kierować, a tam, gdzie przejdzie, zostają zgliszcza.

– Ach, bosko – zadudniła grobowym głosem Julia.

– Musimy kuć żelazo, póki gorące. Teraz mogę jej ciebie przedstawić.

– Och, doprawdy?

– Tak, śmiało. Jestem przekonany, że cię nie zignoruje, a jeśli się jej spodobaś, może zgodzi się pomóc. To wspaniale, prawda? Musimy to zrobić jutro wieczorem, to jedyna okazja. Dowiedziałem się, że pojawi się na wernisażu w Zachęcie. I teraz trzymaj się! Zdobyłem dla nas wejściówki. Zaczynamy jutro o dwudziestej. Przyjadę po ciebie samochodem, dobrze?

– Mhm – mruknęła, zagryzając wargę.

Paweł się rozłączył, zostawiając ją ściskającą kurczowo telefon. Niby wybiła sobie przystojniaka z głowy i przyjęła do wiadomości, że jest zadurzony w tej artystycznej wywłoce, ale w ciągu jednej chwili wszystko wróciło. Ukłuło ją to do żywego. Czyżby dała się oczarować roztrzepanemu prawnikowi? Oj, niedobrze. Zbyt łatwo ulegała byle chłopu, widocznie zdecydowanie za długo pozostawała singielką. Dojdzie do tego, że wystarczy kilka słów z podrzędnym amantem, a będzie wyobrażała sobie nie wiadomo co i mdlała na sam jego widok. Musi wziąć się w garść! Zebrać do kupy i rozegrać to wszystko na zimno.

Siadła przed komputerem i zaczęła gorączkowo przeglądać oferty sieciówek, a potem portale poświęcone modzie. Musiała ubrać się jakoś po ludzku na ten cholerny wernisaż w Zachęcie. Elegancko i artystycznie zarazem, niby niedbale, ale w sposób wystudiowany. Nieważne, ile to będzie kosztować. Z amoku wyrwał ją Gary, który przypomniał o swojej pustej misce, wbijając jej pazury w łydkę.

– Masz rację, sama nie dam rady – rzekła do kota, ignorując jego znaczące spojrzenia i mruknięcia mówiące o skrajnej desperacji. – Muszę wezwać pomoc. Ola się na tym zna, choć to wariatka w sprawach zakupów. Puści mnie z torbami.

Tak też się stało. Ola okazała się bardzo chętna na wieczorny rajd po sklepach. Jeśli o to chodziło, zawsze byłaby chętna, nawet o czwartej nad ranem. Korzystając z ostatnich dni bez dzieci, stanęła w pełnej gotowości do akcji odzieżowej. Julia miała dzięki temu zapewniony wieczór pełen atrakcji, w rezultacie, tak jak przewidziała, wróciła do domu z pełnymi torbami i znacznie uszczuplonym stanem konta.

Zakupy trzeba było jeszcze opić, a ponieważ pojawiła się Ania, która przyjechała ze służbowej wyprawy do Wrocławia, oczywiście wysuszona na wiór, wino znów popłynęło szerokim strumieniem. Choć unikały

podobnych brewerii w środku tygodnia, jednak czasem zdarzały im się pijackie wybryki. Skutek był taki jak zwykle, czyli cały następny dzień w pracy stał się dla Julii mozolnym marszem na Golgotę. Oblewały ją na przemian zimne i gorące poty, a w głowie huczały trąby jerychońskie.

Ostatecznie jakoś zdołała dotrzeć do końca szychty, w domu wzięła straszliwie długi prysznic, który nie usunął jej jednak worów pod oczami. Okłamała się, że dodadzą jej artystycznego wyglądu zblazowanej, zmęczonej sprawami maluczkiej arystokratki. Taką sobie wymyśliła rolę na scenie życia. Przynajmniej w tym akcie.

Zeszła przed blok, czując miękkość w kolanach i zaciskającą gardło treść. Paweł opierał się o samochód, jakiś taki oldskulowy, by nie powiedzieć stary i pomalowany nieciekawym, białym lakierem. Na widok Joli uśmiechnął się szeroko, aż znów zrobiło się jej jednocześnie ciepło na sercu i przykro. Pewnie do tamtej uśmiechał się jeszcze promiennie.

– I jak? – spytała, prezentując się w skompletowanej z pomocą przyjaciółki kreacji.

Znów była w obcisłych spodniach, a do tego w wysokich butach kozaczkopodobnych. Zamiast rozwleczonego, żółtego swetra włożyła potwornie drogą i wstrząsająco modną bluzkę, którą kupiła w zestawie z niedbale wyglądającą kurtką. Na wspomniany zestaw poszła cała jej miesięczna pensja. Do tego miała szal okręcony wokół szyi, a fryzurę artystycznie nastroszoną. Nie licząc bladej i zmęczonej twarzy, wszystko było zapięte na ostatni guzik.

– Wyglądasz bosko – stwierdził z uśmiechem i Julia miała wrażenie, że mówił szczerze.

To jeszcze bardziej ją rozsierdziło. Miała ochotę zamordować dziś Krysę.

Pierwszy raz ujrzała ją na schodach Zachęty, na tych samych, na których przed laty zamachowiec zastrzelił prezydenta Narutowicza. Krysia nie zdawała sobie sprawy, że ktoś ma ochotę zrobić jej podobną przykrość. Minęła Pawła z Julią, nie zauważywszy ich, bo jednocześnie prowadziła rozmowę z dwoma oldboyami – eleganckimi panami w wieku około pięćdziesięciu lat. Wyglądali na zagranicznych biznesmenów, prezentujących klasę, która wśród rodzimych przedsiębiorców i menedżerów występowała niebywale rzadko. Bogactwo traktowali naturalnie: łączyło się u nich płynnie z elegancją i kulturą, podkreślaną każdym gestem, spojrzeniem i słowem. Julia

widziała podobnych im jegomościów odwiedzających firmę jako delegaci z samej centrali, leżącej daleko za oceanem. Nic dziwnego, że Krysia skupiła na nich całą swoją uwagę, to byli prawdziwi współcześni arystokraci.

Z rosnącą grozą Julia spostrzegła, że artystka wcale im nie ustępuje elegancką swobodą. Właściwie to lśniła niczym najczystszy diament, a po schodach Zachęty wchodziła niczym hollywoodzka gwiazda idąca po czerwonym dywanie po odbiór Oscara. Nie brakowało nawet fleszy, bo jakiś idiota cykał jedno zdjęcie po drugim.

Julia oklapła, widząc urodę Krysi. Wstrętne małpa okazała się, zgodnie z najgorszymi przewidywaniami, szalenie atrakcyjna, właściwie pasowało do niej słowo „piękna”. Miała kasztanowe, gęste włosy, poskręcane naturalnie w tysiące loczków, nieludzko symetryczną twarz, kojarzącą się z greckimi posągami bogiń, a do tego duże, orzechowe oczy, ozdobione długimi rzęsami. Figurę też miała bez zarzutu, w dodatku była wysoka jak modelka. Na domiar złego Paweł patrzył na nią, uśmiechając się pod nosem, właściwie pożerał ją wzrokiem. Julii nie uspokoiło nawet to, że właściwie wszyscy faceci w pobliżu pożerali ją wzrokiem.

Przystanęli na chwilę, rozmawiając o czymś nieistotnym, niby ignorując przejście Krysi. W dalszą drogę ruszyli dopiero wtedy, gdy ta znikła w środku wraz z grupą adoratorów. Przeszli przez dyskretnie rozstawiony szpaler ochroniarzy sprawdzających zaproszenia i weszli do galerii.

Na szczęście wernisaż był wykwinny i pełen klasy. Wśród gości spacerowali kelnerzy z tacami pełnymi kieliszków z winem, w dodatku jeszcze przed pierwszymi przemówieniami i otwarciem wystawy. Julia wychyliła kielich, by dzięki niemu wreszcie dojść do siebie i nabrać animuszu. Spacerowali z Pawłem, który ciągle był w szampańskim nastroju, w pełni zadowolony z życia i pełen humoru. Jego nastrój stopniowo zaczął udzielać się Julii. Nie minęło wiele czasu, a zaczęli wyśmiewać prezentowane dzieła sztuki współczesnej i natchnionych koneserów, i znawców, którzy ją kontemplowali. Typy przechadzające się po muzeum były naprawdę ciekawe i barwne, nie brakowało wśród nich snobów i nowobogackich durniów, wymieszanych z artystyczną bracią w jednym tyglu.

Julia wreszcie zatrzymała się przed koślawym dziełem przypiętym do ściany, przed którym sterczał gruby jegomość z dwiema blondynami, i trzymając w ręku kieliszek, zaczęła gestykulować w stronę zawieszzonego

na ścianie przedmiotu.

– Nie uważa pan, że ta płaskorzeźba wpisuje się w nowoczesne postrzeganie rzeczywistości, ale jednocześnie odwołuje się do neosceptycyzmu, psychodelizmu i socrealizmu? – spytała Pawła ze śmiertelną powagą.

– Uważam – odparł, mrużąc w zadumie oczy. – Szczególnie porusza niższe oktawy mojej wrażliwości sensomotorycznej i łechta tylne barwy jaźni wewnętrznej. Chyba właśnie o to chodziło autorowi, o dotarcie do świadomości pierwotnej odbiorcy, o poruszenie w nim podstawowych instynktów.

Otyły facet i jego aniołki pokiwały głowami z powagą, kontemplując paskudną płaskorzeźbę.

– Podstawowych instynktów! Tak! A do tego odruchów, głównie fizjologicznych – zgodziła się Julia. – U mnie wywołuje potrzebę zwrócenia pokarmu. Przodem.

Grubas z laleczkami odskoczyli jak oparzeni. Szczególnie że Julia gwałtownie się do nich odwróciła. Paweł nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Tłuścioch wziął to za odruch wymiotny i cofnął się o kolejny krok.

– No, wiedzą państwo – prychnął. – Jak tak można, w tak uroczystej chwili.

– To tylko sztuka, kotuś – powiedziała jedna z blondynek, biorąc go pod ramię. – Sam słyszałeś, nie ma co się denerwować. Chodźmy lepiej oglądać bezpieczniejsze obrazy.

Julii bardzo spodobał się ten dowcip, choć właściwie był niespecjalnie elegancki i średnio zabawny. Otoczenie takiej liczby bufonów i artystów wpłynęło na nią w niespodziewany sposób, podsuwając absurdalne pomysły i ochotę na performance.

Niestety kilka minut później humor jej się zepsuł, bo nastąpiło huczne otwarcie wernisazu. Prowadziła je Krysia we własnej osobie, a głównym bohaterem wieczoru stał się jeden z eleganckich panów, którzy jej towarzyszyli. Okazało się, że to wybitny, amerykański artysta, a drugi z dżentelmenów był jego życiowym partnerem.

Krysia błyszczała olśniewająco, ludzie tłoczyli się wokół niej i jej gości, robili zdjęcia i zadawali pytania. Uśmiechała się szeroko, witała się z niektórymi osobami i podawała im rękę, innych natrętów ostentacyjnie ignorując.

– Zachowuje się jak jakaś cholerna cesarzowa – warknęła głośno Julia. – Caryca Krystyna na balu w Carskim Siole.

– Co mówisz? – zapytał Paweł, nie dosłyszawszy jej słów w panującym wokół szumie.

Julia tylko pokręciła głową w odpowiedzi. Obserwowała piękność wieczoru, która nawet nie zdawała sobie sprawy z jej istnienia. Nadal brylowała wśród różnego rodzaju VIP-ów zaproszonych na wernisaż, pozwalała się fotografować, przyjmując profesjonalne pozy i błyskając idealnie białymi zębami w wystudiowanych uśmiechach. Do Julii dotarło, że jej adwersarka była prawdziwą gwiazdą w świecie sztuki, kimś w rodzaju celebrytki.

Trzeba było przyznać, że Krysią zachowywała się rzeczywiście po cesarsku, zaszczycając uwagę jedynie tych, którzy na to zasłużyli. Każdy, kto zamienił z nią parę słów i mógł pławić się chwilę w jej blasku, traktował to jako nobilitację. Julia widziała szczęście i dumę na twarzach eleganckich panów, którzy dostąpili zaszczytu, a także rozczarowanie lub złość na obliczach tych, którzy zostali zignorowani. Z tego wszystkiego sama zaczęła się denerwować, złapała się na tym, że ma autentyczną tremę.

– Spróbujemy teraz – rzucił Paweł i pociągnął ją ku Krystynie.

Julia wzięła głęboki oddech, wypięła pierś do przodu i ruszyła jednocześnie zdeterminowana i coraz bardziej na siebie zła. Jak mogła dać się porwać tej idiotycznej atmosferze?

Byli już o kilka kroków od celu, gdy drogę zastąpił im barczysty ochroniarz, zatrzymując w miejscu.

– Lady Cristine nie życzy sobie z państwem rozmawiać – burknął.

– Jak to: nie życzy? Przecież nawet nie wie, że tu jesteśmy – oburzył się Paweł. – Jestem jej znajomym, chcę z nią zamienić kilka słów!

– Pani nie będzie rozmawiała z osobami wcześniej nieanonsowanymi – zadudnił goryl.

„No tak, nie wyglądamy odpowiednio wytwornie – pomyślała Julia. – A tyle forsy wydałam na ciuchy! I pierwszy cieć bierze mnie za jakąś natrętą babę”.

Paweł ruszył do przodu, ale ochroniarz zablokował go jednym ruchem.

– Łapy precz, chamie – wycedził prawnik – bo zaskarżę cię o naruszenie nietykalności osobistej.



Krótką szamotanina przyciągnęła uwagę najbliższych osób. Wokół zrobiło się pusto, ludzie cofnęli się, jakby w środku tłumu wybuchł granat niestosowności. Krysia stała tyłem, ignorując zamieszanie. Goryl wykręcił Pawłowi rękę i pchnął go w ramiona dwóch ochroniarzy, którzy dyskretnie wynurzyli się z tłumu. Prawnik znikł w ciągu kolejnych dwóch sekund, wyprowadzony gdzieś na zaplecze. Julia stanęła oko w oko z wielkim ochroniarzem, teraz przysłała kolej na nią. Już miała zamiar odwrócić się na pięcie i odejść po dobroci, gdy Krysia wreszcie się odwróciła i spojrzała na nią z ciekawością.

Julia poczuła się mała, biedna i zupełnie nie na miejscu. Coś jednak pchnęło ją w przód. To dręczący od dziecka duch przekory, przez którego czasem pakowała się w kłopoty.

– Jestem księżniczka Julia Jasińska – powiedziała głośno ni to do ochroniarza, ni do całego świata. Jej głos musiał zabrzmieć wyjątkowo piskliwie i przez to donośnie, bo wszystkie rozmowy ucichły. Ludzie zamarli, gapiąc się na nią jak na wariatkę. Tak też właśnie się poczuła. Miała ochotę spłonąć ze wstydu, ale postanowiła brnąć dalej. Jak szaleć, to szaleć. – Przyjaciółka mecenasa Plewniaka – dodała, ruszając w kierunku Krysi i ignorując goryla. – Chyba nie byłyśmy umówione, ale ponoć słyszała pani o mojej sprawie. Chodzi o pomoc w odzyskaniu mojego rodzowego klejnotu, pamiątki po księżnej Jasińskiej.

Krysia odprawiła goryla wyłącznie ruchem brwi, a potem uśmiechnęła się do Julii, wyciągając dłoń na powitanie.

– Cieszę się, że przedstawicielka prawdziwej, polskiej arystokracji zaszczyliła obecnością mój wernisaż – powiedziała, potrząsając jej ręką. – Proszę o wspólne zdjęcie, księżno.

– Księżniczko – poprawiła Julia.

Krysia obróciła się do fotografów, nie puszczając dłoni rozmówczyni i wyszczerzyła się w szerokim uśmiechu. Julia zrobiła to samo, śmiało spoglądając w obiektywy. W środku dygotała i zalewała się potem, ale zachowywała się zadziwiająco spokojnie. Czyżby to domieszka krwi Czernyszewów dodawała jej pewności siebie na prawdziwych salonach?

Flesze błysnęły, oślepiając ją na kilka chwil. Kiedy jej wzrok z powrotem odzyskał ostrość, ujrzała najpierw twarz Krysi. Artystka nie uśmiechała się sztucznie i nie przyjmowała żadnych wystudiowanych póz, lecz zasypała ją

gradem słów, wyrzucanych z prędkością karabinu maszynowego.

– Proponuję, byśmy od razu przeszły na ty, wygodniej będzie nam rozmawiać i w przyszłości współpracować. Nazywaj mnie więc po prostu Krysią, dobrze? Świetnie. Paweł opowiedział mi o twojej sprawie i jestem nią niezwykle zaintrygowana. Chodzi o tajemniczy pamiętnik opisujący romans pewnej dziewczyny z księciem, rodzinne skarby i dziedzictwo starego rodu, tak? Lubię takie historie. Z chęcią pomogę. Załatwię sprawę z proboszczem, oczaruję go, jeśli będzie trzeba. Choćby nie wiem, jak się zapierał, zrobi, co będziemy chciały. Zdobędę dla ciebie tę broszkę, ale pod jednym warunkiem. Pozwolisz mi zająć się wiesz czym. Nie, nie opowiadaj, że masz już jakiegoś architekta, czy projektanta wnętrz. Nie uwierzę też, że będziesz chciała się tego pozbyć, to zbyt cenna pamiątka. I tak ktoś musi się tym zająć, a jestem najlepsza w takich sprawach. Masz przed sobą konserwatora zabytków i artystę w jednej osobie. Jestem jednocześnie naukowcem i genialnym plastykiem. Nie znajdziesz w tym kraju nikogo, kto sięgałby mi do pięt. Przykro mi, ale długo nie pogadamy, jak widzisz, pełnię dziś funkcję gospodyni. Umówmy się na wtorek po południu, zgoda? Albo lepiej na środę wieczór. To moja wizytówka, daj mi jakieś namiary na siebie, królowno. Nie masz wizytówki? Dziewczyno, *please*. Wyślij mi SMS-a, to dopiszę cię do skrzynki adresowej. Śliczna bluzka, choć już trochę niemodna. Masz ładne oczy i piękne, klasyczne rysy twarzy. Naprawdę jesteś arystokratką, co? Wybacz, Julka, muszę lecieć. Bawcie się dziś dobrze. A właśnie, gdzie Paweł? Ech, ten to zawsze się zawieruszy, roztrzepaniec. W sali na piętrze, po prawej stronie są najciekawsze prace, reszta to kupa. Och, wybacz...

Obróciła się do jakiejś dystygowanej, starszej pary i natychmiast zapomniała o dotychczasowej rozmówczyni. Julia, mocno oszołomiona, wycofała się w tłum. Nie udało się jej odezwać ani słowem, a mimo to miała wrażenie, że odbyła długą i owocną rozmowę. Porwała ostatni kieliszek z tacy idącego kelnera i duszkiem wychyliła wino.

„O co chodziło tej kompletnie szurniętej ślicznotce? – pomyślała, z trudem usiłując ułożyć słowa Krysi w sensowny porządek. – Czym niby mam pozwolić się jej zająć?”

Przynajmniej Krysia w bezpośrednim kontakcie nie okazała się nadętą kozą, sprawiała wręcz wrażenie całkiem sympatycznej, choć lekko zwariowanej. To

ostatnie można było wytłumaczyć tym, że była artystką.

Julia machnęła ręką i wybrała się na poszukiwanie zaginionego Pawła. Po paru chwilach bezowocnego błądzenia po korytarzach po prostu do niego zadzwoniła. Czekał na nią na zewnątrz, został bowiem wyrzucony z Zachęty na przysłowiowy zbity pysk. Był wyraźnie wkurzony i nie miał ochoty na kontynuowanie wieczoru. Odwiózł Julię do domu i obiecał, że zadzwoni.

Pierwszy telefon nie był jednak od Pawła, lecz od Ani. Zadzwoiła we wtorek, w południe, co właściwie się jej nie zdarzało. Góralka była sumienną pracownicą i w godzinach służbowych nigdy nie załatwiała prywatnych spraw, chyba że dzwonił on, zwany również „moim Andrzejem”. Ale on stał ponad wszystkim. Telefonowanie do przyjaciółek w czasie pracy nie wchodziło w grę, w przeciwieństwie do zwyczajów Oli. Tłumaczka była przecież freelancerem i od lat pracowała w domu, więc nie przejmowała się konwenansami. Wszystkie plotkarsko-towarzyskie sprawy załatwiała w czasie, gdy dwaj synowie byli w przedszkolu, czyli zazwyczaj w środku dnia.

– Czytałaś ostatnio „Twój Styl”? – spytała Ania niewinnym głosem.

– Upadłaś na głowę? Jaki mój styl, do stu diabłów? – zdenerwowała się Julia, która by odebrać połączenie, musiała odejść od komputera z rozgrzebanym, niezwykle ważnym sprawozdaniem. – Zarobiona jestem. Gadaj szybko, o co ci chodzi!

– Właśnie czytam wspomniany magazyn – spokojnie powiedziała Ania. – Siedzę sobie w poczekalni do gabinetu w pewnej przychodni zajmującej się chirurgią plastyczną i kosmetyczną. Właśnie wpadł mi w ręce świeżutki numer „Twojego stylu”. Chyba pojawił się dopiero w ostatni poniedziałek.

– Fascynujące – warknęła Julia. – Ale co mnie to obchodzi?

– Bo jesteś w nim, w dziale poświęconym życiu towarzyskim wyższych sfer. Wiesz, na końcu numeru są zawsze fotoreportaże z imprez, na których bywają celebryci. Przeglądam sobie kolorowe fotki z uśmiechniętymi lalami w odjebranych kreacjach i patrzę, a tu moja Julia! Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, szara myszka wśród gwiazd i gwiazdeczek. Szczerzysz się, ściskając grabę kudłatej ślicznotce. Najlepszy jest jednak podpis. Słuchaj: „Wernisaż zaszczylicili swoją obecnością także polscy arystokraci, w tym księżniczka Jasińska, traktowana przez monarchistów jako jedna z kandydatek

do polskiej korony”.

– O w mordę – jęknęła Julia. – Co za brednie!

– Nie spodziewałam się, że tak szybko awansujesz społecznie. Mogę jeszcze zwracać się do waszej wysokości po imieniu?

– Ktoś z roboty z pewnością to zobaczy. Stanę się pośmiewiskiem. – Julia zadrżała na samą myśl, co mogą z człowiekiem zrobić kompromitujące plotki. W korporacji coś takiego może doprowadzić do zakończenia kariery. – Jestem skończona. Już po mnie.

– Nie panikuj, może się nie wyda. A jeśli się wyda, efekt może być zupełnie nie do przewidzenia. Może wywałą, a może się wystraszą i dadzą awans z podwyżką – pocieszyła ją Ania.

– Ale ja nie chcę awansu – mruknęła Julia. – Wszyscy, którzy awansowali, po jakimś czasie paskudnie skończyli. Najczęściej wywaleni na bruk, ale zdarzały się przypadki zawałów i rozstroju nerwowego. Cholera jasna. Wszystko przez pamiętnik, po cholere mi była ta zabawa w jego kompletowanie?

– A tam, nie becz jak ostatni baran – prychnęła Ania. – Teraz za późno, by się wycofać. Bierz byka za rogi i naprzód. No, muszę kończyć, zaraz moja kolej. By się dostać do gabinetu, udaję desperatkę, która chce usunąć sobie zmarszczki tu i tam. Pa!

– Zapytaj przy okazji, ile kosztuje taki zabieg. Z czystej ciekawości rzecz jasna. Pa!

Rozmowa wstrząsnęła Julią na tyle, że zaraz po pracy pobiegła do kiosku i kupiła magazyn ze swoim zdjęciem. Okazało się, że wyszła całkiem nieźle. Bała się, że przy pięknej Krysi będzie wyglądała niczym ostatnie nieszczęście, ale okazało się, że nie jest tragicznie. W porównaniu z paniami z innych reportaży imprezowych prezentowała się całkiem przyzwoicie.

Z tego wszystkiego zadzwoniła do Oli, by podziękować jej za pomoc w wyborze stroju. Ola jednak nie okazała entuzjazmu, bo akurat kipiała wściekłością po rozmowie ze Staszkiem. Jej były oświadczył, że nie może zabrać malców na najbliższy weekend, jak było umówione, ani na dwa kolejne. Ola twierdziła, że ta dziwka, do której odszedł, manipuluje nim, by stracił kontakt z rodziną. Chce go mieć tylko dla siebie. Julia musiała wysilić się, by pocieszyć i uspokoić przyjaciółkę, wreszcie kupiła trochę słodyczy dla dzieciaków i pojechała do Oli w odwiedzinach. Wieczór spędziły, bawiąc się

z dziećmi.

Następnego dnia Paweł również nie zadzwonił. Julia czuła się tym nieco dotknięta. Po raz kolejny postanowiła wybić go sobie z głowy. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że nie są sobie pisani.

Po południu zadzwoniła za to Krysia we własnej osobie. Oznajmiła tylko, że jedzie mustangiem i będzie pod blokiem za piętnaście minut, po czym nie czekając na reakcję swojej rozmówczyni, przerwała połączenie. Julia ubrała się pospiesznie, ale tym razem w jeden ze swoich wyciągniętych swetrów i starych dżinsów. Samochód Krysi podjechał po ośmiu minutach, zatrzymując się z piskiem opon. Julia ze zdumieniem rozpoznała w wielkim, białym wozie samochód Pawła. Mimo że pojazd był wiekowy, wręcz archaiczny, Krysia prezentowała się za jego kierownicą po prostu zjawiskowo. Kiwnęła na Julię, wskazując ponaglająco drzwi pasażera.

– Lubię tego żelaznego konia – powiedziała, klepiąc kierownicę. – Wiesz, że Paweł kupił go, by mi zaimponować? To Ford Mustang z 1979, legendarna bryka. Pawełek musiał mi go dziś pożyczyć, bo sama nie posiadam auta. A właśnie, pozdrawia cię i przeprasza, że się nie odzywał, ale musiał wyjechać na kilka dni na prowincję. W wiadomej sprawie.

Po ostatnim stwierdzeniu porozumiewawczo mrugnęła do Julii, która oczywiście nie miała bladego pojęcia, w jakiej sprawie. Zdążyła już jednak na tyle poznać artystkę, by nie strzepić języka na niepotrzebne dopytywanie się, o co właściwie chodzi i gdzie jadą. Skinęła zatem potakująco głową i machnęła niedbale ręką.

Ruszyły rzecz jasna z piskiem. Okazało się, że Krysia jeździ równie brawurowo jak Ania. Przepychała się przez miasto, zręcznie zygzakując po trzech pasach, w pędzie mijając wszystkich grzecznie wlekących się w tłoku. Na światłach, gdzieś za Wilanowem, zatrzymało się obok nich nowoczesne audi z siedzącymi w środku dwoma garniturowymi amantami. Julia domyśliła się, że pewnie tylko rzną bogatych biznesmenów, a faktycznie są reprezentantami handlowymi w służbowej bryce albo pomniejszych menedżerami, wystrojonymi zgodnie z *dress code'em* panującym w kombinacie, w którym orali od rana do wieczora. Oczywiście natychmiast wypatrzyli Krysię i obaj wyszczerzyli zęby w szerokich uśmiechach. Ich samochód zaryczał na jałowym biegu, beczelnie prowokowali artystkę do wyścigu po zmianie świateł.

– To było w Mediolanie kilka lat temu – odezwała się Krysia. – Wiesz, chodziło o średniowieczne freski odnalezione w starym kościółku, pod warstwą skuwanego tynku. Pojechałam tam na zaproszenie włoskiego profesora, u którego się doktoryzowałam. Stary satyr pamiętał ulubioną studentkę i wiedział, że będę zachwycona, jeśli zorganizuje mi miejsce w ekipie ratunkowej. Dołączyłam do zespołu w kilka dni po rozpoczęciu prac, przez to byłam trochę w plecy, bo zdążyły się już wytworzyć towarzyskie koterie, układy i przyjaźnie, romanse i niechęci. Artyści są fatalni, jeśli chodzi o pracę w zespole, to przecież sami indywidualiści. Większość ekipy była więc już ze sobą skłócona i chodziła ogólnie podminowana. Wpadłam do kościoła prosto z lotniska, tak ciekawa byłam odkrycia. Wyobraź sobie upał, pył wiszący w nieruchomym powietrzu, kościół otoczony i wypełniony w środku rusztowaniami, na których siedzą nabzdyczeni konserwatorzy z całej niemal Europy. I wkraczam ja, stukając obcasikami na kamiennej posadzce, ubrana w kusą kieckę, jak jakaś stewardesa, a w dodatku targam walizę. I oczywiście zawadziłam nią o rusztowanie i omal nie zrzuciłam z niego Giuseppe. Zeskoczył wściekły, klnąc i złorzecząc po włosku, bo posypały mu się narzędzia, myślałam, że rzuci się na mnie z pięściami, ale na mój widok oniemiał. Stał taki spocony, z czarnymi, gorejącymi oczyma i gapił się na mnie jak ciele. Pomyślałam wtedy, że to właśnie ten. Mój jedyny – trajkotała Krysia jak nakręcona, nie zwracając najmniejszej uwagi na prowokujące ją garnitury. – Giuseppe, och co to był za kochanek! Gorący jak rozpalona upałem Italia. Namiętny i gwałtowny, romantyczny i delikatny! Kiedyś w gniewie nawet mnie spoliczkował – kontynuowała, by w momencie zmiany świateł wcisnąć gaz do deski. – Nie byłam mu dłużna. Pewnie do dziś ma ślady po moich pazurach na policzku.

Mustang wystartował z kopyta, wyrzucając z rury tumany dymu. Julia poczuła, że przeciążenie wciska ją w fotel. Wychyliła się i spojrzała we wsteczne lusterko. Audi zostało daleko w tyle. Wydawało się jej jeszcze, że w jego przedniej szybie dostrzegła zdumione miny nieudolnych podrywaczy. Zaczynała powoli przekonywać się do Krysi. Faktycznie, tak jak mówił Paweł, była niczym szalejący żywioł.

Zanim dojechały do Góry Kalwarii, opowiedziała Julii, czyli właściwie dopiero co poznanej osobie, całą historię swego burzliwego romansu z Giuseppe. Była to opowieść wzięta żywcem z telenoweli, ze zdradami

i kłamstwami, uniesieniami i straszliwymi kłótniami. Do rozstania doszło, gdy wyszło na jaw, że piękny Włoch zataił przed nią związek małżeński z pewną Sycylijką oraz posiadanie trójki pociech. Ostatnie sceny dramatu Krysia opowiedziała, stojąc na schodkach przed plebanią.

– Proszę powiedzieć proboszczowi, że chcą z nim rozmawiać doktor Krystyna Knut i księżniczka Jasińska w sprawie ocalałych z wojny wotów – rzuciła władczy tonem otwierającej drzwi gospodyni.

Kobieta, po ostatniej wizycie Ani z Olą, widocznie przywykła do dziwnych interesantek, bo nawet nie mrugnęła okiem. Wpuściła je do środka i kazała czekać w sieni. Młody proboszcz nie zaprosił ich do gabinetu, a sam pofatygował się do korytarza, pewnie po to, by spławić intruzów najszybciej, jak się da. Sprawiał wrażenie zmęczonego i podenerwowanego, widocznie problemy finansowe spędzały mu sen z powiek, powoli zamieniając go w żywego trupa.

Krysia przedstawiła się z tak wielką gracją i wdziękiem, bombardując jednocześnie młodego klechę serią oszałamiających uśmiechów, że ksiądz zbaraniał. Artystka kontynuowała atak, z uśmiechem oznajmiając, że zesłał mu je na ratunek sam Anioł Stróż księdza proboszcza i że one wreszcie wybawią go z kłopotów. Choć sprzedaż wotów, które wierni przynieśli do świątyni w ramach podziękii Bogu za ratunek lub uzdrowienie, mogła wydawać się nieetyczna, w obecnej sytuacji ksiądz był w pełni usprawiedliwiony. Musiał przecież ratować swoją świątynię, a co za tym idzie – także dusze parafian. Potem Krysia przedstawiła swoje kompetencje i uprawnienia, ofiarując za darmo usługi.

– Pani wybaczy, ale nie chce mi się wierzyć, że chce pani podjąć się tak trudnej pracy, nie pobierając wynagrodzenia – bąknął ksiądz. – Chyba rozumie pani, że budzi to mój niepokój i oczywiste podejrzenia. Obawiam się, że mogą panie być oszustkami.

– Zapłata będzie, ale nie dla mnie. Odda ksiądz księżniczce Jasińskiej broszkę czy tam wisior, który należał do jej praprababki – odparła Krysia. – To będzie nasze jedyne honorarium.

Proboszcz spojrział spode łba na milczącą dotychczas Julię.

– Znowu chodzi o ten wisior – warknął, wyraźnie zirytowany. – Kilka dni temu napadły mnie dwie idiotki, które próbowały wyłudzić to świecidelko. A teraz pojawiają się kolejne dwie oszustki, wyglądające na jawnogrzesznice.



Ile ten przedmiot naprawdę jest wart? Mam dość tych absurdalnych podchodów. Proponuję, byśmy zegrali w otwarte karty.

– Myślę, że jako antyk z pewnością coś jest wart, ale sądzę, że niezbyt wiele – odparła Julia. – Naprawdę należał do mojej rodziny, a chcę go odzyskać, by wypełnić ostatnią wolę mojej zmarłej ciotki. Zażyczyła sobie, by brosza wróciła do rodziny. Aha, i nie jesteśmy jawnogrzesznicami, wypraszam sobie podobne insynuacje.

– I ja mam w to uwierzyć? – Proboszcz splótł ręce na piersi.

– Proszę na próbę pozwolić wycenić mi kilka wotów – rzuciła Krysia. – Przekona się ksiądz, że naprawdę jestem specjalistką od rzeczy dawnych. Tylko je sfotografuję, a jutro prześlę księdzu wycenę. Jeśli uda nam szybko znaleźć na nich nabywców, przemyśli ksiądz naszą prośbę.

Uśmiechnęła się i zatrzepotała rękami, ale młody proboszcz był chyba zaimpregnowany na wdzięki niewieście, bo nie zapalał entuzjazmem.

„Albo święty, albo woli facetów – pomyślała Julia. – Żaden normalny mężczyzna nie zniósłby bez mrugnięcia umizgów tej ślicznotki. Powinien spłonąć jak świeca, a nie nadal głupio marszczyć brwi”.

– Oferujemy księdzu szybki i być może porządny zarobek – powiedziała. – Proszę przestać doszukiwać się pułapek i pomyśleć o szansie na uratowanie parafii. Tu i teraz. Drugiej oferty nie będzie.

Julia doszła do wniosku, że skoro urok Krysi nie działa, trzeba wykorzystać główny atut. I faktycznie zadziałał. Ksiądz zmiękł. Opuścił ręce i pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział. – Proszę tu poczekać, zaraz wrócę.

Krysia uśmiechnęła się do Julii i mrugnęła do niej porozumiewawczo. Księżniczka, zupełnie odruchowo, odpowiedziała jej mrugnięciem. Nie rozmawiały w czasie, gdy duchownego nie było, bojąc się podsłuchiwania przez przyczajoną przy drzwiach gospodynię. Wreszcie ksiądz wrócił z pokaznym zawiniątkiem pod pachą. Spojrzał przenikliwie na Krysię i wręczył jej pierwsze z precjozów.

– Mam prośbę, by oszacowała pani z grubsza wartość tego i każdego następnego przedmiotu. Powiedziała tylko, co o nich myśli, nic wiążącego.

„Testuje ją – natychmiast domyśliła się Julia. – Musiał już sam ustalać, ile są warte”.

Krysia przyjęła z rąk duchownego pierwszy przedmiot i chwilę obracała go

w dłoniach. Przypominał półmetrowy krzyż z trójnożnym stojaczkiem. Nie było jednak na nim postaci Chrystusa, za to w całości pokrywały go roślinne ornamenty.

– Mosiężny stojak na ekranik chroniący przed światłem świecy – powiedziała niemal bez wahania artystka. – Ta poprzeczka służyła do zawieszenia materiałowego ekranu. Używano tego od połowy XIX wieku, po wprowadzeniu świec stearynowych zwanych millerówkami, których światło było znacznie jaśniejsze niż powszechnych łojówek. Ówczesni ludzie wierzyli, że tak wielka jasność nocą może zniszczyć wzrok. Zasłaniali się przed bezpośrednim blaskiem właśnie takimi ekranikami. Choć ładnie wykonane, sam stojak jest niewiele wart. Myślę, że jakieś pięćset złotych.

– Mhm. – Ksiądz pokiwał głową, zachowując minę pokerzysty. – A to?

Kolejnym przedmiotem był niewielki orzeł, wielkości połowy dłoni, stojący na małym piedestale. Krysia wydeła usta w grymasie niezadowolenia.

– Figurka z brązu pierwotnie wieńcząca jakiś bibelot, pozytywkę lub kominkowy zegar. Może pochodzić nawet z XVIII wieku. Jest niestety tylko elementem czegoś większego, przez to niezbyt cennym. To właściwie złom. Może artysta rekonstruuujący tego rodzaju sprzęty zgodziłby się go kupić. Stawiam na jakieś sto, góra dwieście złotych.

Ksiądz znów pokiwał głową i wyciągnął kolejny przedmiot, tym razem biały. Julia przyjrzała mu się z ciekawością. To był uroczy komplet złożony z dwóch naczyń stojących na falistej tacce symbolizującej morskie fale.

„Ceramiczna pieprzniczka i solniczka – pomyślała Julia. – Początek dwudziestego wieku. Znowu stowa?”

– To porcelanowy kałamarz z naczyniem do posypania pisma piaskiem. Neorokokowy, w bardzo dobrym stanie. Jakież pięć, może nawet osiem tysięcy – oszacowała Krysia. – Wierni przynosili na wota kałamarze?

– To nie były dary, a dobytek kościoła z dawnych czasów, znalazłem te rupiecie w piwnicy – odparł ksiądz. – Spójrzmy zatem teraz na jedno z wotów.

Krysia zważyła w ręku otrzymany masywny i kanciasty przedmiot. Podrzuciła go nawet w górę i złapała z kocim mruknięciem, ni to zadowolenia, ni zaciekawienia. Julia wyciągnęła szyję, zerkając jej przez ramię. To było prostokątne, metalowe pudełko z nóżkami i dziurką na klucz.

– Srebrna cukiernica z zamkiem, do którego klucz trzymała gospodyni, by

ocalić zawartość przed łasuchami – powiedziała z uśmiechem Krysia. – W dodatku mamy tu pięknie wygrawerowaną na wieczku scenę śmierci księcia Józefa, narodowego bohatera z czasów wojen napoleońskich. Cacko, ważące ze dwa kilogramy. Mrau! Będzie warte kilkanaście tysięcy, może więcej. W ciągu kilku minut mogę znaleźć kupca na tę cukiernicę, wystarczą góra dwa telefony.

Ksiądz potarł czoło nerwowym gestem. Chyba wizja zdobycia kilkunastu tysięcy złotych w parę minut dogłębnie nim wstrząsnęła. To mogło ocalić parafię i jego dobre imię. Julia uśmiechnęła się w myślach. Wiedziała już, że go zdobyły.

– Jasiu, przygotuj, proszę, herbatę dla pań i przynieś razem z ciastem do mojego gabinetu! – huknął przez ramię, nawet nie otwierając drzwi. Obrócił się do jawnogrzesznic z szerokim uśmiechem i łzami w oczach. – Zapraszam szanowne panie na piętro, sporządzimy tam krótką umowę. I porozmawiamy o, mam nadzieję, owocnej współpracy.

W drodze powrotnej do Warszawy Krysia gadała już znacznie mniej, widząc, że rozmówczyni jest zmęczona i jednocześnie skupiona na czymś innym. Julia miała więc niemal zupełny spokój i mogła w zadumie kompletować dzisiejszą zdobycz. Choć w kabinie z powodu ciemności zasadniczo niewiele było widać, nie mogła oderwać wzroku od rodzinnego skarbu.

Udało się! Ksiądz Sierawski po podpisaniu umowy z własnej inicjatywy oddał Julii broszę jej prababek. Widząc zachwyty na jej twarzy, chyba ostatecznie przekonał się, że nie ma do czynienia z jawnogrzesznymi oszustkami i z tego wszystkiego stał się wręcz niebywale przyjacielski. Julia przestała jednak zwracać na niego uwagę z chwilą, gdy do jej rąk trafiła brosza przerobiona przez księcia Czernyszewa na wisior.

W świetle mijanych latarń nie było widać szczegółów, ale księżniczka i tak bez przerwy obracała zdobycz w dłoni. Brosza ciążyła przyjemnie i szybko nagrzewała się od dotyku, przez co wydawała się swojska, jakby była częścią ciała. Miała kształt rombu o nieregularnych brzegach, w którego środku tkwiło zielone oko półszlachetnego kamienia. Okalały je toporne ornamenty, wyryte z mozołem przez niezdarne twórcę.

– Ja chromolę, nie widziałam jeszcze czegoś takiego – oznajmiła Krysia. –

To przedmiot wyglądający na autentycznie starożytny. Niby pochodzi z Egiptu, tak? Wydaje mi się, że może być nawet starosumeryjski. Powiem ci jedno, to cacko, nawet uszkodzone, jest cholernie cenne. Właściwie nawet trudno oszacować jak bardzo.

– Chrzanić to – mruknęła Julia. – I tak nie jest na sprzedaż.

Krysia mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– Jasne, królewno.

Jechały chwilę w milczeniu. Chwilę nie dłuższą niż minuta.

– A właśnie! Masz już broszę – Krysia palnęła się w czoło. – W schowku jest coś dla ciebie. Paweł zostawił to i prosił, by ci przekazać, gdy odzyskamy świecidełko. Możesz już zabrać te papiery, należą do ciebie.

Julia aż wciągnęła powietrze z wrażenia. Otworzyła schowek i sięgnęła do środka. Wyciągnęła znajome, pożółkłe kartki. Nie czekając na lepsze warunki oświetleniowe, w migających błyskach drogowych latarni zaczęła czytać.

Dwa tygodnie minęły jak z bicza strzelił, i nic. Objeździłam przeznaczone na sprzedaż posiadłości w całej okolicy, ale znalezienie miejsca jednocześnie ustronnego i położonego w zdrowej okolicy, do tego niezbyt daleko od Warszawy i szlaków komunikacyjnych, granaczyło z cudem. Najpierw pojechałam dorożką na Bielany, gdzie wystawiono na sprzedaż jeden z dworów niedaleko lasu, w którym odbywały się świąteczne zjazdy warszawiaków. Okolica, choć w niedzielę bywała gwarna i ludna, bardzo podobała się księżnej Czernyszewej. Niedaleko było do lubianej przez nas karczmy, do której jej ekscelencja mogłaby sobie chodzić choćby co dzień.

Dorobiłam się w międzyczasie kolejnych dwóch sukienek, modnych i wytworniejszych, przez co nie wyglądałam już jak guwernantka, a młoda dama z dobrego domu. Mimo to nikt nie traktował poważnie kobiety w moim wieku. Żadnemu z rezydentów, a także ekonomowi nadzorującemu posiadłość, nie przyszło do głowy, że jestem powierniczką samej księżej i mam naprawdę poważne finansowe uprawnienia. Właściwie wzięli mnie za wysokiej klasy aksamitkę, utrzymanką szukającą lokum, w którym mogłaby przyjmować wielbicieli. Przez chwilę poczułam wstyd, ale szybko się otrząsnęłam i postanowiłam wykorzystać sytuację. Idąc, kołysałam biodrami i spoglądałam na oprowadzających mnie jegomościów spod półprzymkniętych powiek.

– Panienska doskonale wybrała, wspaniale – mówił ekonom, zakręcając sumiaste wąsisko. – Myślę, że będzie panna zadowolona. Jesteśmy nieco na uboczu, co zapewnia dyskrecję. Nikt nie będzie obserwował panienski gości.

– Prócz starej pani Leokadii, zajmującej całe poddasze. To teściowa właściciela, którą umieścił w pałacyku, by trzymać ją jak najdalej od Warszawy – wtrącił rezydent zajmujący jeden pokój na parterze, niepozorny i przygarbiony kancelista. – Wstrętna stara jędza, która wali

w podłogę z taką siłą, aż z sufitu leci mi tynk i wszystkie pluskwy wylażą w panice zza tapet. Skądinąd niezmiennych od czasów króla Stasia.

Ekonom zagotował się ze złości i kazał rezydentowi iść precz, a mnie ta chwila szczeroci wiele powiedziała. W domu mieszkała starsza pani, osoba bardzo męcząca, której nie sposób było się pozbyć. Poza tym wyposażenie wewnątrz okazało się dość leciwe i nie miało żadnych walorów leczniczych.

Pomyślałam sobie, że pora szukać gdzie indziej. Potrzebuję domu bez jakichkolwiek rezydentów i bez jakiegokolwiek robactwa. Niestety spełnienie obu tych wymagań okazało się niezwykle trudne. Odwiedziłam kolejno pięć dworców i pałacyków rozrzuconych po Mazowszu, a do tego jedną leśniczówkę w podwarszawskiej puszczy. W zależności od tego, kto mnie oprowadzał, udawałam aksamitkę, roztrzepaną córkę przemysłowca lub bonę z bogatej rodziny, szukającej letniego lokum dla swoich podopiecznych. Udawało mi się zawsze zjednać sobie ludzi i po dłuższej rozmowie wyciągnąć z nich wszystkie plusy i minusy danego lokum. Niestety minusy zawsze je dyskwalifikowały.

Z tego wszystkiego stałam się codzienną wizytatorką redakcji „Kuriera Warszawskiego”, w którym ukazywały się ogłoszenia o sprzedaży lub wynajmie dworców i gdzie zwykle trzeba było zgłosić się po kontakt do ogłoszeniodawcy. Już w drugim tygodniu redaktorzy kłaniali mi się w pas, całowali w rękę i witali, nazywając muzą sztuki dziennikarskiej, syreną warszawską lub cesarzową Józefiną. To wszystko dzięki kilku sowitym napiwkom, które wręczyłam. Dawania łapówek nauczyła mnie księżna Czernyszewa i nawet przeznaczyła mi na ten cel stosowny fundusz.

W końcu się udało. W czasie kolejnej wizyty w redakcji, gdy posadzono mnie przy stole i zaproponowano herbaty, podszedł do mnie młody człowiek w okularach z cienkiego drutu, z kosią bródką i grzecznie się przedstawił. Nazywał się Aleksander Głowacki i pisał dla periodyku reportaże ze swoich podróży po kraju oraz felietony o bolączkach warszawiaków. Okazało się, że niedawno jechał koleją pruską i służbowo wysiadł na stacji w Ciechocinku. W jedynym hotelu znajdującym się w tym miasteczku spotkał się z miejscowym lekarzem, medykiem od chorób płucnych, konkretnie od suchot, który opowiedział mu o zwyczajach przyjeżdżających do uzdrowiska kuracjuszy z Warszawy. Przy okazji, gdy temat się wyczerpał i panowie zeszli na luźne opowieści z życia, wyszło na jaw, że doktor czasowo zamieszkuje

w niezwykle malowniczo położonym dworze, oddalonym od Ciechocinka o kilkanaście minut jazdy powozem. Obszerne domostwo zbudowano na wiślanej skarpie, na fundamentach krzyżackiego zameczku obserwacyjnego. Roztacza się stamtąd oszałamiający widok na rzekę i drugi brzeg, na pobliskie lasy i majaczące w oddali szachownice pól. Medyk chwalił nie tylko położenie, ale także walory zdrowotne miejsca, a równocześnie wygodną bliskość kurortu. Lekarz wynajmował w tym domostwie pokój dzięki uprzejmości właściciela, starego dziwaka i podróżnika. Doktor próbował namówić go, by urządzić w dworze kurort dla suchotników, ale ten się nie zgodził. Dziwak planował sprzedać lub chociaż wynająć domostwo, bo zamierzał wyjechać do Afryki, by szukać mitycznego jeziora, do którego wpada rzeka Niger.

To było to! Poczulałam się, jakby mnie piorun strzelił. Właśnie czegoś takiego szukałam. Kompletnie nie przyszło mi do głowy, że można odnaleźć stosowny dom w Ciechocinku, właściwie jedynym kurorcie na Mazowszu. Słyszałam, że nie ma tam żadnych wystawnych rezydencji ani pałacyków, więc od razu darowałam sobie przeglądanie tego terenu. Nie przyszło mi do głowy, że w okolicy miasta może znajdować się coś ciekawego.

Ciechocinek dzięki temu, że od kilku lat prowadziła przez niego linia kolejowa stawał się coraz popularniejszy. Wystarczyły dwie lub trzy godzinki jazdy pociągiem i było się na miejscu, w uzdrowisku z tężniami solankowymi i ogólnie leczącą wszelkie dolegliwości atmosferą. Nie namyślając się długo, wzięłam od pana Głowackiego adres owego dziwaka, który chce wynająć domostwo, i poprosiłam dziennikarza o napisanie listu polecającego. Jeszcze tego samego dnia wyprawiłam posłańca publicznego z numerem 13 na czapce po bilet na dworzec. Następnego dnia rano, uzbrojona w parasolkę i niewielki kuferek z niezbędnymi rzeczami, pojechałam na Dworzec Petersburski, skąd odchodziły pociągi do Rosji i Prus.

Zafundowałam sobie drugą klasę. Pomyślałam, że księżna nie byłaby na mnie zła, bo wydatek nie nadwerężył specjalnie kasy, a mnie zapewnił w pełni komfortową jazdę. Tłuczenie się w trzeciej klasie, pozbawionej przedziałów i dość ludnej, okrutnie by mnie zmęczyło, a jazda czwartą klasą z wiejskimi babami i ich kurami, kaczkami i innym żywym inwentarzem na brudnych ławach oraz pijanymi łazęgami i kieszonkowcami z pewnością by mnie nerwowo wykończyła. Szczególnie że kobieta w moim stanie powinna

o siebie dbać.

Siedząc wygodnie przy oknie i patrząc na przesuający się krajobraz, oczywiście zastanawiałam się, co ze mną będzie. Ze mną i z dzieckiem. Nie łudziłam się, że Teoś się ze mną ożeni, zapowiadało się zatem, że zostanę panną z dzieckiem, co było równoznaczne ze skazaniem na publiczne potępienie i ostracyzm. Rodzina mnie wyklnie i wyrzeknie się wszystkich kontaktów ze mną. Nikt mnie nie zatrudni, zostanę bez środków do życia i skończę jak większość takich nieszczęśniczek, zdechnę z głodu lub nauczę się kraść i żebrać. Tak czy inaczej, oboje, ja i książęcy bękart, wylądujemy na ulicy, gdzie prędzej czy później dokonamy żywota. Dlaczego więc nadal posłusznie wykonywałam polecenia księżnej? Mogłam wszak ukraść pokaźną sumę z tego, co mi zostawiła, i zniknąć. Wyjechać choćby do Paryża.

Niemniej Anna Pietrowna mi zaufała, w dodatku lubiłam ją i nade wszystko była babcią mojego nienarodzonego dziecka, czyli w zasadzie moją rodziną. Nie wypadało jej oszukiwać i okradać. Szczególnie że, co tu kryć, wychowano mnie na osobę uczciwą i honorową. Wykonam powierzone zadanie co do joty. Co będzie potem? Tak po prawdzie, miałam nadzieję, że Fiodor dojdzie do siebie, a gdy dowie się, że jestem brzemienna, postawi się swojej ambitnej matce oraz całej reszcie świata, i w końcu się ze mną ożeni.

Głupie marzenia naiwnej panienki? Pewnie tak. Ciekawe, ile było takich dziewcząt przede mną? Ile idiotek dało się oczarować jakiemuś przystojnemu arystokracie, księciu, hrabiemu, baronowi lub choćby bogatemu ruskiemu bojarowi, pruskiemu junkrowi lub polskiemu magnatowi? Setki, tysiące? Pewnie to drugie. I co się z nimi stało? Nic nadzwyczajnego. Jeśli ojciec miał gest, przeznaczał fundusz na wychowanie bękarta i utrzymanie matki, po czym z lekkim sercem brał sobie kolejną nałożnicę. Jeśli takiego gestu i poczucia przyzwoitości nie miał, kazał ją wygnąć precz i z równie lekkim sercem brał sobie kolejną nałożnicę.

Rozsądek zatem podpowiadał mi, by brać złoto i wyjechać do Paryża, a serce i wrodzona przyzwoitość, by zostać i łudzić się, że wszystko będzie dobrze. Wybrałam to drugie.

Na dworcu czekał na mnie doktor Wouc, specjalista od suchotników, z którym telegraficznie skontaktował mnie redaktor Głowacki. Poprosiłam, byśmy najpierw udali się do hotelu, ale kategorycznie odmówił. Nie wypadało mi nocować w zajeździe, skoro przybywałam jako interesantka



do samego pana Bonifacego Trzebianowskiego, zwanego Lwem Północy. Medyk wzbudzał zaufanie, był jowialnym grubaskiem o rumianych policzkach i szerokim uśmiechu. Pozwoliłam zatem załadować się do powozu i pojechaliśmy do posiadłości.

Sypał akurat pierwszy śnieg, do tego wiało przeraźliwie, na szczęście powóz miał zamykaną budę. Krajobrazu więc niestety podziwiać nie mogłam, za to udało mi się dowiedzieć tego i owego o posiadłości i jej gospodarzu. Właściciel nazywał dom Teutońskim Bastionem, bo kupił go lata temu od pewnego Prusaka, który zbudował dwór w miejscu dawnej krzyżackiej twierdzy. Pan Bonifacy rzadko bywał w siedzibie, nieustannie bowiem ciągnęło go w świat. Poza tym nie założył rodziny i nie przepadał za przebywaniem w pustym dworze, liczącym dwadzieścia jeden komnat, jedynie w towarzystwie nielicznej służby.

– A kim właściwie jest gospodarz? – spytałam. – Czym się zajmuje oprócz podróżowania?

– Trwonieniem majątku odziedziczonego po ojcu – odparł doktor Wouc. – Uważa się za przyrodnika, twierdzi, że jego powołaniem jest badanie nieodkrytych terenów, zdobywanie świata. By sfinansować swoje eskapady, spieniężył już właściwie wszystkie posiadłości ziemskie, które odziedziczył. Będzie tego z dziesięć folwarków z ogromnymi połaciami lasów i kilkoma tartakami. Został mu już tylko dwór, w którym przechowuje trofea i zdobycze z licznych wypraw. Proszę się nie przestraszyć tych przedmiotów, gdy będziemy zwiedzać domostwo.

Zaintrygowała mnie postać pana Bonifacego, którego doktor opisywał niezwykle barwnie, nie szczędząc pochwał dla fantazji i rozmachu, z jakim działał podróżnik. Bałam się, by dom nie okazał się zaniedbaną ruiną, zamieszkałą przez awanturnika i poszukiwacza przygód, który rzadko tu bywał. Kiedy powóz się zatrzymał, wyskoczyłam z niego jak wystrzelona z procy, zniecierpliwiona przeciągającą się podróżą i rosnącą niepewnością.

Znalazłam się na owalnym dziedzińcu ozdobionym ustawionym na środku klombem z piaskowca. Przedemną wznosiło się to, czego tak długo szukałam. To nie był zwykły mazowiecki czy kujawski dwór szlachecki. W całej Polsce od wieków budowało się parterowe dworki, a Teutoński Bastion zamieszkały przez Lwa Północy okazał się solidnym, murowanym pałacykiem z piętrem, w dodatku niedawno otynkowanym, a przez to lśniącym bielą. Główną bryłę

domu zdobiły dwie narożne wieżyczki, wtopione w budynek, nadające mu lekko military charakter. Domostwo zostało zbudowane z rozmachem, nie byle co!

Zaraz też pojawił się gospodarz. Pan Bonifacy okazał się roslym jegomościem z siwiejącymi i nastroszonymi bokobrodami i przerzedzoną już nieco czupryną. Może przez te sterczące fawory nazywano go lwem? Twarz miał pociągłą i ogorzałą od słońca oraz wiatrów, niczym jakiś marynarz. Nosił schludny surdut z różowym halsztukiem pod szyją i od początku zachowywał się niezwykle uprzejmie. Widział, że reprezentuję rodzinę Czernyszewów, czego tym razem postanowiłam nie ukrywać. Zdaje się, że bardzo zależało mu na wynajęciu całego domostwa, i to jak najszybciej, bo zaproponował, że może mnie oprowadzić choćby natychmiast.

– Oczywiście, jeśli pani życzy sobie odpocząć, możemy wizytację przełożyć na jutro rano. Może to lepiej. Zaraz i tak zapadnie zmrok, więc pomieszczenia w świetle naftowej lampy nie będą wyglądały korzystnie – powiedział. – Zapraszam zatem na kolację, powiedzmy o dziewiętnastej. Mam nadzieję, że kucharz uwinie się do tej pory. Przy okazji przetestuje pani również jego, bo wynajem obejmuje dwór razem ze służbą. Nie zamierzam wyrzucać ludzi na bruk, są związani z moją rodziną od wielu lat. Za wszystkich ręczę honorem!

Poprowadzono mnie do środka. Zanim dotarłam do pokoju, zlustrowałam uważnie mijane wnętrza, nie czekając na światło słoneczne. Były w świetnym stanie, bez widocznego brudu i wszechobecnego w warszawskich kamienicach smrodu. Jedyłą ciekawostką i pewną niedogodnością okazały się stojące wszędzie trofea. Pan Bonifacy uważał się co prawda za przyrodnika, lecz nie za łagodnego badacza, a przyrodnika-zdobywcę. Mówiąc wprost, pasjonował się łowiectwem. Na ścianach wisiały zatem łby najróżniejszych rogatych stworów, łącznie z bawołami, gazelami i górskimi kozicami. W korytarzu stał wypchamy biały tygrys syberyjski, na którego widok pisnęłam ze zgrozy. Doktor Wouc szepnął mi do ucha, bym uważała, bo za drzwiami może stać niedźwiedź w drapieżnej pozycji lub wilk ujęty w pół skoku. Niestety okazało się to prawdą. Natknęłam się na jedno i drugie.

To wszystko trochę obniżyło moją entuzjastyczną ocenę domostwa, za to podwyższyło ją co innego. Służba. Na krok nie odstępowała mnie dziewczyna w fartuszkach pokojówki, niejaka Basia. Cicha i blada, udająca cień, za to

natychmiast gotowa na wszystkie usługi, kiedy tylko było trzeba. Prócz niej stąpał za nami wysoki chudy lokaj w liberii z czasów, gdy posiadłość należała do pruskiego junkra. Nazywał się Adolf, miał zupełnie łąsą czaszkę i straszliwe wory pod oczami, nadające mu wyjątkowo smętny wygląd. Pan Bonifacy przedstawił go jako swoją prawą rękę i najwierniejszego sługę. Zrozumiałam, że był w zestawie razem z resztą dworu. Przed kolacją ujrzałam jeszcze kucharza i jego pomocnika oraz niejakiego Jakuba, chłopaka do wszystkiego, głównie zajmującego się stajnią i drevutnią. Wszyscy chodzili jak w zegarku, co było znakomitą zapowiedzią na przyszłość. Wszak każdy wie, że najtrudniej jest o dobrą służbę.

Dostałam pokój na piętrze, w południowej wieży. Pomieszczenie miało owalny kształt i okna wychodzące na park. Rankiem okazało się, że w oddali, za drzewami, widać ciągnącą się w nieskończoność dolinę Wisły. Pokoik od razu mi się spodobał. Oszczędzono mu makabrycznych ozdób, myśliwskich trofeów i innego wypchanego obrzydlistwa. Jedynymi nietypowymi przedmiotami były trzy afrykańskie maski z czarnego drewna wiszące na ścianie. Patrzyły na mnie skośnymi otworami oczu, wykrzywiając pełne, murzyńskie usta. Gdybym była przesądna, pewnie miałabym pietra. Ja jednak pokazałam czarnym gębom język. Potem się do nich przyzwyczaiłam. Przyznaję, że w trudnych chwilach, które nadeszły później, zdarzyło mi się nawet do nich przemawiać. Jednak ani razu nie odpowiedziały.

Jeszcze przy kolacji ustaliłam wstępne warunki wynajmu. Brałam cały dom, wraz z wyposażeniem i służbą na okres dwunastu miesięcy, wnosząc opłatę z góry. Pan Bonifacy zobowiązał się opuścić dwór natychmiast po otrzymaniu zapłaty i nie pojawiać się przez rok. Z chęcią znikłby na dłużej, ale nie wyraziłam ochoty na dłuższy wynajem. Wymusiłam od niego zgodę na usunięcie trofeów, a konkretnie na wyniesienie ich na strych. Przystał na to bardzo niechętnie, chyba sama propozycja usunięcia ukochanych zdobyczy mocno go zaboląa, ale wizja sowitzkiej zapłaty szybko załagodziła jego rozterkę.

Następnego dnia wróciłam do Warszawy, gdzie czekała na mnie depesza od księżnej. Fiodor czuł się już na tyle dobrze, że udzielono mu zgody na podróż. Dostałam tydzień na przygotowanie lokum, bo tyle czasu Anna Pierwotna przewidziała na spokojny transport rannego. Wystosowałam więc do niej długą i treściwą depeszę, po czym nakazałam rosyjskiej służbie

pakowanie dobytku Czernyszewów. Zajęło im to dwa dni. Miałam ochotę wydusić ich gołymi rękoma.

Dwa dyliżanse pocztowe zostały zapełnione kufkami i pakami, eskortowanymi przez trzy pokojówki, dwóch lokajów, stangreta i stajennego. Rosjanie sprawiali wrażenie nabzdyczonych, a stan ten utrzymywał się im od wyjazdu księżnej. Jakoś nie przypadłam im do gustu jako przełożona. Zdaje się, że mną pogardzali. Oczywiście wiem dlaczego. Służba ma oczy szeroko otwarte i uszy mogące słyszeć przez ściany, dzięki czemu wie wszystko o życiu swoich panów. Mieli mnie za księżną nałożnicę, tanią warszawską dziwkę, która wdarła się na salony. Musieli mnie tolerować, bo byłam faworytą księżnej pani, ale z chęcią wywaliliby mnie za drzwi, nie szczędząc kopniaków. Byłam ciekawa, dlaczego jeszcze nie donieśli Annie Pietrownie o romansie jej syna ze mną. Pewnie bali się reakcji Fiodora i na wszelki wypadek trzymali język za zębami.

Po przyjeździe do Teutońskiego Bastionu wypłaciłam należność Lwu Północy i natychmiast zagnałam rosyjską służbę do roboty. Nie sprawiali wrażenia zachwyconych tym, że muszą targać na strych wypchane niedźwiedzie i tygrysy oraz jelenie poroża i bawole rogi. Szczególnie pokojówki miały mi to za złe, ale musiałam im jakoś podziękować za rzucane ukradkiem złe spojrzenia i szeptane za plecami złośliwości. Lew wyjechał następnego dnia, a ja zaczęłam zastanawiać się nad nową nazwą dla dworu, bo dotychczasowa wydawała mi się tragiczna i rażąca. Do przyjazdu Fiodora nic jednak nie wymyśliłam.

Na dzień przed planowanym przyjazdem księżnej i jej syna przyszedł do mnie lokaj Adolf. Kręciłam się gorączkowo po całym domostwie, doglądając ostatnich przygotowań. Głównie goniłam Rosjan do mycia podłóg, pucowania sreber, polerowania porcelanowej zastawy, noszenia drewna i innych koniecznych prac domowych. Smętny chudzielec o obwisłej twarzy dopadł mnie mknącą przez mroczny korytarz, gdy wracałam z wizytacji piwnic. Wyglądał, jakby właśnie wstał z grobu, więc nieco się przestraszyłam.

– Wasza wielmożność znajdzie kilka chwil, by mnie wysłuchać? – spytał drżącym głosem.

– Na litość boską, nie rzucajcie we mnie tytułami – westchnęłam. – Jestem

panienka Józia, to w zupełności wystarczy. O co chodzi, Adolfie?

– O Rosjan, którzy mają do nas zjechać – szepnął konfidentycznie. – Będzie to ponoć wysoki oficer lejbgwardii, ranny w bitwie. Z pewnością odwiedzą go inni żołdaci, koledzy i towarzysze broni. Dam sobie głowę uciąć, że będą wśród nich żandarmi z III Oddziału. Oni są wszędzie. Nic tylko węszą i szukają. Tropią i łapią biednych ludzi, by wtrącić ich do lochu, zniszczyć, zgnieść, wpakować do kibitki i wywlec na Syberię, drzeć pasy lub od razu powiesić.

Mówiąc to, lokaj wytrzeszczył oczy i gestykułował mi przed samym nosem dłońmi o drapieźnie rozcapierzonych palcach. Broda mu drżała, zaczął dygotać na całym ciele i łypać na boki. Zrozumiałam, że razem z dworem wynajęłam szaleńca. I zgodnie z umową nie mogłam się go pozbyć. Ciekawe, co jeszcze zostawił mi Lew Północy w ramach niespodzianki.

– Ci Moskale, którzy sprzątają dom, już śledzą i węszą. Nie spuszczają nas z oka, szepczą coś do siebie nieustannie, a gdy panienka wyjdzie, spluwają w ślad za panienką. Jak jeden mąż to same szpiony. Nie mogę tak dłużej, przez nich wszyscy skończymy w Dziesiątym Pawilonie. Wie panienka, co oni tam robią z więźniami? Jak strasznie biją? Jak niewyobrażalnie potrafią człowieka zmaltretować? – gorączkował się biedny wariat. – Jeśli mnie znajdą, wszyscy ucierpimy, wszyscy. Moja siostrzyczka Basia, kuzyn Jakub i szwagier Roman, nasz kucharz.

„Aha! Wszyscy służący w tym domu są jedną rodziną – pomyślałam ze zgrozą, cofając się krok za krokiem. – Choroby psychiczne są dziedziczne! Dom wariatów! O matko, wynajęłam dom pełen szaleńców”.

– Znów będę musiał uciekać, ukrywać się tygodniami i miesiącami. Przymierać głodem, liczyć na łaskę dobrych ludzi. A ja już nie dam rady – zachlipał nagle. Ramiona opadły mu jeszcze bardziej. Teraz wyglądał już jak ostatnie nieszczęście. – Jestem za stary, by znów to przeżyć. By znów uciekać. Co mam robić, panienko? Czy panienka nam pomoże?

„O czym on właściwie mówi?” – myślałam gorączkowo.

Przyparł mnie do ściany. Już nie mogłam bardziej się cofnąć. Na szczęście nie sprawiał wrażenia groźnego i zasadniczo nie zachowywał się agresywnie. Nie znaczyło to, że nie mógł w każdej chwili rzucić mi się do gardła. Wariat to wariat, z takim nigdy nic nie wiadomo.

– Przed kim pan uciekał? – bąknęłam, by coś powiedzieć, bo cisza zaczęła

się przedłużać.

– Przed sotnią esauła Bohdanenki, ale tylko przez miesiąc po rozbiciu naszej partii – odparł ze spuszczoną głową. – Kozaczy syn dał sobie spokój, gdy wyłapał większość moich chłopców. Razem ze swoimi dońcami pastwili się nad jeńcami, okładając ich nahajkami, a potem kolejno wszystkich powiesili. Wymknąłem się z obławy. Potem tropili mnie żandarmi z III Oddziału. Całymi miesiącami szli za mną trop w trop. Kilka razy umknąłem im w ostatniej chwili...

Zrozumienie przyszło na mnie niczym boskie objawienie, niemal usłyszałam surmy w głowie. Adolf był weteranem powstania, poszukiwanym przez carskie służby! Niemniej od zrywu minęło piętnaście lat. Nikt już nie szukał byłych polskich buntowuszczyków. Carscy szpicle już dawno zapomnieli o istnieniu powstańców, od kilku lat zaczęli nawet wracać z Syberii pierwsi skazańcy. Adolf jednak ciągle się ukrywał. Widocznie straszliwe przeżycia tamtych dni nadal nie dawały spokoju dawnemu żołnierzowi. Wracały w nocnych majakach, powracały w atakach paniki i nieustannym uczuciu niepokoju. Słyszałam o czymś takim, to była choroba wojaków, którzy przeżyli zbyt wiele strasznych rzeczy. Natychmiast przestałam się bać Adolfa, a zaczęłam mu współczuć. Był chorym, zaszczytym powstańcem.

– Biliście się w styczniu? – spytałam, biorąc go delikatnie pod ramię.

Skinął głową, zauważyłam, że oczy mu zapłonęły.

– Najpierw jako ułan u generała Langiewicza, potem pod pułkownikiem Czachowskim. Wreszcie sam przejąłem małą partię i dowodziłem nią przez dwa miesiące. Osaczony i ścigany, bez amunicji i żywności – powiedział i uniósł głowę, spoglądając mi głęboko w oczy. – Jestem kapitan Mrok. Tak mnie wtedy nazywano.

– Nie musisz się niczego obawiać, kapitanie. Jestem po waszej stronie, a Moskale, którzy jutro przyjadą, to naprawdę porządni ludzie. Nikomu nic się nie stanie, nikt nie będzie szpiegowany ani dręczony. Już ja tego dopilnuję.

– Ochroni nas panienka? – spytał z nadzieją, łypiąc na mnie zażawionymi oczami.

Zrozumiałam, że oczekuje wyłącznie zapewnień, że wystarczy go uspokoić i pocieszyć. Opowiedziałam mu więc o księżnej i jej synu, nie szczędząc im pochwał i wychwalając przymioty ich charakterów. Wczułam się w rolę i pozwoliłam się porwać natchnieniu, aż sama zostałam zaskoczona

zdolnościami oratorskimi. Adolf odszedł wyraźnie uspokojony, w dodatku po raz pierwszy na jego smutnej, pociągłej gębie pojawił się uśmiech.

Jeszcze tego samego wieczora, gdy kładłam się spać, przyszła pokojówka Basia. Z własnej woli przyniosła mi kubek ciepłego mleka. Stała nade mną, gdy piłam i uśmiechała się w milczeniu.

– Rozmawiałaś z bratem? – spytałam wreszcie.

– Tak, jaśnie panienko – dygnęła. – Wiem, że panienska go uspokoiła. Ostatnio znów miał ataki lęku. Wszędzie widział tropiących go Kozaków. Dziś mu wszystko przeszło, dawno nie widziałam go w tak pogodnym nastroju. Dziękuję pięknie.

Znów dygnęła i wyszła.

Pomyślałam, że mam teraz sojuszników przynajmniej w polskiej służbie.

Powóz przyjechał wczesnym popołudniem, akurat w sam raz na obiad. Roman upiekł dziś kuropatwy w ziemniakach, zrobił też pożywną zupę na wędzonym boczku. Wiedziałam, że księżna, która bardzo lubi dobrze zjeść, będzie zadowolona. Lokaje w wyczyszczonych liberiach i pokojówki w lśniących bielą fartuszkach stali w szpalerze przed wejściem. Ja sama, w błękitnej sukience i granatowym płaszczku podbitym kożuszką, tkwiłam niczym oficer liniowy na wysuniętej placówce, gotowa na prezentację przed ich ekscelencjami.

Stangret przystawił schodki i otworzył drzwi powozu. Anna Piertowna wytoczyła się ze środka jako pierwsza. Nic się nie zmieniła, nadal była rumiana i uśmiechnięta, a do tego okrągła jak wielki tort. Wzięła mnie w ramiona i ucałowała w oba policzki.

Okazało się, że Fiodorowi potrzebna jest pomoc, której udzielił mu stangret. Wreszcie mój kochany stanął przede mną, podpierając się na dwóch laskach. Wychudł i zmizerniał, mundur wisiał na nim niczym na strachu na wróble. Do tego policzki miał blade i zapadnięte, a oczy błyszczały mu niezdrowo chorobą i gorączką. Mimo to rozpromienił się na mój widok i wyprężył pierś. Zrobił samodzielnie kilka kroków, by przy wszystkich delikatnie pocałować mnie w policzek. Z trudem się powstrzymałam, by nie wpaść mu w ramiona. Zamiast tego zaproponowałam mu pomocne ramię. To samo z drugiej strony zrobiła księżna i razem odprowadziłyśmy Teosia do pałacu.

Matka nalegała, by od razu położył się do łóżka i odpoczął po podróży, ale

ani mu to było w głowie. Prychnął tylko, że nie będzie jadł zupkę podawanych przez mamusię wprost do buzi, leżąc w piernatach. Dopóki ma siłę, zasiądzie z nami normalnie do stołu i zje jak człowiek.

Chyba po raz pierwszy widziałam, by mój potulny i grzeczny Teoś postawił się despotycznej księżnej. Mało tego, nie próbował już rzucać mi ukradkowych spojrzeń za plecami matki, lecz otwarcie się na mnie gapił, i wreszcie zamiast dać się prowadzić pod ramię, władczy i jednocześnie czułym gestem objął mnie w pól. Poczułam na sobie palące spojrzenie Anny Pietrowny. Jowialny uśmiech znikł z jej twarzy jak zdmuchnięta świeca.

Zanim usadowiliśmy się przy stole, Teoś zażądał, by siedzieć przy mnie. Natychmiast po zajęciu miejsca złapał mnie za dłoń! Przy ludziach!

– Wypiękniałaś, Józiu – powiedział w ciszy, która zapadła. – Nie sądziłem, że to możliwe, ale jesteś jeszcze piękniejsza niż w dniu, w którym wyjechałem. Rozkwitałaś, a mnie przy tobie nie było. Straciliśmy bezpowrotnie kilka miesięcy i niewiele brakowało, a stracilibyśmy wszystkie kolejne.

– Wojna wymaga poświęceń... – wyjąkałam chyba po to, by przypodobać się znieruchomiałej księżnej.

– To nie przez wojnę, ale przez mój idiotyczny pęd za karierą, której nigdy nie pragnąłem. Za sławą, która mnie nie pociąga, za orderami, które mam w nosie. Wreszcie przez skłonność, by zadowolić wszystkich dookoła, zapominając o własnym szczęściu – powiedział gorzkim tonem. – Co naprawdę jest ważne, zrozumiałem dopiero wtedy, gdy spojrzałem śmierci w oczy. Gdy leżałem w lazarecie okaleczony i bez sił, przekonany, że już nigdy cię nie zobaczę. Obiecałem sobie wtedy, że jeśli uda mi się przeżyć, wrócę i już nigdy cię nie opuszczę...

– Fiodorze! – warknęła księżna.

– Niech mama to też w końcu przyjmie do wiadomości! – zagrzmiał, aż się wystraszyłam. – A teraz proszę o tę obiecaną zupę. Ponoć depezowałaś, Józiu, że dobrze tu gotują.

– Tak, zaraz sam się przekonasz. – Skinęłam głową. – Adolfie, prosimy podawać.

Wybuch mojego kochanego tak mną wstrząsnął, że przez jakiś czas nie mogłam dojść do siebie. Księżną też jakby piorun strzelił. Jadła zupę w milczeniu, nie odzywając się ani słowem. Poczułam się głupio



i niezręcznie, bo przywykłam do gwaru panującego w okolicy, gdzie przebywała Anna Pietrowna. Cisza była dla niej tak nienaturalna, jak milczenie dla straganiarek na warszawskim targowisku.

Nieśmiało próbowałam zagaić z nią rozmowę, ale jakoś się nie kleiło. Przynajmniej nadal była dla mnie uprzejma. To dobrze wróżyło. Nie traktowała mnie jak wroga, który odebrał jej syna, jednocześnie niszcząc zaplanowaną dla niego karierę. Jednak nie wiedziałam, czego mogę się po niej spodziewać, co może wróżyć ta gwałtowna utrata humoru. Z pewnością nic dobrego.

Na szczęście Adolf i jeden z rosyjskich lokajów, chyba Siergiej, wnieśli kuropatwy. Kucharz upiekł je w glinianych naczyniach, nie żałując słoniny, którą obłożył ptaki, by nie uschły. Polskim zwyczajem napchał kuropatwy kaszą ze smażoną cebulką i obficie natarł ziołami. W towarzystwie ziemniaczków o zarumienionych skórkach nawet dla mnie wyglądały niezwykle zachęcająco. Odkąd znalazłam się w odmiennym stanie, zrobiłam się żarłoczna. Trochę mnie to przerażało, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Rzuciłam się więc na danie z łapczywością równą księżnej. Annie Pietrownie z pewnością smakowało, bo po paru chwilach uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie.

Fiodor również trochę poskubał potrawę, ale szybko opadł z sił. Siedział tylko i spoglądał na mnie z błogim uśmiechem. Przykro było patrzeć, jak ogromnie zmizerniał. Zauważyłam, że na jego czole pojawiły się krople potu, bez wątplenia cierpiało.

– Źle się czujesz, biedaku. Bołą cię rany? – spytałam z powagą.

– Tylko te trzy na nogach, które tak paskudnie się goją.

Na chwilę przestał panować nad sobą i na jego twarzy odmalowało się cierpienie. Poczułam, że serce ściska mi się z żalu. Tak bardzo starał się zapewnić mi miły wieczór, a przez cały czas zmagał się z boleściami i zmęczeniem. Biedaczek, tyle wycierpiało! A ja siedziałam, głupio się uśmiechając i przez całą kolację wysłuchując komplementów. Byłam skończoną idiotką, nieczułą i pozbawioną wyobraźni. Poderwałam się od stołu, jednocześnie łapiąc Teosia za dłoń. Uklękałam przed nim i przytuliłam twarz do jego ręki. Tym razem to ja straciłam nad sobą panowanie. Rozryczałam się. Zalałam łzami, w dodatku nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Tęsknota, strach o jego życie i moją przyszłość, wszystko

wybuchło we mnie gwałtownym płomieniem, który uwidocznił się potokiem łez.

To przez ciężę. Kobiety przy nadziei są bardziej wrażliwe i czułe na wszelkie wzruszenia. Łatwo wpadają w skrajne stany emocjonalne: od śmiechu z radości do potoku łez z żalu dzieli je niezmiernie cienka granica. Ja właśnie nieopatrznie ją przekroczyłam, prezentując wszystkim pokaz hysterii, którego nie powstydzilyby się najlepsze aktorki scen warszawskich.

Teoś objął mnie i przytulił do piersi. Pocałował w czoło i kołysał długi czas, bym się uspokoiła. Księżna westchnęła i pokręciła głową. Adolf, który akurat wszedł z tacą, by zebrać puste talerze, potknął się i omal nie wywinął orła.

– No dobrze, moje dzieci – oznajmiła wreszcie Anna Pietrowna. – Oboje zapewniliście mi bardzo ciekawy wieczór. Jedno i drugie pokazało się ze strony, z której go nie znałam. Było to niezwykle pouczające, muszę teraz wszystko przemyśleć. Dość tej dziecinady i teatralnych gestów; już starczy. Teoś natychmiast kładzie się do łóżka, a Żuza pokazuje mi pałac.

– Musimy pomówić z mamą o naszej przyszłości. O mnie i Józi – oznajmił twardo Fiodor.

– Nie teraz, nie dziś – ucięła księżna, wstając od stołu. – Spędzimy tu razem kilka tygodni, będziemy mieli okazję porozmawiać na każdy temat.

– Chcę rozmawiać o nas – słabnącym głosem zaoponował Teoś, wskazując na mnie.

– Nie ma żadnych was, dziecko – zakończyła dyskusję księżna i wyszła z jadalni.

Zastanawiał mnie ten dominujący wpływ matki na syna. Anna Pietrowna miała mocny charakter i lubiła przejmować inicjatywę, co dostrzegłam już przy pierwszym spotkaniu. Z kolei Fiodor nie sprawiał wrażenia maminsynka, który przez całe życie jest uczipiony spódnicy i wykonuje polecenia matki, bo boi się ją skrzywdzić, a nade wszystko nie wyobraża sobie życia bez rodzicielki, bez jej rad i wskazówek, bez opieki i nieustającego zalewu miłości. Mój książę nie był kimś takim. Miał co prawda miękkie serce i rzewną duszę rosyjskiego artysty, ale już jako młody chłopaczek wydostał się spod skrzydeł rodzicielki. Młodość spędził w szkole kadetów i w cesarskiej akademii. Potrafił zachowywać się naprawdę męsko

i zdecydowanie, był samodzielny i zaradny. Nie został podpułkownikiem gwardyjskiego pułku jedynie dzięki pieniądзом i wpływowi rodziny. Słyszałam, że jest świetnym żołnierzem, dzielny i odważny. O tym ostatnim świadczyły choćby jego rany.

Dlaczego zatem wcześniej nie postawił się matce? Dlaczego zdobył się na ten gest dopiero wtedy, gdy śmierć zajrzała mu w oczy? Odpowiedzi na te pytania doczekałam się w kolejnych dniach, które niemal od świtu do zmierzchu spędziłam z Teosiem. Najczęściej siedzieliśmy przy kominku i rozmawialiśmy, często czytałam mu powieści. Przed obiadem odbywaliśmy spacer, schodziliśmy przez park, po skarpie, nad samą Wisłę. Jednak Fiodor szybko się męczył, rany mu doskwierały. Poza tym była już połowa grudnia i czasem naprawdę mocno wiało. Wracaliśmy więc do domu, by rozmawiać i zwierzać się sobie ze wszystkiego.

Niemniej nadal nie powiedziałam mu, że jestem w ciąży.

W przechadzkach nie towarzyszyła nam księżna, ale zawsze w zasięgu wzroku pozostawał któryś z jej służących. Czasem całkiem otwarcie siedł za nami jeden z lokajów, innym razem od drzewa do drzewa śledził nas stajenny. Było to jednocześnie żałosne i irytujące. Nie mogłam sobie darować, by pogrozić takiemu pięścią lub chociaż pokazać mu język.

Księżna nas unikała. Od pokojówki Basi, która szybko stała się moją powierniczką, dowiedziałam się, że często przesiaduje w kuchni i toczy kulinarne dysputy z kucharzem Romanem, który na szczęścia zna rosyjski. Prócz tego często jeździła do Ciechocinka, ale nikt nie wiedział po co. Zimą kurort był niemal zupełnie wymarły. Tak czy inaczej, mieliśmy ją z głowy. Z niezrozumiałego powodu dała nam czas wyłącznie dla siebie samych, jako przyzwoitki zostawiając swoich służących.

W tym czasie poznałam historię życia Teosia, jego wloty i upadki. Siedząc w bawialni aż do szarej godziny, przyjmowałam różne pozy, a mój książę szkicował moje portrety ołówkiem lub węgielkiem, w zależności od humoru. Rysując, snuł opowieści albo wysłuchiwał moich. Poznałam zatem styl życia wyższych sfer cesarstwa z pierwszej ręki.

Teoś miał szczęśliwe dzieciństwo, które skończyło się wraz ze śmiercią ojca. Mój bohater miał wtedy siedem lat. Zapamiętał zaledwie kilka scen z udziałem starego księcia: radosne rodzinne spacerunki po Petersburgu i udział w defiladach oraz paradach wojskowych wizytowanych przez cara. Jedne

i drugie uważał za straszliwie nużące, ale jego ojciec wręcz je uwielbiał. Jeśli cesarz okazał zadowolenie, generał promieniał ze szczęścia, co przekładało się na nastrój wszystkich członków rodziny. Fiodor zawsze z niepokojem oczekiwał efektu, jaki przyniesie krótka rozmowa cara z ojcem. Jeśli generał wrócił z niej ze ściągniętymi w zadumie brwiami, reszta dnia zapowiadała się paskudnie. Każdemu mogło się oberwać, nawet szacownej małżonce lub synowi. Łała się wódka pita na smutno, co nieodzownie kończyło się awanturą. Przynajmniej nie dochodziło do rękoczynów, choć Teoś pamiętał, jak ojciec dał tęgiego kopniaka lokajowi, który przypadkiem znalazł się w pobliżu.

Zupełnie inaczej wyglądał dzień, gdy car nagroził generała gwardii pochwałą. Wtedy ojciec nie żałował rodzinie czułości. Całował żonę, a syna brał na kolana i gładził po głowie. Potem zabierał ich do ulubionej restauracji na wędzone ryby, kawior z chlebem i szampana. Po obiedzie spacerowali po mieście, a po drodze mama kupowała a to rożek z cukierkami, a to tutkę pieczonych ziemniaków. Wszyscy byli radośni i zadowoleni z życia; młody książę miał pozwolenie na brykanie i rozrabianie bez ograniczeń.

Ojciec zmarł po wizytacji w krymskim garnizonie, skąd przywłókł cholere. Ta zaraza zawsze ciągnęła się za rosyjskim wojskiem, szczególnie w południowych rejonach imperium. Cud, że nie zaraził całej rodziny. Z odwodnienia zapadł w śpiączkę i rychło przeniósł się na tamten świat. Teoś przeżył ten cios, jak przystało na wrażliwe dziecko, niezwykle boleśnie, wręcz traumatycznie. Obraz trumny eskortowanej przez lejbgwardzistów w czarnych mundurach ze złotymi guzikami często nawiedzał go w snach. Od tamtej pory mundur kojarzył mu się ze smutkiem i nadętymi uroczystościami. Defilady i pogrzeby wojskowych na zawsze zapadły mu w świadomość jako coś nieprzyjemnego i niepokojącego.

Owdowiała Anna Pietrowna nie musiała martwić się o godne warunki do życia. Generał zostawił okazały majątek, mogła więc wraz z synem pędzić dostani, spokojny żywot w dowolnym rejonie imperium. Jednak księżna od zawsze miała ogromne ambicje. Chciała być w centrum wydarzeń, pławić się blasku bijącym od ich cesarskich mości. Skoro jej małżonek zakończył karierę tylko jako generał, postanowiła, że syn dostąpi zaszczytu osiągnięcia stopnia feldmarszałka, a wcześniej figel-adiutanta i być może uda się go wzenieć w rodzinę panującą.

O tym właśnie skrycie marzyła Anna Pietrowna. O koronie. Już nie dla siebie, nie dla swojego syna, ale choć dla wnuków. Każdy musi mieć jakiś cel w życiu, a księżna obrała sobie właśnie ten. By go osiągnąć, ostro wzięła Teosia do galopu. Musiała go przecież wychować na kogoś, kto będzie godny poprosić o rękę carską córkę.

Kilka miesięcy po śmierci ojca zaczęło się tresowanie mojego kochanego. Anna Pietrowna zaplanowała, by ukształtować go na nowo według własnych koncepcji. Ojciec dawał chłopcu zbyt wiele swobody, pozwalał mu rozwijać się w kierunkach zgoła absurdalnych. Po co przyszłemu żołnierzowi umiejętność rysowania i malowania? By coś z syna wyrosło, należało teraz wyprać go z idiotycznych ciągot artystycznych i stopniowo przemodelować na wojskowego dowódcę, zdobywcę i pogromcę, ale jednocześnie posłusznego kochanej matce.

Nie spodziewałam się, że sympatyczna księżna, której tyle zawdzięczałam, którą naprawdę poważałam i lubiłam, mogła być aż tak okrutna. Na początek wygnała jego ulubionych guwernerów, a na dziedzińcu pałacu rozkazała rozpaść wielkie ognisko. Potem poleciła synowi wrzucić do ognia wszystkie namalowane przez niego obrazy, rysunki i szkice, a także ulubione książki oraz zabawki.

Bronił się, ale Anna Pietrowna nie okazała litości. Własnoręcznie prała go z całych sił, gdy się opierał, aż w pokorze, zalany łzami i wyjął z bólu, spalił wszystko, co wiązało się z beztróskim dzieciństwem. Od następnego dnia zajął się nim nowy guwerner, kapitan Miałkow.

Bydłę pierwszej wody. Zaczynał naukę od musztry, potem przechodził do obsługi broni i jej czyszczenia, a po zmroku, gdy chłopak przewracał się ze zmęczenia, kończył na pucowaniu butów. Rankiem urządzał chłopcu przebieżkę, a gdy nieszcześnie ruszał się zbyt wolno, okładał go po plecach bambusowym kijkiem i zakazywał wydania śniadania. W ciągu kilku tygodni zmienił życie Teosia w prawdziwe piekło.

W tym czasie chłopak nie widywał matki. Ta obserwowała wszystko z daleka, właściwie za pośrednictwem służby, nie ingerując w spartańskie metody nowego nauczyciela. Dopiero gdy w czasie lekcji fechtunku Teoś otrzymał cios palcatem<sup>13</sup> w czoło i stracił przytomność, raczyła się pojawić. Zalewając się łzami, tuliła syna do piersi i całowała, tłumacząc mu, jak ważne jest jego nowe kształcenie.

Kolejne tygodnie były pasmem bólu i udręki, dręczenia i głodzenia. Matka pojawiała się rzadko, by syna pocieszyć, ucałować i nakarmić frykasami. Powoli zaczynała się kojarzyć chłopcu z rzeczami wybitnie przyjemnymi, z jedyną radością życia. Wszystko, co powiedziała, natychmiast się spełniało, każda jej rada, do której się zastosował, natychmiast odnosiła skutek. Anna Pietrowna zaczęła zmaltretowanemu, głodzonemu chłopcu kojarzyć się z samymi przyjemnościami, z chwilą wytchnienia, z odpoczynkiem i jedyną radością. Nauczył się jej słuchać i wierzyć w każde jej słowo.

Kręciłam głową, słuchając tych okropieństw. Jak można traktować własne dziecko z taką bezwzględnością? Od razu można domyślić się, że wykonywała okrutny plan mający z wrażliwego syna uczynić twardego i odpornego, a do tego bezwzględnie posłusznego jej drania. I wszystko to robiła moja droga, wesoła i uśmiechnięta Anna Pietrowna. Kto by się spodziewał!

Zrobiło mi się jeszcze bardziej żal Teosia. Opowiadając o swoim dzieciństwie, popadł w ponury nastrój, zawładnęło nim przygnębienie. Z tego wszystkiego odłożył szkicownik i dłuższy czas patrzył tępo w płomień kominka. Wiedziałam, że cierpi nie tylko duchowo, ale także fizycznie. Spokoju nie dawała mu myśl, że zostanie kaleką. Trzy rany na nogach nie chciały się goić, wciąż się jęczyły i ropiały. Odwiedzający nas doktor stwierdził, że być może nie zostały dokładnie oczyszczone i w mięśniach tkwią żeliwne odłamki szrapnela. Ratunkiem mogła okazać się kolejna operacja, ponowne otworzenie ran i ich oczyszczenie. Lekarz żałował, że nie może spojrzeć w głąb ludzkiego ciała i zobaczyć, co się w nim dzieje. Marzyły mu się promienie, którymi można by prześwietlić ранego, bez krojenia go na ślepo. Gdyby istniały, Teos już dawno byłby wyleczony.

Zamiast tego siedział nieruchomo, bojąc się drgnąć, by nie spowodować ataku bólu, i gryzł się z ponurymi myślami. Chyba wracanie do przeszłości nie było najlepszą terapią, bo zamiast mu pomóc, sprowadzało dawno zapomniane koszmary. Stwierdziłam, że muszę jakoś odciągnąć jego uwagę, skierować ją ku czemuś przyjemniejszemu.

Wstałam i wyszłam do sąsiedniego pokoju. Tak się zamyślił, że nie zwrócił na to uwagi. Ja tymczasem zrzuciłam szybko kieckę, jako że nie nosiłam gorsetu z powodu ciąży, raz-dwa wyskoczyłam z koszuli, halki i majtek. Wróciłam do salonu tak, jak mnie pan Bóg stworzył i usiadłam na fotelu w dość wyzywającej pozycji, starając się jednak nie odsłaniać wszystkiego.

Teoś zdębiał. Zapadnięte, smutne oczy rozbłysły mu znajomymi, wesołymi ognikami. Sięgnął po szkicownik i zaczął rysować, lecz szybko cisnął go w kąt i próbował wstać. Poderwałam się jako pierwsza i dopadałam go jednym susem, zatrzymując w miejscu.

– Dokąd to, żołnierzyku? – szepnęłam mu do ucha, pochylając się tak, by moje piersi miały na wysokości oczu. Biust zaczął mi już nabrzmiwać i sporo urósł, jak to u kobiet w ciąży.

Potem rozebrałam swojego księcia i ostrożnie go dosiadłam. Okazało się, że ranny ma jeszcze naprawdę sporo energii witalnej. Poużywaliśmy sobie na całego. Dopiero wtedy, gdy emocje już opadły, a ja wyładowałam na swoim fotelu wymięta i wygnieciona, księżę znów sięgnął po szkicownik i narysował kilka moich aktów.

– Myślisz, że gdy wyjechałem do Moskwy, by wstąpić do korpusu kadetów, uwolniłem się od mamusi? – mówił, nie przestając mazać w kajecie. Ja tymczasem przyjmowałam coraz bardziej śmiałe pozy. Teoś gorączkowo rysował. Płonał. – Wręcz przeciwnie. Nie pozwalała mi o sobie zapomnieć. Przesyłała paczki i długie, pełne troski listy. A ja, do cholery, coraz bardziej do niej tęskniłem. Nie do domu, nie do znajomych miejsc, swoich ulubionych rzeczy, dwóch wierzchowców i psa, a wyłącznie do matki. Była przecież jedyną istotą na świecie, która się o mnie troszczyła. Która mnie kochała.

Jednak w Moskwie nie byłem zupełnie odizolowany od reszty świata. Mieszkałem w koszarach razem z całym plutonem. Do tego miałem swojego lokaja, Siergieja, najbardziej zaufanego sługę matki, który mieszkał poza obozem, ale dyskretnie sprawował nade mną pieczę. Kojarzysz tego jegomościa? Nie rzuca się w oczy, twarz ma raczej nijaką, jest w nieokreślonym wieku i zupełnie zlewa się z tłem. Prawdziwy kameleon.

W korpusie zaprzyjaźniłem się z kilkoma kadetami, z którymi się uczyłem. Najbardziej z trzema. Z silnym jak niedźwiedź Witią, który teraz jest kapitanem saperów i w czasie wojny z Turcją budował mosty dla naszego wojska. Z wesołkiem Pietią, obecnie dowódcą szwadronu dragonów, oraz ze sprytnym i pomysłowym Aleksym, aktualnie majorem żandarmerii, który zajmuje się wywiadem. Zawędrowałem najwyżej z naszej paczki, jestem już podpułkownikiem, ale w zamian los ukarał mnie paskudnymi ranami grożącymi kalectwem. Coś za coś.

Był jeszcze Arkady, najinteligentniejszy z naszej kompanii, świetny strzelec

i szermierz, doskonale radzący sobie z matematyką i taktyką, topografią i szyfrowaniem. Jednym słowem: mistrz, urodzony przywódca, który skupiał wokół siebie najlepszych kadetów. Wszyscy do niego garnęli, bo Arek miał niezwykle silną osobowość, naturalną umiejętność zjednywania sobie ludzi. Potrafił być szlachetny, nigdy nie odmawiał pomocy słabszym, w każdej chwili gotów postawić się musztrującemu nas sierżantowi i nadstawić karku za cały oddział. Niemal automatycznie został dowódcą naszego plutonu i nikt nie miał mu tego za złe. Nawet ja, choć starałem się o to stanowisko i rywalizowałem z Arkadym. Nie dla siebie, a dla mamy. Chciałem ją zadowolić, sprawić, by była ze mnie dumna. Przecież oczekiwała spektakularnych sukcesów i dowodów mojej wielkości.

W potach i mękach wywalczyłem więc stanowisko jego zastępcy, zostałem drugim żołnierzem w plutonie. Mama była wściekła. Ja, syn generalski, w którego żyłach płynie krew rycerzy i wojowników, nie potrafię objąć dowodzenia nad garstką szczeniaków? Wstyd dla całej rodziny, dla książęcego klejnotu. Niemniej nie mogłem nic z tym zrobić, co zresztą wyjaśniłem jej w liście.

Niedługo potem wydarzył się cud. Arkady miał pewną słabość, zanadto gustował we wdziękach niewieścich. Wymykał się z kilkoma równie lubieżnymi kompanami do burdeli, od których zawsze roiło się okolicy koszar. Polował też na wesołe panienki, skłonne zaprzyjaźnić się z młodym żołnierzykiem. Przebił jednak wszystko, gdy został przyłapany w jednoznacznej pozycji z córką komendanta. Nie dość, że robili to na terenie obozu, to w dodatku w gabinecie jej ojca. Arek miał szczęście, że stary oficer nie rozerwał go na strzępy. Jego kariera w wojsku musiała się jednak natychmiast skończyć. Z tego, co wiem skończył Rosyjską Akademię Nauk i został urzędnikiem, teraz jest już chyba asesorem kolegiąlnym.

Zostałem dowódcą plutonu i ku zadowoleniu matki objąłem godne siebie stanowisko. Bez wysiłku, co jednak zupełnie nie dało mi do myślenia. A nie był to koniec korzystnych dla mnie zbiegów okoliczności. Tak samo, jakimś nadzwyczajnym zrządzeniem losu, z mojej drogi zniknęły rozmaite niedogodności. Nielubiany sierżant, który wszystkich dręczył, a szczególnie młodych dowódców, został napadnięty i brutalnie pobity. Nauczyciel przedmiotu, którego nie lubiłem, matematyki i balistyki, nagle, tuż przed egzaminami, rozchorował się i zastąpił go osobnik niezwykle dla mnie



przychylny, który okazał się ślepy na popełniane przeze mnie błędy.

Nie wiem, ile wydarzyło się podobnych cudów, których w zaślepieniu zadowoleniem z siebie nawet nie dostrzegłem. Szło mi niezmiernie gładko i każdy rok kończyłem z wzorową oceną i wyróżnieniem. Dopiero długo później dowiedziałem się, że we wszystkich moich sukcesach wzięła udział mamusia. To Siergiej, na jej polecenie, wyszedł Arkadego i sprytnie podsunął mu córkę komendanta, a potem sam doniósł jej ojcu o schadzkach odbywających się w koszarach. To Siergiej wynajął bandytów, którzy obili sierżanta, to on otruł wymagającego profesora i diabli wiedzą, co jeszcze zrobił.

Nie martwiłem się o przyjęcie do Cesarskiej Mikołajewskiej Akademii Wojennej. Tym razem chyba nawet mamusia nie musiała mi pomagać. Choć oczywiście próbowała zakwaterować mnie z Siergiejem. Jakoś się wymigałem, zwłaszcza że nigdy nie lubiłem tego milczącego sługi. Mieszkałem razem ze swymi trzema przyjaciółmi w domu wynajętym przez ojca Pietii.

Każde lato spędzałem rzecz jasna u boku matki. Kiedy carska rodzina opuszczała Petersburg, mama mogła udać się na wypoczynek na wieś. Jechaliśmy do naszej posiadłości w głębi Rosji, gdzie potwornie się nudziłem. Zamiast jeździć na polowania z okoliczną szlachtą, wymykałem się, by w samotności malować pejzaże i leśną przyrodę. Oczywiście ukrywałem tę pasję przed matką, płótna i farby chowałem w składziku za stajnią, gdzie miał na nie oko zaprzyjaźniony chłopiec stajenny. Nigdy jednak nie mogły uchować się zbyt długo. Ktoś kradł mi pędzle i ołówki, niszczył gotowe dzieła i szkice, aż któregoś lata po prostu spalił składzik razem z moimi dziełami.

Tak, zgadłaś. Robiła to oczywiście służba matki na jej polecenie. Nic nie ukryje się przed księżną, a szczególnie nic, co dotyczy jej syna.

– Zatem musi od dawna wiedzieć o tym, że coś nas łączy – powiedziałam. – Dlaczego zatem jeszcze się mnie nie pozbyła?

– Lubi cię. – Fiodor wzruszył ramionami. – Nie jest potworem, ma w gruncie rzeczy dobre serce i szczerą intencję. Nie odrzuciła cię, by zrobić mi przyjemność. Nie boi się, że mnie jej odbierzesz. Jest przekonana, że nad wszystkim panuje. Czuje się pewnie, a przynajmniej czuła się tak, dopóki otwarcie się do ciebie przyznałem i zażądałem rozmowy o naszym związku. To chyba nieco zbiło ją z tropu. Przedtem nie zdarzyło się nigdy, bym w czymś

jej odmówił lub choćby zwrócił się do niej kategorycznie. Podejrzewam, że dała nam czas. Oczekuje, byśmy się sobą znudzili, a wtedy po prostu cię usunie.

– Usunie? – szepnęłam ze zgrozą.

– Wyśle do Warszawy i podziękuję za współpracę. Nie bój się, mówiłem, że nie jest potworem. – Uśmiechnął się uspokajająco. – Nie obawiaj się, nie pozwolę na to. Przysiągłem sobie i Bogu, że już nigdy cię nie zostawię. Chodź do mnie, kochana.

Znów wpadliśmy sobie w ramiona. Przytuliłam się do księcia i szepnęłam mu prosto w ucho:

– Będziemy mieli dziecko.

Westchnął i przycisnął mnie mocno do piersi, a potem zaczął całować. Myślałam, że nigdy nie skończy.

Święta odbyliśmy podwójne, najpierw katolickie dla mnie i dla polskiej służby, potem prawosławne, dla ich ekscelencji. Księżna znów zaczęła ze mną rozmawiać, choć już nie kipiała humorem jak kiedyś. Stan Fiodora zamiast się polepszyć, stopniowo się pogarszał i obie pogrążyliśmy się w rozpacz. Anna Pietrowna schudła, ja utyłam. Troski i zmartwienia znów zbliżyły nas do siebie. Razem przesiadywałyśmy przy łóżku powalonego niemocą Teosia i zabawiałyśmy go głośną lekturą, rozmową lub choćby milczącym towarzystwem.

Pod koniec stycznia zjechała do nas grupa lekarzy na konsylium. Księżna sprowadziła ich aż z Petersburga: same uznane w świecie medycyny osoby, w tym osobisty lekarz carskiej rodziny. Lekarze zgromadzili się nad łóżkiem Fiodora niczym stado czarnych sępów i długo oglądali jego rany, dotykali, a nawet je wączali. Mój kochany, wyczerpany gorączką i bólem, nie stawiał oporu, nie okazywał właściwie żadnych emocji. Bezwolnie poddawał się zabiegom, niemrawo odpowiadając na pytania.

Stwierdzili, że w rany nie wdała się gangrena, choć ранnego nieustannie trawi ropna gorączka. Jeden z medyków opowiadał się za jak najszybszą amputacją obu nóg, na szczęście pozostali zaproponowali ponowne otworzenie ran oraz ich gruntowne oczyszczenie. Jednak trzeba było podkurować chorego, by nabrał choć trochę sił. Zabrałyśmy się za to razem z księżną.

We dwie jeździłyśmy saniami po okolicznych karczmach i gospodarstwach, wyszukując dla biedaka najlepsze frykasy. Świeże i tłuste ptactwo na pożywne rosołki, młode prosięta na pieczone, jędrne jagniątko, delikatne cielęta na kotleciki i sosy. Do tego dobrze przechowywane warzywa, nieprzemrożone, nietknięte przez grzyby i pleśń. Kucharz Roman stawał na głowie, dokonując cudów kulinarnych, które wprawiały w zadowolenie niezwykle wymagającą księżną. Potem na zmianę pakowałyśmy pożywne i cenne potrawy w osłabionego Teosia. Ku radości nas obu już po trzech tygodniach dało się zauważyć poprawę. Fiodor zaczął wstawać z łóżka, a któregoś dnia w żartach posprzeczał się z matką. Czułam, że te wesołe przekomarzenia miały być treningiem przed ostateczną rozprawą z rodzicielką. Prędzej czy później zamierzał jej oznajmić, że bierze mnie za żonę.

Któregoś popołudnia księżna słodkim głosem poprosiła mnie, bym towarzyszyła jej w wycieczce za Ciehocinek do pewnego Żyda, który miał dostarczyć świeżo upolowane przepiórki dla chorego. Teoś spał, więc zgodziłam się bez namysłu. Wsiadłyśmy do saní, choć wydało mi się, że jest już nieco zbyt późno na dłuższy wyjazd. Niedługo miały zapaść ciemności, a drogi były obficie zasypane śniegiem. Jednak konie pomknęły galopem. Na koźle woźnicy zasiadł Siergiej, co mnie trochę zaniepokoiło, bo zwykle jechał z nami któryś ze stajennych.

Konie gnały, wyrzucając w górę tumany śniegu. Sanie ze świstem cięły białą równinę. Wjechałyśmy w las, którego nie pamiętałam. Gdzieś przy drodze do Ciehocinka. Zrobiło się ciemno i ponuro. Zadygotałam, choć okrywał mnie gruby koc i kożuszek, który na gwiazdkę wręczył mi Teoś. Siergiej nagle ściągnął lejce i konie stanęły. Poczułam ukłucie strachu, który zaczął kipieć gdzieś od samego serca.

– Słodka, grzeczna Żuza – powiedziała księżna z uśmiechem, świdrując mnie wzrokiem. – Zdajesz sobie sprawę, że twoja postawa zaczyna mnie niepokoić?

Przełknęłam ślinę. Mogli mnie tu zaszlachtować, a trupa zostawić w lesie na pożarcie dzikim zwierzętom. Ślad by po mnie zaginął i nikt nie dowiedziałby się, co się ze mną stało. Spróbowałam nad sobą zapanować. Odetchnęłam głęboko.

– Anno Pietrowna, wydaje mi się, że nie robię nic złego. W każdym razie

nie oczarowałam pani syna świadomie i z premedytacją. Nie próbowałam łapać okazji i uczepić się książęcego płaszcza, by skapnęło mi trochę złota. Nie pchałam się w jego ramiona.

– Wiem, dziecko – przytaknęła łaskawie księżna. – Przypuszczam, że dobrze się poznałyśmy. Mam nosa, jeśli chodzi o ludzi. Od samego początku nie wyczuwałam w tobie perfidii, cwaniactwa czy chęci wejścia w bogaty ród. Jesteś miłym kociakiem o łagodnym serduszku. Pomocna jako niezobowiązująca rozrywka, dajesz swoim towarzystwem chwilę wytchnienia i zabawy. I niech tak pozostanie. Mówię to dla twojego dobra.

– Pani mi grozi? – zapytałam, wykorzystując resztę swoich zasobów odwagi.

– Tak, Żuziu – odparła bez mrugnięcia okiem. – Dobrze wiesz, że tak. Zostaniemy przyjaciółkami na zawsze, ale pod warunkiem, że będziesz grać po mojej stronie. Wtedy ci się to opłaci. Jeśli wystąpisz przeciw mnie, zginiesz marnie. Moje warunki są proste i jasne. Przestaniesz mojemu synowi suszyć głowę o małżeństwo. Nadal masz obdarzać go miłością i spełniać wszystkie jego zachcianki, ale ostatecznie wybij sobie z głowy poważny związek z Fiodorem. Jesteś dla niego jedynie młodzieńczą przygodą, którą kiedyś będzie być może wspominał z rozrzewnieniem, bawiąc dzieci, które urodzi mu cesarska córka. Nie ty, jasne?

– Mam być maskotką, zabawką na okres leczenia Fiodora? Książęcą nałożnicą, która zniknie, gdy przestanie być potrzebna? – warknęłam, coraz bardziej rozgniewana. Z tego wszystkiego przestałam się bać, za to naprawdę się wkurzyłam.

– Mniej więcej. W swoim czasie po prostu usuniesz się w cień. Zrobisz to nie tylko ze strachu przede mną, ale przede wszystkim z miłości dla Fiodora. Wiesz, że jest stworzony do wielkich rzeczy, a nie do mezaliansów z polską guwernantką. Jest arystokratą, który będzie jaśniał na cesarskim dworze, a nie siedział w kurnej chałupie i malował węgielkiem frywolne akty swojej biednej jak mysz żony. To jedyny dziedzic wielkiego rodu, zrozum to, dziecko. Jeśli się z tobą ożeni, zaprzepaści starania swoich przodków, obrazi ich pamięć, wszystko zmarnuje. Nie mogę dopuścić do tego, by nasz ród się skundlił, gdy ma szansę stać się jednym z najważniejszych w Europie.

– Myślę, że wybór dalszej drogi życiowej zależy od Fiodora – burknęłam.

– Nie, bo on nie wie, co czyni. To młodzieniec odurzony urodą gibkiej

i powabnej Polki. Błądzący w oparach pierwszej miłości. Ożeni się z tobą i co dalej? Osiądzie gdzieś na polskiej wsi i zamieni w zaściankowego szlachciurę? Ziemianina, który pilnuje swoich wiosek i użera się z chłopami? Jak szybko zaczniesz żałować zmarnowanej szansy? Kiedy zaczniesz myśleć, że mógł pławić się w luksusach na carskim dworze, a przez ciebie, przez chwilę słabości, użera się z polską nędzą gdzieś w głębokiej dziurze w jakiejś peryferyjnej guberni? Jak szybko zaczniesz cię winić? Jak szybko cię znienawidzi?

Oczywiście rozplakałam się, bo wywód księżnej niestety wydał mi się dość rzeczowy. W dodatku przez ciążę byłam podatna na wzruszenia. W jednej chwili zamieniłam się w trzęsącą się galaretę. Anna Pietrowna przytuliła mnie do wielkiego biustu i kazała Siergiejowi zawracać. Gładziła mnie po głowie i tłumaczyła, że wszystko będzie dobrze. Przytakiwałam, zastanawiając się gorączkowo, co ze mną będzie. W głębi duszy nie wierzyłam, że Teoś mnie znienawidzi. Czułam, że będzie kochał nas oboje, mnie i nasze dziecko. A to ostatnie było atutem, z którego istnienia księżna nie zdawała sobie sprawy. I całe szczęście, bo inaczej mogłam tej nocy wylądować w lesie z poderżniętym gardłem.

Dziecko z zabawki służącej rozrywce zmieniało mnie w matkę książęcego następcy. Dziecko zmieniało wszystko. Przynajmniej tak wierzyłam.

<sup>13</sup> Rodzaj kija bojowego, także drewnianej szabli lub szpady używanych jako broń ćwiczebna podczas nauki szermierki.

Rękopis znów okazał się niekompletny. Na dole ostatniej, starannie zapisanej piórem strony ciotka Aurelia namazała długopisem jedno zdanie: *Ciąg dalszy znajdziesz w pokoju prababci Józi.*

Julia westchnęła ze znużenia i dołączyła zdobyte kartki do pozostałych. Zaczęła czytać w samochodzie, wieziona przez Krysę, a skończyła późno w nocy, u siebie w mieszkaniu. Wstała z sofy i przeciągnęła się, potem zważyła pokaźnych rozmiarów skoroszyt w dłoni. Pamiętnik puchł z każdym wykonanym zadaniem. Jeszcze trochę i zamieni się w pokaźną księgę.

– Ciekawe, co dalej, prawda? – spytała Gary’ego, który przyglądał się spod półprzymkniętych powiek. – O, nie. Nie mam siły, by dziś dumać nad kolejną zagadką.

Cisnęła rękopis na stół i powłócząc nogami, ruszyła do łazienki. Musiała trochę się przespać, bo rankiem trzeba było zwlec się do roboty i po dotarciu do firmy wyglądać trochę lepiej niż zombie. Wzięła prysznic, jęcząc z ulgi, gdy opuszczało ją zmęczenie splukiwane przez gorącą wodę. Mimo woli myśli Julii zaczęły krążyć wokół rękopisu.

O jaki pokój Józi mogło chodzić? Co to takiego? Szukaj teraz, człowieku, gdzie mieszkała panna Jasińska pod koniec lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku! Gdzie znaleźć takie informacje, w jakim archiwum? Może jest coś w rodzinnych dokumentach, w tych pełnych papierów pudłach, które aktualnie zawały jej pół mieszkania i aż się prosiły o podróż na wysypisko? Czyżby cała zabawa z pamiętnikiem miała okazać się perfidnym planem zwariowanej ciotki, mającym na celu wpakowanie siostrzenicy w wertowanie i czytanie starych papierów? Fu! Julii robiło się niedobrze na samą myśl o przeglądaniu zakurzonych, wypełnionych mysimi bobkami i rozsypujących się w rękach śmieci.

A co jeśli pokój Józi to jakaś metafora, coś niedosłownego, o ukrytym znaczeniu? Przecież zdobycie każdego kolejnego fragmentu pamiętnika

wymagało coraz większego wysiłku, zadania okazywały się coraz trudniejsze. Wyciągnęły Julię z domu i skłoniły do włóczenia się po mieście, poznawania nowych ludzi i ogólnie do nietypowych dla niej zachowań. Z tego wszystkiego prawie zakochała się w prawniku, który kocha się w innej kobiecie. Czyżby stara panna przed śmiercią wszystko to zaplanowała? Przyszykowała dla siostrzenicy diabelską pułapkę, by zmienić jej życie w piekło?

Chyba że to pomyłka. Może zbyt pochopnie oceniała ciotkę? Aurelia nie musiała być złośliwą jędzą. Pokój Józi mógł odnaleźć się niezmiernie łatwo.

– Eureka! – wrzasnęła Julia i goła wyskoczyła spod prysznic.

Przebiega przez pokój, strząsając z siebie krople wody, co spotkało się z niezadowolaniem Gary’ego. Kocur aż zwlekł się z kanapy i schował pod nią, zezując z wyrzutem na współlokatorkę. Julia tymczasem dopadła do pudeł i chwilę je przestawiała, by wreszcie otworzyć to jedno wybrane. Wyciągnęła z niego ciężki album i chwilę go wertowała. Wreszcie wlepiła spojrzenie w pozólkę zdjęcie. Przedstawiało dwie postacie: dorosłego mężczyznę, który trzymał za rękę chłopca. Sądząc po strojach, musiało zostać zrobione w latach dwudziestych. Na odwrocie znajdował się podpis wykonany znajomym, zamaszystym charakterem ciotki Aurelii: *Teodor i Julian Jasiński*.

– O ja cię! – szepnęła Julia.

Patrzyła właśnie na pradziadka Teodora, syna Józi i księcia Fiodora. Był postawnym, barczystym mężczyzną z solidnymi wąsiskami.

„Ciekawe, jak bardzo jest podobny do ojca?” – pomyślała Julia.

Trzymał za rękę swojego syna, czyli dziadka Juliana, na którego cześć Julia dostała imię. Najciekawsze było jednak to, co znajdowało się za ich plecami. Dwaj przodkowie Jasińscy stali na tle pokaźnego dworzyszczka. Na zdjęciu znajdował się jedynie fragment budynku z charakterystyczną, narożną basztą czy wieżyczką.

– Teutoński Bastion – triumfalnie oznajmiła Julia Gary’emu. – To w tej wieży jest pokój praprababci Józi! Ha! Ojciec niechętnie i mętnie opowiadał coś o rodzinnej posiadłości na Kujawach. Raz tylko wspomniał, że dziadek był sanacyjnym posiadaczem ziemskim. Mój staruszek w życiu się nie przyznał do szlacheckiego pochodzenia. Wspomniał zaledwie, że władza ludowa słusznie odebrała rodzinie to, co prawnie należało się ludowi pracującemu. Wiesz, Gary, mój ojciec był tworem paskudnej epoki. Jego

dzieciństwo przypadło na najgłębszy stalinizm. Przeszedł wtedy pranie mózgu, czy sama nie wiem co. Potem z własnej woli wstąpił do ZSM, a gdy dorósł, zapisał się do partii. Przez całe życie pozostawał zapalonym komunistą, który upadek systemu w 1989 roku odczuł niezwykle boleśnie. Legitymację partyjną przechowywał niczym najdroższą pamiątkę aż do śmierci. Nic dziwnego, że nie wiedziałam nic o historii rodziny i własnym pochodzeniu. Prawda jest taka, że moi dziadkowie byli właścicielami dużego dworu, czy właściwie pałacu, gdzieś pomiędzy Ciechocinkiem a Toruniem. I to w nim czeka na mnie kolejny fragment pamiętnika Józki. Kto wie, może już ostatni?

Gary nie podzielał entuzjazmu swojej mokrej i pozbawionej odzienia pani. Patrzył na nią obojętnie. Wreszcie wylazł spod łóżka i położył się z powrotem na sofie, ostentacyjnie odwracając się do Julii plecami. A ta zamiast kłaść się spać, poderwała się, by jednocześnie zakładać szlafrok, włączyć komputer, zrobić sobie herbaty i jednak pogrzebać w rodzinnych papierach.

Zamknęła energicznie album, aż trzasnęło, a wtedy gdzieś spomiędzy kartek wypadła pojedyncza fotografia. Julia zastygła na chwilę zgięta w pół. Poczowała ciarki na plecach, powoli rozejrzała się wokół. Aż trudno jej było uwierzyć, że to przypadek.

„Duch czy co, do jasnej cholery?” – pomyślała zmieszana.

Na podłodze leżała stara pocztówka z fotografią przedstawiającą dwór w całej okazałości. Zdjęcie było wyblakłe, niemniej zostało wykonane w kolorze. Najwidoczniej zrobione w słoneczny, jasny dzień kiedyś z pewnością musiało wyglądać zachęcająco. Domostwo prezentowało się przyjaźnie i równocześnie niezmiernie elegancko. Dziś w takich miejscach robi się ekskluzywne hotele. Julia podniosła pocztówkę i obróciła ją w palcach. Nikt jej nigdy nie wypełnił ani nie wysłał. W rogu znajdował się nadruk opisujący miejsce z fotografii. Julia przeczytała:

*Dom Sierot „Uśmiech księcia”. Zbudowany w pierwszej połowie XIX wieku według projektu architekta Giuseppe Gabbiego we wsi Łopiany, koło Ciechocinka.*

Pokręciła ze zdumieniem głową. Dom sierot. Tego się nie spodziewała.



– Nie da rady, znów dostałam pilne kursy i zejdzie mi się do końca tygodnia. Lecę kolejno do Wrocławia, Katowic i Ostrowa – powiedziała Ania.

Julia pokiwała głową. Nici z darmowego wyjazdu do Ciechocinka. Miała nadzieję, że przyjaciółka któregoś dnia będzie jechała w tamtym kierunku służbowym wozem i ją podwiezie, może nawet do samych Łopian. Jazda koleją, a potem łapanie taksówki w Ciechocinku zupełnie się Julii nie uśmiechały. Nie przywykła do podróży, spędzała niemal całe życie, nie ruszając się z Warszawy. Jeździła jedynie z Bemowa na Śródmieście i z powrotem, rzecz jasna do roboty. Wakacji nie miała od kilku lat, bo i po co brać urlop, skoro brakowało towarzysza do jego spędzenia? Nie miała najmniejszej ochoty sama jeździć na wakacje, zresztą co wtedy zrobiłaby z kotem? Musiałaby biedaczka oddać do hotelu dla zwierząt. Serce jej pękało, gdy tylko wyobraziła sobie tłustego pupila zamkniętego w klatce i posykującego na każdego, kto się zbliży.

Przywykła do korzystania z uprzejmości swoich przyjaciółek, które miały samochody. Jakoś tak się zawsze składało, że udawało się jedną lub drugą namówić do koniecznego wypadu, zresztą te zdarzały się niezwykle rzadko. Jedynie ostatnio nieco się ich namnożyło. Najpierw pogrzeb ciotki, potem wycieczki do Góry Kalwarii, a teraz szykował się wypad na Kujawy.

– Cholera – mruknęła Julia do telefonu. – Będę musiała pospolitować się z chamstwem w publicznych środkach transportu.

– Mam nadzieję, że wasza ekscelencja nie ucierpi nazbyt od tego. Współczuję, ale ja nie dam rady – westchnęła Ania. – Cały tydzień będę miała urwanie łba... Ale czekaj, kochaniutka! Jest jeszcze mój Andrzej! W tym tygodniu siedzi na dupie w Warszawie, przynajmniej tak twierdzi. Opowiedziałam mu oczywiście wszystko o prababci Józi i szczerze się uśmieł. Może uda mi się go namówić, by podrzucił cię na miejsce. Ostatnio wozi się prawdziwym ferrari.

Julia jęknęła w duchu. Legendarny amant był ostatnią osobą, z którą chciałaby wybrać się w podróż. Zawsze wydawał się jej oślizłym typem, pasożytem żerującym na Ani. Miała ochotę kopnąć w jaja tego cwanego playboya, a nie się z nim zaprzyjaźniać. Nie mogła jednak urazić przyjaciółki otwartym odrzuceniem tak niezwyklej oferty. Ania, jak przystało na góralkę, miała krew wyjątkowo ognistą i potrafiła wybuchnąć z byle powodu. Była też zazdrosna i zaborcza, przez co sam fakt, że z własnej woli oferowała Julii

usługi swojego lowelasa świadczył o prawdziwym zaufaniu do przyjaciółki.

– Och, naprawdę? – entuzjastycznie pisnęła Julia, wyciskając z siebie wszystkie pokłady radości.

– Zadzwoń do ciebie. Pa! – oświadczyła Ania i się rozłączyła.

– Jasne – mruknęła Julia do piszczącego telefonu. – Nie mogę się doczekać.

Następnego dnia zaczęła wyszukiwać połączeń kolejowych i autobusowych na sobotę. Internet milczał, jeśli chodzi o wieś Łopiany. Nie było jej w Wikipedii, a wujek Google rzucił tylko link do strony gminy Ciechocinek. Julia nie znalazła nic ciekawego i wnoszącego cokolwiek do jej nikłej wiedzy o posiadłości dawniej należącej do rodziny. Niestety do wioski nie jeździł żaden PKS, kompletnie nic. Julii pozostawała zatem podróż pociągiem do Ciechocinka i kurs wynajętą taryfą. Nawet nie żałowała pieniędzy, bo zdążyła co nieco odłożyć, ale trochę się wahała, ponieważ nie miała doświadczenia i zaprawy w podobnych eskapadach.

O dziwo, następnego dnia zadzwonił człowiek legenda, boski Andrzej. Nieznoszącym sprzeciwu tonem zaproponował jej kurs w piątek rano. Zgodziła się trochę sterroryzowana władcym głosem playboya i zaraz po rozmowie wysłała z systemu wniosek do swojego przełożonego o urlop. Przypieczętowała zatem pakt z gachem przyjaciółki i coraz bardziej zdumiona własnym zachowaniem, zadzwoniła do Pawła Plewniaka, by się pocieszyć.

Odebrał. Zdawał się strasznie rozbawiony, co wprawiło Julię w przygnębienie. W tle słyhać było damskie głosy i śmiechy, ryczała dudniąca muzyka. Bez żenady od razu przyznał się, że jest z Krysią na studenckiej imprezie w jakimś klubie. Julia zagotowała się z żalu i złości jednocześnie.

– Pogadamy kiedy indziej, bo i tak nic nie słyhać! – ryknęła w słuchawkę.

– Dobrze! Niedługo się spotkamy – odparł Paweł.

– Tak? A niby kiedy?

– Co proszę? Powtórz, bo nic nie słyhać!

– Może to i lepiej. Bo mnie krew zalewa – mruknęła pod nosem.

– Muzyka jest za głośna, nic nie słyshę!

– Ene due rabe, bocian połknął żabę – syknęła.

– Nic nie rozumiem. Masz całusy od Krysi! Mówi, że bardzo cię polubiła!

– Niestety ja ją trochę też – westchnęła Julia. – Szkoda, że jednocześnie jej nienawidzę, wstrętnej małpy.

– Pogadamy niebawem na żywo, cześć!

– Sreść! – wycedziła i się rozłączyła.

Piątek przyszedł jakoś niespodziewanie szybko. Julia wystroiła się niedbale w wytarte džinsy i rozciągnięty sweter, a włosy potargała tak, że opadały jej na oczy. Wiedziała, że prezentuje się mało atrakcyjnie, szczególnie dla playboya gustującego w ślicznotkach z dużym biustem, najlepiej wycackanych lalach z plastiku.

Czekała na niego gotowa do wyjścia od ósmej rano, kiedy rzekomo miał przyjechać. Minęła ósma, dziewiąta i dziesiąta, a boski Andrzej się nie objawił. Julia zagotowała się w międzyczasie ze złości i wykonała sześć telefonów do Ani. Ta jednak nie chciała podać numeru kochanka, że niby jest ściśle tajny i gdyby go wyjawiała, mógłby mieć jej to za złe, za to podobno zdalnie monitorowała sytuację. Andrzej przybywał i był już blisko.

Wreszcie pod blokiem rozległ się przejmujący klakson. Julia zbiegła po schodach i stanęła twarzą w twarz z kochankiem przyjaciółki. Stał oparty o stare ferrari i uśmieł się zawadiacko. Andrzej był łysiejącym blondynem o faktycznie ujmującym, łobuzerskim uśmiechu podkreślonym dwoma dołeczkami w policzkach. Choć Julia kipiała z gniewu, nie potrafiła wydrzeć się na cymbała, mimo że tylko na to czekała.

Na domiar złego stary satyr pocałował ją w dłoń i szarmancko otworzył jej drzwiczki fury. Na dłoniach miał skórzane rękawiczki bez palców do jazdy samochodem, włożył też wielkie, przyciemniane okulary, choć słońce skryło się za chmurami. Błysnął nienaturalnie wybielonymi zębami w olśniewającym uśmiechu.

– Niech wasza książęca mość przyjmie przeprosiny za spóźnienie – powiedział. – Myślę, że uda mi się jakoś zrekompensować tę niedogodność.

Mimowolnie odpowiedziała uśmiechem. Sukinsyn potrafił oczarować kobietę tymi cholernymi dołeczkami. Dopiero po kilku minutach dynamicznej jazdy ulicami Warszawy skojarzył się jej z ryciną przedstawiającą diabła Rokitę, którą pamiętała z książeczki z czasów dzieciństwa. Elegancik z wąsikami i zawadiackim uśmiechem, wypisz, wymaluj, stary czort.

Pomknęli trasą toruńską, na której stareńkie ferrari okazało się zaskakująco żwawe. Łapczywie pożerało kilometry, kołysząc przy tym pasażerkę, jakby chciało, by czuła się dystygowanie i luksusowo. Chyba wóz miał coś z charakteru swojego właściciela. Andrzej bowiem okazał się, zgodnie

z przewidywaniami, prawdziwym bawidamkiem. Usta mu się nie zamykały, tak samo jak nie zniknął z nich zawadiacki uśmiech. Uraczył Julię opowieściami o polskich właścicielach ziemskich sprzed wojny i ich walce z państwem o odzyskanie starych majątków. Z przejęciem opowiadał o starych pałacach obróconych za komuny w ruinę, w których w najlepszych wypadkach urządzano domy kultury, przedszkola lub muzea. Te budowle przynajmniej zachowały się w nie najgorszym stanie.

– Co innego, jeśli urządzono w nich mieszkania komunalne. Wtedy efekt finalny jest opłakany i walka o pałac się nie opłaca – gadał, momentami nie zwracając uwagi na drogę. – Po pierwsze, mieszkańcy zwykle doprowadzają takie budynki do stanu grożącego zawaleniem. Takie pałacyki i dwory znajdowały się na wsiach, w sąsiedztwie PGR-ów i SHR-ów, zamieszkiwali je zatem pracownicy tych instytucji. Wyobraź sobie, Julka... O, przepraszam, nie masz nic przeciwko, że mówię ci po imieniu, księżniczko? No to fajnie, zatem dla wygody możesz mnie nazywać Jędrusiem. Wyobraź sobie zatem zamieszkujące pałac, zwykle wielodzietne rodziny traktorzystów i chlewmistrzów, dojarów i kombajnistów. Hołota, która za jedyną rozrywkę miała picie tanich win i pijackie awantury. Sami nic nie mieli, więc również domu, w którym wegetowali, nie traktowali z najmniejszym szacunkiem. Nie znali zresztą czegoś takiego jak dbałość o swoje otoczenie, narzędzia pracy, o mieszkanie, nie mieli wpojonej podstawowej kultury, byli zupełnie zepsuci przez system. Nieszczęsne pałace, które ciągle są przez nich zasiedlone, stały się ruinami, w dodatku okradzionymi ze wszystkiego, co przedstawia choćby najmniejszą wartość. Jeśli trafi ci się dom skażony przez lokatorów tego rodzaju, najlepiej jak najszybciej o nim zapomnij. Wywalczysz go po bojach w sądach, ale co z tego? Dostaniesz same kłopoty. Zawalającą się rudę, zamieszkaną przez czeredę pasożytów, którzy nigdy nie płacą czynszu, nie wnoszą opłat za energię, szczają po korytarzach, ale za to mają mnóstwo żądań i wymagań. Dach im cieknie, grzyb na ścianie rośnie, tynk sypie się na głowy. Naprawiaj, księżniczko, bo cię zaskarżą o narażanie życia. Spróbuj się ich pozbyć, nie daj Boże, naślij komornika! Ściągną obrończynię uciśnionych, redaktor Jaworowicz ze *Sprawy dla reportera* i odmalują cię w telewizji jako krwiopijcę i mordercę, wyrzucającego głodne dzieci na bruk. A czy ty, Julcia, już się orientowałaś, jaki jest status dworzyszczka po twoich przodkach?

Julia bąknęła tylko, że niezupełnie, więc Andrzej natychmiast wrócił do monologu. W najczarniejszych barwach przedstawił jej życie właściciela ziemskiego, szczególnie jeżeli na terenie znajduje się obiekt zabytkowy. Jeśli nawet nie został zdemolowany przez wsiowych chamów, to i tak czeka gehenna. Gdy tylko spróbuje cokolwiek zrobić z dworzyszczem, oskubią ją do goła. Miejscowi notable, cwani wójtowie i ich pociotki z urzędu gminy jedynie czekają, by ją zniszczyć ustawami i zarządzeniami. Do tego na swoją kolej czeka jeszcze wydział architektury, a w ostatnim kręgu piekieł największy demon do pokonania – konserwator zabytków. Wykończą ją nerwowo, a potem wyssą do sucha, pochłaniając ogromne sumy w łapówkach. Bez nich bowiem nic się nie odbędzie, nie przejdzie żadne zezwolenie.

– Ale o jakich zezwoleniach mowa? – wtrąciła Julia. – Na co mi jakieś zezwolenia?

– Jak to na co? – uniósł się Andrzej. – A po co tam jedziesz, do jasnej anielki, jak nie przygotować dom do przebudowy? W starych dworach i pałacach zakłada się luksusowe hotele, oczywiście ze spa. A ponoć twój dwór stoi na malowniczym wzniesieniu nad Wisłą, tuż obok słynnego uzdrowiska. Jeśli masz dostęp do rzeki, koniecznie musisz pomyśleć o budowie mariny. Wiesz, niewielki port dla żaglówek i kajaków gości. Mogliby tam cumować bogaci kolesie swoimi jachtami. Co prawda nie ściągniesz takiej klienteli, jaka szlaja się po Mazurach, nie pojawi się wielu szkopów i nowobogackich ruskich, ale kto wie? Hotel w takim miejscu może okazać się żyłą złota!

– Ale ja... Kiedy to nie jest mój dom, moja posiadłość... Jadę tam tylko po stare dokumenty... – jąkała się zdumiona Julia.

– No pewnie, że dokumenty. – Andrzej mrugnął porozumiewawczo. – Przyznaj lepiej, czy znalazłaś już inwestora? Masz jakiegoś wspólnika? Ania mówiła, że widzisz się z jakimś prawnikiem. Bardzo dobrze, za coś trzeba ten hotel zbudować, nie? Potrzebujemy nadzianego koleżki, który sygnie hajsem.

– Potrzebujemy?

– Przecież musisz mieć kogoś takiego jak ja, księżniczko. Nie mogłaś lepiej trafić, jestem właściwym facetem na właściwym miejscu. Twój asystent robi za ciebie przykrą robotę. Tu zagada, tam wręczy łapówkę, jednego połechta, innego postraszy. Tak, postraszy. Może okazać się, że temu czy innemu trzeba

nakłaść po gębie lub powybijać szyby w chałupie. Taki jest świat, złotko, ale nic się nie martw. Jędrus jest przy tobie. Wszystkim się zajmę, a szczególnie przypilnuję, by cię nie ocyganili.

– Wiesz, Andrzej, to chyba kompletne nieporozumienie. – Julia czuła, że robi się jej gorąco. Zaczynała się bać tego cwaniaka. – Ten dom mi się nie należy, nie jadę go odebrać, a zabrać z niego pamiątnik mojej praprababki. Nie planuję żadnej budowy, żadnych inwestycji.

Mężczyzna nagle spowaźniał. Zacisnął ręce na kierownicy, aż zbieleły mu knykcie. Patrzył w milczeniu na szosę. Cisza zrobiła się niezręczna, nawet silnik samochodu ryczał z jakąś pretensją. Julia poczuła się nieswojo.

– Obiecuję jednak, że jeśli będę potrzebowała twojego wsparcia, nie wiem, kiedyś w nieokreślonej przyszłości, to z pewnością o nie poproszę – dodała z trudem.

Andrzej spojrział na nią srogim wzrokiem, a potem uśmiechnął się jak poprzednio, czyli trochę jak playboy, a trochę jak stary diabeł. Po paru chwilach znów zaczął roztaczać wizję hotelu ze spa nad samym brzegiem Wisły. Na szczęście nie mówił o sobie jako o współwłaścicielu, nie używał już liczby mnogiej, co nieco uspokoiło Julię.

Na miejsce dojechali wczesnym popołudniem, po drodze zatrzymali się tylko po to, by zatankować. Oczywiście za paliwo płaciła Julia. Przy okazji zaczęła się zastanawiać, czy Andrzej nie wystawi jej rachunku za całodzienną usługę. Może sama powinna mu zaproponować taką zapłatę?

Nie miała jednak czasu na rozterki, bo szybko przemknęli przez wieś, złożoną z kilku betonowych sześcianów, gdzie mieszkali pracownicy dawnego PGR-u, oraz z nielicznych gospodarstw, by nagle wjechać w ciągnącą się uliczkę, z obu stron malowniczo obsadzoną starymi topolami.

„Bez wątplenia droga do dworu – pomyślała podniecona Julia. – Ciekawe, czy te drzewa rosły w czasach Józi? Ile mogą mieć lat? Cholera wie, szkoda, że nie jestem dendrologiem”.

Zatrzymali się przed ciężką żelazną bramą, wspartą na dwóch ceglanych słupach. Drzwi wyglądały na straszliwie stare i przerdzewiałe, ale znać po nich było dawną świetność. Musiał wykuć je kowal z artystyczną duszą, bo splecione żelazne węzły układały się w miły dla oka, abstrakcyjny wzór. W dodatku były zachęcająco uchylone, zatem Andrzej po krótkiej chwili wahania wjechał na teren posiadłości. Julii w przelocie mignęła przyczepiona

do bramy czerwona tabliczka głosząca, że wtargnęli właśnie na teren domu dziecka numer jakiś tam.

Nie zdążyła nawet stwierdzić niestosowności takiego bezceremonialnego wdarcia się na teren państwowej instytucji, bo już po chwili jej oczom ukazał się domek z bajki, a właściwie pałac ze wspomnień praprababki. Potężny dwór zbudowany przez bogatego Prusaka, nazywany najpierw Teutońskim Bastionem, a później prawdopodobnie Uśmiechem księcia, wyglądał równie okazale jak na przedwojennej pocztówce. Co prawda nie lśnił świeżo bielonymi ścianami, lecz nieco przestraszał popękaną malowniczo fasadą, od której odpadły spore kawałki tynku. Nadal jednak stanowił imponującą budowlę, za którą ciągnął się bardzo stary i z pewnością piękny park. Julia wyskoczyła z samochodu i głęboko wciągnęła powietrze. Znad Wisły dolatywał świeży i dziki wiatr. Było w nim tyle nieskalanego spalinami tlenu, że Julii aż zakręciło się w głowie.

Gdy po raz drugi nabrała powietrza, doszedł ją jednak zgoła inny zapach. Właściwie smród typowy dla garkuchni, wymieszany ze stęchlizną aromat gotujących się warzyw i spalonego oleju. Teraz miała wrażenie, że znów znalazła się na wakacjach w Ośrodku Wczasów Pracowniczych w Łebie, ma sześć lat i stoi przed stołówką. Poczowała się nieswojo, jakby znów ojciec miał ją zmuszać do jedzenia paskudnej zupy jarzynowej, a potem klopsików z ziemniaczanym *purée* i buraczkami.

„No tak. Jesteśmy w domu dziecka – westchnęła w myślach. – Biedne sierotki”.

W tej samej chwili jej wzrok omiół trzy samochody zaparkowane przed dworem. Jeden z nich był jej dobrze znajomy. To biały mustang kupiony przez Pawła ponoć celem zrobienia wrażenia na Krysi. Zatem prawnik tutaj był! Wiedział, że Julia rychło się pojawi, dlatego wspomniał, że niedługo się spotkają. Ale co tu robił? Czyżby ciotka naszykowała jej kolejne zadanie do pokonania, a notariusz będzie pilnował przestrzegania zasad? To zaczynało robić się śmieszne. Julia czuła się zbyt zmęczona podróżą, a konkretnie towarzystwem Andrzeja, by znów bawić się w zgadywanki i zagadki. Przyjechała tu odebrać ten cholerny pamiętnik i doczytać historię romansu prababki do końca. Żadnych błazeństw więcej!

Gdy zastukała energicznie w drzwi sierocińca, te otworzyły się niemal natychmiast. Stał w nich pryszczaty podrostek, może trzynastoletni. Spytał, czy

są może z kuratorium, bo jeśli tak, to z chęcią złoży skargę na urząd gminy, który odbiera mu możliwość spokojnego dojrzewania i przerywa naukę w połowie roku. Wszystko przez kaprysy znudzonych urzędników, którzy szukają oszczędności gdzie popadnie i wreszcie dobrali się do najsłabszych obywateli gminy. Zabiorą sierotom wszystko! Dom i szczęśliwe dzieciństwo, rozdzielią z ukochanymi wychowawcami i przyjaciółmi wyłącznie po to, by oszczędzić parę groszy, które potem z wrodzoną głupotą i niefrasobliwością roztrwonią. Potrafią jedynie narzekać na dziurę w budżecie i biadolić, że na nic gminy nie stać. A na nową fontannę na rynku jakoś pieniądze się znalazły! Tylko na biedne dzieci nie ma!

– Ach, państwo w związku z zajęciem lokalu – mruknął, gdy Julia nieskładnie zaczęła tłumaczyć, co ją tu sprowadza. – Nie wstyd wam odbierać dzieciom dom, w którym chowały się od małości? No dobra, przepraszam. – Machnął ręką. – Widzę, że pani pobladła z przejęcia. Ja wiem, że to nie wasza wina. To urząd zdecydował o likwidacji placówki, zresztą to była kwestia czasu, i tak od lat upadała. Zdaję sobie sprawę z nieuchronności tego, co i tak miało nadejść, a mimo to czuję się zgorzkniały i skrzywdzony.

Wpuścił wreszcie Julię do środka. Za nią wszedł Andrzej, trzymający w ustach zapalonego papierosa. Rozglądał się po obszernym korytarzu jeszcze uważniej niż spadkobierczyni dawnych właścicieli. Miał bardzo pewną minę i skojarzył się Julii z rzeczoznawcą robiącym wycenę inwentarza. Tymczasem chłopak prowadził ich w głąb pomieszczeń, nie przerywając narzekania.

Nagle na ich drodze stanęło zjawisko. Z pomieszczenia, do którego się zbliżali, wynurzyła się muza poetów i artystów i stanęła w padającym przez okno słonecznym blasku. Z jasności wyłoniła się zgrabna sylwetka uwieńczona burzą kasztanowych loków i idealnie symetryczną twarzą bogini. Krysia Kunt we własnej osobie właśnie rozmawiała przez telefon. Pomachała Julii, nie okazując najmniejszego zaskoczenia jej przybyciem, i dalej mówiła coś po włosku.

Andrzej wypuścił kłęb dymu i gwizdnął z podziwem. Krysia wyłączyła telefon i wzięła Julię w ramiona, zupełnie ignorując playboya.

– Widzę, że poznałaś już Antka. – Wskazała głową naburmuszonego nastolatka. – Niezły jest, prawda? Nie spotkałam jeszcze tak młodego człowieka równie gorzko-cynicznego i sceptycznie nastawionego do rzeczywistości, nawet wśród artystów. No cóż, to przywilej jego wieku.



Wiesz, młodzieńczy bunt i takie tam sprawy. Ale, ale! Przyjechałaś w samą porę, właśnie ustalamy z dyrektorem termin ostatecznego przejęcia nieruchomości. Chodź szybko. To naprawdę ciekawy człowiek.

– O ho, ho! Jednak przejęcie. A nie mówiłem! – Andrzej ucieszył się. – I po co było udawać, że to tylko wycieczka krajoznawcza? Ja to mam nosa do interesów, od razu wyczułem, o co idzie.

– Na litość boską, czy ktoś mógłby mi właśnie powiedzieć, co tu się dzieje? – syknęła Julia. – Tylko bez zagadek, niedomówień i półsłówek, jasne? Bez mącenia, odsyłania po mętne wyjaśnienia do prastarych pamiętników i innych podobnych pierdół. Niech ktoś mi w kilku zdaniach wyjaśni, co tu się wyprawia!

Krysia podniosła brwi w grymasie zaskoczenia. Andrzej sapnął, zaś Antek zachichotał. Na to wszystko z gabinetu wyszedł Paweł. Uśmiechnął się do Julii niepewnie, kręcąc głową z wyrazem troski i zmieszania na twarzy.

– Wszystko przeze mnie – westchnął, rozkładając ręce. – Nie dotrzymałem podstawowej zasady o poufności i wygadałem wszystko Krysi. Ta oczywiście nie słuchała uważnie i zapamiętała jedynie, że prowadzę sprawę odzyskania majątku książąt Jasińskich, których jesteś spadkobierczynią. Jednak o tym miałaś dowiedzieć się z następnego fragmentu pamiętnika Józki, który czeka na ciebie w jej pokoju. Biję się w pierś! Moja wina. Muszę błagać o przebaczenie i zgodę na rekompensatę wszystkich niedogodności. Chyba popsuliśmy ci zabawę w odkrywanie tajemnic przeszłości swojej rodziny. Nie tak to miało wyglądać, nie tak wyglądała intercyza złożona u mnie przez Aurelię Jasińską.

Julia pokiwała groźnie głową, splatając ręce na piersi i przyjmując w ten sposób bojową postawę. Jeszcze nie zdecydowała, czy będzie się gniewać na prawnika i jego roztrzepaną żonę, która teraz trzepotała rękami wyraźnie zaskoczona i zmieszana, czy może machnie na to wszystko ręką i przejdzie do rzeczy. Czy ma zażądać precyzyjnych wyjaśnień? Czyżby faktycznie była dziedziczką schedy po Józce Jasińskiej? Ten dom będzie należał do niej? O cholera!

W tej chwili do zgromadzonych na korytarzu dołączyła jeszcze jedna osoba. Brodaty mężczyzna w okularach, ubrany w marynarkę z naszytymi na łokciach skórzanymi łatami. Uśmiech miał wesoły i miły, a przez okalającą twarz brodę skojarzył się Julii z nieco przerośniętym krasnałem. Przewyższał ją co prawda

o głowę, ale i tak sprawiał wrażenie dobrego ludka, który dyskretnie opiekuje się ludźmi. Chyba kojarzył się tak również przez wyczuwalne ciepło i łagodność, które znać było zarówno w jego spokojnych, zrównoważonych ruchach, jak i w głosie.

– Pani pozwoli, że się przedstawię, jestem Krzysztof Malecki – powiedział, wyciągając dłoń na powitanie. – Dotychczasowy gospodarz tego przybytku.

– Proszę wybaczyć to zamieszanie, panie dyrektorze – rzekł Paweł. – Pan pozwoli, to pani Julia Jasińska. Ją właśnie reprezentuję w sprawie o posiadłość. Julio, to dyrektor domu dziecka, który właśnie znajduje się w likwidacji.

– Ojej – jęknęła zmieszana Julia. Uścisk dłoni Maleckiego, ciepły i mocny zarazem, okazał się zaskakująco przyjemny. Nie chciała krzywdzić tego człowieka ani jego wychowanków. – Sierociniec jest w likwidacji, ale mam nadzieję, że nie z mojego powodu! Czy zostaliście z tego domu wyrzuceni, panie dyrektorze? To przez dochodzenie spadkowe?

– Nie, nie powinna się pani tym dreć. Od dawna byliśmy przeznaczeni do likwidacji – odparł z lekkim, jakimś przejmująco gorzkim uśmiechem. – Utrzymanie tak dużego domostwa wymaga sporych nakładów finansowych, to chyba oczywiste. Gdybyśmy jeszcze mieli tak wielu wychowanków jak w latach świetności, gdy mieszkały tu nawet dwie setki dzieci, wtedy utrzymywanie instytucji miałoby sens. Ale stopniowo, rok po roku, nas redukowano, przesuając sieroty do innych placówek. Aż zostałem z jedną wychowawczynią i jedną kucharką oraz z sześciorgiem sierot pod opieką.

– Tak mi przykro – szepnęła Julia.

– Początkowo chciano przenieść sierociniec do skromniejszej siedziby, ale okazało się, że najekonomiczniej będzie po prostu go zlikwidować. Duże domy dziecka nie są już dobrze widziane, źle się kojarzą. Państwo stawia na rodziny zastępcze i rodzinne domy dziecka, co zresztą w pełni popieram. W przyszłym tygodniu zatem odwożę dzieci do wskazanych ośrodków, przekazuję inwentarz do kasacji i oddaję klucze. Cieszy mnie, że ten piękny dom wróci do prawowitych właścicieli – mówił tak przyjemnym głosem, że Julia zapomniała o irytacji i słuchała go jak urzeczona. Musiał być świetnym wychowawcą. Takiemu miłemu misiaczkowi nie sposób było się stawiać, by nie zrobić mu przykrości. Nawet wiecznie wnerwione nastolatki musiały ulegać temu czarowi. – Jeśli znajdzie pani czas, z chęcią oprowadzę panią po

posiadłości. Nie wiem, czy dziś zdążymy. Mam nadzieję, że zostanie pani do jutra. Rzecz jasna ofiaruję gościnę, mamy tu mnóstwo pustych pokoi. O posiłki też nie trzeba się martwić, Jasia świetnie gotuje i zawsze za dużo. Nie może przywyknąć, że ciągle nas ubywa.

Julia wyobraziła sobie stołówkowe dania, których zapach wyczuła na dziedzińcu, i żołądek zacisnął się jej w kulkę. Oczywiście z chęcią spędziłaby tu trochę czasu w spokoju, najlepiej na lekturze pamiętnika.

– Dziękuję, panie dyrektorze. Z miłą chęcią skorzystam z zaproszenia. Mam tylko prośbę, by zakwaterował mnie pan w pokoju w północnej wieży...

– Chodzi o pokój księżniczki. – Skinął głową. – Tak myślałem. Pani ciocia, gdy tu przyjeżdżała, też się w nim zatrzymywała. To za jej pieniądze i na jej życzenie został odnowiony. Zapraszam zatem, proszę za mną. Ma pani jakiś bagaż?

– Tylko torebkę – westchnęła zażenowana.

Nie miała nawet bielizny na zmianę!

– Rozumiem. – Dyrektor nawet nie mrugnął okiem. – Nie będę więc mógł nic pani ponieść, trudno.

Krysia chciała ruszyć za oddalającą się Julią, ale Paweł stanowczo ją powstrzymał, żądając, by na razie zostawiła księżniczkę w spokoju. Miał dosyć kłopotów i wolał nie myśleć, ile by się ich namnożyło, gdyby Julia zaskarżyła go o fatalne naruszenie zasad sztuki prawniczej i niedopełnienie warunków umowy. Teraz należało traktować ją jak prawdziwą księżniczkę i chodzić wokół niej na paluszkach.

Andrzej też jej nie niepokoił. Nie pytając nikogo o zgodę, wybrał się na samodzielne przeszukiwanie terenu, zaczynając od badania wszelkich zakamarków dworu.

Julia tymczasem szła korytarzami, które kojarzyły się jej ze starą szkołą. Poszarzałe firanki w oknach, tablice z rysunkami i pracami plastycznymi uczniów, kwiatki w tandetnych donicach i wypastowana podłoga pokryta linoleum z czasów głębokiego PRL-u. Świat z innej epoki. Na szczęście szybko dotarli do narożnej wieży i weszli krętymi schodkami do drzwi pokoju Józki. Julia wstrzymała oddech i weszła do środka.

Znalazła się w innym świecie. Z komunistycznego internatu przeniosła się do dziewiętnastowiecznego pałacyku. Pokój faktycznie został odnowiony, a nowy architekt wewnątrz urządził go w stylu retro, a konkretnie

biedermeierowskim. Świadczyły o tym jasne, pasiaste tapety na ścianach i lekkie, funkcjonalne, choć wyglądające na straszliwe archaiczne meble. W pokoju znajdowało się stojące pod ścianą łóżko z baldachimem, sekretarzyk z kałamarzem, wielka szafa i stoliczek z lustrem. Ten ostatni nazywano gotowalnią, jak gdzieś wyczytała Julia. Damy gotowały się przy takim stoliku do wyjścia. W szufladkach powinny znajdować się kosmetyki i pachnidła, biżuteria, igły do włosów i inne niezbędne kobietom rzeczy.

Teczka z pamiętnikiem leżała na biurku. Julia natychmiast ją otworzyła i uśmiechnęła się triumfalnie. Chciała coś powiedzieć dyrektorowi, ale gdy się odwróciła, już go nie było. Zostawił ją samą, bez głupiego gadania. Porządny, naprawdę miły facet.

Julia rzuciła się na łóżko i zaczęła czytać.

W marcu śnieg zaczął topnieć, a mój brzuch zaczął wyraźnie się powiększać. Ukrywałam go, jak się dało. Przede wszystkim zrezygnowałam z gorsetów na rzecz lekkich sukienek, pelerynek i pledów, którymi owijałam się niby przez dokuczające przeciągi. *Notabene* po korytarzach dworu potężnie wiało. Właściciel nie raczył zamontować porządnych okien, a te, które były, pamiętały jeszcze czasy pruskie. Awanturnik, zwany Lwem Północy, i tak nie bywał tu w czasie chłódów, zatem nie przejmował się takimi sprawami. Mnie ta niedbałość coraz bardziej irytowała. Szczególnie, gdy w lutym zamarzała mi zostawiona na noc przy łóżku herbata z samowara.

Nie ma to jak w ciemności nad ranem sięgnąć po napój i dotknąć ustami kawałka lodu. Wrażenie nie do opisania. Niezbyt przyjemne stało się też wstawanie z łóżka. Co prawda polska służba dbała o mnie w sposób wręcz niespotykany, ale i tak oczywiste było, że długie zimowe noce kończyły się wyjątkowo chłodnymi porankami. Nie miałam się czym przejmować. Nawet cesarz nie unikał drobnych niedogodności związanych z szybkim wychładzaniem pomieszczeń w zimowe noce. I niewiele pomagała służba, gotowa dorzucać do kominka lub pieca. Nie wypadało przecież wchodzić do komnat ich cesarskich mości w środku nocy z naręczem polan, a bez tego płomienie w piecach szybko wygaszały. Wysokie, pałacowe pomieszczenia wychładzały się w szybkim tempie, więc każdy arystokrata przyzwyczajony był do chłodu. Ja, dziewczyna z małego dworku, nie przywykłam do podobnych luksusów. Ojciec często dorzucał do pieca, jedyne na cały, drewniany dworek, ale wystarczającego, by wszystkim było ciepło aż do rana.

Na Fiodorze chłody nie robiły większego wrażenia. Początkowo jego stan się poprawił, ale tylko do pewnego stopnia. Według odwiedzających nas lekarzy nadal był zbyt słaby na poważny, inwazyjny zabieg ponownego otwarcia ran. Wszyscy musieliśmy cierpliwie czekać. Mój książę cierpiał na słabość, powracające gorączki i promieniujące bóle. W związku z tym

przez zimowe miesiące nie zdobył się na decydującą rozprawę z matką. Zaczęłam nawet zastanawiać się, jak długo jeszcze będzie zwlekał? Zamierza poczekać, aż urodzę, a wtedy postawi rodzicielkę przed faktem dokonanym?

– Tak bardzo się jej boisz? – spytałam któregoś dnia, gdy dopadł mnie paskudny nastrój.

– Boję się ją zranić – powiedział po dłuższym wahaniu. – Wybacz, kochana, ale nie mogę się w sobie zebrać. Wiem, że zbyt kategoryczna postawa złamałaby jej serce, a tego chyba bym nie zniósł. Nie mam siły, by burzyć wszystkie jej marzenia, niweczyć plan, który ułożyła dla mnie wiele lat temu. Zrobiłbym jej tym wielką krzywdę, może nawet zabił. Muszę poprawić formę, wzmocnić się i przygotować na tę rozmowę. Poza tym chyba stopniowo oswaja się z myślą, że jesteśmy parą. Żyjemy niczym narzeczeństwo i niedługo stanie się naturalne, że damy na zapowiedzi. Mam nadzieję, że mama do tego czasu zdąży przyjąć do wiadomości, że nic z tym nie da się zrobić.

– Nie wydaje mi się, by poszło tak łatwo. Księżna ma mnie za zabawkę, utrzymankę, która służy twojej wygodzie i zapewnia rozrywkę – powiedziałam ponuro. – Gdy stanę się zawadą, pozbędzie się mnie bez wahania. Boję się jej.

Wyciągnął ręce, by mnie objąć. Wtuliłam się w niego mocno i załkałam. Szeptał do mojego ucha obietnice, uspokajał i wyznawał miłość. To ja i nasze dziecko byliśmy najważniejsi i nigdy nie dopuści, by coś nam się stało. W przyszłości pojmie mnie za żonę i zamieszkamy razem w odległym od cywilizacji, od szumu i zgiełku, od wojen i wielkiej polityki, spokojnym miejscu. Marzyły mu się wybrzeża Morza Czarnego. Miał tam posiadłość ziemską, gdzieś niedaleko Odessy, z białą willą nad samym brzegiem. Codziennie będziemy jeść świeże ryby, kąpać się w słońcu, malować i objadać się arbuzami. Wieczna sielanka. To właśnie mnie czekało.

Wierzyłam mu, głupia gęś, bo mówił, zdawało mi się, zupełnie szczerze, nawet teraz jestem przekonana, że sam w to wierzył. Pewnie przez gorączkę, która go trawiła, w tych planach było trochę zwykłych majaków, marzeń oderwanych od rzeczywistości. Uspokajałam się, kołysana słodkimi bajkami o przyszłości u boku księcia, aż nie wiedzieć kiedy nadeszła wiosna.

Któregoś wieczoru, gdy szykowałam się do snu, pod drzwiami mojego pokoju wybuchło zamieszanie. Umyłam się właśnie w misce z ciepłą wodą

i wycierałam, gdy z zewnątrz dobiegły mnie podniesione głosy, a potem łomot i wrzask. Narzuciłam podomkę i wybiegłam na zewnątrz. Za drzwiami stała wyraźnie wściekła pokojówka Basia, trzymająca za włosy jedną z rosyjskich służących księżnej.

– Co tu się dzieje? – wrzasnęłam. – Basiu, natychmiast ją zostaw!

Moja powiernica posłusznie uwolniła jeńca. Rosjanka, czerwona ze złości i bólu, spojrzała na mnie wrogo, po czym przełknęła przekleństwa i groźby, choć zdaje się, że miała ogromną ochotę obrzucić mnie wyzwiskami. Zamiast tego obróciła się na pięcie i pognęła biegiem w głąb dworu.

– Ta suka panienkę podglądała – oznajmiła ciągle wzburzona Basia. – Uchyliła drzwi i gapiła się na panienkę. To zresztą nie pierwszy raz, ale dopiero dziś udało mi się zmię przyłapać. Wreszcie miałam pretekst, by powiedzieć jej kilka ciepłych słów, a gdy odpyskowała, po prostu strzeliłam ją w gębę i wytargałam za kudły. Wstrętne kacapy nieustannie panienkę śledzą. Robimy, co w naszej mocy, by pannę chronić, panno Józiu, ale ich jest zbyt wielu, w dodatku działają jak dobrze wyszkolone wojsko. Nie mamy szans z cholernymi Moskalami.

– Basiu, proszę o uważanie na słownictwo. Nie uchodzi kłąć, skoro jesteś młodą damą – powiedziałam, przyjmując ton guwernantki.

– Ja, damą? – wyjąkała zbita z tropu służąca. – Chciałam tylko powiedzieć, że jest panienka w niebezpieczeństwie, a my walczymy, by nic złego się panience nie stało.

– Wiem, Basiu – powiedziałam, przytuliłam ją i pocałowałam w policzek. – Jestem wam za to bardzo wdzięczna. A teraz uciekaj. I nie prowokuj bójek z Rosjanami, dobrze?

Postanowiłam się jeszcze nie kłąć; w samej podomce wyruszyłam w wyprawę do przeciwległego skrzydła dworu. W garści dzierżyłam jedynie lampkę naftową z alabastrowym kloszem. Dotarłam do drzwi sypialni księżnej, pod którymi zastałam Siergieja. Skinęłam mu bez słowa głową, a on zapukał i wśliznął się do środka, by mnie zaanonsować. Księżna zgodziła się mnie przyjąć natychmiast, nie ponizając czekaniem pod drzwiami.

Siedziała przy biurku, w pince-nez na nosie, obracając w palcach pióro ze stalówką. Patrzyła na mnie sponad szkieł, zabawnie marszcząc brwi. Wypięłam brzuch do przodu, biorąc się ostentacyjnie pod boki. Pod rozsuniętą podomką widniała halka, mocno napięta na brzuchu.

– To chciała księżna zobaczyć? – spytałam zaczepnie.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– Wyglądasz kwitnąco, Żuza. Podejdz no bliżej i się poczęstuj. To pączki nadziane powidłami różanymi, niebywale udany polski przysmak. Robi je cukiernik z Ciechocinka, wielce utalentowany, jeśli chodzi o takie wypieki.

– Pączków się nie piecze, a smaży – odparłam, częstując się jednym. – Nie są aby zatrute?

– Masz mnie za złą królową, a siebie za Śnieżkę? Oj, Żuza, myślałam, że dobrze mnie znasz. Ja nie zabijam nawet największych wrogów, to zbyt ordynarne.

– Proszę mi wybaczyć, wasza ekscelencjo – odparłam, bez zaproszenia siadając w fotelu.

Jej ulubionym, w którym co dzień spędzała szare godziny w milczącej zadumie. Rzeczywiście siedzisko okazało się wygodne.

– Jesteś zatem przy nadziei i z tego, co widzę, Fiodor musiał ci to zrobić jeszcze przed wyruszeniem na front. Zaskoczyłaś mnie. Kiedy rozwiązanie?

– W lipcu. I proszę się nie obawiać, nie planowałam tego i nie mam wobec waszej rodziny podstępnych planów.

– Wiem. Jedynie małżeństwo. – Skinęła głową. – Wybij je sobie z głowy, radzę po raz ostatni. Przejdźmy zresztą do rzeczy. Co chcesz, by zniknąć z jego życia? Mogę ofiarować ci dożywotnią pensję, dzięki której będziesz mogła żyć na całkiem przyzwoitej stopie, nie martwiąc się o utrzymanie. Wydaje mi się, że to rozsądna propozycja.

– Myślałam, że księżna dobrze mnie zna – wypaliłam i odgryzałam kawałek pączka. – Nie zgadzam się, to chyba jasne. Chcę księcia, chcę jego miłości. Dziecko będzie potrzebowało kochającego ojca, to jest najważniejsze.

Księżna pokręciła głową, przestała się uśmiechać.

– To będzie wasz wnuk, Anno Pietrowna – powiedziałam. – Nie jesteście go ciekawi, nie chcielibyście wziąć na ręce?

– Mój wnuk będzie dzieckiem królewskiej krwi. W twoim brzuchu jest tylko bękart, który zupełnie mnie nie interesuje – oznajmiła lodowatym głosem. – Daję ci kilka dni na zastanowienie się nad moją propozycją. Drugi raz jej nie powtórzę.

Skinęłam głową i wstałam. Audiencja była skończona.



Kolejny miesiąc też przemknął niemal niezauważony. Dostrzegłam co prawda, że przyroda ożywa. Wróciły ptaki, drzewa się zazieleniły, pozbawiona kry Wisła ruszyła wezbrana po roztopach niczym potężna, majestatyczna królowa. Nadchodziły święta wielkanocne, dni zrobiły się długie i jasne. Wrócił mi humor i chęć do życia, choć wszystko wskazywało na to, że zaczynam tracić grunt pod nogami. Fiodor nie czuł się dobrze, ból nie pozwalał mu całymi dniami ruszyć się z łóżka. Większość dnia spał lub siedział osowiały. Czasem się uśmiechał na mój widok, gładził mnie po brzuchu i go całował, ale z równie błogą miną witał przybycie matki. Coraz częściej sprawiał wrażenie nieobecnego, błędzącego myślami gdzieś daleko. Wiedziałam, że się ode mnie oddała. Traciłam go i nie wiedziałam, co z tym zrobić.

Miałam jednak sojuszników, których ciągle nie doceniałam.

Pewnego dnia wyszłam na samotny spacer po parku. W czasie przechadzki ruszyłam ścieżką w dół zbocza, w kierunku furty w murze na tyłach ogrodu. Zaczynała się za nią dróżka prowadząca nad rzekę.

Nie wiem, co mnie napadło, ale zachciało mi się udać na wycieczkę, nacieszyć się wiosną i popatrzeć na wezbrane wody z bliska. Powietrze było rześkie, a słońce świeciło tak, że chciało się żyć. Zamiast statecznie maszerować, zbiegłam pędem w dół, podskakując niczym podlotek. Tylko jedną ręką podtrzymywałam brzuch i w czasie biegu chichotałam jak ostatnia idiotka. Maluch w moim brzuchu chyba też się śmiał. Czułam, że się ożywił i miotał wesoło.

Wreszcie zatrzymałam się zdyszana i spocona. Serce łomotało mi jak oszalałe, poczułam nagły skurcz. Matko Boska, co ja wyprawiam! Uspokoiliłam oddech, odsapnęłam i maluch też powoli się uspokoił. Teraz zupełnie statecznym krokiem zbliżyłam się do brzegu. Ten przesunął się znacznie od czasów moich wycieczek z Fiodorem. Woda obmywała pień zwalonej wierzby, która, o ile pamiętałam, leżała spory kawałek od brzegu. Nie dość, że wody znacznie przybyło, to szumiała i rwała do przodu, burząc się i chlupocząc. Gdy spojrzałam na obszar, na jakim się rozlewała, zrobiło mi się nieswojo. Wezbrana Wisła sprawiała naprawdę groźne wrażenie.

Bardziej poczułam, niż usłyszałam, że ktoś się zbliża. Obróciłam się na pięcie i stanęłam twarzą w twarz z Siergiejem. Patrzył na mnie jak zwykle, z miną bez wyrazu. Zbliżał się krok za krokiem, ręce trzymał opuszczone,

szedł sztywno, przez co skojarzył mi się z manekinem z domu mody na Nowym Świecie. Dostrzegłam, że w prawym ręku trzyma krótką pałkę. Poczułam falę przerażenia zaciskającą gardło.

Co mi strzeliło do łba, by przychodzić tu samej? Walnie mnie zaraz pałką w skroń i wrzuci do rzeki. Sprawa załatwiona! Stwierdzą, że sama do niej wpadłam i zostałam porwana przez wzburzony nurt.

– Czego chcesz? – syknęłam po polsku.

– Skatina – wycedził przez zęby.

Teraz sobie przypominałam! To na niego wpadłam tamtej nocy, kiedy biegałam po Warszawie, by poinformować przyjaciółki o planie ich aresztowania. Śledził mnie od zawsze i chyba od samego początku nienawidził. Zbyt blisko zbliżyłam się zarówno do księcia, jak i księżnej. Widocznie bał się o utratę pozycji najbardziej zaufanego sługi. Teraz pewnie chciał mnie zamordować z własnej inicjatywy, by pozbyć się natrętnej Polki i zrobić jaśnie pani przyjemność.

Cofnęłam się o krok lub dwa, ale za plecami miałam jedynie szumiącą i chlupoczącą groźnie rzekę. Spychał mnie w jej stronę, jakby chciał mnie zmusić, bym sama do niej skoczyła. Rozejrzałam się wokół rozpaczliwie. Znikąd pomocy, nigdzie żywego ducha, tylko rzadki las i chaszcze porastające nadwiślańskie nieużytki. Nie miałam również pod ręką niczego do obrony, żadnego kija ani kamienia.

Siergiej po raz pierwszy, odkąd go znałam, wykrzywił gębę w paskudnym grymasie. Obnażył zęby w ohydny uśmiech i warknął niczym wściekły pies. Wiedziałam, że zaraz mnie zabije. Zacisnęłam dłonie w pięści gotowa walczyć do końca. Nie tylko o swoje życie, ale głównie o dziecko.

Wtedy za plecami Rosjanina pojawił się upiór. Przynajmniej tak wyglądała ciemna sylwetka, która wystrzeliła spomiędzy drzew. Osobnik pędził wielkimi susami, a jego czarna kapota łopotiała niczym skrzydła nietoperza. To był kapitan Mrok, czyli lokaj Adolf we własnej osobie.

Dopadł Siergieja w mgnieniu oka, spadł na niego jak prawdziwy drapieżnik. Błada twarz lokaja odmieniła się, przybrała iście trupi wyraz. Zakotłowało się, Siergiej krzyknął, ja zresztą też. Adolf chyba wbił mu zęby w szyję. Z rozerwanego gardła trysnęła krew. Nie, to jednak nóż, a może sztylet o dziwacznym ostrzu przypominającym strzałkę. Wzniósł się po raz kolejny i zagłębił w piersi Rosjanina, gdzie został już na zawsze.

Chyba zemdlałam. Gdy oprzytomniałam, po Siergieju nie było ani śladu, a kapitan Mrok prowadził mnie pod górę, w stronę domu. Mówił do mnie stanowczym tonem, zupełnie innym niż jak zwykle rozdygotanym i służalczym. Teraz wiedziałam, skąd jego powstańcze przezwisko, rzeczywiście dawny buntowiszczyk w pełni na nie zasługiwał. Wychynął z jakiegoś zakamarka niczym cień, a pewnie lada chwila znów zmieni się w przygarbionego sługę o zapadniętej, smutnej twarzy.

– Czym go zabiłeś? – zapytałam, chyba jeszcze będąc w szoku.

– To broń powstańczych żandarmów zwanych sztyletnikami – odparł. – Służyła do skrytobójczych zamachów na carskich oficjeli i urzędników. Ostatni, jaki miałem. Wykonał zadanie, do którego go stworzono. Uśmiercił cholernego Moskala. Ale niech panienka już o tym nie myśli, musi o wszystkim zapomnieć. Była panienka na spacerze i poczuła się źle, więc zaraz po powrocie położy się spać. W tym czasie zupełnie się uspokoi. Nie spotkała panienka ani Siergieja, ani nikogo innego. Czy to zrozumiała?

Przytaknęłam tylko, bo Mrok przemawiał do mnie tonem zaskakująco stanowczym. Nie spodziewałam się takiej postawy po pokornym Adolfie.

– Zbierają się nad panienką czarne chmury – dodał, gdy przechodziliśmy przez furkę parku. – Księżna zaczyna coś knuć. Przede wszystkim w tajemnicy poi księcia laudanum<sup>14</sup>. To dlatego ten ciągle śpi lub jest ledwo przytomny. Do tego służba zaczęła pakować jego rzeczy, chyba chcą go wywieźć. Poza tym księżna ciągle wysyła telegramy do Warszawy. Na stacji kolejowej, gdzie jest telegraf, mam jednak swojego człowieka. Wiemy zatem, że stara koresponduje z komendantem aresztu śledczego Cytadeli. Wydaje mi się, że powinniśmy wiać, najlepiej wszyscy. Mogę uruchomić kontakty wśród towarzyszy broni i znaleźć jakąś kryjówkę. Niestety nie będzie to nic wygodnego, a w panienki stanie...

– Nie trzeba, Adolfie. Nie będę uciekać. Nie boję się księżnej – odparłam pewnym głosem.

Cała sytuacja zamiast mnie przerazić, pobudziła nieznane zakamarki mojej duszy. Wkurzyłam się. W głębi serca zaczął mi kiełkować gniew. Nie zamierzałam się cofać, błagać o litość, czy przystawać na warunki Anny Pietrowny. Wiedziałam, że stanę do walki z księżną, i to z podniesionym czołem.

– Wy jednak może powinniście zniknąć – dodałam. – Trudno powiedzieć, co

księżna dla nas wszystkich przygotowała. Nie chcę, byście cierpieli z mojego powodu.

Adolf pokiwał głową.

– Zostaniemy z panienką. Jeśli będzie trzeba, stanę raz kolejny do walki z Moskalami. Niech się dzieje, co chce!

Zdobyłam zatem gwardię przyboczną w postaci lokaja, pokojówki, kucharza z pomagierem i stajennego. Strzegła mnie całkiem spora grupa ludzi. Zaplanowaliśmy operacje mające nieco utrudnić księżnej życie. Jeszcze tego samego wieczoru kot „przypadkiem” potłukł flakon z zapasem laudanum. Gdy rankiem księżna zażyczyła sobie wycieczkę do Ciechocinka, by wysłać pilny telegram, okazało się, że dyszel od powozu się obłuzował i wymaga pilnej naprawy, a z dwukółki stajenny odkręcił oba koła, bo na wertepach połamały się szprychy. Do tego skończył się cały atrament, a myszy nasikały na papier listowy. Księżna nie mogła zatem nawet napisać telegramu i wysłać służącego piechotę, by go nadał.

Następnego dnia zaginął gdzieś kufer ze spakowanymi rzeczami Fiodora. Rosyjskie pokojówki przytruły się czymś i dostały biegunki, a Siergiej znikł jak kamfora. Księżna mamrotała coś pod nosem, że pewnie znów się spił i pewnie zalega w karczmie, bo niedawno wypłaciła mu uposażenie.

Bawiło mnie wymyślanie kolejnych psikusów, choć wiedziałam, że na wiele się nie zdadzą. Nie mogły przecież powstrzymać kogoś takiego jak Anna Pietrowna. Niestety nie myliłam się.

Trzy dni później pod dwór zajechała ciężka landara<sup>15</sup>, z której wysiadł rosyjski doktor w mundurze. Wojskowy lekarz targał pod pachą ciężką torbę, a towarzyszyło mu dwóch sanitariuszy z noszami. Fiodor, choć w pełni przytomny, wcale się nie bronił. Wezwał mnie jednak i zażyczył sobie, by księżna i medyk zostawili nas na chwilę samych.

– Będziemy musieli rozstać się na tydzień lub dwa – powiedział z uśmiechem. – Mama zrobiła mi niespodziankę i załatwiła zabieg, który przeprowadzi zespół pewnego wybitnego profesora. Moje rany zostaną otwarte i oczyszczone. Liczę na to, że wreszcie zaczną się goić! Wrócę do zdrowia i będę mógł normalnie żyć! Już nie mogę się doczekać, tak się cieszę!

Uścisnął moje dłonie, cały promieniejąc ze szczęścia. Czyżbym się myliła? Księżna nic nie knuła przeciw mnie, a po prostu szykowała operację syna?

Skupiła się na ratowaniu mu zdrowia, a może nawet życia, odkładając zwyczajowe intrygi na potem. Zrobiło mi się głupio.

– Ja też się cieszę – odpowiedziałam. – Mogę z tobą jechać?

– Nie ma takiej potrzeby – odparł lekko. – Zresztą w powozie nie ma nawet miejsca dla wszystkich. Pojedzie ze mną mama. Ty przypilnujesz dworu, przygotujesz go na mój powrót. Rychło wrócę i będę się kurował, by przed porodem zupełnie wyzdrowieć. Wtedy też weźmiemy ślub, a gdy miną upały, wyruszymy w podróż poślubną nad Morze Czarne. Poczekasz na mnie?

– Poczekam. – Uśmiechnęłam się.

Pocałował mnie. Do dziś pamiętam smak jego ust. Były gorące i lekko słodkie, pachniały ziołowym syropem, którym go pojono w zastępstwie laudanum.

Odprowadziłam Fiodora do landary, do której nieśli go sanitariusze. Księżna już czekała w pojeździe. Skinęła mi głową bez słowa i zamknęła drzwiczki przed nosem, wcześniej zdążyłam tylko uścisnąć dłoń Fiodora na pożegnanie.

Stałam na ganku długo po tym, gdy powóz znikł w oddali. Czułam się dziwnie. Dręczył mnie niepokój i brak poczucia bezpieczeństwa. Kazałam Adolfowi zamknąć bramę i furtę w ogrodzie.

Tego wieczora długo nie mogłam zasnąć. Kiedy wreszcie pogrążyłam się w niespokojnym śnie, zbudziło mnie gwałtowne łomotanie do drzwi. Usiadłam na łóżku, gwałtownie łapiąc oddech.

– To ja, Adolf! – rozległ się głos za drzwiami. – Szybko, panienko, musimy uciekać!

Zarzuciłam szlafrok i otworzyłam lokajowi. Wpadł do środka niczym rozmazany cień. W jednym ręku trzymał latarenkę ze świeczką, w drugim potężnych rozmiarów rewolwer. Na głowę miał wciśniętą poszarzałą ze starości, a niegdyś czerwoną konfederatkę, czyli miękką rogatywkę. To polskie nakrycie głowy, używane od dziesiątków lat przez bojowników narodowowyzwoleńczych, było oczywiście zakazane. Sam fakt jego założenia świadczył o tym, że kompletnie mu odbiło.

„O matko – pomyślałam z przerażeniem. – Znow zmienił się w kapitana Mroka, i tym razem na całego. Wszystko przeze mnie. Dopóki tu nie przyjechałam, był tylko zdziwaczalym weteranem cierpiącym na stare lęki, a teraz znow przeistoczył się w mordercę i spiskowca”.

– Adolfie, uspokój się, proszę – powiedziałam, siląc się na jednocześnie stanowczy i uspokajający ton. – Oddaj mi broń, bo jeszcze komuś coś się stanie.

– Niech panienka nie traktuje mnie jak wariata – odparł, zerkając spode łba.  
– Doskonale wiem, co robię. Nie jestem już trzęsącym się dziadem. Dzięki panience otrząsnąłem się z marazmu, w który wbił mnie lęk przed wrogiem, znów znalazłem sens w życiu. Przebudziłem kilku swoich dawnych żołnierzy, wszyscy strzeżemy panienci przed Moskalami. Właśnie jeden z nich, dawny ułan z mojej partii, przygalopował tu na złamanie karku z pilnym meldunkiem. Z nocnego pociągu w Ciechocinku wyładował się właśnie oddział żandarmerii. Niewielki, ledwie dziesięciu funkcjonariuszy, w tym dwóch oficerów. Udali się po konie i powóz do magistratu. Gdy mój ułan odjeżdżał, właśnie zaprzęgali.

– Co z tego? Przecież wszędzie roi się od carskich żołnierzy. Czy z powodu kilku dodatkowych, którzy pojawili się w Ciechocinku, jest sens robić zamieszanie? – Pokręciłam głową. – Adolfie, po raz kolejny proszę, oddaj broń.

Wtedy do sypialni wpadła Basia. Była w pełni ubrana i gotowa do drogi. Niosła moją suknię i płaszczyk podbity futerkiem. Rzuciła naręcze ciuchów na łóżko i kazała Adolfowi natychmiast wyjść. Furiat mruknął coś pod nosem, ale posłusznie opuścił pomieszczenie.

– Ty też oszalałaś? – spytałam.

– Co też panienka? Próbujemy tylko panienkę ratować – powiedziała, stanowczo zdejmując ze mnie szlafrok. – Awanturnicy z dawnej bandy mojego brata dowiedzieli się, że żandarmi to funkcjonariusze z aresztu śledczego Cytadeli. Na stacji wypytywali o drogę do Łopian. Nie ulega wątpliwości, że przyjechali po panienkę.

Nabrałam powietrza, ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Cholera, przeczucia mnie nie myliły. Anna Pietrowna jednak naszykowała dla mnie coś paskudnego.

– Adolf ze swoimi ludźmi uderzy na Moskali z zasadzki i spróbuje wyprzeć ich z powrotem do Ciechocinka. To da nam czas, by zniknąć. Odjedziemy dwukółką wzdłuż Wisły do Włocławka. Zatrzymamy się u mojej cioci i przeczekamy dzień lub dwa. Potem przierzucimy panienkę do leśniczówki, którą prowadzi przyjaciel mojego wujaszka. Tam można ukrywać się choćby

i latami.

– O nie, mowy nie ma! Nie będę uciekać. Nie zrobiłam nic złego, nie mam niczego na sumieniu. Jeśli nawet przyjechali tu po mnie przez knowania księżnej, i tak nie mogą mnie uwięzić bez powodu! – Wiedziałam, że księżnej chodziło o to, bym znikła. Może celowo próbowała mnie wystraszyć i zmusić do wzięcia nóg za pas. Niedoczekanie! – Niech Adolf nie próbuje atakować Moskali. Nie życzę sobie żadnego rozlewu krwi, żadnej strzelaniny, bijatyki i tym podobnych. Gdy do tego dojdzie, z pewnością wszyscy wpakujemy się w poważne kłopoty. Zabraniam, czy to jasne?

– Ale wtedy oni zrobią panience coś złego... – szepnęła Basia, pomagając włożyć mi sukienkę bezpośrednio na nocną halkę.

– Nic mi nie zrobią – oświadczyłam stanowczo. – Natychmiast wołaj brata, muszę wybić mu ze łba awantury.

Adolf początkowo nie chciał słuchać, aż w końcu się na niego wydarłam i pogroziłam pięścią. Wtedy wreszcie kapitan uznał moje zwierzchnictwo, posłusznie zdjął konfederatkę i wetknął ją za pazuchę. Na koniec schował również rewolwer. Przygarbił się i oklapł, na powrót zamieniając się w posłusznego sługę.

Nie musieliśmy długo czekać na żandarmów. Już po kwadransie przed bramą zatrzymał się pocztowy dyliżans zarekwirowany przez Moskali w Ciechocinku. Prowadziło go dwóch żandarmów jadących wierzchem. Zeskoczyli z koni i otworzyli bramę. Po chwili jeden z oficerów załomotał pięścią we wrota dworu. Wyglądał na zdziwionego, gdy niemal natychmiast otworzył mu służa w liberii. Żandarmi zdziwili się jeszcze bardziej, gdy ujrzeli mnie elegancko ubraną, spokojnie czekającą na nich w bawialni. Dwaj oficerowie, jeden młody, a drugi z zupełnie siwymi wąsikami i bokobrodami, zgodnie trzasnęli obcasami, stając na baczność.

– Dlaczego panowie niepokoją po nocy ciężarną kobietę? – spytałam lodowatym tonem.

– Prosimy o wybaczenie, panno Jasińska – powiedział starszy. – Ale mamy rozkaz panią aresztować i natychmiast odstawić do twierdzy. Przykro mi niewymownie, lecz wymogi służby jasno określają tempo wykonywania podobnych rozkazów. Możemy dać pani jedynie czas na spakowanie najniezbędniejszych rzeczy. Jeden niewielki kuferek, nic ponad to.

Cała dygotałam ze strachu i przejęcia, ale trzymałam się mocno. Pierś

do przodu, harda mina. Niech żandarmi poczują się choć trochę głupio.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego jestem aresztowana? – spytałam.

– W związku z podejrzeniem o spisek, przynależność do nielegalnej organizacji Ziemia i Wolność, a także za utrudnianie śledztwa przeciw członkom tej organizacji – odparł młodszy. – O wszystkich szczegółach panienka dowie się na miejscu.

Wyprowadzono mnie w ciemną noc, wpakowano do czarnej kibitki, bo taką wydał mi się dylizans, i wywieziono na dworzec. Potem była podróż koleją, której właściwie nie pamiętam, tak byłam zdenerwowana. Na Dworcu Petersburskim w Warszawie już czekał na nas wojskowy powóz aresztancki. Nie pojechaliśmy na Pawią ani do aresztu w ratuszu, lecz od razu do Cytadeli – zwanej grobem ludzi myślących. Nawet ja, niezbyt zaznajomiona z tymi sprawami, zdałam sobie sprawę, w jak nieciekawej sytuacji się znalazłam. Wylądowałam w okrytym wyjątkowo złą sławą Dziesiątym Pawilonie, paskudnym więzieniu, w którym od dziesięcioleci mordowano polskich patriotów.

Mało kto wyszedł stąd na wolność. Jedynym sposobem na opuszczenie tego miejsca było miejsce w kibitce jadącej na Syberię lub marsz przez Bramę Straceń, wprost na stok twierdzy, na którym stała szubienica lub czekał pluton egzekucyjny.

W celi było chłodno i wilgotno, choć znajdował się tu piec. Rzadko jednak przynoszono do niego opał, więc ogrzewałam się, zawijając we wszystkie ubrania naraz. Najgorsze były noce. Leżałam zwinięta na pryczy ze słomianym siennikiem, od podłogi ciągnęło przejmującym chłodem, a po korytarzu niosły się dudniące, ciężkie kroki wartownika. Na środku celi stała świeczka, która musiała nieustannie się palić. Co pół godziny wartownik zaglądał przez judasza. Łojówka gasła po dwóch godzinach, wtedy do środka wchodzili strażnicy, by zapalić kolejną. Walili drzwiami i ryglami, łomotali karabinami i podkutymi trepami. Wyspanie się w takich warunkach było właściwie niemożliwe. To była oczywiście część tortur, mających mnie zmiękczyć i skłonić do zeznań.

Kolejną torturą było jedzenie. Nie dość, że paskudne w smaku, to porcje okazały się małe nawet dla mnie. Choć trzeba przyznać, że dwa razy w tygodniu podawano zupę z kawałem żyłastego mięsa. Żułam je długo



i starannie, wysysałam również kości, jeśli jakieś się trafiły. Zjadałam wszystko, do najmniejszego okruszka, rzecz jasna z myślą o dziecku. Musiałam być silna i dzielna, bo zanosilo się na to, że urodzę w więzieniu.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, by się poddać. Zastanawiałam się, co z Fiodorem, czy żyje, czy się o mnie martwi. Mimo rozterek starałam się skupić na walce o przetrwanie. Przesłuchiwano mnie codziennie. Stawałam wtedy przed komisją śledczą, zasiadającą przy długim stole. Za plecami żandarmów, na ścianie, prężył się dwugłowy orzeł Romanowów, którego widok tylko utwierdzał mnie w uporze. Choćbym miała pęknąć, nie zamierzałam powiedzieć im ani słowa, i nie okazywać ani strachu, ani słabości. Zawsze prężyłam się z dumnie podniesioną głową i śmiało patrzyłam w oczy śledczych.

Na szczęście mnie nie bili. Po części ze względu na mój stan, a po części pewnie za wstawiennictwem księżnej. Choć to ona zaaranżowała moje uwięzienie, musiała zadbać o to, by mnie nie zadręczono i nie zagłodzono. Stwierdziłam, że wszystko to, co mnie spotyka, jest próbą, zemstą groźnej Anny Pietrowny, której śmiałam się postawić. Dopóki zatem odmawiałam zeznań i nie chciałam iść na ugody ze śledczymi, odnosiłam zwycięstwo nad księżną.

– Ile razy spotkała się pani z Zofią Lwowną Perowską? – pytał pułkownik o czerwonym nochalu.

– Kto to taki? Pierwsze słyszę to nazwisko – odpowiadałam za każdym razem, choć zdążyłam już usłyszeć je setki razy.

– Nie zna pani zatem Marii Kałussowskiej ani innych działaczek organizacji Ziemia i Wolność?

– Skąd to podejrzenie?

– Została pani z nimi zarejestrowana w kantorze stręczenia guwernantek, była wielokrotnie widywana w ich towarzystwie, a w końcu ostrzegła przed mającym nastąpić aresztowaniem.

– A skąd miałabym wiedzieć o grożącym im aresztowaniu?

– Panno Jasińska, darujmy wreszcie sobie te gierki. Była pani asystentką księżnej Czernyszewej i uczestniczyła w wizycie księżnej w domu generałowej Mieziencowej. Tam widziała pani listę z nakazami aresztowania. Tego samego wieczoru udała się panienka na wycieczkę kolejno do domów wszystkich kobiet wymienionych na liście. Mamy świadka, który panienkę

śledził.

– Tak? Chciałabym zostać z nim skonfrontowana. Niech powie mi to prosto w twarz! – wycedziłam, doskonale wiedząc, że śledzący mnie wtedy Siergiej od jakiegoś czasu stanowi pożywienie dla wiślanych rybek.

– Nam w zupełności wystarczą jego spisane zeznania – odpowiadał śledczy.  
– Dajemy im wiarę, szczególnie że owe kobiety tamtej nocy znikły bez śladu i dotychczas nie udało się ich ująć. Rozumiem, że ostrzegła panienka przyjaciółki przed grożącym im niebezpieczeństwem, ale trudno nam dać wiarę, że zrobiła to jedynie z dobroci serca, nie wiedząc, że ma do czynienia z groźnymi rewolucjonistkami.

– Zawsze byłam wierną carowi obywatelką Imperium. Nigdy przeciw niemu nie spiskowałam. Nie przyznam się do żadnych zbrodni przeciw Rosji – odparłam pewnie.

Wtedy zwykle jeden ze śledczych wzdychał ciężko. Z chęcią wychłostaliby mnie nahajkami lub moczącymi się w wiadrze z wodą różgami. Musieli się jednak hamować, rzadko któryś podnosił głos, a tylko raz na mnie nawrzeszczeli. Gdy po raz kolejny stwierdziłam, że nigdy nie słyszałam o Ziemi i Wolności i nie wiem, dlaczego właściwie jestem przetrzymywana, jeden z nich nie wytrzymał i obrzucił mnie wulgarnymi wyzwiskami. Nawet nie mrugnęłam okiem, wyzywająco patrząc mu w twarz. Żandarmowi zrobiło się głupio i gdy ochłonął, uprzejmie mnie przeprosił.

– Pani upór nie wskazuje na deklarowaną wierność jego wysokości Aleksandrowi II – powiedział któryś. – Wyraźnie unika pani odpowiedzi na pytania, widocznie pobyt w celi sprawia pani przyjemność. Ofiarujemy pani możliwość zakończenia tego koszmaru. Wystarczy szczerze, bez kłamstw, wyznać swoje młodzieńcze błędy. Nie jesteśmy jakimiś żądnymi krwi, pozbawionymi sumień urzędnikami. Mamy również ludzkie uczucia, w imieniu cara potrafimy okazać łaskę i przebaczenie. Zdarza się często, że młode umysły łatwo dają się omotać ideom, które mają o równości i braterstwie, a za którymi ukrywa się jedynie anarchia i nihilizm. Rozumiemy, że młody człowiek może poczuć współczucie dla biednego ludu i próbować w naiwny sposób mu pomóc, na przykład przystępując do podziemnej organizacji, która niby walczy o prawa tego ludu. Nie ma w tym nic godnego pogardy. Wszystko wynika z młodzieńczej naiwności, którą te bestie sprytnie wykorzystują. Car przebaczy błądzącym poddanym, wszystkim tym, którzy rozumieli, co robią

i w porę wyznali winy. Jeśli przyzna się panienka do popełnionych czynów i podpisze zeznanie, już jutro zostanie osądzona. Podkreślmy, że osądzona przychylnie! Wyrok nie powinien być większy niż kilka lat przymusowego osadnictwa w głębi Rosji. Z naszej strony dołożymy starań, by nie była to Syberia, a powiedzmy, przyjemne okolice Uralu, gdzie można w spokoju odpracować winy w otoczeniu pięknej przyrody i w leczniczym klimacie.

Żandarm podsuwał mi papier do podpisania. Nigdy nawet na niego nie spojrzałam.

– Nic złego nie zrobiłam. Nie wiem, gdzie są poszukiwani spiskowcy, do niczego się nie przyznaję.

Odprawdzano mnie do celi i przesłuchiwanie powtarzało się następnego dnia, a czasem dwa dni później. I tak w kółko.

Po miesiącu zaprowadzono mnie do izby widzeń. Czekala w niej Basia, nieco wystraszona i pobladła z wrażenia. Wręczyła mi koszyczek z wiktuałami, który na miejscu został przeszukany przez obecnego przy odwiedzinach żandarma. Sołdat od razu ukradł z niego pęto kiełbasy i słoik powideł, na szczęście reszta została mi oddana.

– Czy Fiodor wrócił do Łopian? – to było pierwsze pytanie, jakie zadałam przyjaciółce.

Pokręciła przecząco głową. Nie wiedziała też, co się z nim dzieje. Ani księżna, ani żaden z Rosjan nie pojawili się we dworze. Basia pytała, jak się czuję i czego mi trzeba. Poleciałam, by powiadomiła o moim położeniu wujostwo z Warszawy, a zanim wyjdzie, opowiedziała, co słyhać na wsi. Rozgadała się o zwyczajowych problemach związanych z utrzymaniem majątku, jakby chciała odwrócić moją uwagę od nieszczęśliwej miłości.

– Doszła nas też niepokojąca wiadomość z Afryki. Pan Bonifacy przysłał list, w którym zalecił przygotowanie jego trofeów do wysłania! To będą cztery ciężkie wagony rupieci. Mają pojechać do Gdańska, gdzie przejmie je jego pełnomocnik. Lew Północy przesłał nam też podziękowania za służbę i trochę pieniędzy na pożegnanie.

– Pozbył się dworu?

– Na to wygląda. Najgorsze, że jeszcze nie wiemy, kto go kupił – odparła przejęta Basia. – Nowy właściciel do tej pory się nie pojawił i nie dał znaku życia.

To mnie zaintrygowało mocniej, niż się spodziewałam. Okazało się, że polubiłam posiadłość i życie w niej, pokochałam nieliczną służbę, miejscową przyrodę i swój uroczy pokoik. Tęskniłam za nim coraz bardziej, co warunki bytowe panujące w Dziesiątym Pawilonie tylko mi ułatwiały. Zrobiło mi się przykro na myśl, że nigdy nie wrócę do dworu. W serce zakłuło mnie jeszcze bardziej, gdy przyszło mi do głowy, że nie spotkam już Fiodora, nie pójdziemy na spacer nad Wisłę, nie będziemy czytać na głos przy kominku.

Nie minął tydzień od wizyty Basi, a zostałam wezwana na kolejne widzenie. Zaciekawilo mnie, dlaczego pozwalają na tak częste wizyty, ale im było ich więcej, tym moje szanse na przetrwanie w areszcie rosły. Może to ciotka, a do tego przyszło jej do głowy, by przynieść mi jakieś koce i coś pożywne do jedzenia? Miałam bowiem nieustannie wilczy apetyt, a dziecię domagało się pokarmu coraz gwałtowniej, kopiąc mnie w wątrobę i wierzgając jak szalone.

Tym razem w celi zamiast spodziewanej ciotki zastałam Jankę, niedoszlą guwernantkę, która została straganiarką i była poszukiwana przez carskich szpicli jako agentka Ziemi i Wolności. Powieka mi nie drgnęła, ale przez chwilę nie mogłam wykrztusić ani słowa. Jak tu się przywitać? Przecież obok stał żandarm, co prawda znudzony, ale wszystko widział i słyszał. Na szczęście pierwsza zareagowała Janka. Wyciągnęła węzełek z prezentami dla mnie i od razu, jako pierwszy przedmiot do kontroli, wyjęła wielki flakon gorzały. Żandarm ożył w jednej chwili i rozpromienił się niczym wschodzące słońce. Janka dała mu butlę, zachęcająco się uśmiechając, i tyle żeśmy sołdata widzieli. Byłam zaskoczona, że tak łatwo można pozbyć się wartownika.

– Wszyscy Moskale są tacy sami, tylko czekają, aż im się da w łapę, po czym natychmiast zapominają o carze, wierności i posłuszeństwie – powiedziała z uśmiechem. – Miło cię widzieć, złotko, pięknie wyglądasz. I brzucha się solidnego nabawiłaś, że ho, ho! Myślałam, że jesteś mądrzejsza. Kto jak kto, ale że ty dasz sobie zmajstrować dzieciaka, to się nie spodziewałam.

– To przez poryw serca, nad którym nie zdołałam zapanować – odrzekłam bez przekonania.

Z dziewczyną żyjącą na warszawskich targowiskach rozmowy o romantycznych uniesieniach i zapomnieniu w ramionach ukochanego nie miały sensu. Tam toczył się nieustanny, zażarty bój o przetrwanie, a kobiety,

które dzień po dniu brały w nim udział, słynęły z twardości charakterów i praktyczności. Nic dziwnego, że Janka skwitowała moje tłumaczenia pogardliwym parsknięciem. Zaraz też wytłumaczyła mi, co trzeba zrobić, by sobie z chłopem poużywać, a w ciążę nie zajść. Choć z księciem robiliśmy różne rzeczy, i tak się zarumieniłam. Nie przywykłam do rozmawiania o tych sprawach.

– No dobra, kochanieńka, do rzeczy – zmieniła wreszcie temat. – Dopiero pięć dni temu dowiedziałyśmy się od twojej ciotki, jak poważne masz kłopoty. Zresztą to głupia baba. Stwierdziła, że sama jesteś sobie winna i powinnaś zgnić w lochu. Nie chcą cię znać i modlą się, byś sobie o nich nie przypomniiała, bo jeszcze sprowadzisz na rodzinę jakie nieszczęście. Na wsparcie najbliższych nie masz zatem co liczyć...

– Och, ale gdy wysyłałam im pieniądze, jakoś nie interesowali się, jak je zarobiłam. Brali je w milczeniu, nie dziwiąc się nawet wysokości kwot – mruknęłam szczerze zasmucona.

– Na szczęście masz jeszcze nas. – Janka objęła mnie i przytuliła naprawdę mocno, z uczuciem i serdecznością. – Pamiętamy, co dla nas zrobiłaś, poza tym wiemy, że cię przesłuchują i dręczą, a ty nadal nie puszczasz pary. Huczy już o tobie na wszystkich targach, w fabrykach i manufakturach. Nie minął nawet tydzień, odkąd wiemy, co się z tobą dzieje, a ty już jesteś na ustach wszystkich. Za kolejne siedem dni staniesz się bohaterką. Nawet w półświatku, wśród złodziei i andrusów, dudni, że mimo ciąży pozwalasz się torturować, by chronić przyjaciółki. Pełen szacuneczek. Warszawa ci tego nie zapomni!

– Co ty, Janka, to nie chodzi tylko o to. Stawiam się dla zasady, bo jestem...

– Jesteś dzielna jak mało kto, złotko. – Straganiarka uśmiechnęła się. – Nie pozwolimy ci tu skapcanieć. Już szykujemy łapówki dla doktorów z Cytadeli. Nic się nie martw, do rozwiązania doczekasz w godnych warunkach i pod przyzwoitą opieką. Mnóstwo dobrych ludzi chce ci pomóc.

Bąknęłam coś pod nosem. Właściwie było mi bardzo miło. To niezwykle ważne, by wiedzieć, że tam za murami komuś na tobie zależy. Sama myśl o ludziach starających się mi jakoś ulżyć w niedoli dodawała mi sił. Byłam przekonana, że dożyję porodu i wyjdę z tej cholernej twierdzy.

Pochwaliłam Jankę za odwagę, skoro przyszła do Cytadeli, choć szpicle ciągle jej szukali. Machnęła niedbale ręką. Od dawna miała nowe papiery,

i to nawet niepodrobione. Pieczętowała się prawdziwą metryką, z wpisem tam, gdzie trzeba, i nawet obywatelstwem miasta Warszawy. Żandarmi nie znali jej rysopisu i ogólnie mogli pocałować ją w zadek. Jej postawa również dodała mi siłę i poprawiła humor.

Kilka dni później zebrała się komisja lekarska, która w trybie natychmiastowym zdecydowała o przeniesieniu mnie do lazaretu. Pożegnałam więc zimne mury Dziesiątego Pawilonu i wywędrowałam raptem do sąsiedniego budynku, ale miałam wrażenie, że znalazłam się w innym świecie. Białe, czyste pomieszczenia, prycza z niezapluskwionym siennikiem, cisza i spokój, a do tego pełna obsługa. Ciepłe zupki i mleko, czasem białe pieczywo, kasze i mięso, a ponadto frykasy z licznych paczek, które dostarczano mi niemal codziennie.

Przez ostatni miesiąc leżałam więc plackiem i odpoczywałam. Udało mi się wyprosić u doktora prowadzącego możliwość dostarczania mi książek z żołnierskiej biblioteki. Mieli tam głównie traktaty wojenne po rosyjsku i francusku, ale przynajmniej miałam co robić. Z nudów czytałam o balistyce, taktyce w wojnach napoleońskich, szermierce szpadą, a potem zabrałam się za anatomię ran postrzałowych, sposoby utrzymania dyscypliny w armii, podstawy kwatermistrzostwa i wstęp do inżynierii wojskowej oraz budowy fortyfikacji.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Przywitałam go wrzaskiem. Skurcze obudziły mnie o świcie i ku mojemu przerażeniu okazały się straszliwie bolesne. Wyłam i gryzłam poduszkę, miotałam się tak, że musiały mnie trzymać dwie sanitariuszki. Posłano po położną i doktora. Na przemian pomacali mój brzuch, osłuchali go i opukali. Medyk sprawiał wrażenie zatroskanego, a położna z ponurą miną kręciła głową. Szeptali coś do siebie, stojąc przy łóżku, a gdy z wrzaskiem zapytałam, co się dzieje, wyszli na korytarz, gdzie się pokłócili.

Ryczałam i wyłam, aż dygotały szyby w oknach. Na polecenie doktora okna zamknięto, bo przeszkadzałam innym chorym, straszyłam też więźniów pobliskiego Dziesiątego Pawilonu, którzy byli przekonani, że Moskale torturują kobietę. Co ciekawe, jak się później dowiedziałam, mój Fiodor leżał w tym czasie dwa piętra nade mną, dochodząc do siebie po skomplikowanej operacji. Nie wiem, czy mnie słyszał, pewnie tak, ale niestety nie poznał

mojego głosu.

– Dziecko jest w nieprawidłowym położeniu – oświadczył doktor grobowym głosem, stając nad łóżkiem niczym kostucha. – Próbuje przyjść na świat nóżkami do przodu.

– Co to znaczy, do jasnej cholery?! – wrzasnęłam, przyskając śliną.

– Może się zakleszczyć, szczególnie główka. Rośnie wtedy prawdopodobieństwo uduszenia dziecka, w dodatku niewiele można zrobić, by pomóc mu się wydostać. Może w międzyczasie również zaplątać się w pępowinę – tłumaczył treściwie medyk. – Gdy dziecko utkwi z główką wewnątrz, pojawia się również poważne niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia matki. Mogą umrzeć oboje.

– Niech panienka nie słucha tego konowała – wtrąciła położna po polsku. – Przysłali mnie panienki przyjaciele, jestem najlepszą położną w Warszawie, odebrałam już setki porodów. Damy radę.

– Jediną szansą na uratowanie dziecka jest cesarskie cięcie – kontynuował medyk po rosyjsku. Chyba na szczęście nie znał polskiego, bo położna skłęta go w żywy kamień, a on nie reagował.

– On panienkę zabije! – syknęła kobieta. – Otwarcie brzucha może uratować dziecko, ale ty, kochana, nie masz szans.

– Proszu kończyć! – łamanym ni to polskim, ni rosyjskim wrzasnął medyk. Położna cofnęła się zaskoczona, ale minę nadal miała hardą. – Co pani plecie?! – zaczął znowu mówić po rosyjsku. – Ten zabieg przeprowadza się nowoczesną metodą. Nie amputujemy już całej macicy, nawet ryzyko uszkodzenia pęcherza jest minimalne. Użyjemy roztworu fenolu do oczyszczenia i zabezpieczenia rany, a potem zszyję macicę wygotowanymi nićmi. Jeśli nie nastąpi krwotok, szanse...

– Są jak jeden na sto – dokończyła położna. – To metoda porodu, która ma na celu ocalenie dziecka, rzadko która matka uchodzi z życiem. Widziałam biedaczki, które wykrwawiały się w kilka godzin lub kilka dni po zabiegu, lub umierały od ropnej gorączki. Pozwól mi pomóc i uratować was oboje, dziecko i ciebie. Nie zgadzaj się na zabieg.

W głowie mi huczało, nie mogłam pozbierać myśli, bo ból wracał z każdym skurczem niczym uderzenie pędzącej lokomotywy. Jednak przyszło mi do głowy, że jeśli umrę, moje dziecko zostanie całkiem samo. Przecież nie ma zupełnie nikogo. Na Fiodora jakoś nie mogłam liczyć, a księżna zadba o to, by

po mojej śmierci nigdy dziecka nawet nie ujrzał. Musiałam zatem żyć, by ocalić biedactwo i wychować je na porządnego człowieka.

– Nie zgadzam się na zabieg, doktorze – powiedziałam, sapiąc i dysząc. – Chcę normalnego porodu, niech zajmie się mną położna.

Skinął głową, jakby przyjmował rozkaz wyższego stopniem. Wtedy się zaczęło. Nadal wyłam i ryczałam, zalewając się łzami i potem. Położna robiła mi chłodne okłady, dała jakieś zioła, instruowała, prosiła, groziła i klęła. Do południa osłabłam z bólu, już tylko dyszałam i jęczałam. Kobieta dręczyła mnie, próbując obrócić płód główką w dół. Bałam się, że wreszcie wpakuje mi ręce do środka jak krowie i wyciągnie cielaka szarpnięciem za nogi, bo robiła się coraz bardziej nerwowa.

Nie miałam już sił, momentami chyba traciłam przytomność i kontakt z rzeczywistością. Do sali wchodzili jacyś ludzie w mundurach lub białych fartuchach. Wreszcie stanęła nade mną sama księżna. Poglądziła mnie czule po głowie, uśmiechnęła się z troską i mówiła coś uspokajającego. Potem odwróciła się do położnej i tonem nieznoszącym sprzeciwu rozkazała natychmiast wezwać doktora.

– Wybaczcie, Anno Pietrowna, mój stan, ale wasz wnuk nie chce przyjść na świat – wybełkotałam przekonana, że rozmawiam z własnymi omamami. – Coś mu nie spieszno.

– Zaraz mu pomożemy, Żuza – szepnęła, pochylając się nade mną. Poczułam piżmowy zapach jej perfum. – Trzymaj się, dziewczyno.

Oczywiście nie była widziadłem, a księżną we własnej osobie. Może akurat odwiedzała syna, a może przyszła do mnie celowo? Z pewnością przez cały okres mojego uwięzienia była informowana o wszystkim, co mnie dotyczy.

Do sali wpadł medyk. Przyłożył mi do ust papierową tutkę pachnącą apteką. Słodki zapach wypełnił moje usta i ledwie wzięłam kilka oddechów, wdarł się do umysłu, sprowadzając barwne i szalone majaki. Eter wywołał też błogi stan całkowitego beczucia. Odpłynęłam, by urodzić we śnie.

„Gdzie jest moje dziecko?!“ – to była moja pierwsza myśl, gdy się obudziłam i pomacałam obolały brzuch. Czy babka nie zabrała bękarta, by ukształtować go według swojego planu? Wszak lubiła modelować ludzi wedle swoich upodobań. Szczególnie zwykła to czynić z najbliższymi. Wymiotując po eterowym znieczuleniu i walcząc z opadającą głową, jakby



zamieniała się w spizowy odlew, myślałam tylko o dziecku.

Poczułam niemożliwą do opisania ulgę, gdy po paru minutach do sali weszła znajoma położna z wężełkiem. W beciku leżał mój maleńki synek, najśłodsza istotka, jaką w życiu widziałam. Przytuliłam go, a na pytanie, czy trzeba wezwać mamkę, tylko prychnęłam gniewnie. Nie dam mojego dziecka nikomu, nawet do karmienia. Obnażyłam pierś i nakarmiłam malucha jak prosta, chłopska dziewczucha, nie przejmując się obecnymi w przestronnej sali rosyjskimi medykami.

W ciągu paru chwil Fiodor zszedł na drugi plan, a w moim życiu pojawił się ważniejszy mężczyzna. Zakochałam się w dziecku najsilniejszą miłością ze wszystkich – matczyną. Oczywiście księżnej tylko o to chodziło. Właśnie po to pozwoliła przekazać mi dziecko. Pojawiła się następnego dnia, wkroczyła do sali, każdym gestem podkreślając swoją władzę. Nie musiała, było dla mnie więcej niż jasne, że teraz to ona rozdaje karty.

Po raz pierwszy naprawdę miała mnie w garści. To, czego nie zdołały prośby, groźby i ciężkie więzienie, załatwiła jedna niewypowiedziana kwestia – albo zrobię to, czego życzy sobie Anna Pietrowna, albo nigdy nie zobaczę swojego dziecka. Nawet nie musiała artykułować tego warunku, znałyśmy się obie na tyle dobrze, że zrozumiwałyśmy się bez słów.

Usiadła w nogach łóżka i uśmiechnęła się łagodnie. Odruchowo przycisnęłam becik z synkiem do piersi. Po chwili sama jednak oddałam dziecko jego babce, która wzięła je na ręce po drgnięciu powieki świadczącym o zawahaniu i zaskoczeniu. Ile mnie kosztował ten gest, trudno sobie wyobrazić. W każdym razie musiałam użyć całego zdecydowania i twardości, jakie mi jeszcze pozostały, by się na niego zdobyć. Okazałam w ten sposób odwagę, znów zaskakując Annę Pietrowną.

– Obie jesteśmy ulepione z podobnej gliny – powiedziała, kołysząc łagodnie wnuka. – Nic dziwnego, że w końcu musiałyśmy się ze sobą zetrzeć. Tak silne osobowości zawsze wchodzą na kolizyjny kurs, zmusza je do tego ambicja i jakiś wewnętrzny imperatyw nakazujący rywalizację. Tak czy inaczej, od początku byłam górą, choć ty też miałaś pewne szanse w tej rozgrywce. W partii o serce, życie i przyszłość mojego syna. Poległaś, ale okazałaś się godną przeciwniczką, potrafię to docenić.

– Więc iście cesarskim gestem okażesz mi łaskę, Anno Pietrowna? – spytałam zaczepnie.

– Jest moim życzeniem, byśmy zostały przyjaciółkami – odparła. – Kończymy batalię, pora na pakt, choć to ty podpisujesz akt bezwarunkowej kapitulacji. Ja dziś dyktuję warunki, zgodzisz się?

– Nie mam wyboru, wasza ekscelencjo. Wyrok przyjmę z pokorą – powiedziałam. „O ile okaże się dla mnie do przełknięcia” – dodałam w myślach.

– Chyba że ci się nie spodoba, co? – rzuciła, jakby czytała moje myśli.

Faktycznie, znałyśmy się jak łyse konie. Wzruszyłam zatem ramionami, uśmiechając się szelmowsko. Od początku robiłam dobrą minę do złej gry, choć wnętrzości przewracały mi się ze strachu. Mogła przecież zabrać dziecko i wyjść, a ja nie miałabym jak jej powstrzymać.

– Kupiłam dwór w Łopianach. Zostaniesz w nim gospodynią, będziesz z tej rezydencji reprezentowała moje interesy w Polsce i Prusach Wschodnich. Okażesz mi tym razem pełne posłuszeństwo i wierność, przysięgniesz mi je, i to bezwarunkowo. W nagrodę natychmiast opuścisz więzienie, będziesz mogła wychowywać swoje dziecko, żyjąc w komfortowych warunkach. Do niczego nie będę się wtrącała. W dworzyszczu możesz robić, co ci się podoba, byleś nie zakładała komórki Ziemi i Wolności, czy czegoś takiego. Do tego otrzymasz corocznie wypłacaną pensję, dostaniesz też udziały w zyskach z inwestycji, które załatwię za twoim pośrednictwem. Myślę, że szybko dorobisz się pokaźnego majątku.

– Warunkiem jest Fiodor, prawda? – spytałam.

– Nie spotkacie się już nigdy. Przysięgniesz, że nie będziesz próbowała nawiązać z nim kontaktu, nie będziesz mu się narzucać.

– Kiedy on mnie i tak odnajdzie, przecież mnie kocha – wypaliłam bez zastanowienia.

– O to się nie martw – odparła lodowatym tonem Królowej Śniegu. – Nie będzie cię szukał, już ja o to zadbam.

Przytaknęłam tylko. Nie mogłam odpowiedzieć, bo w gardle utkwiała mi wielka gula z łez i żalu. Księżna oddała mi dziecko i wstała.

– Wyjedziecie dzisiejszej nocy – zarządziła. – Dalsze dyspozycje będziesz otrzymywać listownie lub telegramami. Czy akceptujesz warunki?

Przełknęłam gulę. Dla dobra dziecka i swojego własnego.

– Akceptuję. Zrobię wszystko, co chcesz, Anno Pietrowna – powiedziałam.

Ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się w nich i obróciła gwałtownie.

Zamarłam. Może się rozmyśliła?

– Ma oczy mojego syna i męża. Jasnoniebieskie niczym niebo w słoneczny dzień – powiedziała. – Jak mu dasz na imię?

– Teodor – powiedziałam bez wahania.

Pokiwała tylko głową i wyszła. Teodor było polską wersją imienia Fiodor, żadne inne nie mogło lepiej pasować.

Zgodnie z zapowiedzią jeszcze tej samej nocy przyszli po mnie żandarmi. Nie do końca byłam przekonana, gdzie mnie wywiozą, szczególnie gdy razem z dzieckiem zapakowali nas do czarnej, więziennej kibitki. Zamiast do Ciechocinka mogli nas wywieźć na Syberię lub po prostu zawieźć do lasu i pod osłoną nocy powiesić na najbliższym drzewie. Na szczęście księżna dotrzymała słowa. Zostaliśmy przewiezieni na dworzec, gdzie o świcie, gdy podjechał pociąg, wprowadzono nas do wagonu pierwszej klasy.

Wysiadłam na stacji w Ciechocinku z kuferkiem w jednym ręku i dzieciątkiem na drugim. Było piękne letnie południe, słońce stało w zenicie, paląc bezlitośnie. Drewniane perony pełne były kuracjuszy z Warszawy, gońców, służących, tragarzy i bagażowych. Panował rozgardiasz i zamieszanie, a wszystko to w tumanach pary z sykiem upuszczanej z kotła lokomotywy. Śmierdziało ludzkim i końskim potem, gorącą smołą, węglem i przypalonymi smarami. Było duszno i hałaśliwie. Teoś spał jak gdyby nigdy nic, a ja stałam i całą sobą chłonełam ten gwar i zapachy. Oddychałam pełną piersią.

Wszystko to wydało mi się piękne i wspaniałe. Nie mogłam nacieszyć się światem, jego kolorami i zapachami, życiem i ludzkim gwarem. Ktoś, kto nigdy nie spędził czasu uwięziony, nigdy tego nie zrozumie. Pragnienie wolności jest równe silne jak potrzeba picia, czy oddychania. Nie da się bez niej żyć. A każda chwila więzienia sprowadza katusze i tęsknotę za zwykłym życiem.

Nie tkwiłam już w celi, mogłam robić, co chciałam. Za łaskę uwolnienia byłam księżnej równie wdzięczna, co za łaskę pozwolenia na zatrzymanie przy sobie dziecka. Stałam zatem na dworcu i napawałam się wolnością, leniwie zastanawiając się co dalej. Może pójść na kawę albo na spacer do tężni? Może poszukać tutejszego targowiska i zjeść coś plebejskiego, czym żywią się miejscowi? Ha! Przecież tego ostatniego nauczyła mnie Anna Pietrowna! Ta

groźna kobieta naprawdę potrafi smakować życie, czasem mogę śmiało wziąć z niej przykład.

Niemniej zanim ruszyłam na radosną wycieczkę, maleńki Teoś gwałtownie sprowadził mnie na ziemię. Rozryczał się na całego, donośnie domagając jedzenia. Może się zmoczył? Cholera, musiałam znaleźć kawałek wolnego i spokojnego miejsca, by zająć się dzieckiem. Ledwie zaczęłam się rozglądać za jakąś pustą ławką lub spokojnym skwerkiem, gdy jak spod ziemi wyrósł przede mną kapitan Mrok. Ukłonił się w pas, a jego upiorna, blada gęba wykrzywiła się w uśmiechu.

– Od pół godziny szukam jaśnie panienki – powiedział. – Cały dwór już od rana czeka. Mamy dla panienki mnóstwo pracy. Trzeba zarządzić, co z przeciekającym dachem, z krowami Kowalskiego, które znów rozwaliły nam płot i weszły w szkodę, z zakupem owsa dla koników, z budową nowego kurnika, bo na to najwyższa pora, stary się już kompletnie rozpie...

– Słownictwo, Adolfie! – ostrzegłam stanowczym tonem.

Oddałam mu kuferek i szybko zapakowałam się do dwukółki, czekającej przed dworcem. Natychmiast zabrałam się za karmienie małego. Adolf usiadł na koźle woźnicy, obrócił w moją stronę i wytrzeszczył gały.

– Nie gap się! – rozkazałam władczo. – I od dziś nie jestem panienką! Masz się zwracać do mnie per Józiu, a w sytuacjach oficjalnych pani Józefo.

– Tak jest, pani Józiu – wybrał pośrednią opcję i trzasnął lejcami po końskich zadach.

Pojechaliśmy do Łopian. Wjeżdżając przez bramę posiadłości, poczułam się dziwnie. Jakoś rzewnie i płaczkliwie. Przypomniały mi się wspaniałe chwile z Fiodorem, nasze spacerunki i długie rozmowy. Przytulania i pocałunki. Chyba to miejsce już na zawsze będzie kojarzyło mi się z jego uśmiechami i miłością.

Na dziedzińcu czekała cała służba w komplecie na czele z Basią, wystrojoną w biały fartuszek służącej i czepek. Powitała mnie z uśmiechem, a potem po prostu wzięła w ramiona i ucałowała.

– Witamy w domu, Józiu – powiedziała.

[14](#) Dawniej powszechnie stosowana nalewka lecznicza, zawierająca ok. 10% opium.

[15](#) Tu: rodzaj dużej karety podróżnej.



– I to już koniec? – z rozczarowaniem westchnęła Julia. – No jak tak można?

Obejrzała pusty skoroszyt, przekartkowała jeszcze raz pamiętnik. Tym razem nigdzie nie było dopisków ciotki Aurelii ani liściku od niej. Czyżby to był koniec historii? Tak po prostu? Rozstali się jakoś tak mało romantycznie, Józia poszła w swoją stronę, a otumaniony przez matkę Fiodor w swoją. Nigdy się nie spotkali, twarda i uparta praprababcia po prostu się poddała i pozwoliła księżnej sobą kierować. Zakochani żyli długo i szczęśliwie, ale osobno.

Ble! To historia kompletnie do kitu! Bez puenty, bez mocnego finału, bez sensu! Co to za rodzinna tajemnica, do cholery? Prababusia dała się oczarować księciuniowi, który zmajstrował jej dzieciaka i wyjechał do Petersburga. O matko, co za sromota! Nic dziwnego, że ta opowieść była rodzinną tajemnicą. Czym tu się chwalić?

Julia poderwała się z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju. Przeczytała pamiętnik w jakieś trzy godziny, może dłużej, i choć co prawda niezmiernie ją wciągnął, czuła spore rozczarowanie. Podziwiała Józję, jej hart ducha i postawę, jaką okazała w więzieniu, rozumiała, dlaczego uległa księżnej i złożyła broń. Czasem trzeba umieć zrezygnować, by ugrać jak najwięcej, poddać się w stosownym czasie. To rzadka cecha u Polaków, którzy zazwyczaj, jak się uprą, idą na całość, bez opamiętania, co kończy się krwawo stłumionymi powstaniem. Wyglądało na to, że Józia po mistrzowsku rozegrała partię z potężnym przeciwnikiem i choć nie osiągnęła zamierzonych celów, wywalczyła dla siebie i swojego dziecka tyle, ile się dało. Julia powinna być z niej dumna, ale nie wiedzieć czemu spodziewała się czegoś więcej.

– Zaraz, zaraz – powiedziała na głos, przyzwyczajona, że zwykle toczy jednostronny dialog z kotem. – Skoro nigdy się nie spotkali, to dlaczego Jasińscy pieczętowali się książęcym herbem? Fiodor musiał odnaleźć Józję

lub przynajmniej starał się ją wesprzeć, uznając syna za swoje nieślubne dziecko. Zdobył się nawet na wysiłek, by obdarzyć go herbem książęcego bękarta, co zdarzało się niezwykle rzadko i wymagało sporo zachodu. I jeszcze ten dom! Został w nim założony sierociniec. Czy zrobiła to Józia, czy dopiero jej potomkowie? Józia miała pedagogiczne zacięcie, poza tym sierociniec nosił nazwę „Uśmiech księcia”, jak zapisano na pocztówce.

Julia znalazła ostatni fragment pamiętnika, gdzie Józia napisała, że dwór zawsze będzie się jej kojarzył z uśmiechem księcia i jego miłością. A jednak! Sierociniec i całe domostwo zostały nazwane na cześć Fiodora. Zamiast obdarzać honorami, należałoby go porządnie kopnąć w dupę! Jak mógł zostawić Józję dla petersburskiej kariery? Maminsynek, w mordę kopany! Nie mógł się miesiącami postawić mamuni, zasłaniając bolącym paluszkim, a potem, po oddaleniu Józji, pewnie z ulgą przyjął dominację księżnej. Niektórzy faceci tak mają, muszą czuć na karku oddech silniejszej kobiety, która całe życie nimi steruje.

– Och, jak ja bym go biła! – wycedziła Julia. – Wyszarpałabym cholernego gogusia za bokobrody, żeby sobie popamiętał.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Zanim księżniczka zdążyła zareagować, otworzyły się i do środka zajrzał Antek. Ponury i wiecznie nadąsany nastolatek przewrócił oczami na widok warszawianki wygrażającej pięścią ścianie.

– Jaśnie pani raczy zasiąść z nami do wieczerzy? – spytał.

– Eee – jęknęła, poprawiając sweterek – to już pora kolacji? Jak ten czas leci.

Zeszła z wieży razem z chłopakiem, wcześniej schowawszy starannie pamiętnik do szuflady gotowalni. Nie wiedziała, gdzie jest jadalnia. Pewnie i tak wytropiłaby ją po zapachu, jednak milej było wędrować w towarzystwie przewodnika.

– Kucharka jest dla nas jak dobra ciocia – powiedział Antek, zanim dotarli na miejsce. – Wie pani, wielka baba, która chętnie przytula dzieciaki do biustu. Trzeba uważać, by nim człowieka nie zadusiła. Nie wiadomo, ile sierotek przepadło między jej piersiami bez wieści, wciągniętych przez potężne oddziaływanie grawitacyjne. Te wielkie cyce...

– Antoni, słownictwo! – syknęła Julia. „O matko – pomyślała ze zgrozą – zaczynam zachowywać się jak praprababka”.

Antek chrząknął, ale przerwał opowieść. Otworzył drzwi jadalni przed honorowym gościem, bo chyba za takiego uchodziła, i teatralnie uklonił się jej w pas. Weszła do sali może i dużej, ale przytulnej, bo oświetlonej ciepłymi, żółtymi lampami i ozdobionej mnóstwem doniczkowych kwiatów. Kilkoro dzieci w różnym wieku, ale młodszych od Antka, przerwało jedzenie i spojrzało na nią z ciekawością. Dzieci siedziały przy jednym stoliku, przy drugim pan dyrektor z zasuszoną, napiętą jak sprężyna starszą panią, czyli drugim wychowawcą sierocińca. Trzeci zajmowali Paweł z Krysią i ozdobą ich stolika, Andrzejem. Ten ostatni czuł się chyba jak ryba w wodzie, bo jedząc, nieustannie bombardował swoje towarzystwo fontanną słów.

Na widok Julii pomachał do niej i wskazał na wolne krzesło. Okazał się nawet na tyle szarmancki, że wstał i jej je odsunął. Na Julię czekał talerz z chrupiącymi, ciepłymi bułeczkami, kwadracikiem masła, kilkoma plastrami wędliny i żółtego sera. Do tego na środku stały dwa słoiki z powidłami i dzbanuszek z kwiatkiem. Do picia była kawa zbożowa z mlekiem, podana w białym kubku z niebieskim paskiem i charakterystycznym napisem „Społem”.

– Jesteśmy na koloniach? – spytała szeptem.

– Forma podania rzeczywiście jak z PRL-u – przyznała z powagą Krysią. – Ale spróbuj bułeczek. Są wypiekane na miejscu, niebo w gębie. Wędliny też sprawiają wrażenie pochodzących z domowego wyrobu, z pewnością nie jest to tani produkt przemysłowy. Ser również bez zarzutu. Powiem ci, że nie jadłam równie pysznego posiłku nawet w kilkunastu gwiazdkowych hotelach szczycących się ekskluzywnymi restauracjami i szefami kuchni z samego kulinarnego świecznika.

– Rzeczywiście mają tu dobrą kucharkę – powiedział Andrzej. – A do tego dostęp do świeżych, doskonałych produktów kuchni regionalnej. Czułem, że ta okolica to skarb, a teraz moje podejrzenia się potwierdzają. Gdy będziemy przerabiać ten pałac na hotel czy kurort spa, trzeba zatrudnić lokalny personel. Od razu zyska się w ten sposób dostęp do skarbów tutejszej ziemi, czyli kontakty do dostawców. Proszę państwa, mamy tu istną żyłę złota. Julio, jeśli pozwolisz, zajmę się organizacją tych spraw i dopilnuję, by wszystko grało. Nasi przyszli klienci, którzy raz zasmakują pysznego żarcia, będą tu wracać choćby tylko dla niego.

Julia zrobiła sobie kanapkę i spróbowała zachwalanych przysmaków,



zupełnie ignorując wywody Andrzeja. Rzeczywiście jedzenie okazało się pyszne, szynka aromatyczna i krucha, a ser rozpływał się w ustach. Nawet kawa zbożowa okazała się smaczna. Julia przypomniała sobie, że podobny napój prababcia piła razem z księżną na warszawskim targowisku. Kiedyś była to tania namiastka prawdziwej kawy, i właściwie do dziś to się nie zmieniło. Przynajmniej była pożywna i zdrowa, w przeciwieństwie do lury w plastikowych kubkach, którą dziś mieszkańcy stolicy kupują w sieciowych kafejkach.

– Chyba nadeszła chwila, bym mógł spokojnie opowiedzieć o zleceniu, które dostałem od twojej ciotki – powiedział Paweł. – Pani Jasińska procesowała się z państwem przez osiem lat, by odzyskać tę posiadłość. Niestety ostateczny wyrok sądu miał zapaść długo po tym, gdy dowiedziała się, że jest śmiertelnie chora. Postanowiła scedować majątek na ciebie, a mnie uczyniła pełnomocnikiem waszej sprawy. Miałem przypilnować, by gra, którą przyszykowała, odbyła się zgodnie z zasadami. Jeśli nie podjęłabyś wyzwania, posiadłość zostałaby przekazana towarzystwu dobroczynnemu. Ty natomiast wypełniłaś wszystkie punkty. Zatem zgodnie z ostatnią wolą pani Jasińskiej od pierwszego dnia następnego miesiąca, czyli po uprawomocnieniu się wyroku sądowego sprzed pół roku, ten dom wraz z ogrodem należą do ciebie.

– O rety – westchnęła Julia, choć od jakiegoś czasu zaczynała podejrzewać, że tak się to zakończy. – I co teraz?

– Witaj w pałacu, księżniczko! – Krysia się uśmiechnęła. – Wypijmy zdrowie nowej pani na włościach.

Wniosła nieco wyszczerbiony kubek z kawą, co natychmiast powtórzyli Andrzej z Pawłem.

– Ale mnie nie stać na coś takiego. – Julia odłożyła bułkę. – Sam podatek od spadku położy mnie na łopatki. I co niby miałbym zrobić z taką budowlą, skoro nawet państwa nie było stać na utrzymanie tego molocha? Mam się tu przeprowadzić i dojeżdżać stąd do roboty?

– Dlaczego nie? – odparł spokojnie Paweł. – A co do finansów, mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. Ciotka podarowała ci również konto z okrągłą sumką. To następna część schedy po książących czasach.

– A skąd ta biedna mysz miałaby wziąć okrągłą sumkę? Przecież była tylko nauczycielką polskiego w ogólniaku. Całe życie klepała biedę – oznajmiła

Julia, choć mówiąc to, drgnęła. – Rzeczywiście ostatnia wola ciotki nie pasowała do ubogiej nauczycielki, a raczej do ekscentrycznej bogaczki. Wynajęła byłego agenta SB wraz z koleżkami, warszawskiego notariusza, a do tego prowadziła przez kilka lat sprawę sądową, z pewnością kosztowną. Skąd, u licha, wzięła na to pieniądze?

– Możemy tylko zgadywać – odparł Paweł. – Twoja ciotka była bardzo zagadkową kobietą. Aha, czeka nas jeszcze wspólna wizyta w sądzie administracyjnym. Musisz oficjalnie, przed obliczem sędziego, zgodzić się na przyjęcie spadku. Oczywiście możesz zrezygnować, wtedy majątek przypadnie.

– Jeszcze się zastanowię – szepnęła księżniczka, zajęta rozmyślaniami nad tajemnicami Aurelii.

– Nad czym, na litość boską? – zdumiał się Andrzej. – Dziewczyno, spadł ci z nieba skarb, a ty się zastanawiasz? O finanse nie musisz się martwić, masz mnie. Nawet jeśli nie starczy ci pieniędzy po ciotce, znajdę inwestorów, którzy pomogą zamienić to miejsce w kurę znoszącą złote jaja.

– Przypomnę się także ja – wtrąciła Krysia. – Uwielbiam restaurować takie obiekty. Powiedz tylko, jak chcesz go przebudować, a wszystkim się zajmę. Przedstawię ci projekt z kosztorysem, natomiast o honorarium możemy pogadać w odległej przyszłości. Jestem w tych kwestiach skora do ustępstw i niezbyt pazerna, szczególnie gdy współpracuję z przyjaciółmi.

– Ale o jakiej przebudowie w ogóle rozmawiamy? – westchnęła coraz bardziej zmieszana Julia.

– Obejrzałem sobie dwór i budynki gospodarcze, niestety nie wygląda to ciekawie. Lata PRL-u zrobiły swoje – powiedział Andrzej. – W wielu miejscach do drewnianych podłóg przybita jest wykładzina PCV, a ściany pomalowane są brunatną farbą olejną. Grzejniki to żeliwne kaloryfery, ogrzewane prastarym piecem na węgiel. Na górze okna są drewniane i hula przez nie wiatr. Poddasze jest zamknięte na klucz i podejrzewam, że może tam być totalna ruina wypełniona starymi gratami. Wszystko to trzeba wywalić. Wypruć ze ścian stare rury, zrobić nową hydraulikę i centralne ogrzewanie, a do tego wywalić archaiczną elektrykę. W każdym pokoju musi być stałe łącze internetowe, porządne oświetlenie i klimatyzacja. Uff, a to dopiero początek! Co z budową garaży, kuchni z prawdziwego zdarzenia, mariny, kortu tenisowego, basenu? Można pomyśleć o boisku do siatkówki plażowej,

miejscu na ogniska nad rzeką, ale to drobiazg.

– Mnie akurat chodziło o odtworzenie lub ewentualną przebudowę elewacji – wtrąciła Krysia. – Jeśli chcesz przyciągnąć bogatych klientów, dwór znów musi nabrać wielkopańskiego blichtru. Trzeba porobić piękne gzymsy, dać nowy tynk. Całość bryły nie powinna jednak wyglądać na muzeum, potrzeba też dodać trochę nowoczesności. To i owo muszę usunąć, koniecznie należy zrobić nowe, przeszklone wejście, zamontować światła, wszędzie morze świateł. Co do reszty, wszystko zależy od ostatecznego przeznaczenia. Musisz się zdecydować, czym właściwie ma stać się ten obiekt.

– Musimy również sprecyzować, kim ma być target – przytaknął Andrzej. – Jaką klientelę chcemy przyciągnąć. Czy pójdziemy w turystów zagranicznych, czy skupimy się na damulkach z Warszawy, które przyjadą tu na odnowę biologiczną. Osobiście próbowałbym wszystkiego naraz. Obiekt jest na tyle duży, że zmieścimy w nim gości najróżniejszego rodzaju i nie będą sobie przeszkadzać.

Kątem oka Julia dostrzegła siedzącego przy sąsiednim stoliku dyrektora sierocińca, który oczywiście słyszał całą rozmowę i teraz zerkał na księżniczkę z nieodgadnioną miną. Nagle zrobiło jej się głupio. Nie podobało jej się, że wszyscy wokół skakali i próbowali się jej przypodobać, traktując ją niczym panią na włościach. Ten biedny człowiek zaraz straci pracę i zostanie wyrzucony na bruk z obiektu, który był dla niego domem, a oni tu bez skrępowań snują plany przebudowania dworu na hotel i zrobienia świetnego interesu. Julia poczuła się winna, a w dodatku nie na właściwym miejscu. Nie była bizneswoman i nie zamierzała z dnia na dzień zostać właścicielką kurortu spa, na jaką awansował ją Andrzej.

– A pan co o tym sądzi, dyrektorze Malecki? – przemogła wstyd i zwróciła się do zadumanego mężczyzny. – W co powinnam zmienić tę posiadłość?

– Przez ponad sto lat w tych murach funkcjonował sierociniec. Wychowały się tu tysiące dzieci. – Rozejrzył się wokół, jakby zerkał w odległą przeszłość. – Trudno mi wyobrazić sobie bawiących się tu bogaczy i dwór zamieniony w centrum hedonizmu. Ale cóż, czas nie stoi w miejscu, wszystko się zmienia. Spędziłem tu kilka ładnych lat, przyglądając się stopniowemu upadkowi domostwa. Nie mam nic przeciw restauracji budowli, nawet jeśli wiązałoby się to z utratą charakteru i dotychczasowego przeznaczenia budynku. Przynajmniej zostanie ocalony i nadal będzie istniał. Myślę, że

założycielka sierocińca, pani Jasińska, zgodziłaby się ze mną. Potrafiła wybrać mniejsze zło, kiedy to było konieczne. Ponoć była niezwykle rozsądną kobietą.

– Och, mówi pan o mojej praprababci? – ożywiła się Julia. – Może wie pan o niej coś więcej?

– Wiele więcej. Chyba więcej, niż się pani spodziewa. – Malecki uśmiechnął się tajemniczo. – Hobbistycznie zajmowałem się badaniami nad historią dworu i siłą rzeczy sporo się dowiedziałem. Interesuje panią postać Józefy Jasińskiej?

– O tak, bardzo! – Julia aż podskoczyła na krześle. – Musi pan opowiedzieć mi o niej wszystko!

– Z przyjemnością. Ale może jutro, przy okazji zwiedzania posiadłości? – zaproponował. Okazało się, że ma bardzo miły i łagodny uśmiech. Aż chciałoby się przytulić do takiego brodatego, kudłatego misiaczka. – Umówmy się po śniadaniu, dobrze? Dziś muszę jeszcze zająć się pakowaniem archiwum sierocińca, jutro odjeżdża z całą furą makulatury. Prosto na przemiał.

– Ojej, jaka szkoda – westchnęła Julia. – Kawał historii uleci w nicość, prawda? Może się pan jeszcze wstrzymać z niszczeniem dokumentów?

– Widzę, że ma pani identyczne sentymentalne odruchy jak pani świętej pamięci ciotka.

– Czyli zachowuję się jak zwariowana stara panna, która lubi staroświeckie bibeloty i rupiecie? – Julia uśmiechnęła się mimowolnie.

– Pani ciotka była niezmiernie mądrą i szlachetną osobą. – Malecki przecząco pokręcił głową. – Lubiłem, gdy do nas przyjeżdżała, miałem z kim porozmawiać o historii tego miejsca.

Wymienili jeszcze kilka uprzejmości, a potem dyrektor życzył wszystkim dobrej nocy i wyszedł z jadalni. Na zewnątrz szybko zapadł zmrok, zerwał się wiatr, a po chwili zaczął padać deszcz, który uderzył w szyby. Julia miała ochotę zagrzebać się w pierzynie z książką w jednym ręku i kieliszkiem wina w drugim. Okazało się, że wszyscy są zmęczeni, oprócz rozgadanego Andrzeja, który miał ochotę na całonocną dyskusję.

Dzięki uprzejmości dyrektora każdy z gości dostał osobny pokój na piętrze. Julia została wyróżniona piękną rezydencją wyremontowaną za pieniądze ciotki, reszta spała w pustych dziecięcych salach. Pożegnali się i rozeszli po sypialniach. Julia zdjęła bieliznę i założyła samą koszulkę. Żałowała, że nie

pomyślała o nocowaniu i nie wzięła nic na zmianę ani do spania. Wskoczyła do łóżka i próbował zasnąć, ale wiatr huczał jakoś groźnie i przez to przewalała się z boku na bok. Nagle usłyszała kroki zbliżające się do drzwi. Usiadła na łóżku. Rozległo się dyskretne, ciche pukanie.

– Kto tam? – spytała szeptem.

– To ja, Jędrus – odpowiedział znajomy głos. Nieco zniekształcony, jakby Andrzej próbował mówić o ton niżej.

Julia jęknęła w duchu.

– Czego pan chce? – syknęła opryskliwie. – Jestem zmęczona. Proszę dać mi spać.

– Nie wpuścisz zbłąkanego wędrowca, szczególnie w tak paskudną i zimną noc? W moim pokoju okna są nieszczelne i hula wiatr, nie mogę spać. Chciałem tylko pogadać. Mam tu coś ze sobą, butelkę niezłego wina, którą przypadkiem miałem w bagażniku – kusił.

Julia przełknęła ślinę. Co jak co, ale wina z chęcią by się napiła. Ani jej w głowie amory z tym błaznem, w dodatku gachem przyjaciółki. Ale wizja wypicia kieliszka lub dwóch okazała się niezwykle kusząca. Od razu łatwiej by się zasnęło. Wciągnęła spodnie, poprawiała koszulkę i otworzyła drzwi.

Amant przywitał ją błyskiem zębów w zawadiackim uśmiechu, po czym wśliznął się do środka niczym wąż. Zgodnie z obietnicą dzierżył w dłoni butelkę. Bordeaux! Fachowo dostrzegła Julia i uśmiechnęła się w duchu. Nawet jeśli kupione w Lidlu czy Biedronce, i tak z pewnością da się wypić.

W drugim ręku Andrzeja błysnęły dwie szklanki. Przeprosił, że nie przyniósł kieliszków, ale w kuchni takowych nie znalazł. Szczyrykiem z korkociągiem otworzył butelkę i rozlał wino do naczyń. Wręczył Julii szklankę niedbałym gestem. Potem rozejrzał się po pokoju i gwizdnął z zachwytem, widząc, jak ładnie i stylowo zostało odnowione pomieszczenie. Stwierdził, że niegłupio byłoby urządzić w tym stylu cały hotel.

– Secesja i rokoko – oznajmił.

– Raczej biedermeier – zauważyła Julia.

– Co? Ech, nieważne. Jak zwał, tak zwał. Napijmy się za powodzenie wspólnego interesu!

– Jak do tej pory, jeszcze o nim nie rozmawialiśmy. – Julia zatrzymała rękę ze szklanką w połowie drogi do ust. – Nie jestem pewna, czy zdecyduję się na jakikolwiek interes. Może po prostu nie przyjmę spadku lub sprzedam

dwór w takim stanie, w jakim się znajduje.

– Och, to byłby twój życiowy błąd, dziewczyno. Boisz się wyzwania? Taka śliczna i mądra kobieta poradzi sobie z każdą niedogodnością, szczególnie jeśli u boku będzie miała prawdziwego mężczyznę. – Uśmiechnął się w sposób, który wydał się Julii wręcz śliski. – Spójrz mi w oczy! Czy nie bije z nich pewność i szczerść? Wiesz, że jestem tym, kogo potrzebujesz, silnym mężczyzną, który będzie ci opoką i pomocnym ramieniem. Razem ze mną możesz podbić świat, co tam budowa hotelu. Julciu, kochanie, niech ten wieczór stanie się początkiem czegoś pięknego i wielkiego. Dziś planujemy budowę hotelu, jutro możemy pomyśleć o czymś innym, wznioślejszym. O czymś pięknym, co może powstać jedynie między dwojgiem zakochanych...

Odstawił szklankę i płynnym, wyćwiczonym gestem objął Julię w pasie i przyciągnął do siebie. Pierś miał mocną i szeroką, a ciało umięśnione. Nic dziwnego, że odpowiadał Ani, nieco kopniętej góralce, która widocznie potrzebowała faceta tego rodzaju. Niemniej Julii podobny podryw zupełnie nie odpowiadał. Aż jej odeszła ochota na wino.

– Mówisz to każdej, od której masz szansę wyciągnąć jakieś pieniądze? – spytała lodowatym tonem. – Najpierw podziel się ze mną kasą, a potem pogadamy o założeniu rodziny, złotko? To samo kłamstwo powtarzasz Ani? Ile już od niej wyciągnąłeś? I dlaczego ta w sumie niegłupia dziewczyna jeszcze nie rozkwasiała ci gęby i nie nakopała w dupsko?

Stęzał w jednej chwili. Szarpnięciem wyswobodziła się z objęcia i chlusnęła mu winem w twarz.

– Dawno chłopu nie miałaś, wstrętne jędrzo, co nie? – wycedził z rosnącą wściekłością. Uwaga Julii musiała mocno urazić jego dumę, może dotknęła go jeszcze bardziej niż wino rozbryzgane na twarzy. – Od wieków nikt ci nie przeczyścił komina i pomieszało ci się we łbie. A może naprawdę uważasz się za księżniczkę? Ty głupia suko...

Cofała się krok za krokiem. Gdzieś od podbrzusza błyskawicznie rozpełzał się paralizujący strach. Chyba zareagowała zbyt stanowczo i źle trafiła. Andrzej to nie tylko cwaniaczek i podrywacz, ale też brutal i kawał sukinsyna. Spierze ją tu na kwaśne jabłko albo nawet wpadnie w szal i udusi. Potem będzie udawał, że próbowała go uwieść lub jako kompletnie walnięta socjopatka podstępnie zamordować.

Zbliżał się z zaciśniętymi pięściami, powoli, krok po kroku. Jego twarz

nabrzmiała od krwi, zrobiła się czerwona i wykrzywiła w paskudnym grymasie. Chyba cała sytuacja go podnieciła, doszedł do wniosku, że jest panem sytuacji i ma ofiarę w garści. Nie spieszył się, nawet nieco rozluźnił. Gdy Julia utkwiała w kącie między szafą a gotowalnią, na jego gębie pojawił się nieznaczny uśmiech.

Błyskawicznym ruchem chwycił ją za gardło. Julia zajrzała śmierci w oczy i nagle zapanowała nad paniką. W jednej chwili jej umysł rozjaśnił się w błysku inteligencji. Zaliczyła kiedyś kilka lekcji krav magi, brutalnej sztuki walki wywodzącej się z Izraela, uchodzącej za niezwykle skuteczną. Wiedziała, że w samoobronie słaba kobieta powinna użyć jakiejś zaimprovizowanej broni i uderzyć w czuły punkt. Zwykle za przykład takiej broni dawano klucze, które często nosi się w kieszeni. Julia wetknęła więc rękę do kieszeni spodni i wyciągnęła ciężki, kanciasty przedmiot – broszkę prababek, odzyskaną z takim wysiłkiem. Skąd się wzięła? Musiała ją wetknąć tam, gdy się ubierała i zastanawiała nad wyborem ozdób do swetra!

Uniosła rękę i uderzyła od góry. Mocno i stanowczo, nie wahając się ani chwili. Ostry kant archaicznej biżuterii przejechał po policzku Andrzeja, rozrywając mu skórę aż do brody. Bryznęła krew. Mężczyzna wrzasnął z bólu, puścił niedoszłą ofiarę i złapał się oburącz za twarz. Julia kopnęła go, mierząc w krocze, ale trafiła w udo.

– Co robisz, wariatko? – zawył playboy. – Pojebało cię, głupia kurwo?

Julia uniosła okrwawiony, błyszczący złotem przedmiot, przyjmując groźną postawę.

– Wynoś się z mojego domu – wycedziła. – Jeśli jeszcze raz się tu pojawisz, wezwę policję. A teraz precz, chamie!

Andrzej wytoczył się na korytarz. Mimo że cierpiał, nie zapomniał o szybkim zabraniu butelki wina. Jego buty załomotały na schodach, a potem na korytarzu. Po paru minutach silnik sportowego wozu ryknął głośno, a dziedzińiec rozjaśniły światła reflektorów. Samochód pomknął w ciemność.

– A niech go cholera! – warknęła Julia, niezbyt wiedząc, czy ze strachu, nerwów czy z ulgi.

Co za historia! Coś nieprawdopodobnego! Spojrzała na dłoń, w której ciągle ścisnęła broszkę czy też wisior, w zależności od zastosowania. Ciężkie złoto pojawiło się jak spod ziemi, dokładnie w chwili, gdy go potrzebowała. Teraz błyszczało, mieniąc się kroplami krwi, niczym złowrogi pogański

bożek, którym być może było.

– Choćby nawet stworzono cię ku czci jakiegoś egipskiego czy sumeryjskiego demona, teraz jesteś moim sługą, prawda? – bąknęła. – Co ja robię, do cholery? Gadam do starego świecidełka! To chyba z szoku. Muszę się napić. Jaka szkoda, że ten drań zabrał wino.

Cała rozdygotana pomknęła najpierw do łazienki – wspólnej łaźni dla dzieci, z kilkoma umywalkami i trzema kabinami prysznicowymi. Wyszorowała dłonie pod strumieniem gorącej wody. Schowała wisior z powrotem do kieszeni. Krew zabarwiła umywalkę na ohydny, różowy kolor, aż Julii zrobiło się słabo. Doszła do wniosku, że zaczął jej spadać poziom adrenaliny i drżenie oraz mdłości są tego efektem. Kieliszek czegoś mocniejszego postawiłby ją na nogi. Powrót do łóżka nie miał sensu, bo i tak nie zaśnie.

Ruszyła zatem korytarzem przez piętro. Dopiero po paru chwilach zorientowała się, że idzie boso. Właściwie ubrana była jedynie w koszulkę i spodnie wciągnięte na gołe ciało. Mimo to nie czuła zimna, choć ciągle trochę nią trzęsło. Szła cichutko jak myszka przez pograżony w ciemności sierociniec. Dzieci i wychowawcy spali na dole, górę przeznaczono dla gości. Mogła zatem wejść do Pawła i poprosić go o towarzystwo w drodze do kuchni. Może uda się im tam znaleźć coś mocniejszego? Jakies zapasy kucharki albo pana dyrektora? Chyba nie stanie się nic złego, jeśli zapuka do prawnika? Przecież nie zamierza go podrywać, szuka jedynie obecności drugiego człowieka, któremu o wszystkim spokojnie opowie. Znajdzie sobie człowieka, przy którym będzie mogła się po prostu wygadać.

Zbliżając się do pokoju Pawła, zaczęła stąpać na palcach i przemieszczać się długimi krokami. Skradała się, wstrzymując oddech. Wreszcie przywarła uchem do drzwi i zamarła w bezruchu. Nic, cisza. Może spał? Zapukała. Nikt nie odpowiedział.

Co robić? Wrócić do pokoju czy iść dalej? Złapała za klamkę i powoli ją nacisnęła. Drzwi się otworzyły i stanęła na progu pograżonego w ciemnościach pokoju. Obudzić go? Czy to nie przesada? Nagle, gdzieś z dalszej części korytarza, dobiegł ją głośny chichot, a potem westchnienie. Dziwne, przechodzące w jęknięcie, i to chyba rozkoszy. Julia zamarła ze zgrozy.

– Paweł? – szepnęła.



Nic. Pokój okazał się pusty. A jęknięcie dobiegało z kolejnego pomieszczenia, zajmowanego przez Krysię. Julia już domyślała się, gdzie był prawnik. Zamknęła drzwi z postanowieniem najszybszego powrotu do sypialni, jednak zamiast to zrobić, podpełzła do drzwi Krysi. Nawet nie przykładała do nich ucha. Ze środka i tak dobiegały wyraźne odgłosy miłosnych uniesień.

Julia poczuła się jednocześnie głupio i smutno. Rozczarowanie mieszało się w niej z uczuciem wstydu. Ciągłe podświadomie łudziła się, że przystojny prawnik coś do niej czuje, że wpadła mu w oko, polubili się i łączy ich coś więcej niż spadek po ciotce. Spędzili razem zaledwie kilka chwil i właściwie do niczego nie doszło, ale wydawało się jej, że między nimi zaiskrzyło. Niczym zakochany podlotek skradała się nocą pod jego drzwiami, a on co robił? A co miał robić! Wylądował w łóżku ukochanej. Przecież od samego początku było oczywiste, że szaleje za Krysią. A ta podstępna żmija niby nic, niby go lekceważyła, nie zauważała, ale gdy przyszło co do czego, jakoś mu uległa. A teraz wiła się w jego ramionach, chichotała i dyszała. Ohyda!

No pewnie, w taką ciemną i wietrzną, deszczową noc przykro byłoby po prostu spać, gdy tuż obok czekał atrakcyjny facet! Co się Krysi dziwić? Po prostu skorzystała z okazji. A może taki miała styl uwodzenia i owijania sobie facetów wokół paluszka? Najpierw ich rozpałała, zachęcała, a potem miesiącami ignorowała, czekając, aż rozpalą się do białości. Tak przygotowani byli po stokroć bardziej namiętni i oddani. Wspaniała taktyka, ale by sobie na nią pozwolić, trzeba umiejętnie posługiwać się osobistym urokiem i przede wszystkim zostać nim wcześniej szczerze obdarzonym, jak również otrzymać w puli genowej doskonałą sylwetkę, symetryczne, delikatne rysy twarzy, inteligencję, duży biust, polot i humor, pełne usta i burzę włosów. Julia zdawała sobie sprawę, że żaden z tych przymiotów nie występuje u niej w zbyt dużej dawce.

Rozmyślając ponuro, zamiast wrócić do pokoju, powędrowała schodami na dół i skierowała się do kuchni. W gołe stopy zrobiło się jej zimno, czuła nieprzyjemny dotyk PRL-owskiego linoleum i powiewy przeciągu. Gdzieś zostawiono otwarte okno. Może to Andrzej nie zamknął drzwi, uchodząc w pośpiechu?

Sprawdziła, ale główne wrota były zamknięte, i to na zamek. Po ucieczce pokaleczonego cwaniaka ktoś musiał przekręcić klucz. I dobrze. Julia poczuła

się pewniej. Śmiało weszła do kuchni i zapaliła światło. Musiała zamknąć oczy, bo kompletnie ją oślepiło. Chwilę stała oparta o stół, trzepocząc rzęsami. Gdy wreszcie wzrok jej przystosował się do jasności, zorientowała się, że stoi naprzeciw dyrektora Maleckiego.

Sympatyczny brodaczek siedział po drugiej stronie stołu, ubrany w pasiastą piżamę. W ręku trzymał kanapkę, a przed nim stała otwarta butelka piwa. Chyba był tak samo zaskoczony spotkaniem i równie oślepiiony, bo też mrugał, próbując odzyskać wzrok.

– Ale mnie pani wystraszyła – powiedział. – Myślałem, że to któreś z dzieci. O tej porze wszystkie powinny spać, a nie oglądać wychowawcę spożywającego alkohol.

– To jedyna okazja, by napić się piwa? – spytała.

– Inaczej mi nie wypada, taki zawód. – Wzruszył ramionami. – Ale proszę wybaczyć, może ma pani ochotę czegoś się napić lub coś zjeść? Pewnie tak, skoro zeszła pani do kuchni!

– Gdyby był pan tak miły i poczęstował mnie tym samym. – Wskazała na butelkę.

Dyrektor skinął głową z uśmiechem i wstał, by sięgnąć do lodówki. Julia zauważyła, że na nogach ma kaptcie z pomponami. Usiadła naprzeciw gospodarza i pociągnęła wprost z podanej butelki. Chyba przyssała się do niej zbyt zachłannie, bo Malecki patrzył na nią jakoś dziwnie.

– Strasznie chciało mi się pić – westchnęła po odłączeniu się od butelki.

– To pani tak solidnie załatwiła tego mądrą, prawda? – spytał. – Myślałem, że oberwał od prawnika z kucykiem. Obaj tak łąpczywie gapili się na tę śliczną panią konserwator. Byłem przekonany, że o nią poszło i dali sobie po gębach. Uświadomiłem sobie właśnie, że od ciosu pięścią nie miałby rozharatanego policzka. Taka rana mogła powstać po ciosie dłonią ozdobioną kanciastym pierścieniem lub czymś takim.

– Brawo, Sherlocku, doskonała dedukcja – skwapliwie przyznała Julia. – Zrobił się zanadto natarczywy i musiałam się bronić.

– Nic się pani nie stało? Może czegoś pani potrzebuje? – przejął się Malecki.

– Wystarczy kilka łyków piwa. – Julia się uśmiechnęła. – I chwila towarzystwa drugiego człowieka. Trochę się boję, że ten sukinsyn może wrócić.

– Nic tu pani nie grozi. Nie tak łatwo jest dostać się do zamkniętego budynku. Wbrew pozorom okna na parterze wcale nie są nisko. Dwór został zaprojektowany trochę jak obronny zameczek. Pruski junkier, który kazał go zaprojektować i zbudować, nie czuł się widocznie zbyt pewnie na Kujawach, otoczony przez polskich chłopów. Posiadłość budowano niedługo po Wiośnie Ludów, która w Polsce zakończyła się rzezią galicyjską. Chłopi zaatakowali pańskie dwory i wymordowali wielu szlachciców wraz z rodzinami.

– Z tego, co pamiętam, zrobili to podjudzani przez austriackich agentów, którzy płacili im złotem za głowy polskich szlachciców – zauważyła przytomnie Julia.

– Zaskoczyła mnie pani! – Dyrektorowi aż zaświeciły się oczy. – Oprócz nauczycieli historii mało kto ma w ogóle pojęcie o tych wydarzeniach. Zwykle zapominamy o nich natychmiast po nudnych lekcjach. W dodatku ma pani rację, rzeź była skierowana przeciw Polakom, ale junkier mógł o tym nie wiedzieć. Orientował się jedynie, że polscy chłopci są zdolni do mordów na posiadaczach ziemskich i starał się przed tym zabezpieczyć. Stąd stosunkowo obronny charakter budynku. Narożne wieże dogodnie do prowadzenia ostrzału, wysoko osadzone okna, przez które trudno się wdrzeć, grube mury, które przy okazji nieźle trzymają ciepło, gdy już uda się je ogrzać.

– Teutoński bastion pośród morza słowiańskich barbarzyńców – podsumowała Julia. Już wiedziała, skąd wzięła się pierwotna nazwa posiadłości. – Od razu poczułam się bezpieczniej. Sfory gwałcicieli mogą szturmować dwór, a ja będę spała spokojnie.

– Ten ordynarny osobnik próbował panią zgwałcić? Coś takiego! Myślałem, że jesteście na stopie przyjacielskiej, zachowywał się jak pani bliski współpracownik – zdumiał się Malecki.

– Pozory mylą, panie dyrektorze – westchnęła i pociągnęła łyk piwa.

Dyrektor ugryzł kanapkę, a potem się zreflektował i zaproponował Julii zrobienie takiej samej. Choć w zwykłych wypadkach z pewnością skusiłoby ją pyszne pieczywo, teraz jednak zupełnie straciła apetyt. Robiła dobrą minę przed Maleckim, ale w środku ciągle była rozdygotana i czuła echa niedawnego przerażenia.

– Proszę mi wybaczyć, ale wdaje mi się kompletnie nie na miejscu, że tytułuje mnie pani dyrektorem. Po pierwsze pozostanę nim jeszcze przez kilka

dni, po drugie wolałbym rozmawiać nieco swobodniej. Proszę mówić mi po prostu Krzysiek.

– Julka! – oznajmiła Julia i uścisnęła rękę Maleckiemu.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Wypijmy zatem za budowniczych naszego bastionu – zaproponowała Julia.

– I za historię tego dworu – dodał Krzysiek. – Naprawdę ciekawą, co już chyba odkryłaś.

– Musisz mi jeszcze o niej wiele opowiedzieć – powiedziała, wspierając brodę o splecione ręce, oparte łokciami o blat. – Obiecałeś mi rewelacje o mojej praprababci.

– To długa historia, chyba na nią nie pora – powiedział trochę kokieteryjnie, jakby czekał na zachętę.

– Do rana mamy sporo czasu – odparła Julia.

W tej samej chwili na korytarzu rozległo się trzaśnięcie drzwiami i klaskanie kapci o wykładzinę. Ktoś biegł przez sierociniec, jakby go gonili. Malecki poderwał się na równe nogi i dopadł do drzwi.

– Antek! – syknął. – Dlaczego tak łomoczesz? Pobudzisz maluchy!

– Tu pan jest! – sapnął chłopak. W przelocie spojrzął na Julię i na chwilę się zawahał. – Ewa znowu ma atak!

– Pani Jadwiga powinna spać w dyżurce. Dlaczego jej nie wezwałeś?

– Ale jej tam nie ma, w jej pokoju również. Nie ma też w nim jej rzeczy. Wygląda na to, że po kolacji po cichu się zawinęła – odparł ponuro chłopak. – Co się dziwić, wczoraj wzięła pensję i nie miała już na co liczyć. Zwykła rzecz, szczury opuszczają tonący okręt.

– Cholera. – Dyrektor podrapał się po głowie. – Zostawiła mnie samego. Powinienem wiedzieć, że nie można jej ufać. No nic, idziemy uspokoić Ewę. Wybacz, Julio, ale wzywają mnie obowiązki.

– Co się właściwie stało? – spytała.

– Ewa cierpi na ataki lęków, ma zdiagnozowany uraz psychiczny po traumie w rodzinnym domu. Pochodzi z rodziny alkoholików, jej ojciec w pijackim amoku, na oczach dziecka, zamordował żonę. Mała potrzebuje ciepła i spokoju – wyjaśnił Krzysiek.

– Zwykle pani Jadwiga zajmowała się doprowadzeniem jej do porządku, ale stara jędza postanowiła zdezerterować – dodał Antek. – Nie możemy poprosić o pomoc kucharki Andżeliki, bo mieszka we wsi, a nie we dworze.

Julia pokiwała głową.

– Rozumiem, że potrzebna jest kobieca pomoc – domyśliła się. – Mam iść z wami?

– Nie śmiałybym prosić. – Krzysiek uśmiechnął się przeproszająco.

Julia niedbale machnęła ręką i ruszyła za Antkiem. Oczywiście nie czuła się pewnie, a właściwie znów odczuwała przerażenie. Nie miała bladego pojęcia o zajmowaniu się dziećmi, nawet z maluchami Oli nieszczególnie sobie radziła, a co dopiero mówić o uspokojeniu biednego maleństwa cierpiącego na jakąś koszmarną traumę.

„Co za noc! Ja chyba oszaleję” – pomyślała z coraz większym przerażeniem.

W pokoju dziewczynek paliła się nocna lampka. Jedna z dziewczynek próbował spać z kołdrą zarzuconą na głowę, druga ciekawie gapiła się na przybyłych. Ewa kiwała się w tę i we w tę, zwinięta w kłębek. Łkała i zawodziła na zmianę, zalewając się łzami. Julia niepewnie spojrzała na Krzysia, a ten położył jej rękę na ramieniu. Dotyk ciężkiej i ciepłej dłoni mężczyzny okazał się zaskakująco przyjemny i naprawdę dodał jej odwagi.

Usiadła obok dziewczynki i pogładziła ją po plecach. Ewa mogła mieć pięć lub sześć lat, była szczupła i drobniutka. Julia wyczuła wyraźnie drobne żeberka pod lichą piżamką. Mała spojrzała na nią zapuchniętymi oczyma i znów załkała. Widok zrozpaczonego, samotnego dziecka ścisnął Julii serce. Nagle minęły jej wszystkie opory, zapomniała o drobnych niedogodnościach z Andrzejem i porażce sercowej z Pawłem. Objęła dziecko, po chwili położyła się obok niego i przytuliła całym ciałem. Zaczęła kołysać się razem z Ewą. Po chwili zanuciła małej do ucha piosenkę, którą w zamierzonych czasach śpiewała jej matka:

– *Quelle nation est assez forte, pour résister à leur effort? Polonais, Français font en sorte, de mettre tout le monde à mort*<sup>16</sup>.

Choć melodia nigdy nie nadawała się na kołysankę, bo była zbyt żwawa, Julii od zawsze kojarzyła się z błogim okresem dzieciństwa. Słyszała i śpiewała ją razem z matką tyle razy, że teraz nawet przez chwilę nie musiała zastanawiać się nad ani jedną głoską. Gdy dorosła, nawet do głowy jej nie przyszło, by sprawdzić znaczenie tego, co śpiewała jako dziecko.

Najważniejsze, że działało. Ewa przestała płakać i zaczęła nasłuchiwać. Julia powtórzyła pierwszą zwrotkę, a potem drugą, i tak w kółko przez dobre pół godziny. W tym czasie bez przerwy kołysała dziecko, jedną ręką

obejmując je w pól, drugą gładząc po główce. Dziewczynka uśmiechała się, potem zamknęła oczy, a jej oddech się uspokoił. Zasnęła. Mimo to Julia nie przerwała kołysania, wpadła w dziwny trans, wybijany rytmem bicia serca dziecka i jej własnego.

Kołysanka podzielała też na pozostałe dzieci, salę wypełniły miarowe, spokojne oddechy. Julia sama zaczęła przysypiać. Westchnęła i wstała powoli, pogładziła główkę Ewy, a po sekundzie wahania pochyliła się i pocałowała ją w czołko. Dopiero gdy skierowała się do wyjścia, spostrzegła ciągle siedzącego w fotelu dyrektora. Była przekonana, że wyszedł razem z Antkiem, gdy zaczęła śpiewać, tymczasem Krzysiek został, i najwyraźniej tak intensywnie wsłuchiwał się w kołysankę, że sam zasnął. Miał odchyloną do tyłu głowę i otwarte usta. W kapciach z pomponami i pasiastej, mocno wyciągniętej i pomiętej piżamie wyglądał jednocześnie komicznie i uroczo. Julii zrobiło się ciepło na sercu, poczuła potrzebę opiekania się całą tą żalną gromadką. Przez chwilę miała wrażenie, że jest mamą kwoką i chce przygarnąć całą dziatwę pod swoje ciepłe skrzydła. Doszła do wniosku, że chyba zapłonął w niej instynkt macierzyński, genetycznie zaprogramowany odruch, który w wypadku bezdzietnych kobiet potrafi objawiać się niespodziewanymi atakami czułości skierowanymi na przypadkowe osoby. Tym razem ofiarą padł pan dyrektor. Julia podniosła złożony koc, leżący na niezajętym łóżku i starannie okryła nim śpiącego. Uśmiechnęła się zadowolona z siebie i z trudem powstrzymała odruch pocałowania Krzysia. Na palcach wymknęła się na korytarz i dziwnie uspokojona wróciła do swojego pokoju.

Wchodząc do ciepłego, przytulnego wnętrza, poczuła się jak u siebie w domu. Miała wrażenie, że mieszka tu od lat, że spała w tym łóżku już setki razy, wyglądała przez okno na ogród o różnych porach roku, starając się dostrzec między drzewami płynącą w oddali Wisłę.

– Pamięć genetyczna, czy co? – mruknęła pod nosem i wskoczyła pod kołdrę.

Nerwy zupełnie ją opuściły, tak samo jak żal po nieudanym romansie z Pawłem. Obróciła się na bok i niemal natychmiast zasnęła. Śniła, że spaceruje po starym ogrodzie, trzymając za rękę małego chłopca. Miała na sobie ciężką krynolinę i gorset z fiszbinami. Czekwała na coś ważnego, a właściwie na przybycie kogoś ważnego. Zerkała ciągle w kierunku bramy,

ale wyczekiwany przybysz się nie pojawiał.

Obudziła się dziwnie wzruszona i trochę wystraszona. Był już dość późny ranek. Ze snu wyrwały ją śmiechy i nawoływania bawiących się na dziedzińcu dzieci. Sieroty ganiały za piłką, wrzeszcząc na całe gardło. Pilnował ich najstarszy z wychowanków, Antek, stojąc z założonymi na piersi rękoma i z gwizdkiem sędziego w ustach. Wydawane przez niego sygnały we śnie Julii zdążyły jeszcze zmienić się w gwizd parowozu wjeżdżającego na stację w Ciechocinku.

– A niech to, śniłam, że jestem praprababcią – westchnęła ze zgrozą. – W życiu nie miałam tak wyraźnych i rzeczywistych majaków. Czy ten dom jest nawiedzony?

Rozejrzała się niespokojnie, spoglądając na wiekowe mury.

– Józia? Jesteś tu, babciu? – spytała.

Jęknęła i postukała się w czoło, a potem parsknęła śmiechem. Stwierdziła, że chyba jej kompletnie odbiło od tych pamiątek i dawki przygód z nimi związanych. Tyle przeżyć musiało przecież wstrząsnąć kruchą psychiką trwającej w wiecznym marazmie samotnej kobiety. I tak dobrze, że nie wydaje się jej, że jest Józefą albo i samym Napoleonem Bonaparte!

Wyskoczyła z łóżka i pomknęła do łazienki, by doprowadzić się do ładu. Przekląła w duchu, że nie pomyślała, by przed snem wyprać majtki. Do rana spokojnie by wyschły, a tak została bez świeżej bielizny. Do tego nie miała szczoteczki do zębów, ubrań na zmianę ani kosmetyków. Czowała się przez to bardzo niekomfortowo.

W łazience czekała na nią jednak niespodzianka. Na umywalce wisiał świeży ręcznik, obok leżało dopiero rozpakowane mydło, pasta do zębów i nowiutka szczoteczka do zębów.

– Dobra wróżka mi to przyniosła? Jestem w prawdziwie magicznej chałupie, to jest, chciałam powiedzieć, w pałacu! Nie obrażcie się dobre wróżki, z szoku gadam jak potłuczona! – zawołała.

Szybko jednak domyśliła się, że wróżka była postawnym facetem z brodą i nazywała się Krzysztof Malecki. Właściwie owa wróżka sama ją spytała o to, czy szczoteczka nie była za twarda, bo tylko taka została mu w składziku.

Spóźniła się na śniadanie, ale Krzysiek czekał na nią w jadalni. Miał na sobie młodzieżową bluzę z kapturem i wytarte dzinsy. Wyglądał jeszcze

przystępniej i sympatyczniej niż w piżamie. Wydał się Julii jakiś swojski i miły, zupełnie jak jej kocur Gary. Chciałoby się go potargać po czuprynie, przytulić i nakarmić. W dowolnej kolejności.

– Para twoich przyjaciół zerwała się o bladym świetle i zrobiła bajzel w kuchni. Chyba postanowili się sami obsłużyć – powiedział, podsuwając jej kubek kawy z mlekiem. Tym razem nawet nie zbożowej, a prawdziwej, i to całkiem niezłej. – Kucharka nie była zachwycona, choć sama nie grzeszy zbyt zbytnim zamiłowaniem do porządku. Przynajmniej raz zobaczyła, jak to jest zastać porozwalane noże i widelce, brudne talerze i kupę okruchów, gdy się wejdzie do kuchni.

– Założę się, że śniadanie szykowała im Krysia. To artystka, osobna niezwykle żywiołowa i niecierpliwa – stwierdził Julia. – I tak szczęście, że nie puściła wszystkiego z dymem. Nie wyobrażam sobie jej jako wybitnej konserwatorki sztuki, która cierpliwie i starannie restauruje stary fresk. Już szybciej by go zamazała i namalowała na nowo.

– Tak, trzeba przyznać, że jest ciekawą osobowością – przytaknął Krzyś. – I piękną kobietą. Ten prawnik świata poza nią nie widzi.

– Mhm – przytaknęła Julia, pakując kanapkę do ust.

W nocy jakoś minął jej żal do Pawła. Zupełnie i ostatecznie wybiła sobie z głowy marzenia na jego temat.

– Powiedzieli, że wybierają się na przechadzkę. Muszą obejrzeć sobie dokładnie cały teren i okolice – mówił Krzyś. – Chodzi o otoczenie kompleksu, tak zwaną przestrzeń wiejską i jej walory, które można by wykorzystać przy planowaniu odnowienia i rozbudowy dworzyszczka. Widziałem przez okno, że schodzili w kierunku Wisły.

Julia wzruszyła ramionami. Nie zależało jej na towarzystwie tej pary, niespecjalnie też obchodziły ją wzniosłe plany Krysi. Zjadła szybko śniadanie i spytała Maleckiego, czy znajdzie czas, by oprowadzić ją po domu i opowiedzieć wszystko, co wie o praprababce.

– Właściwie od rana na to czekam – odparł z uśmiechem. – Dziećmi zajmuje się teraz Antek i kucharka. Zresztą maluchy są bardzo dzielne i mądre, nie trzeba mieć ich stale na oku, potrafią nawzajem o siebie zadbać. Oczywiście nie mogę pozwolić im szaleć cały dzień samopas, ale przez jakiś czas jestem wyłącznie do twojej dyspozycji.

– Miło mi. Zadysponuję tobą zatem. Ruszajmy na obchód moich włości.



– Z radością, wasza ekscelencjo. – Krzysiek poderwał się od stołu, uklonił się i podał jej dłoń.

Wstała, obciągnęła sweter i ruszyła razem z przewodnikiem w głąb dworu. Obeszli kolejno wszystkie pokoje na parterze, a dyrektor z prawdziwie gospodarskim uczuciem i starannością opowiedział o każdym pomieszczeniu, nie szczędząc Julii informacji o odbytych remontach i brakach, problemach z ociepleniem tak dużego budynku i jego wysokich pomieszczeń, a także kłopotach związanych z kosztami plastikowych okien i skrzypiącą, drewnianą podłogą. Julia zaczęłaby ziewać, gdyby nie humor, którym Krzysiek aż kipiał. Wszelkie niedogodności przedstawiał w formie kolejnych anegdot, nie szczędził też hipotez, co w którym pomieszczeniu znajdowało się w dawnych czasach. Okazało się, że znalazł czas na przestudiowanie starych planów domostwa i porównał je z przebudowami dokonanymi za czasów PRL-u. Nie była to duża robota, bo w pałac zbytnio nie inwestowano, więc zmiany nie okazały się zbyt drastyczne.

– Kieruję placówką zaledwie od kilku lat, ale przyznaję, że bardzo się tu zadamowiłem – powiedział, gdy weszli na piętro. – Właściwie trafiłem tu przypadkowo, w zastępstwie wychowawcy, który miał wypadek. Miałem przydział do Gdańska, ale wyłądowałem na wsi. Początkowo historia domu zupełnie mnie nie zajmowała, nie miałem na nią czasu. Dopiero po kilku miesiącach, gdy zabrałem się za porządkowanie nieużywanego poddasza i strychu, trafiłem na skarb.

– Szkielet w szafie? Miał na sobie kolię z diamentami?

– Niemal trafiłaś. To był pokryty pajęczynami drewniany kuferek. Stał przywalony niemal zupełnie zeżartym przez mole i myszy, wyliniałym niedźwiedziem. Wypchanym, myśliwskim trofeum, które ciągle groźnie szczyrzyło kły. Może dlatego, że eksponat wyglądał tak ohydnie, kuferek nie został wcześniej odnaleziony. Nikomu nie chciało się ruszać przegniłego niedźwiedzia. A tu okazało się, że pilnował ciekawego znaleziska.

– Co było wewnątrz? – spytała Julia z błyskiem w oku.

– To, co tak pracowicie skompletowałaś – odparł Krzyś z uśmiechem. – Pamiętnik twojej praprababki i kilka listów. Przeleżały tam spokojnie ponad sto lat. Całe szczęście, że zostały, prawdopodobnie przez jej syna lub wnuka, zamknięte w solidnej skrzyneczce. Nie dobrały się do nich myszy ani wilgoć, ani światło – nic, co mogłoby zniszczyć stary papier. Jak zauważyłaś, nawet

nie wyblakły, kartki dają się swobodnie czytać. Oczywiście część w tym zasługi twojej praprababci, która miała piękny, staranny charakter pisma. W tamtych czasach wszyscy taki mieli, bo do nauki kaligrafii przykładano większą wagę niż do ortografii czy gramatyki...

– Jak pamiętniki trafiły do ciotki Aurelii, to ona cię odnalazła?

– Wręcz przeciwnie. Przeczytałem wspomnienia Józi i postanowiłem coś z nimi zrobić. Szkoda byłoby, gdyby znów trafiły do pudła. Pomyślałem, że spróbuję odnaleźć jej spadkobierców. Długo nie musiałem szukać, bo twoja ciotka akurat rozpoczęła starania o odzyskanie posiadłości. Zaczaiłem się na nią przed sądem i wręczyłem jej znalezisko. Domyślasz się, że była zachwycona. Od tamtej pory stała się częstym gościem w dworze, dzieci traktowały ją jak swoją ciocię, zawsze przyjeżdżała z furą słodczy i poświęcała im sporo czasu. Zadomowiła się, polubiła nie tylko posiadłość, ale także nas. Starła się pomagać, szybko też rozpoczęła starania o znalezienie nowej siedziby dla domu dziecka, a gdy okazało się, że to niemożliwe, postanowiła zrezygnować ze starań o odzyskanie domu.

Julia drgnęła i spojrzała na Krzysia z zaskoczeniem.

– Sam ją od tego odwiodłem. Wtedy już wiedziałem, że sierociniec nie ma szans na przetrwanie. Jego utrzymywanie było zbyt kosztowne. Wolałem, by dom nie dostał się w łapy pazernych deweloperów, którzy zamienią go w cyrk. Liczyłem na to, że prawowity właściciel nie zaprzepaści wszystkiego. Oczywiście zawsze lepiej, by dwór został hotelem, niż popadł w ruinę.

– No i dostał się mnie, a ja jeszcze nie wiem, co z nim zrobić – stwierdziła Julia. – Co się stało z wypchanym niedźwiedziem?

– Został pochowany z honorami – stwierdził z powagą Krzyś. – Jak się domyślasz, należał pierwotnie do Lwa Północy, wcześniejszego właściciela dworu, i zawieruszył się w czasie przeprowadzki.

– Wszystko, co jest związane z tym domem, wydaje mi się wzruszające – westchnęła Julia, rozglądając się po korytarzu. – Jaka szkoda, że nie poznałam historii Józi do końca. Zauważyłeś, że pamiętnik urywa się jakoś tak bez sensu, bez zakończenia?

– Ale przecież historia nigdy się nie kończy. Życie to nie bajka, zawsze jest jakiś ciąg dalszy, zwykle niezbyt szczęśliwy, ludzie się starzeją i umierają, ich miejsce zajmuje następne pokolenie. Coś takiego, jak *happy end* istnieje tylko w hollywoodzkich filmach i tanich romansidłach. Julia zamieszkała w domu

podarowanym jako rekompensata przez księżną i tyle. Koniec bajki.

– Ale co stało się z księciem? Chyba odnalazł ukochaną i syna, skoro obdarzył ich książęcym tytułem? Może Józię spotkało jeszcze coś miłego w życiu?

– Może. – Krzyś pogłaskał się po brodzie i zrobił tajemniczą minę. – Wejdźmy tutaj, proszę, to mój gabinet.

Otworzył niepozornie wyglądające drzwi i wpuścił Julię przodem. W pomieszczeniu znajdowało się biurko z pustym blatem. Pustkami świeciły również półki regałów, kiedyś pewnie wypełnione książkami i skoroszytami z dokumentacją. Na podłodze stały tekturowe pudła powiązane sznurkami, zawierające zapewne większość wyposażenia gabinetu. Krzyś wskazał jej wygodny fotel, który przez kilka lat dowodzenia sierocińcem był jego tronem.

– Pani Aurelia zdecydowała, że ostatni akt dramatu należy do mnie – powiedział, sięgając do szuflady. Wyciągnął z niej plik kartek o znajomym Julii kolorze. – Ostatni fragment. Miałem zdecydować, czy zasługujesz, by ci go wręczyć. Trochę głupio mi było się zgodzić. Miałbym zostać kimś w rodzaju sędziego? Wcale nie czuję się kompetentny. Jak niby mam w ciągu kilku godzin ocenić, czy zasługujesz na przejęcie dziedzictwa po Józefie Jasińskiej? Twoja ciotka jednak miała rację. Powiedziała, że szybko podejmę decyzję. Rzeczywiście, od razu cię polubiłem. Budzisz szacunek, taki sam, jaki czuli wszyscy współpracownicy i domownicy do twojej praprababki. Proszę zatem, oto ostatnie wspomnienia Józi i jej uwagi do czytelnika. Siadaj i czytaj, ja tymczasem zobaczę, czy z dziećmiakami wszystko w porządku. Potem jeszcze muszę wykonać kilka telefonów. Trzeba ustalić harmonogram rozwiezienia dzieci po sierocińcach.

Zaskoczona Julia bez słowa wpadła w fotel, w rękę trzymając kartki pamiętnika. Krzysiek uśmiechnął się po raz ostatni i wyszedł.

<sup>16</sup> Fragment wiersza, który napisał francuski generał z czasów wojen napoleońskich Antoine Charles Louis de Lasalle.

Teoś miał pięć lat, gdy w odwiedziny przyjechały moje przyjaciółki z Warszawy. Janka z Gertrudą nieco zmieniły się od naszych dawnych czasów, nie były już panienkami z dobrych domów, które chcą zostać nauczycielkami. Praca na warszawskich targowiskach mocno je zmieniła zarówno pod względem obycia i używanego słownictwa, jak i pod względem wyglądu. Obie zrobiły się rumiane i pulchne, mówiły głośno i śmiały się na całe gardło. Obie wyszły za mąż, ale w odwiedziny przybyły bez małżonków. Chyba nie chciały robić mi przykrości, jako że ciągle pozostawałam panną z dzieckiem.

Za to obydwie przybyły ze swoimi dziećmi. Gertruda miała już trójkę; najmłodsze dopiero uczyło się chodzić. Janka przyjechała z dwiema bliźniaczkami, niewiele młodszymi od Teosia. Mój synek od razu polubił dziewczynki i zabrał je na zabawy do ogrodu. Dołączyły do nich obie pociechy Basi, która niedługo po moim sprowadzeniu się do dworu wyszła za stajennego, po czym z pokojówki stała się moją ochmistrzynią i osobistą asystentką. Piątka brzdąców szalała więc w najlepsze między drzewami, pod okiem Adolfa, który udawał, że przycina żywopłot, a tak naprawdę napawał się widokiem rozbrykanej gromady.

– Nadal zajmujesz się interesami starej księżnej? – bez owijania w bawełnę spytała Gertruda.

– Tak. Jestem kimś w rodzaju jej przedstawiciela – odparłam równie szczerze. – Pilnuję dóbr, które kupiła w Królestwie. Należą do niej rozległe lasy z tej strony Wisły, wraz z ośmioma tartakami i dwiema garbarniami. Ma też cegielnię i kilka wsi, gdzie tradycyjnie uprawia się zboże. Poza tym handlujemy towarami. Tutaj kupujemy węgiel, pszenicę, mięso oraz owoce i sprzedajemy je w głębi Rosji. W zamian do Warszawy jadą skóry, miody i rosyjska stal.

– To musi być prawdziwy geszeft – przyznała z podziwem Janka. – Nie to, co nasze drobne interesiki na targach.

– Jeśli chcecie, myślę, że mogę dołączyć was do maszyny handlowej, którą nadzoruję dla księżnej. Przyda się dodatkowy rynek zbytu dla rosyjskich towarów. Jeśli zdołacie pomóc rozprowadzić trochę rzeczy na targowiskach, byłoby świetnie – powiedziałam.

– Ruskie towary? – zainteresowała się Gertruda. – To brzmi bardzo interesująco. Musimy to obgadać. O zbyt nie będziesz musiała się martwić, my potrafimy sprzedać wszystko. Co nie, Janka?

– Się wie – przytaknęła przyjaciółka, splatając ręce na pulchnych piersiach. – Ale nie przyjechałyśmy tu robić interesów, chciałyśmy się dowiedzieć, jak ci się powodzi. Czy dajesz sobie radę, czy nie przymierasz głodem? Czy cię tu nie prześladują?

– Prześladują? Ach, jako pannę z dzieckiem? – domyśliłam się dopiero po chwili. – Ależ skąd, choć trzeba przyznać, że mieszkający po sąsiedzku ziemianie zupełnie mnie ignorują. Złożyłam wizyty u każdego i zaprosiłam do siebie, ale choć byłam przyjmowana grzecznie, nikt nie przyjechał. Mają mnie za służącą rosyjskich panów i traktują z góry. Za to dwór odwiedzają często miejscowi chłopci, przynoszą różne podarki, a to leśne owoce, a to dopiero zarzniętego kapłona lub upolowanego zająca. Pomogłam ubiegłej zimy mieszkańcom Łopian, gdy spaliły się tam cztery gospodarstwa. Dałam pogorzelncom trochę grosza, pozwoliłam mieszkać przez dwa miesiące we dworze. Stać mnie, oprócz pensji dostaję od księżnej procent od zysków z operacji handlowych. Teraz mam dzięki temu przyjaciół może niezbyt zamożnych, ale za to szczerych.

– A jak ze sprawami sercowymi? Teosiowi przydałby się ojczym – zauważyła Gertruda – a tobie jakiś prawdziwy chłop.

– Odwiedza mnie czasem pewien jegomość z Ciechocinka, miejscowy aptekarz, wdowiec.

– O, może się oświadczy? – z niepewną miną mruknęła Janka.

– Zrobił już to dwa razy, ale odmówiłam. To miły człowiek, ale zupełnie nic do niego nie czuję. – Wzruszyłam ramionami.

– No wiesz! Taką okazję trzeba łapać, chyba że chłop jest chromy lub garbaty. A może pozbawiony kuśki? – zastanawiała się Gertruda.

– Nie mam tak dokładnych informacji, jeśli chodzi o to ostatnie. – Uśmiechnęłam się. – Po prostu nie interesuje mnie jego osoba.

Obie spojrzały najpierw na mnie, a potem na siebie. Janka skinęła

Gertrudzie głową.

– Musisz wybić sobie księcia z głowy – powiedziała ta druga. – Pojawił się w ubiegłym miesiącu w Warszawie ze swoją żoną. Zatrzymali się w pałacu Pod Blachą, gdzie wśród czeladzi mamy kilku chłopców ze Starego Miasta. Dzięki temu wszystkiemu się dowiedziałyśmy. Jaśniepaństwo byli akurat w podróży poślubnej i udawali się na Krym, do dopiero co odnowionego pałacyku.

Jakby mnie piorun strzelił. Fiodor się ożenił! Nie szukał mnie, nie przyjechał tu ani razu. Zapomniał, po prostu puścił w niepamięć i znalazł sobie żonę. Stałam parę chwil z zaciśniętymi pięściami. Chyba zaczęłam zgrzytać zębami ze złości. Po tym wszystkim, co mi obiecywał, po czułościach i boskich uniesieniach, zwyczajnie znalazł sobie inną kobietę. Pewnie po to, by nie urazić mamusi! Ciekawe, czy spełnił jej życzenie i zdobył pannę z cesarskiej rodziny?

– Kim jest jego żona? – wycedziłam wreszcie.

– Wysoka blondynka, całkiem niebrzydka – odrzekła Gertruda. – Ma szerokie biodra i wygląda na silną. Może urodzić masę dzieciaków...

– Jak się nazywa? – syknęłam.

– Nie powtórzę nazwiska, bo długie i niemieckie. Jest ponoć hrabianką z Cesarstwa Niemieckiego.

– To córka pruskiego junkra – dodała Janka. – Ponoć bajecznie bogata, ale kto by tam wiedział.

– Jest spokrewniona z cesarzem Wilhelmem? – spytałam.

Obie wzruszyły ramionami. Skąd niby miały wiedzieć?

Doszłam do wniosku, że pewnie tak. Skoro księżnej nie udało się wmanewrować syna w mariaż z rodziną Romanowów, zdobyła dla niego pannę z innej cesarskiej rodziny. Cholerna wiedźma była zdolna do wszystkiego.

Czyli mój drogi Fiodor okazał się skończonym maminsynkiem. Postępował zgodnie z wolą rodzicielki, zupełnie zapominając o mnie i swoim synu. W jednej chwili moje serce zostało oczyszczone z czułej tęsknoty. Wypalił je ogień żalu i wściekłości. Znienawidziłam dawnego kochanka.

Gdyby w tej chwili pojawił się ten ślamazarny i nudny aptekarz z Ciechocinka, bez wahania przyjąłabym jego oświadczenia. Jeszcze dziś rzuciłabym służbę dla księżnej i odeszła stąd jak najdalej.

Długo trwało, zanim doszłam do siebie. Tak czy inaczej, wieczór miałam zmarnowany. Humor wrócił mi dopiero kolejnego dnia, kiedy przyjaciółki zdołały odwrócić moją uwagę plotkami i anegdotami z życia Warszawy. Dowiedziałam się zarówno o ekstrordynaryjnych adoratorach panny Dowiakowskiej, primadonny Opery Warszawskiej, jak i o nowej szajce grasującej na Wołosówce, żydowskim targu tandety. Prezydent Starynkiewicz zlecił budowę ogromnych filtrów, mających wreszcie zapewnić pitną wodę dla rosnącego nieustannie miasta. Otwarto nową linię tramwajów konnych, myślano też o przeniesieniu „pomnika hańby” z placu Saskiego, bo na jego miejscu planowano postawić prawosławny sobór. Do tego oświetlono latarniami gazowymi kolejne ulice, choć nadal nie zdobyto się na oczyszczenie placu Za Żelazną Bramą. Z tego, co pamiętałam, błoto i nieczystości porzucane przez targujących tam handlarzy zakrywały teren grubą warstwą gnoju i śmieci, aż do poziomu okien okolicznych kamienic.

Jednym słowem, życie w mieście nieustannie parło do przodu, Warszawa kwitła i gniła po staremu. Trochę mi jej brakowało, ale tu również się nie nudziłam, zajęta jednocześnie synem, interesami i gospodarstwem. Nigdy nie uczestniczyłam aktywnie w wielkomiejskim życiu i spokojnie mogłam się bez niego obyć. Bo właściwie czego miałyby mi brakować? Smród końskiego łajna na wsi i w mieście był taki sam. Tu przynajmniej nie wiało miazmatami z przepełnionych rynsztoków, licznych manufaktur garbarskich, jatek czy szemranych fabryczek mydła i powidła.

Nie miałam co prawda na wsi przednich cukierni, teatrów, księgarni, składów towarowych z najnowszą modą, spacerów po parku Saskim lub Łazienkach. Ale zdążyłam niemal całkiem zapomnieć o tych rozrywkach i traktowałam je jak sen czy wspomnienie z innego życia. Właściwie to musiałam sobie przyznać, że stałam się w stu procentach kobietą z prowincji, poświęcającą się pracy w gospodarstwie i doczesnym troskom. Nie miałam czasu na czcze rozrywki i fiu-bździu z dawnych czasów.

Przyjaciółki posiedziały u mnie kilka dni, a potem musiały wrócić do miasta, do swoich zajęć. Pożegnałam je ze łzami w oczach. W kilka tygodni później zostałam zmuszona do udania się do Warszawy, by na miejscu dopilnować kolejnego zlecenia księżej. Anna Pietrowna umyśliła sobie zakupić trochę papierów wartościowych spółki kolei żelaznej. Ponoć szykowano się do budowy kolejnej linii, łączącej tereny dawnej Polski,

a obecnie Priwislanskij Kraj, z Cesarstwem Niemieckim. Księżna stwierdziła, że udziały w tej inwestycji po wielokroć się jej zwróca, od dawna bowiem było wiadomo, że wszelki rozwój gospodarczy napędzały szybkie i wygodne drogi. Nie było szybszej i wygodniejszej niż droga żelazna, z tym musiałam się zgodzić.

Przyjechałam więc do miasta i zamiast zatrzymać się w hotelu, udałam się z kuferkiem wprost do domu Gertrudy. Po drodze kupiłam w cukierni całe wielkie pudło smakołyków dla gospodyni i jej potomstwa, a do tego butelkę likieru miętowego, do którego miałam słabość. Drzwi otworzyła mi matka przyjaciółki. Starsza pani miała bardzo ponurą minę i gdy się przedstawiłam, rzuciła mi się z płaczem w ramiona.

Okazało się, że poprzedniego wieczoru Jance przydarzył się straszliwy wypadek. Wpadła pod koła pędzącej dorożki. Powożący mężczyzna był rzecz jasna pijany, co wśród tej dryndziarzy było od dziesięcioleci prawdziwą plagą. Pędził niczym opętany i wjechał wprost w grupę wracających do domu straganiarek. Janka nieszczęśliwie dostała się wprost pod końskie kopyta i zginęła na miejscu.

Byłam wstrząśnięta. Zostawiłam kuferek z rzeczami i pognałam do domostwa Janki, gdzie zastałam Gertradę czuwającą przy tragicznie zmarłej przyjaciółce. Widok młodej, tak pełnej życia kobiety zamienionej w zimne, woskowo blade truchło zapadł mi w pamięć na resztę życia. Jednak najbardziej zabolął mnie obraz bliźniaczek stojących przy ciele matki. Dziewczynki były niezwykle poważne i spokojne. Patrzyły szeroko otwartymi oczkami na ciało nieboszczki rodzicielki i posłusznie powtarzały modlitwę za ciocią Gertradą.

Spędziłam z nimi wieczór na modłach. Potem położyłam dziewczynki do łóżka i gdy przed snem gładziłam je po główkach, w obu coś się przełamało i wybuchły histerycznym płaczem. Nie dokonałam żadnego pedagogicznego cudu, by je uspokoić, nie próbowałam do nich przemawiać, czy coś tłumaczyć. Przytuliłam obie, gładziłam po główkach i szeptałam do ucha usypianki. Wreszcie udało mi się je położyć, na koniec więc zaśpiewałam piosenkę, której nauczyłam się od babci. Ponoć śpiewała ją z francuskim żołnierzem, tym, co strasznie się w niej kochał, podarował egipską broszę, a potem dał się zabić gdzieś w Rosji.

– *Quelle nation est assez forte, pour résister à leur effort? Polonais,*



*Français font en sorte, de mettre tout le monde à mort.*

Tak, wiem, że nie jest to piosenka dla dzieci, ani tym bardziej kołysanka. Ale kojarzyła mi się ze szczęśliwym dzieciństwem i często ją śpiewałam Teosowi na dobranoc. Powoli zmieniła się w rodzinną kołysankę i faktycznie działała. Z tego, co wiem był to wiersz ułożony przez wielkiego francuskiego generała na cześć polsko-francuskiego przymierza z czasów napoleońskich.

„Który naród jest wystarczająco silny, by wytrzymać ich napór? Polacy, Francuzi, jeśli się zawezmą, ześlą śmierć na wszystkich ludzi”.

Okropne, prawda? Ale na dzieci, które nie znają znaczenia francuskich słów, działa uspokajająco.

Pogrzeb odbył się następnego dnia. Szłam razem z najbliższą rodziną zmarłej, czyli z Gertrudą. Okazało się, że rodzicie Janki nie żyją, a mąż znikł miesiąc temu. Wybrał się na wyprawę handlową do Gdańska i nie wrócił. Znikł również jego wspólnik, razem z całą kwotą przeznaczoną na zakup towarów kolonialnych. Nad Wisłą znaleziono porzucone dokumenty męża Janki. Podejrzewano, że został okradziony i zamordowany przez wspólnika.

Nieszczęścia chodzą parami – to przysłowie sprawdziło się w przypadku mojej przyjaciółki.

Załatwiłam szybko interesy księżnej, nie zapomniawszy kupić za całe oszczędności tych samych akcji kolejowych co dla jaśnie pani. Czułam, że inwestując wzorem Anny Pietrowny, szybko powiększę majątek. Potem wróciłam do domu, wioząc ze sobą dwie sieroty. Bliźniaczki tuliły się do mnie rozpaczliwie, uczepliły jak ostatniej deski ratunku. Chyba były szczęśliwe, że ktoś się nimi zajmuje. Choć tak młodziutkie, bardzo szybko dojrzały i zmadrzały. Jak się później przekonałam, to częste zachowanie w przypadku sierot. Ich bez troskie dzieciństwo skończyło się wraz ze śmiercią rodziców. Musiały szybko dojrzeć i traktować świat z powagą dorosłych lub zginąć.

Teos był zachwycony, gdy przywiozłam mu z Warszawy nowe siostrzyczki. Zachował się z prawdziwie polską gościnnością i natychmiast obdarował bliźniaczki swoimi drewnianymi zabawkami, wystruganymi pracowicie przez Adolfa. Wspólnie urządziliśmy dziewczynkom pokój w prawym skrzydle, w bezpośrednim sąsiedztwie pokoiku Basi i jej dzieci. Kupiłam dwa łóżka i trochę jasnych mebli.

Bliźniaczki powoli wychodziły z szoku po tragicznej śmierci matki. Staraliśmy się wszyscy, by czuły się jak w domu, by niczego im nie brakowało. Zresztą nie miały zbyt wygórowanych wymagań, najbardziej ze wszystkiego pragnęły mojego towarzystwa i uwagi. Poświęcałam więc coraz więcej czasu na zabawy z dziećmi, czytanie im bajek i naukę pierwszych liter. Starłam się nie karcić za żywiołowe i głośne zachowanie, tylko spokojnie przemawiać, choć nieraz zdarzało mi się podnosić głos. Prócz mojej trójki miałam na głowie jeszcze dwójkę dzieci Basi, a to w sumie okazało się już całkiem sporą i rozbrykaną czeredą.

Którejś niedzieli zabraliśmy się z Basią powozem do Ciechocinka. Poszliśmy na mszę, a potem na spacer po mieście i na obiecane dzieciom lody. Teosia niezmiernie zaciekawiała maszyna do ich kręcenia, którą obsługiwał straszliwie spocony cukiernik. Malec dociekał, jak to się dzieje, że cukier, śmietana i mleko zamieniają się w tak zimną i sztywną masę. Wreszcie cukiernik musiał mu wytłumaczyć zasadę działania urządzenia, a szczególnie solnej łaźni, której używał do chłodzenia lodów.

– Rośnie nam przyszły inżynier – powiedziała Basia z dumą.

– Albo naukowiec. – Uśmiechnęłam się z zadowoleniem.

Wtedy też pomyślałam o sprowadzeniu za rok lub dwa guwernera z prawdziwego zdarzenia, najlepiej znającego się zwłaszcza na naukach ścisłych, który uczyłby moje dzieci. Pragnęłam, by Teoś wyrósł na mądrego i przyzwoitego człowieka. Może nie były to pragnienia podobne do marzeń księżej, ale faktycznie dostrzegłam pewne podobieństwo. Obie pragnęłyśmy dla swoich synów tego, co najlepsze.

Przy okazji pomyślałam, że dobrze byłoby sprawdzić, co porabia moja przyjaciółka Aniela, która chciała przecież nauczać fizyki i matematyki. Ponoć wyszła za mąż, ale kto wie, co się z nią teraz dzieje? Może szuka jakiego zajęcia?

Zanim wróciliśmy do domu, chodziliśmy trochę po miasteczku, przyciągając spojrzenia kuracjuszy i ich służby. Piątka dzieci w podobnym wieku i dwie opiekunki. Nie wyglądałyśmy na normalną rodzinę.

Po niedługim czasie okazało się, że zwracamy uwagę nie tylko miastowych. Także moi chłopcy zainteresowali się szybko rosnącym przychówkiem w dworze. Przynosili z tej okazji więcej słodkich owoców, mówiąc, że to dla dzieci. Chyba ujęłam ich tym, że przygarnęłam pod dach sieroty. Widocznie

zaczynałam uchodzić wśród włościan za kobietę niemal świętą, a z pewnością zasługującą na szacunek. Powoli przywykałam, że mijani chłopci zawsze kłaniali mi się w pas, czego nie robili nawet przed największymi dziedzicami.

Ta popularność wśród ludu szybko przyniosła zaskakujące owoce. Pewnej wrześniowej nocy obudziło mnie zamieszanie na dole. Szybko zbiegłam zobaczyć, co się dzieje, czy może dzieciom się co nie stało. Na razie chowały się, dzięki Bogu, zdrowo, ale nie ulegało wątpliwości, że w końcu któreś zachoruje. Szanse, że cała piątka dożyje dorosłości, były niewielkie. Tak działały bezlitosne prawa natury, maluchy pozostawały najbardziej narażone na śmierć z powodu błahego przeziębienia czy innej niespodziewanej choroby. Medycyna nadal nie mogła z tym nic zrobić.

Okazało się jednak, że dzieciom nic się złego nie dzieje. Sprawcą zamieszania był Adolf. Stary kapitan Mrok obudził się wyrwany ze snu przez ujadające przy bramie psy. Wszedł więc sprawdzić, kto się kręci przy dworze i ku swojemu zdumieniu znalazł przed bramą kwilące zawiniątko. Wrócił z nim i od progu zrobił raban. Znalazł płaczące z głodu niemowlę.

Złapałam się za głowę. Tylko podrzutka mi brakowało! Odebrałam piszczące dziecko Adolfowi i kazałam mu natychmiast jechać do wsi i nie wracać bez mamki.

– Niedawno rodziła Hania, córka Bartosza – powiedziałam. – Sama kupowałam jej wyprawkę w prezencie od dworu. Jedź prosto do niej i błagaj, by przyjechała ratować dziecko.

Ktoś musiał niemowlę nakarmić, a dla takiego malucha konieczne było ludzkie mleko. Na szczęście dziewczęta we wsi często rodziły i jeśli nie Hania, to któraś z pewnością miała pokarm. Ukołysałam dziecko, a Adolf wrócił już po godzinie z wyrwaną z łóżka Hanką. Oserek został ocalony od śmierci głodowej, a ja zaczęłam gorączkowo zastanawiać się, jak znaleźć jego matkę.

Rozumiałam, że znajdowała się w desperacji, ale z pewnością mogłabym spokojnie jej pomóc. Wsparłabym ją materialnie i duchowo, może po dojściu do siebie zechciałaby sama wychować dziecko. Następnego dnia wysłałam więc stajennego Jakuba w objazd po okolicznych wsiach, by popytał o dziewczynę, która ostatnio była w ciąży.

Moje śledztwo jednak na niewiele się zdało. Nie dowiedzieliśmy się, kim jest matka podrzutka. Wydało mi się dziwne, że nikt nie zauważył zniknięcia

dziecka, ale trudno było podejrzewać chłopów o zmowę. Prawda wyszła na jaw dobre dwa lata później, gdy Adolf Młodszy (na chrzcie daliśmy mu imię po jego znalazcy), na dobre się u nas zadomowił, i nikt by już go nie oddał.

Jego matką okazała się dziewczyna pochodząca z Łopian, która robiła za służkę we dworze jednego z moich sąsiadów, czyli u majątnego, dumnego dziedzica, umysłowo tkwiącego nadal w feudalizmie, zresztą jak większość polskiego ziemiaństwa. Jego syn upatrzył sobie śliczną pokojówkę, bez skrępowań uwiódł ją i wykorzystał. Była to rzecz stara jak świat, więc jej finał też okazał się podobny do tysięcy poprzednich przypadków tego rodzaju. Niestety był również trochę podobny do mojego romansu z jaśniepanem, ale z gorszym zakończeniem. Gdy okazało się, że dziewczyna jest przy nadziei, została spoliczkowana przez dziedzica i wygnana z dworu. Dobrze, że nie poszczuli jej psami. Urodziła w domu rodziców, ale nie okazali jej najmniejszej troski i zrozumienia. Postanowiła więc ruszyć w świat w poszukiwaniu szczęścia. Wzięła tobołek, dziecko i wyszła w ciemną noc. Dziecko rzecz jasna było dla niej największym ciężarem. Nie miała przecież najmniejszych szans na znalezienie pracy jako pokojowa czy pomywaczka, mając ze sobą niemowlę. Oboje byli więc skazani na śmierć głodową. Postanowiła zaryzykować i zostawiła dziecko pod bramą pałacu, drażniąc przy tym psy, by narobiły hałasu.

Niemniej mimo to nie zdołała znaleźć godziwej pracy. Musiała zostać prostytutką, by przeżyć. Pracowała w jednym z lupanarów w Toruniu, gdzie natknęła się na kompana Adolfa z czasów powstańczych i wszystko mu wygadała. Ciekawiła się losem dziecka, ale nie chciała go widzieć. Rok później doniesiono mi, że zamarzła, gdy pijana zasnęła w rynsztoku.

Tymczasem w moim dworze życie kwitło na całego. Dom robił się coraz gwarniejszy i ludniejszy. Hania musiała sprowadzić trójkę swoich pociech i męża. Zatrudniłam go jako parobka, a Hania z mamki przeistoczyła się w pomocnicę przy dzieciach, kogoś w rodzaju bony.

Miałam już zatem dziewięcioro maluchów. Ledwie urządziliśmy dla wszystkich pokoje z wyposażeniem, gdy pojawił się kolejny interesant. Właściwie nie jeden, a trzech. Byli to pleban, sołtys i młynarz, czyli włościańska elita Łopian.

Wszyscy trzej sprawiali wrażenie speszonych i onieśmielonych, traktowali

mnie niemal jak koronowaną głowę. Kazałam zrobić im kawy ze śmietaną i podać ciasto, co jeszcze bardziej ich skonfundowało. Wreszcie ksiądz zdołał się opanować i powiedział, z czym przychodzą. Otóż pojawił się problem z jedną rodziną z Łopian. Jej jedyny żywiciel rozchorował się i zmarł, zostawiając wdowę z trójką małych dzieci. Kobięcina nie potrafiła się utrzymać i mimo pomocy sąsiadów niemal zagłodziła się na śmierć. Tak podupała na zdrowiu, że zaczęła toczyć ją gruźlica. Kwestią najbliższych tygodni zatem było pojawienie się we wsi trójki sierot.

– I ja mam je wziąć? – domyśliłam się natychmiast.

– Prowadzi pani jedyny sierociniec na Kaszubach – odparł proboszcz. – Nie liczę tego w Toruniu, rzecz jasna.

– Ale ja nie prowadzę sierocińca – oznajmiłam stanowczo.

– Tak, oczywiście – zgodził się ksiądz. – Ale pani działalność bardzo przypomina coś takiego. Zależy nam, by pani kontynuowała to zbożne dzieło. Wszyscy będziemy pani dłużnikami, cała nasza społeczność. Proszę się zgodzić i przyjąć te dzieci, nie chcemy, by zabierano je na poniewierkę i głódówkę do ponurego przytułku w mieście. Słynie pani z dobrego serca i wielkich przymiotów charakteru oraz doskonałego prowadzenia...

– Wspomożemy sierociniec, jak się da – wtrącił sołtys. – Nie należymy do bogaczy, ale zawsze znajdzie u nas pani wsparcie. Wszystko, co najlepsze, będziemy odkładać dla dzieci.

Nie zgodziłam się. Nie miałam zamiaru zakładać przytułku w dworze należącym do Anny Pietrowny. Byłam zimna i bezwzględna. Podziękowałam za odwiedzinę i odprowadziłam gości do drzwi. Niestety proboszcz okazał się naprawdę inteligentny. Zamiast znów mnie przekonywać, po prostu przywiózł te biedne dzieci. Gdy ujrzałam trójkę zasmarkańców w obdartych ubrankach, brudnych i zapłakanych, omal nie pękło mi serce. Oczywiście przyjąłam je pod swój dach. Tak jak i kolejną dwójkę, którą ksiądz przywiózł do mnie dwa miesiące później.

Kolejne dwa lata przeleciały jak z bicia strzelił. Zajęć wokół domu i dzieci miałam tyle, że czasem z trudem udawało mi się wygospodarować dzień lub dwa na wyjazd w interesach. Trochę zaniedbałam dogłębne oglądanie majątku księżnej, w dodatku od roku nie znalazłam żadnej ciekawej inwestycji, w której mogłaby ulokować pieniądze. Nie odpowiedziałam nawet na jej

ostatni list i dwa naglące telegramy z rządu. Nie zrobiłam tego ze złości, ale po prostu miałam inne sprawy na głowie. Odkładałam odpisanie na później, aż wreszcie wyleciało mi z głowy.

Dwójka dzieci pochorowała się na ospę i zgodnie z zaleceniem doktora musiałam je odizolować od reszty. Urządziliśmy im pokój w drugiej baszcie (pierwszą była ta, w której znajdowała się moja sypialnia), ale i tak groziło nam rozprzestrzenienie się zarazy. Nie spałam po nocach, doglądając chorych i starając się utrzymać zdrowe dzieci z dala od siebie. Ponoć sam kontakt z zarażonymi mógł być niebezpieczny, mogłam przenieść chorobę z izolatki na ubraniu lub w oddechu. Gryzłam się więc zmartwieniami i bezsilnie patrzyłam na dwie błyskawicznie marniejące duszyczki – Klementynę, córeczkę Basi i Adasia, jedno z przygarniętych chłopskich dzieci. Wiedziałam, że trochę zbyt mocno to przeżywam, że powinnam wziąć się garść, ale nie potrafiłam. Może przez to, że sieroty wymagały tyle uwagi, jakoś strasznie się do nich przywiązałam. Wszystkie kochałam niemal jak rodzonygo syna.

Siedziałam akurat przy łóżku chorej dziewczynki, gdy do izolatki wpadł Adolf. Oczy niezdrowo mu gorzały, znów przestał się garbić i napiął się jak naciągnięty na sprężynie. Syknęłam ze zgrozy i oburzenia, widząc w jego garści już znajomy, ogromnych rozmiarów rewolwer z czasów powstania.

– Jeszcze masz to żelastwo? Na cóż ci ono, na litość boską? – warknęłam, wstając gwałtownie.

– Moskale we dworze – powiedział chrapliwie. – Wdarli się do środka, zanim zdążyłem zaryglować drzwi. Chyba się starzeję, Józiu. Czuję, że to będzie moja ostatnia bitwa.

– Oddaj to! – zażądałam. – Tu są dzieci! Nie będzie żadnej strzelaniny.

– Pewnie przyszli znów cię aresztować. Nie oddamy cię po raz kolejny! Nie ma mowy – zaperzył się starszy pan.

– Daj spokój, nie jesteś już kapitanem Mrokiem. Nadeszły inne czasy, nie bijemy się już z Moskalami – zarządziłam i stanowczym gestem wyrwałam mu rewolwer z garści.

Spuścił smutno głowę. Ramiona mu opadły, znów przygasł i wyblakł.

– Na razie się nie bijemy – mruknął pod nosem. – Jeszcze kiedyś damy im popalić.

– Nie kracz. Zostań tu z dziećmi, a ja pójdę zobaczyć, co to za ludzie –

powiedziałam. – Nie każdy osobnik w carskim mundurze to od razu żandarm, dybiący na polskich buntowuszczyków.

Pokiwał potulnie głową, a ja zbiegłam po schodach baszty i wypadłam z impetem do komnaty. Wprost w ramiona księżnej Czernyszewej.

Nie widziałam jej od spotkania w szpitalu Cytadeli, a trzeba przyznać, że przez te siedem lat piętno upływającego czasu wyraźnie się na niej odcisnęło. Przede wszystkim mocno schudła. Znikła gdzieś rumiana, przysadzista dama z szerokim uśmiechem, która czerpała z życia całymi garściami. W pierwszej chwili jej nie poznałam, bo stała przede mną starsza kobiecina o poszarzałej, wymizerowanej chorobą twarzy.

– Widzę, że się mnie spodziewałaś. – Wskazała na rewolwer, który po odebraniu Adolfowi ciągle trzymałam w uniesionej dłoni. – Nie liczyłam na aż tak gorące powitanie.

– Wasza ekscelencja wybaczy – bąknęłam i wetknęłam broń do obszernej kieszeni z przodu sukienki. Nosiałam solidną i prostą podomkę, praktyczną dla zapracowanej gospodyni, czyli zaopatrzoną w kieszenie, w których znajdowały się wszystkie konieczne rzeczy. – Samotna kobieta musi się mieć na baczności. Nigdy nie wiadomo, kto wdziera się do jej domu.

– Szczególnie gdy przybysz mówi po rosyjsku, co? – Księżna się uśmiechnęła. – Poza tym na samotnicę akurat nie wyglądasz. Jazgot u ciebie w domu jak na dworcu w Petersburgu. Aha, nabrałaś ciała i rumieńców, sprawiasz wrażenie silnej i zadowolonej z życia.

– Twoja szkoła, wasza ekscelencjo. – Dygnęłam grzecznie niczym pensjonarka.

– Nazywaj mnie po imieniu jak kiedyś, złotko – powiedziała i wyciągnęła ręce na powitanie. – Chodź do mnie, Żuza! Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mi cię brakowało.

Pozwoliłam się przytulić, a w pewnym momencie dałam porwać chwili i uścisnęłam księżną serdecznie. Zaprosiłam ją na pokoje, do bawialni. Kazałam spotkanej po drodze Hani, by uspokoiła rozrabiające dzieci, a najlepiej wyprowadziła je na spacer.

– I niech Basia przyniesie samowar, ciastka i sernik – dodałam. – I po karafce z naszych najlepszych nalewek, a do tego oba likiery z kredensu.

– Nie trzeba. – Anna Pietrowna ze smutkiem pokręciła głową. – To już nie te czasy. Nie mogę korzystać z życia jak kiedyś. Lekarze zabronili.

– Coś wam dolega?

– Mhm. – Skinęła ponuro głową. – Okropne niestrawności i bóle brzucha. Jeden z konowałów podejrzewa, że mam guzy na żołądku lub wątrobie.

– Tak mi przykro – powiedziałam szczerze.

Kto jak kto, ale Bóg, czy jak kto woli, ślepy los, ukarał księżną wyjątkowo dotkliwie. Dla smakoszki i niepoprawnego łasucha, jakim dotąd była, pozbawienie wszystkiego, co lubiła, musiało być wyjątkowo bolesne. Skończyło się na tym, że usiadłyśmy do herbatki, gryząc biszkipciki i sucharki, które przyniósł jej służący.

O właśnie! Służba arystokratki całkiem się zmieniła. Wśród towarzyszącej jej świty nie dostrzegłam ani jednej znajomej twarzy. W dodatku ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że jej głównym towarzyszem, powiernikiem i przyjacielem, czyli człowiekiem zajmującym moje miejsce, był młodzieniec w mundurze. Nie uczestniczył w naszej rozmowie, nawet nie został mi przedstawiony, ale czujnie obserwował nas przez otwarte drzwi z drugiego pokoju. Potem dowiedziałam się, że był to doktor w stopniu lejtnanta, medyk z pułku lejbgwardii, w którym niegdyś służył Fiodor.

– Jak się ma wasz syn, Anno Pietrowna? – spytałam bez owijania w bawełnę.

– Nie najgorzej, drogie dziecko – odparła lekko. – Z powodu odniesionych ran przeszedł w stan spoczynku. Pełni funkcję gubernatora na Krymie, czyli wykonuje wysoce odpowiedzialne zadanie. Często odwiedza mnie w Petersburgu, razem ze swoją piękną żoną.

Zamilkła. Ja również. Popijałyśmy chwilę, patrząc przez otwarte okno na gromadę dzieci bawiących się w ogrodzie. Hanka wykonała moje polecenie i zabrała je na spacer, by nam nie przeszkadzały. Niestety nie pomyślała, że na świeżym powietrzu rozbrykana ferajna robi straszliwy hałas. Księżna patrzyła na nich z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Nie mogę doczekać się wnuka – powiedziała cierpko.

– Jednego już księżna ma – burknęłam ze złością.

– Wiesz, o co chodzi, Żuza. Nie irytuj się, a mnie przy okazji. Nie mam wnuka cesarskiego rodu, dziedzica i być może przyszłego władcy – powiedziała pojednawczym tonem. – Moje marzenia się nie spełniły. Nie doczekam królewskiego potomka.

Wzruszyłam ramionami. Nie czułam współczucia. Przecież, by spełnić



swoje marzenie, księżna nie wahała się brutalnie i bez skrępowań ingerować w życie wielu osób, w tym swojego syna i moje. Dlaczego niby miałam jej teraz współczuć? Mimo to pokiwałam głową i w odruchu życzliwości pogłaskałam staruszkę po dłoni spoczywającej na oparciu fotela. Nie potrafiłam jej nienawidzić, szczególnie teraz, gdy widziałam ją jako zmęczoną życiem, cierpiącą w chorobie, samotną kobietę.

– Chyba popełniłam wielki błąd – po raz pierwszy w życiu przyznała się, że coś zrobiła źle. W dodatku komu! Polskiej nałożnicy syna, pochodzącej ze zubożałej szlachty. – Nie pozwoliłam wam być razem. Gdybym to zrobiła, doszłoby do strasznego mezaliansu, skandalu na carskim dworze i tak dalej. Spaliłabym się towarzysko, utraciła reputację i wpływy. Jednak w zamian uszczęśliwiłabym syna i zyskała kochającą synową. Dziś miałabym całe mnóstwo wnuków. Ech, co prawda nie carskich, ale kontynuujących ród w szczęściu i otoczeniu miłości. A czym się skończyły moje knowania? Tym, że syn unika mnie, jak tylko może. Uciekł ode mnie ze swoją żoną, którą mu wcisnęłam i nie pali się, by spełniać moje życzenia. Gdy przyjeżdża do Petersburga, niemal nie okazuje mi ciepła ani czułości. Patrzy tak, jakby wiedział...

Spojrzałam na nią uważnie.

– O czym wiedział? – spytałam.

Księżna odwróciła głowę i długo siedziała bez ruchu, patrząc na bawiące się dzieci.

– Teodor to ten wysoki, poważny chłopiec w pasiastej kamizelce, prawda? – odezwała się wreszcie. – Jest tak podobny do ojca, że aż trudno uwierzyć. Wiem, że dobrze o niego dbasz.

– Tak. Chcę, by wyrósł na porządnego człowieka, ale nie zamierzam wybierać za niego drogi życiowej. – Uderzyłam w czuły punkt, księżna aż drgnęła. – Staram się tylko, by odebrał porządne wykształcenie. Od niedawna ma nową guwernantkę, moją dawną przyjaciółkę.

– Mhm, słyszałam. Jest poszukiwana przez policję za przynależność do Ziemi i Wolności. No, nie rób takiej zdziwionej miny, jakbyś mnie nie znała. Staram się trzymać rękę na pulsie, szczególnie jeśli chodzi o sprawy, które mnie interesują. – Teraz ona uderzyła w czuły punkt. Pobladałam ze strachu, przecież ostrzegła mnie, bym nie przyjmowała we dworze przedstawicieli tajnych, politycznych stowarzyszeń. – Nie bój się, nic wam

nie zrobię. Nie będę się wtrącać, niech Teodora uczy była anarchistka. Mam nadzieję, że lepiej sobie radzi z matematyką niż z próbami pozbawiania życia koronowanych głów.

– Epizod z tą organizacją była dla nas wszystkich młodzieńczym błędem. Żadna z nas nie chciała nikogo mordować – bąknęłam.

– Ty akurat za ten młodzieńczy błąd z nawiązką odpokutowałaś w Cytadeli, ale może nie wracajmy do tamtych przykrych chwil – powiedziała dawnym, władczym tonem. – Zawołaj, proszę, Teodora. Chcę zamienić z nim kilka słów.

Posłusznie podeszłam do okna i skinęłam na syna. Dostrzegł mnie i przyszedł żwawym krokiem. Wszedł do pokoju i od progu grzecznie uklonił się siedzącej w fotelu staruszce. Odezwałam się po rosyjsku, w języku, którego syna uczyłam od małości, wiedziałam więc, że wszystko zrozumie:

– Wasza ekscelencja pozwoli, to mój syn, Teodor Jasiński. Teoś, to kniahini Anna Pietrowna Czernyszewa. Chciała cię poznać.

Chłopiec zrobił wielkie oczy, z ciekawością przyglądając się arystokratce. Uklonił się jej po raz kolejny i spojrzał na mnie pytająco.

– Jak się masz, Fiodorze? – odezwała się księżna.

– Dobrze, wasza ekscelencjo – odrzekł niepewnie.

– Podoba ci się dwór, w którym mieszkasz?

– To mój rodzinny dom, jak mi się może nie podobać? – odparł tym razem bezczelnie.

Czułam się dziwnie, asystując przy tej wymianie zdań. Nie miałam pojęcia, do czego zmierza kniahini.

– Nie przeszkadzają ci tabuny chłopskich dzieci, które zajmują ci miejsce i odciągają uwagę matki? Nie cierpisz od obcowania z tymi plebejuszami?

– Ależ skąd. Wszyscy są mi niczym rodzeństwo. Poza tym mam się z kim bawić i kim się opiekować – odparł zgodnie z tym, co mu wielokrotnie tłumaczyłam. – To odpowiedzialne i trudne zadanie pełnić obowiązki starszego brata. Staram się wykonywać je jak najlepiej.

Księżna pokiwała głową, a potem uśmiechnęła się chytrze.

– A nie wolałbyś mieszkać tylko z matką, mieć ją jedynie dla siebie? A do tego na własne potrzeby usługi służby i nauczycieli? Słodczyce i przysmaki, którymi nie musiałbyś się dzielić, własny pokój, książki wyłącznie dla siebie i wycieczki jedynie z mamą?

Teoś wzruszył ramionami.

– Mamę i tak mam, ilekroć jej zapagnę. Zawsze jest w pobliżu – mruknął, spoglądając na mnie niepewnie. – Sług nie potrzebuję, tym bardziej belfrów. Co to za przyjemność być wałkowanym w pojedynkę przez nauczyciela. To musi być straszne! A słodycze jadane samemu, pod kołdrą, nie mają już tego smaku. Sprawdziłem. Lepiej się podzielić radością z kim innym.

Anna Pietrowna pokiwała głową i kazała chłopcu podejść bliżej. Wstała z trudnością z fotela i uśmiechając się, przyglądała mu się z bliska, by wreszcie potargać mu czuprynę. Wcisnęła mu w dłoń złotego imperiała i kazała sobie za niego kupić jakiś przysmak. Na koniec poradziła mu, by zmykał, zanim się rozmyśli i zacznie znów męczyć go pytaniami. Odprawiłam syna ponagającym skinieniem.

– Co miały znaczyć te pytania, Anno Pietrowna? – spytałam.

– Och, Żuza, tylko z nim rozmawiałam. Bez ukrytych intencji.

– Coś mi się nie wydaje. – Złożyłam ręce na piersiach. – Nie odpowiada księżnej, że założyłam tu prywatny sierociniec, prawda? Ale wedle umowy mogłam robić we dworze wszystko, co chciałam!

– Nie przyszło mi do głowy, że sprowadzisz tu tabun wygłodzonych dzieciaków z plebsu i razem z nimi będziesz wychowywać mojego wnuka – stwierdziła cierpko.

– Wnuka? Przecież to tylko książęcy bękart. Nagle awansował na wnuka waszej ekscelencji?

– Wszystko się zmienia, Żuza – odparła. – Także moje nastawienie do pewnych spraw, moje przekonania i przyzwyczajenia.

– Jedyne charakter nie bardzo – mruknęłam pod nosem.

– Słyszałam, złościco! – Pogroziła mi palcem. – Zauważyłaś, że z czasem robimy się coraz bardziej podobne, jeśli chodzi o wspomniany charakter? Ha! Stworzyłam cię na swoje podobieństwo.

– Myli się księżna – oznajmiałam stanowczo. – Nigdy nie będę zdolna do robienia rzeczy, które wasza ekscelencja ma na sumieniu.

Pokręciła głową, świdrując mnie srogim spojrzeniem. W jej oczach dostrzegłam znajomą bystrość. Teraz wiedziałam, że kryje się w nich również dobrze maskowana bezwzględność. Poczulałam się niepewnie. Czyżbym przesadziła ze szczerością, posunęłam się za daleko?

– Nie zrobiłabyś rzeczy niegodnych i niemoralnych dla dobra kochanego

jedynaka? Nie skalałabyś się, by go chronić, zapewnić mu godziwy byt i szczęście? Gdybym zagroziła, że ci go odbiorę, wywiozę na Syberię na poniewierkę i zmarnowanie, pozwoliłabyś na to, czy natychmiast udusiła mnie po cichu? – spytała z uśmiechem. – My, matki, jesteśmy gotowe walczyć o swoje dzieci, nie przebierając w środkach. Tym się z pewnością nie różnimy. Nie oceniaj mnie zatem w ten sposób. Ty sama bez wahania zgodziłaś się spełniać wszystkie moje życzenia, bylebyś pozwoliła ci opiekować się dzieckiem. Jestem przekonana, że w jego obronie przełamałabyś wszystkie opory i jeśli byłoby trzeba, kłamałabyś, intrygowała, kradła czy zabijała.

– Hm – mruknęłam, nie wiedząc, co powiedzieć.

W jednej chwili stanęło mi przed oczami wspomnienie Siergieja. Przypomniałam sobie, co czułam, gdy próbował mnie zamordować. Gdy zagroził mojemu nienarodzonemu jeszcze dziecku. Wydrapałabym mu wtedy oczy, gdybym mogła. Pamiętałam również, jak poczułam się, gdy wyszło na jaw, że Adolf się z nim rozprawił. Nie dość, że nie dotknęły mnie najmniejsze wyrzuty sumienia, to wręcz się ucieszyłam. Księżna miała rację, byłyśmy do siebie bardzo podobne.

– To prawda – wydusiłam z siebie wreszcie. – Jestem gotowa na wszystko dla mojego chłopca. Księżna nie może znieść plebsu w otoczeniu wnuka? Życzy sobie, bym zamknęła przytułek? Mam odprawić te dzieci?

Przełknęłam ślinę. Nie miałam pojęcia, dokąd niby miałabym je odprawić. Chyba tylko wygnać precz na pewną śmierć głodową. Wiedziałam jednak, że muszę teraz ukorzyć się przed Anną Pietrowną. Życie moje i mojego syna nadal leżało w jej rękach.

– Nie jestem aż takim potworem, Żuza. – Księżna zmarszczyła brwi. – Pozwalam ci wychowywać Teodora zgodnie z twoją wolą. Chcesz, by bratał się z chłopami, proszę bardzo. Wiedz tylko, że niezbyt to pochwalam. Zrobimy tak. Założę fundusz na rzecz twojego przytułku. Chcę, żebyś zatrudniła więcej wychowawców. Dzięki temu sama będziesz mieć więcej czasu dla syna. Oprócz tego wynajmiesz mu porządnych guwernerów, a potem wyślesz do szkoły w Petersburgu, którą ci wskażę. Nie bój się, nie zamierzam zrobić z niego rosyjskiego oficera, mam na myśli szkołę przy Instytucie Technicznym. W przyszłości twój syn może ją ukończyć i zostać naukowcem lub inżynierem. Tego chyba właśnie chcesz, prawda?

Pokiwałam głową. Anna Pietrowna dokładnie śledziła wszystkie aspekty życia w dworze. Wiedziała nawet, że chłopca interesują maszyny. Ciekawe, kto dla niej szpiegował z mojego otoczenia? Nigdy się niestety tego nie dowiedziałam.

– Chcę również, byś znalazła więcej czasu na pisanie listów i odpowiadanie na moje telegramy – zażądała niemal przyjacielskim tonem. – Nie będzie ich już zbyt wiele.

– Wybaczcie mi, Anno Pietrowna, ostatnie zaniedbania w tym temacie. – Czułam, że kamień spada mi z serca. – Szczególnie dbanie o wasze interesy ostatnio mi nie szło. Postaram się to nadrobić.

– Nie trzeba, kochana. – Księżna niedbale machnęła ręką. – Znudziła mi się zabawa w pomnażanie majątku. Nie mam już do tego zdrowia, jak widzisz. Mówiąc wprost, umieram. Zwyczajnie i nieodwołalnie odchodzę. Nie mam nawet komu przekazać schedy. Fiodora ona zupełnie nie interesuje, może zaciekawilby się, gdybym miała do przekazania kolekcję dzieł sztuki, te jego wymarzone obrazy. Ech, szkoda gadać. Zamiast piąć się w górę, zadekował się w ciepłych rejonach Imperium i marnotrawi żywot. Już się z tym nawet pogodziłam.

– Co zatem zrobimy z aktywami? – spytałam.

– Spieniężymy. Sprzedam posiadłości, tartaki, cegielnie i fabryczki. Założę za to wspomniany fundusz dla sierot. Ty będziesz nim kierować. Przynajmniej masz jakiś pomysł na życie i wydasz te pieniądze z sercem – powiedziała i spojrzała przez okno na biegające dzieci. – Nie z rozsądkiem, bo pewnie roztrwonisz je na wychowanie chłopskich przygłupów, ale przynajmniej będziesz miała z tego satysfakcję. Aha, dwór oczywiście przepisałam na ciebie. Od kilku dni jesteś jego posiadaczką. Papiery mam w kufierku, zaraz ci je dam.

Zamurowało mnie. Zamiast wygnać precz, czego mogłam się po niej spodziewać, księżna po prostu obdarowała mnie ogromnym majątkiem. Może wydawało się jej, że spłaca stare długi, że rekompensuje mi wszystkie niedogodności, których doświadczyłam za jej sprawą. Nie wiem.

Nie uniosłam się jednak honorem i nie odrzuciłam iście królewskiego daru. Myślałam o synu, o tym, że te pieniądze zapewnią mu bajeczny strat w dorosłe życie. Poza tym miałam za nie możliwość stworzenia stabilnego domu dla wszystkich swoich przybranych dzieci, bo za takie uważałam przygarbione

sieroty.

Księżna miała rację. Dla dzieci byłam gotowa na wszystko. Na szczęście nie zostałam zmuszona do jakiejś niegodziwości, a jedynie do zapomnienia o dawnych urazach, wrodzonej bucie i funta kłaków wartym honorze. Przyjęłam podarunek i wpadłam Annie Pietrownie w ramiona.

Do końca jej dni pisałam co wieczór list do Petersburga. Trwało to prawie rok. Wiosną zostałam poinformowana przez jej sekretarza i osobistego medyka w jednym o śmierci księżnej. Zmarła we śnie, najadłszy się uprzednio do syta ciastek z kremem. Podejrzewam, że zrobiła to z premedytacją, zmęczona chorobą.

Oczywiście nie pojechałam na jej pogrzeb. Bałam się, że mogłabym tam spotkać Fiodora, a zamierzałam dotrzymać obietnicy danej Annie Pietrownie i trzymać się od niego jak najdalej.

To było kilka miesięcy po jej śmierci, wczesną jesienią. Odwiozłam Teosia do Warszawy, do bardzo porządnego gimnazjum z internatem. Wbrew woli babki nie posłałam go do Rosji, wołałam mieć bliżej. Pociąg z Ciechocinka jechał tu tylko trzy godziny, a do Petersburga musiałbym się tłuc ze dwa dni i przesiadać w Warszawie. Zatem spełniałam przysięgi wobec Anny Pietrowny dosyć wybiórczo, by nie powiedzieć, że jedynie te, które mi pasowały.

Teos był ze mną w mieście kilka razy i chyba coraz lepiej się w nim czuł. Miał już swoje ulubione miejsca – wiślane wybrzeże z warsztatami żeglugi parowej, skąd widać było również gazownię i fabrykę żelazną Evansa. Nie interesowały go zabytki, nie odziedziczył po ojcu zamiłowania do sztuki. Rósł mi mały przemysłowiec, a może inżynier.

Po spacerach spędziliśmy popołudnie i noc u Gertrudy, którą traktował jak rodzoną ciotkę. Jej dzieci były mu kolejnym, jakże liczny rodzeństwem, w końcu czasem do nas przyjeżdżały. Oboje przywykliśmy do gwaru i nie przeszkadzało nam nocowanie w ludnych, ciasnych pomieszczeniach niewielkiego mieszkania niezbyt zamożnej warszawskiej handlarki. Woleliśmy je od hoteli, których luksusy obojgu nam zupełnie nie imponowały.

Zanim odprowadziłam syna do internatu, wybraliśmy się koło południa następnego dnia, razem z Gertrudą, na Cmentarz Powązkowski. Kupiłam wiązankę, by złożyć ją na grobie tragicznie zmarłej Janki. Posprzątałyśmy

wokół mogiły, pomodliliśmy się i ruszyliśmy w drogę powrotną. Teoś wybłągał, by przejść przez bogatszą część nekropolii, gdzie pyszniły się wspaniałe grobowce ludzi zamożnych i wybitnych warszawiaków. Szliśmy zatem spacerkiem, podziwiając kunsztowne nagrobki i imponujące posągi aniołów, gdy Teodor nagle zatrzymał się przed jednym z grobów i zaczął do mnie ponaglać machać.

– Mamo, musisz to zobaczyć! – zawołał podekscytowany. – Nie uwierzysz!

Razem z Gertrudą stanęliśmy obok niego. Grób, na który wskazywał, był dość skromny, choć płytę wykonano z porządnego, mozaikowego granitu. Bezpośrednio na nim wyryto napis, który Teoś odczytał na głos:

– „Świętej pamięci Józefa Jasińska i jej nowo narodzony synek. Zmarli oboje 16 lipca 1878 roku. Upraszają o westchnienie do Boga”.

– Coś takiego! Nigdy nie zauważyłam tego grobu – stwierdziła Gertruda. – To zły znak, mówię wam. Tfu, na psa urok. Chodźmy stąd.

– Właśnie tego dnia przyszedłem na świat! – zawołał Teoś, oczywiście nie ruszając się z miejsca. – To niezwykle. Dokładnie tego samego dnia umarła w połogu kobieta, która nazywała się tak samo jak ty, mamó, i również urodziła syna.

Pokiwałam głową w zadumie. Patrzyłam na bukiet świeżych kwiatów, które ktoś zostawił na płycie. Obok stało wiaderko z przewieszoną szmatką, a o grób opierała się czarna laska z błyszczącą, okrągłą gałką z polerowanego metalu. Czułam dziwny niepokój i kielkujące podejrzenie.

– Tego samego dnia w Warszawie rodziły dwie kobiety, które nazywały się tak samo – powiedziałam. – W mieście liczącym dwieście tysięcy mieszkańców. Jakie są szanse na zaistnienie takiego przypadku?

– Małe. Bardzo małe – stwierdził Teoś.

– Poczekajmy na właściciela tej laski – zdecydowałam. – Pewnie odszedł gdzieś na chwilę. Chcę zapytać go o tę kobietę.

– Daj spokój – syknęła Gertruda. – Na co ci to do szczęścia?

Uparłam się jednak. Z każdą chwilą utwierdzałam się w podejrzeniu, że coś tu nie pasuje. Staliśmy tak dobrych kilka minut, ale wreszcie się doczekałam. Dróżką kuśtykał jakiś dzentelmen w ciemnym surducie i cylindrze na głowie. W rękach trzymał kilka glinianych zniczy. Na nasz widok wyprostował się i zmarszczył brwi, wyęzając wzrok. Zrobił jeszcze kilka kroków i zatrzymał się jak wmurowany. Ręce mu opadły, na dróżkę z trzaskiem tłuczonej ceramiki

gruchnęły znicze.

Ja też go poznałam i niemal osunęłam się na kolana. To był książę Fiodor Czernyszew. Ubrany po cywilnemu i kilka ładnych lat starszy, niż go zapamiętałam. Znadto się jednak nie zmienił, wyglądał właściwie znacznie lepiej niż wtedy, gdy widziałam go ostatni raz.

Na mój widok pobladł, jakby ujrzał ducha. Stał i gapił się, a broda mu dygotała. Domyśliłam się już, że faktycznie musiał być przekonany, że ujrzał ducha. To on składał kwiaty na grobie, w którym leżałam z Teodorem. Przynajmniej od lat wierzył, że zmarłam w połogu i utracił mnie razem z dzieckiem.

„Piękna robota, Anno Pietrowna – pomyślałam. – Sprytnie to wymyśliłaś”.

Księżna wpadła na świetny pomysł, banalny w swojej prostocie. Sytuacja sama jej go podsunęła, choć kto ją tam wie, równie dobrze mogła pomóc przypadkom. Urodziłam, gdy Fiodor leżał w szpitalu, wystarczyło zatem tylko wymusić na mnie, bym znikła, a jemu wmówić, że poród się nie udał. Że zmarłam razem z dzieckiem. Potem księżna kazała zbudować grób, na którym jej syn mógł modlić się o nasze dusze i składać kwiaty. W ten sposób bez awantur i drastycznych posunięć odwiodła jedynaka od popełnienia megaliansu, wybiła mu z głowy młodzieńczą miłość.

Nie byłam pewna, czy też to zrozumiał, czy ciągle tkwił przekonany, że widzi ducha. Zastał mnie przecież nad moim grobem, ubrana byłam w ciemną sukienkę i czarny kapelusz. Trochę jak nocna mara.

Uśmiechnęłam się niepewnie i pomachałam.

– Witaj, Teos – powiedziałam. – Miło znów cię widzieć.

Zachwiał się, niemal runął na twarz. Podparł się ramieniem o pobliskie drzewo i położył dłoń na piersi. Wyglądało na to, że za chwilę skona ze wzruszenia. Daskoczyłam do niego razem z Gertrudą. Na nią nie zwrócił nawet uwagi, za to mnie chwycił mocno za wyciągnięte ramię i przyciągnął do siebie. Patrzył mi prosto w oczy, a jego dłoń błędziła po mojej ręce, twarzy, szyi, biodrach. Wyraźnie badał, czy jestem prawdziwa, czy to przypadkiem nie złudzenie.

– Józiu, to ty – jęknął wreszcie. – Ty żyjesz! Tyle lat cię opłakiwałem. Boże, tyle lat cierpiałem, tkwiłem w przekonaniu, że odeszłaś. Niech piekło pochłonie moją matkę, to wszystko przez jej kłamstwa! Gdzie cię ukryła, dlaczego się na to zgodziłaś?



– Wybacz, ale nie jesteśmy tu sami. Poza tym to długa opowieść. – Uwolniłam się z uścisku i poprawiłam suknię. – Poza tym księciu raczej nie wypada obściskiwać kobiety w miejscu publicznym. Zwłaszcza że jesteś żonaty, Fiodorze.

– Tak, to prawda – przyznał, spuszcżając głowę. – Masz rację, Józiu. Nie wolno mi. Matka pogrzebała nie tylko ciebie, ale i mnie, moje marzenia, a przede wszystkim naszą miłość. Tak mi żal. Och, Boże, serce mi chyba pęknie.

– Uspokój się, proszę – powiedziałam stanowczym tonem wychowawczyni, przywykłej do uspokajania dzieci. – Będziesz musiał jeszcze jakoś znieść spotkanie z tym oto młodym człowiekiem. Teodorze, podejdź, proszę. Wasza ekscelencja pozwoli, to mój syn, Teodor Jasiński.

Chłopiec uklonił się grzecznie, uważnie przyglądając się Fiodorowi. Rzecz jasna nie wiedział, że stoi przed swoim ojcem. Nigdy nie zdradziłam synowi, kto go począł.

Księżę patrzył na niego i ruszał ustami, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Naprawdę przeraziłam się, że jego serce może nie wytrzymać takiej ekscytacji. Uścisnął obie ręce zaskoczonego chłopca, a potem ze łzami w oczach przytulił go do piersi. Teodor zeszywniał i próbował się cofnąć. To sprawiło, że Fiodor się opamiętał.

– Wybacz, ale byłem przekonany, że nie żyjesz – powiedział księżę. – Jestem twoim ojcem, chłopcze.

Teodor ze zgrozą spojrział na mnie, a ja? Cóż miałam rzec? Tylko potwierdzająco skinęłam głową.

Tak właśnie Teoś został uznany za księżęce dziecko.

Księżę nalegał, by nam towarzyszyć, ale sytuacja wydała mi się niezręczna. Już od lat nie było w moim sercu miejsca dla Fiodora, księżnej naprawdę udało się pogrzebać tę miłość. Ostatecznie i nieodwołalnie. Co prawda sympatycznie było się spotkać, natychmiast odżyło wiele wspomnień i ciepłych uczuć, ale traktowałam je ze sporym dystansem. Nie miałam ochoty paradować po mieście w towarzystwie żonatego, rosyjskiego arystokraty. Nie poczuwałam się do prezentowania jako jego dawna nałożnica. Jeszcze mógłby wybuchnąć jakiś skandal. Teraz byłam dojrzałą, dumną kobietą. Dbałam o swoją godność i dobrą opinię. Jako jedna z naprawdę nielicznych kobiet

mogłam poszczycić się niezależnością finansową, z każdym dniem stawałam się coraz bardziej dumna i pewna siebie. Dałam mu więc swój bilecik z adresem sierocińca i pozwoliłam na odwiedzenie syna za miesiąc, gdy zabiorę go z internatu na wizytę w domu.

Fiodor był niepokieszony, wręcz zdruzgotany. Potraktowałam go chłodno, nie pozwoliłam dotknąć się palcem. Doskonale pamiętałam, jak ja byłam zdruzgotana i załamana, gdy czekałam na niego miesiącami z dzieckiem na piersi, a on się nie pokazywał. Cóż z tego, że w tym czasie opłakiwał nas nad pustym grobem?

Może byłam zbyt surowa, ale przez tamte niekończące się oczekiwanie zupełnie wyprałam się z gorących uczuć do Fiodora. Teraz wydawał mi się tylko nazbyt wrażliwym, by nie powiedzieć, rozlazłym jegomościem, zdominowanym przez matkę, w dodatku niespełnionym artystą. Niespełnionym nie z powodu braku talentu, ale braku kręgosłupa, zdecydowania i po prostu charakteru. Zalewał się łzami i błagał o względy, a tymczasem gdzieś w hotelowym pokoju czekała niemiecka księżniczka, za którą wyszedł i którą zabrał do pałacu nad gorącym morzem. A przecież obiecał to mnie!

Pożegnałam się dość oziębło i odeszłam. Teoś szedł za mną z nieodgadnią miną, milczący i jakiś nieobecny. Co rusz obracał się i spoglądał przez ramię na mężczyznę w cylindrze, stojącego nieruchomo w cmentarnej alejce.

Przez miesiąc ksiązę nie dał znaku życia, ale gdy nadszedł wyznaczony przeze mnie termin, na dziedziniec przed dworem zajechał powóz. Tym razem Fiodor miał na sobie modną marynarkę i cylinder. Kuśtykał, podpierając się laseczką. W rękę niósł ogromny bukiet kwiatów, którego nie wzięłam do ręki, a kazałam przekazać Basi, by wsadziła go do wazonu. Staralam się być gościnnie, choć ciągle zachowywałam pokerową minę. Nawet Adolf okazał rosyjskiemu gościowi więcej ciepła niż ja. Stary powstaniec uścisnął serdecznie rękę Fiodora i wziął od niego walizczkę, by zanieść ją do pokoju.

Przy kolacji rozmawiałam głównie z Teosiem, wypytyując go o postępy w nauce i życie w internacie. Nie jestem wstrętną wydrą i przez grzeczność rozmawiałam z synem po rosyjsku, by siedzący z nami Fiodor wszystko rozumiał. Ksiązę patrzył to na mnie, to na Teodora, który też nieustannie zerkał na ojca. Wiedziałam, że wiele o nim myślał i był go bardzo ciekawy. Wielce się na mnie obraził, że nigdy nie chciałam opowiadać o Fiodorze.

Po kolacji zgodziłam się wypić w towarzystwie księcia kieliszek wina,

siedząc przed kominkiem. Tym samym, przed którym przed laty, gdy był ranny, zabawiałam go lekturą, i zresztą nie tylko nią.

– Wiem, że nie naprawię tego, co się stało – powiedział. – Czuję się winny, Józiu. Byłem takim głupcem, tak ślepo wierzyłem matce, tak idiotycznie pozwoliłem jej sobą kierować. Ustawiła mi całe życie, a i tak ostatecznie ją zawiodłem. Niestety po drodze zdążyła tyle zepsuć...

– Księżna była mądrą i silną kobietą, nie obrażaj jej pamięci – powiedziałam zimno. – Nie zwalaj wszystkich swoich niepowodzeń na jej decyzje. Chciała dla ciebie jak najlepiej, a ty przecież zawsze mogłeś postawić na swoim. Tyle razy mi to obiecywałeś – tu, w tym pokoju. A co cię powstrzymało? Ech, nie, nie chcę znów o tym rozmawiać. To teraz zupełnie nieważne, nic mnie to już nie obchodzi.

Pokiwał głową w milczeniu. Tak samo kiedyś przytakiwał matce. Widocznie lubi mieć nad sobą silną kobietę, która nim steruje. Strasznie mnie to zirytowało.

– A teraz idź grzecznie spać – rozkazałam. – Nie zapomnij, że jutro po śniadaniu czeka cię droga powrotna. Musisz dobrze odpocząć, by nie odezwały się rany z czasów wojny.

Wstałam, z trzaskiem odstawiając kieliszek na stolik. Poderwał się równie energicznie, jakby zapominając o bolącej nodze. Minę miał chmurną, groźnie zmarszczył brwi. Złapał mnie mocno i przyciągnął do siebie. Poczułam jego siłę, gorące i twarde ciało. Odzyskał wigor od czasów, gdy konał w tym dworze, pojony przez matkę laudanum.

Pocałował mnie. Mocno i namiętnie. Niech to licho, nie potrafiłam się oprzeć. W jednej chwili wszystko wróciło. Euforia, namiętność, wiara w miłość. Znikła złość i żal. Pozwoliłam się całować, a nawet mu odpowiedziałam. Przejęłam inicjatywę. Objęłam go i przyciągnęłam do siebie.

Nie zdradzę, co jeszcze wydarzyło się tej nocy. W każdym razie do listy grzechów przeciw czystości musiałam doliczyć jeszcze cudzołóstwo. Powinnam zatytułować ten pamiętnik: „Wyznania jawnogrzesznicy”!

W każdym razie do rana mi ulżyło. Wiedziałam, że to chwila słabości, powiedzmy, że jednorazowy wyskok, i na nic więcej księciu nie pozwolę. Chyba że sama będę miała na to ochotę. To ja nad wszystkim teraz panowałam i było mi z tym dobrze.

Następnego dnia nie wygnałam go z samego rana ze dworu, lecz pozwoliłam mu spędzić jeszcze jeden dzień, niemal sam na sam z synem. Zaraz po śniadaniu poszliśmy do biblioteki, bo Teoś prosił, by ojciec pokazał mu w atlasie miejsca, w których walczył i które zwiedził. Gdy pochylili się nad rozłożoną mapą Europy, cofnęłam się kilka kroków i popatrzyłam na nich z dystansu. O Boże, byli tak do siebie podobni! Podobni, a jednak inni. Fiodor nadal był romantycznym marzycielem, za to mój syn miał twardsze i praktyczniejsze podejście do życia. Bałam się, czy aby nie odziedziczył tej cechy charakteru po babce Annie Pietrownie.

Po cichu wycofałam się z pokoju i poszłam do sali, w której Hania zajmowała się dziećmi. Zostawiłam swoich mężczyzn samych, a oni nawet nie zauważyli mego zniknięcia. Tak bardzo byli sobą zafascynowani.

No cóż. Nie ma sensu przedłużać historii tego romansu. Nie skończył się słodko, jak we francuskiej powieści, ale nie skończył się też źle. Fiodor, ku wiecznemu niezadowoleniu swojej arystokratycznej żony, odwiedzał syna, gdy tylko mógł. Zabierał go co roku na miesiąc wakacji do siebie, nad Morze Czarne. Razem żeglowali i malowali. To znaczy: Fiodor malował romantyczne pejzaże, a Teoś szkicował architekturę i postacie spoconych, rozneglizowanych chłopów zbierających winogrona lub noszących arbuzy. Mimo różnic dobrze ze sobą się czuli.

Ja toczyłam powolne życie dyrektorki prywatnego sierocińca. Czasem ponosiło mnie i wzorem swojej dawnej mentorki czerpałam z życia garściami. Podróżowałam i robiłam różne interesy, wzorując się na nieżyjącej już księżnej. Z tego wszystkiego zakochałam się w pewnym jegomościu, ale to już inna historia. Nie tak romantyczna i ciekawa, szkoda więc na nią atramentu.

Jest jeszcze coś. Powód, który sprawił, że piszę o tym wszystkim. Mój syn, gdy dorósł, próbował swoich sił jako przemysłowiec, ale niezbyt mu szło i po finansowej kłapie swojej fabryki wrócił na wieś, by przejąć sierociniec. Przywiózł piękną żonę, oboje dobrze sobie radzą i wiem, że zostawiam dzieło swojego życia w dobrych rękach. Jednak trochę się martwię, co będzie dalej. Finansowa prosperity może się skończyć, fundusz założony przez księżną się wyczerpie, mogą wydarzyć się wojny lub plagi. Nie sposób przewidzieć, co się stanie.

Niemniej zdołałam zabezpieczyć przyszłość rodziny. I to dzięki nie komu innemu, jak księżej Annie Pietrownie. Chodzi o akcje kolei, które niegdyś

kupiłam razem dla niej i dla siebie. Ostatecznie jedno i drugie trafiły do mnie. Spieniężyłam je dokładnie w czterdzieści lat po zakupie. Inwestycja zwróciła się po tysiącokrotnie. Oczywiście księżna miała rację. To był interes naszego życia.

Kupił je ode mnie pewien niemiecki, obrzydliwie bogaty przemysłowiec. Ponieważ zakup miał miejsce w Bazylei, gdzie akurat bawiłam w czasie podróży z dziećmi, całe aktywa umieściłam w miejscowym banku. Na nazwisko i hasło.

Mój drogi potomku, wnuku lub może nawet prawnuku, przyjmij ten podarek. Kazałam synowi, by ukrył pamiątnik na strychu sierocińca. Mam nadzieję, że zostanie odnaleziony w stosownej porze. Załączam wizytówkę bankiera, z którym podpisałam umowę. Pieniądze leżą na dobrze oprocentowanym koncie, a może je podjąć jedynie osoba, która udokumentuje, że jest moim potomkiem w linii prostej. Dodatkowe hasło to nazwa sierocińca, którą Teoś nadał instytucji na cześć nieżyjącego już ojca.

Co zrobisz z pieniędzmi, to twoja sprawa, chciałam tylko, byś wiedział, w jak niezwyklej sposób je zdobyłam. Może poruszy to twoje sumienie i podsunie pomysł na godne ich wykorzystanie. Nie ukrywam, że byłoby mi miło, gdybyś podjął się kontynuacji dzieła mojego życia.

Baw się dobrze. Bądź dzielny, nigdy się nie poddawaj i żyj z sensem. Jak ja żyłam.

Julia potarła ostatnią kartkę. Nie znalazła wizytówki bankiera, ale było oczywiste, że musiała przejąć ją ciotka Aurelia. Staruszka odnalazła szwajcarski bank i podjęła aktywa. A potem przepisała na bratanicę, ale w dość oryginalny sposób. Ot i cała historia. Wydała się tajemnica, skąd emerytowana nauczycielka wzięła naprawdę znaczące kwoty na swoje kaprysy.

– Matko Boska, ile tego może być? – szepnęła Julia ze zgrozą.

Wizja posiadania autentycznego majątku dogłębnie nią wstrząsnęła. Co prawda zarówno praprababcia Józia, jak i ciotka Aurelia, miały jasną wizję, co zrobić z pieniędzmi, ale obie nie żyły, a teraz pieniądze należały wyłącznie do Julii. Mogła z nimi zrobić, co chce!

Sierociniec? Litości! To przecież zupełnie nie jej klimaty. Jeśli na koncie jest kilka milionów, na co liczyła, mogłaby przez jakiś czas podróżować, zwiedzać dalekie kraje, trwonić kasę na luksusy i zbytki.

– E tam – westchnęła i machnęła ręką, zirytowana własnym pomysłem.

Przecież od lat nigdzie nie wyjeżdżała, ponieważ nie potrafiła cieszyć się wakacjami w pojedynkę. Z kim miałaby teraz pojechać jako bogaczka? Przyjaciele w rodzaju Andrzeja z pewnością by się znaleźli, ale na takich jakoś zupełnie jej nie zależało. Jedynego faceta w jej życiu, z którym mogła podzielić się zbytkiem, wierząc w jego dobre intencje, nazywał się Gary i był leniwym, rozpieszczonym kocurem.

Oj, przydałoby mu się trochę ruchu! Najlepiej byłoby przywieźć go do sierocińca i dać dzieciom do zabawy.

To wydawało się równie trudne do wyobrażenia, jak ona sama w roli dyrektorki domu sierot. Oboje z kotem pasowałoby tu jak pięść do nosa. Zresztą nie miała na to ochoty, do tego żadnych predyspozycji.

Wstała od biurka, podeszła do okna i oparła się o parapet. Zorientowała się, że wygląda z pokoju znajdującego się w szczycie budynku, czyli z centralnego,

honorowego miejsca. Roztaczał się stąd widok na dziedziniec i bramę wjazdową. To z pewnością w tym pomieszczeniu mieszkała Anna Pietrowna w czasie leczenia księcia. Musiała przecież mieć oko na wszystko i podkreślać swoją wyższość i władztwo nad resztą. Pewnie zerkiała stąd niczym mitologiczna bogini Hera na maluczki spacerujących w dole i decydowała o ich losach. Potem musiała w tym pomieszczeniu urządzić sobie gabinet Józia. Praprababcia podświadomie wzorowała się na swojej przyjaciółce i największym wrogu w jednym. Siłą rzeczy gabinet po matce przejął pradziadek Teodor, a potem jego syn, który pracował tu aż do wojny. Później urzędowali tu dyrektorzy placówki z partyjnego nadania i wreszcie ostatni z nich, który teraz właśnie grał z dziećmi w piłkę.

Malecki stał w bramce, a maluchy kolejno strzelały mu gole. Nawet naburmuszony Antek dał się porwać zabawie i ryknął śmiechem, gdy Krzyś padł plackiem, bohatersko rzucając się na piłkę. Julia uśmiechnęła się bezwiednie, patrząc na roześmianego brodacza, który błaznował z dziećmi w najlepsze. Nie było w nim nawet grama powagi i stateczności obowiązkowej dla państwowych dyrektorów. Nie dało się nie lubić kogoś takiego. Był milusi niczym Gary, za to znacznie żywszy i taki jakiś... Wywołujący bardzo ciepłe uczucia.

Julka wetknęła rękopis do teczki i wyszła z gabinetu. Szybko zbiegła na dół i wyszła przed budynek. Owionął ją wilgotny i rześki wiatr znad Wisły, zmieszany z kuchennym zapachem zakładu zbiorowego żywienia. Pewnie tę samą mieszankę woni wdychali wszyscy jej przodkowie przez ostatnie sto kilkadziesiąt lat. Kojarzyła im się z domem i szczęściem. Dla Julii nadal pozostawała nowa i dość egzotyczna.

– Ciocia Julia! – wrzasnęła radośnie na jej widok mała Ewa.

Szkrab, który w nocy zalewał się łzami, promieniał teraz radością życia. Wpadł w ramiona zaskoczonej kobiety i pociągnął ją do wspólnej zabawy. Julia ani się obejrzała, gdy znalazła się z piłką naprzeciw Krzysia. Strzeliła z rozpędu, mierząc w bramkę i trafiła roześmianego dyrektora prosto w podbrzusze.

Krzyś zgiał się wpół i ciągle szczerząc się w uśmiechu, a właściwie w paroksyzmie bólu, osunął się na kolana. Dzieciaki wybuchły huraganowym śmiechem. Julia złapała się oburącz za głowę i podbiegła do poszkodowanego. Wstał z jej pomocą i udając, że nic mu nie jest,

pokuśtykał na ławkę, by odpocząć. Julii nie pozostało nic innego, niż zająć jego miejsce. Dawno nie spędziła tak miłego dnia, aż sama była zaskoczona.

Do Warszawy wracała białym Fordem Mustangiem, tym razem na tylnym siedzeniu. Z przodu gruchała wpatrzona w siebie para. Aż dziwne, że Paweł odrywał się czasem od gapienia na Krysię, by zerknąć z rzadka na drogę. Julia początkowo się bała, a potem stwierdziła, że widocznie miłość wiedzie ich wszystkich bezpiecznie i zastępuje Pawłowi zajęte czym innym zmysły, w tym te konieczne do prowadzenia samochodu.

Prawnik sprawiał wrażenie bujającego w obłokach. W pewnym momencie zapomniał, że wiezie pasażerkę i zaczął wygadywać do Krysi gorące sprośności, żartobliwe obietnice, co jej zrobi w najbliższą noc. Julia niemal spaślowiała, słuchając tych intymności, ale Krysię na szczęście szybko sprowadziła kochanka na ziemię. Niemniej nawet na nią, skończoną piękność i pożeraczkę męskich serc, musiała podzielać ostatnią noc, bo w ogóle nie interesowała się, jaką decyzję podjęła Julia w związku z dworem.

Zawieźli ją pod blok na Bemowie. Dopiero, gdy wysiadła, Paweł oprzytomniał i z przepaszającym uśmiechem wręczył jej dokumenty czyniące ją właścicielką dworu oraz konta ze szwajcarskim wkładem.

Julia najpierw przywitała się z kotem, karmionym pod jej nieobecność przez Olę, wzięła prysznic, przebrała się w czystą bieliznę i zrobiła herbatę, by wreszcie usiąść przed komputerem i zalogować się na bankowym portalu umożliwiającym korzystanie z konta ze spadkiem. Gdy zobaczyła zdeponowaną na nim sumę, opluła się herbatą, a resztę wylała do zlewu i otworzyła butelkę wina.

– Babusiu Józiu – westchnęła, wznosząc kieliszek i spoglądając w górę, gdzie ponoć przebywają dusze przodków – aleś mi zrobiła niespodziankę!

Wypiła kieliszek duszkiem i zastygła w zadumie, patrząc na wielocyfrową sumę. Natłok myśli zupełnie ją oszołomił.

– Co mam z tym zrobić, Józiu? – spytała w pustkę.

Odpowiedziało jej bulgotanie wody w grzejniku i szum wiatru za oknem.

Pędząc do pracy, spotkała na korytarzu hrabiego Bnińskiego we własnej osobie. Staruszek, który miał leżeć na kardiologii, nadzorował grupę pracowników firmy przeprowadzkowej, wynoszącej z jego mieszkania pudła



z rzeczami. Na widok Julii uklonił się głęboko i szarmancko pocałował ją w rękę.

– Już pan wyzdrowiał? Z sercem wszystko w porządku? – spytała, szczerze zaciekawiona.

– Okazało się, że nie kwalifikuję się do operacji. Jestem zbyt słaby, muszę się podkurować. – Wzruszył ramionami. – Przesunąłem się w kolejce oczekujących nieco w tył. Następne badanie mam zaklepane za trzy miesiące. No cóż, jak to w państwowej służbie zdrowia. Ten, co nie umarł, jest zdrowy! Całe szczęście, że czuję się nie najgorzej, może dożyję. Ale, ale, co szanowna pani robi jeszcze w Warszawie? Dlaczego nie urzęduje w posiadłości na Kujawach?

– Aha, czyli pan też wiedział o wszystkim od samego początku – mruknęła Julia. – Nie wiem jeszcze, czy tam zamieszkać. Tu mam pracę i przyjaciół, a tam tylko pusty, wielki dom.

– Jak to pusty? – zdumiał się staruszek. – A dzieci?

Julia przełknęła ślinę. Zrobił się jej głupio. Nawet stary ubek założył, że po objęciu spadku zajmie się sierotami. Pożegnała się czym prędzej, a hrabia jeszcze raz podziękował za piękny, carski order i życzył jej powodzenia na nowej drodze życia.

– Jeśli ktoś będzie się pani naprzykrzał, księżniczko, wystarczy jeden telefon do mnie i razem z kolegami weteranami załatwimy ptaszka w mgnieniu oka – zaoferował swoje usługi na odchodne i uklonił się głęboko.

Julia pomknęła do pracy, gdzie, jak się okazało, czekała na nią sterta zaległej roboty i około stu e-maili, na które musiała natychmiast odpisać. Zupełnie jakby podczas jej jednodniowej nieobecności firma omal się nie zawałiła. Petenci z różnych działów mieli do niej zwyczajowe pretensje za opieszałość, bowiem każdemu z pomniejszych menedżerów wydawało się, że jest najważniejszy na świecie, więc Julia jest zobowiązana poświęcić mu swoją całkowitą uwagę i oczywiście tworzyć raporty z badań naukowych najlepiej w pięć minut. Inni próbowali przekierować na nią swoją robotę, nie rozumieli jej ekspertyz i zadawali setki głupich pytań lub wyskakiwali z durnotami jak filip z konopi. W korporacji toczyło się zatem zwykłe życie o przetrwanie i Julia musiała znów zająć się walką o utrzymanie na powierzchni.

– A po co mi te nerwy, do jasnej cholery! – Po dwóch godzinach pisania

grzecznych odpowiedzi i gięcia się w ukłonach wreszcie trzasnęła klawiaturą o blat biurka. – Mam na koncie tyle forsy, że mogłabym do końca życia nic nie robić. Powinnam pakować się do wyjazdu ma Majorkę lub gdzieś równie daleko i egzotycznie. Ech!

Zamknęła otwarty dokument i otworzyła nowy. Zaczęła pisać wypowiedzenie. Tak ją to pobudziło i zdenerwowało, że dostała wypieków. Wyciągnęła z kieszeni wisior i zaczęła obracać go w dłoni. O dziwo, niemal natychmiast się uspokoiła i nabrała pewności siebie. Nagle zadzwonił telefon.

– Ty wstrętna suko, nie spodziewałam się po tobie czegoś takiego! – wrzasnęła wściekła Ania.

– Co proszę? – Julia pomyślała, że przyjaciółka przez pomyłkę wybrała jej numer, natomiast inwektywami chciała obrzucić kogoś innego. – To ja, wariatko! Czego się drzesz?

– Wiem, że to ty, dziwko! Czuję, że od tego staropanieńskiego życia popieprzy ci się wreszcie w głowie, ale nie spodziewałam się, że dostaniesz takiej wścieklicy macicy! Nie udawaj głupiej, wiem wszystko. Próboweś wleźć do łóżka Andrzejowi, a gdy cię odprawił, rzuciłaś się na niego z pazurami. Pojebało cię? Ma strasznie pokaleczoną twarz!

– Ja próbowałam mu wleźć do łóżka? – Julia aż zdrętwiała ze zdumienia.

– Ostrzegł, że będziesz próbowała odwrócić kota ogonem. Czekaj, wariatko. Dobierzemy ci się do skóry i oskubiemy do czysta. Zapłacisz za okaleczenie człowieka. Do zobaczenia w sądzie!

Ania rozłączyła się. Julia przez dłuższą chwilę siedziała w bezruchu. Nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Andrzej miał jednak ogromną władzę nad jej przyjaciółką i bez trudu namieszał jej w głowie. Wyczuł, że może w ten sposób zarobić, więc pewnie będzie ją teraz nagabywał na ugodę za sówitą zapłatą.

Po chwili zastanowienia Julia sprawdziła, czy ma numer do hrabiego Bnińskiego. Możliwe, że pomoc emerytowanego ubeka i jego kompanów z Milicji Obywatelskiej mogła się jej jednak przydać. Andrzej może już niedługo spotkać jegomościów, których w życiu by się nie spodziewał i z którymi nigdy nie chciałby mieć zatargów. Niemniej wezwanie wsparcia Julia odłożyła na później, postanowiła dać przeciwnikowi czas na wykonanie pierwszego ruchu. Potem się z nim rozprawi.

Zaniosła szefowi wypowiedzenie i cierpliwie wysłuchiwała jego nagabywań,

by jednak została, choć nie może jej zaoferować żadnej podwyżki, ani właściwie nic oprócz dobrego słowa. Wreszcie zgodził się, że odejdzie za trzy miesiące, kiedy zamknie wszystkie projekty. Julia zimno oświadczyła, że od jutra ma zupełnie inne rzeczy do roboty i nie zamierza tracić kolejnych trzech miesięcy na użeranie się z cymbałami. Wyszła z wysoko podniesioną głową, ignorując wszystkich spotkanych po drodze, jak przystało na szlachetnie urodzoną kobietę.

Jeszcze w drodze do domu zadzwoniła do Oli.

– Słuchaj, muszę z tobą pogadać – powiedziała. – Stoję na rozdrożu i nie wiem, w którą stronę ruszyć. Muszę podjąć życiową decyzję.

– Och, kurczę pieczone, ale dziś nie mogę – odparła podekscytowana Ola. – Wyobraź sobie, że Staś wrócił. Wczoraj wieczorem pojawił się z wielkim bukietem kwiatów, upadł przede mną na kolana i błagał mnie o wybaczenie. Zdecydował się jednak porzucić tę larwę, bo zrozumiał, że nie może żyć bez nas, beze mnie i dzieci. Zbyt do nas tęskni, poza tym doznał olśnienia i zrozumiał, jakim był sukinsynem, zwyczajnie nas porzucając.

– I co, przyjęłaś go?

– Pogoniłam precz, oczywiście. Ale zgodziłam się przyjąć od niego zaproszenie na kolację. Wynajęłam już nianię do dzieci, a sama właśnie pędzę do kosmetyczki. Pozwolę, by mnie znów błagał i rozpieszczał. Będę się wahała i zastanawiała. Zobaczymy, czy mnie przekona.

– Ach, więc przez jakiś czas będziesz niedostępna – westchnęła Julia. – Zatem udanych zalotów życzę, bawcie się dobrze.

– Jeszcze nie wiem, czy zgodzę się, by wrócił! – zastrzegła Ola.

– Jasne! Daj znać, gdy dojdiesz z życiem do ładu. Mam fajne miejsce, gdzie będziesz mogła przyjechać z dziećmi. Pa!

Po drodze do domu weszła jeszcze do sklepu dla zwierząt i kupiła klatkę dla kotów, przeznaczoną do transportu zwierzaków. Pokazała ją Gary'emu, ale tylko fuknął i odwrócił się do właścicielki i jej klatki tyłem. Julia zasiadła natychmiast przed komputerem i rozpoczęła poszukiwania internetowych stron z przepisami prawnymi. Okazało się bowiem, że w czasie pomiędzy rozmową z Olą a dotarciem do domu podjęła życiową decyzję.

Rankiem następnego dnia zerwała się z łóżka zaraz o świcie. Była tak podekscytowana, że zaniepokojony Gary nie spuszczał jej z oka, jakby zastanawiał się, co takiego knuje jego człowiek. Julia odczekała do w miarę

przyzwoitej godziny i wykonała niezwykle ważny telefon. Wstrzymała oddech.

– Malecki, słucham – powiedział zaspanym głosem dyrektor sierocińca.

– Julia Jasińska – powiedziała. – Przepraszam, Krzysiu, że tak wcześnie, ale mam pilną sprawę.

– Co się stało?

– Chcę dać ci pracę – wypaliła prosto z mostu. – Zakładam rodzinny dom dziecka i potrzebuję zdolnego wychowawcy, a najlepiej dwóch.

W słuchawce zapadła cisza. Widocznie dyrektor został kompletnie zaskoczony.

– Jeszcze dziś rejestruję się w urzędzie. Chcę rozpocząć działalność natychmiast. Wstrzymaj, proszę, przeprowadzkę dzieci. Pewnie domy dziecka, do których miały trafić, i tak nie będą miały nic przeciwko. Aha, mogę zaoferować ci dotychczasową dyrektorską pensję. Wiem, że to niewiele, ale koszty remontu dworu...

– Zgadzam się – wypalił. – Przyjeżdżaj jak najszybciej, Julio. Wszyscy będziemy czekać.

Julia poczuła łzy napływające do oczu. Gardło ścisnęło się jej ze wzruszenia. Będą na nią czekać!

Niestety nie wybrała się do Łopian ani następnego dnia, ani kolejnego. Załatwianie spraw w urzędach okazało się czasochłonnym odbijaniem się od drzwi do drzwi. Poprosiła wreszcie o pomoc Pawła i Krysię. O dziwo, oboje okazali się niezmiernie chętni do pomocy. Czar Krysi ułatwił dotarcie do odpowiednich urzędników i przyspieszenie sprawy. Paweł uruchomił znajomości wśród członków palestry i dotarł nawet do ministra edukacji narodowej. Wreszcie, po dwóch tygodniach batalii, Julia mogła rozpocząć pakowanie i szykowanie się do przeprowadzki.

Dwa dni przed wyjazdem pod jej domem zjawił się Andrzej, ale okazało się, że zanim dotarł do klatki schodowej, cofająca śmieciarka staranowała jego piękny wóz. Kierował nią dziarski staruszek, który szybko znikł z miejsca wypadku, zanim jeszcze pojawiła się policja. Andrzej płakał nad strzaskanym cackiem, a Julia w duchu podziękowała hrabiemu Bnińskiemu, którego agenci, jak się okazało, czuwali nad jej bezpieczeństwem. Zgodnie z umową przelała potem pewną sumę na konto ubeka. Andrzej zrozumiał ostrzeżenie i nigdy więcej już jej nie niepokoił.

W drogę wyruszyła samochodem pożyczonym od Pawła, a kierowanym

przez Krysię. Piękność chciała znów obejrzeć dwór, ale tym razem po to, by zaplanować jego przebudowę pod nowoczesny ośrodek opieki dla dzieci. Przez całą drogę roztaczała więc przed Julią różne wizje tego rodzaju inwestycji. Zachowywała przy tym zwyczajowy entuzjazm i promieniała radością, która szybko udzieliła się Julii.

Podjechały na dziedziniec dworu wręcz majestatycznie. Julia ze zdumieniem spostrzegła, że wszyscy mieszkańcy ustawili się w szereg na schodach przed wejściem. Na czele stała kucharka, a obok niej Krzyś. Dyrektor trzymał niezgrabnie w garści bukiet polnych kwiatów. Miał na sobie sztruksową marynarkę i jaskrawy krawat. Julia stwierdziła, że wygląda uroczo.

Wygramoliła się z wozu, wyjęła klatkę z Garym i wręczyła ją Antkowi. Stała naprzeciw wyprężonego na baczność Maleckiego. Tkwili tak i uśmiechali się do siebie. Wreszcie Krzyś wręczył jej kwiatki i ucałował w policzek.

– Witamy w domu, Julio – powiedział.

# Spis treści

\* 1 \*

\* 2 \*

\* 3 \*

\* 4 \*

\* 5 \*

\* 6 \*

\* 7 \*

\* 8 \*

\* 9 \*

\* 10 \*

\* 11 \*

\* 12 \*

\* 13 \*

\* 14 \*

\* 15 \*

\* 16 \*

\* 17 \*

\* 18 \*

\* 19 \*

\* 20 \*

\* 21 \*